Elizabeth

Gilbert

LUDZIE Z WYSP

PDF processed with CutePDF evaluation edition www.CutePDF.com

Latem 1892 roku w akwarium w Woods Hole umieszczono w tym samym zbiorniku ślimaka podoskrzelnego i odłowioną około ośmiu tygodni wcześniej samicę homara mierzącą niemal dziesięć cali. Przez kilka dni nie napastowała ona przeciętnych rozmiarów ślimaka, lecz w końcu, gdy wygłodniała, zaatakowała go — odłamywała muszlę kawałek po kawałku, a następnie szybko rozprawiła się z ciałem.

The American Lobster:
A Study of Its Habits and Development
dr Francis Hobart Herrick, 1895

Prolog

W odległości dwudziestu mil od wybrzeża Maine stawiają mu czoło wyspy Fort Niles i Courne Haven — dwa skurczybyki, które mierzą się wzrokiem w pojedynku, kto kogo przetrzyma, przekonane, że nic poza nimi nie istnieje. Rzeczywiście, w pobliżu pusto. Żadnego towarzystwa. Skaliste, kształtem przypominające ziemniaki, tworzą dwuwyspowy archipelag. Odnalezienie ich na mapie jest dla odkrywcy nie lada niespodzianką, to jakby ujrzeć bliźniacze miasta na prerii, dwa obozowiska na pustyni czy dwie sąsiadujące chaty w tundrze. Tak odosobnione Fort Niles i Courne Haven oddziela jedynie pas wody zwany kanałem Worthy. Cieśnina ta, ciągnąca się przez niemal milę, podczas odpływu jest miejscami tak płytka, że jeśli nie ma się rozeznania —i to n a p r a w d ę dobrego — można się zawahać co do przeprawy, nawet kajakiem.

Geograficznie Fort Niles i Courne Haven są tak zdumiewająco podobne, że ich stwórca musiał mieć albo nie po kolei w głowie, albo duże poczucie humoru. Wyspy są niemal identyczne. Jako ostatnie szczyty starego, zatopionego łańcucha górskiego zbudowane są z tego samego czarnego granitu wysokiej jakości. Bujnie porastają je świerki. Obie mają około czterech mil długości i dwóch

szerokości. Na każdej jest kilka niewielkich wąwozów, słodkowodne stawy, parę kamienistych plaż i po jednej piaszczystej, jedno pokaźne wzgórze oraz jeden wchodzący w głąb lądu port, trzymany zaborczo za plecami jak skrywany worek z pieniędzmi.

Na obu wyspach znajdują się kościół i szkoła. Z portu wychodzi główna ulica (na każdej wyspie zwana Main Street) z niewielkim kompleksem budynków publicznych — pocztą, sklepem, tawerną. Nie ma wybrukowanych dróg. Domy są bardzo podobne, a łodzie i przystanie identyczne. Na obu wyspach panuje ta sama, specyficzna pogoda, zimą wyraźnie cieplejsza, a latem chłodniejsza niż w miastach wybrzeża. Często też spowija je ten sam straszliwy tuman mgły. Każdą z wysp porasta taki sam gatunek paproci, orchidei, grzybów i dzikiej róży. Wreszcie, zamieszkują je takie same gatunki ptaków, żab, jeleni, szczurów, lisów, węży i taki sam typ ludzi.

Pierwsze ślady pobytu człowieka na Fort Niles i Courne Haven pochodzą od Indian Penobscot. Uznali oni, że wyspy są doskonałym źródłem jaj morskiego ptactwa. Do tej pory odnajduje się starą, kamienną broń pozostawioną przez tych dawnych gości. Indianie nigdy nie osiadali na dłużej z dala od stałego lądu, lecz wykorzystywali wyspy jako tymczasowe bazy rybackie, co zresztą chętnie podchwycili w XVII wieku Francuzi.

Pierwszymi osadnikami na Fort Niles i Courne Haven byli dwaj bracia, Holendrzy Andreas i Walter Van Heuvelowie, którzy przeprawiwszy w czerwcu 1702 żony, dzieci i żywy inwentarz, zgłosili roszczenia do wysp — po jednej dla każdej rodziny. Swoje osady nazwali Bethel i Canaan*.

* Od biblijnych Betel (Luz) i Kanaan (przyp. tłum.).

Fundamenty domu Waltera Van Heuvela zachowały się do dzisiaj — to omszały stos kamieni na łące położonej na wyspie Canaan, jak ją nazwał. Jest to zarazem miejsce, gdzie został zamordowany przez brata zaledwie po roku od chwili, gdy się tam osiedlił. Andreas zabił również dzieci Waltera, a jego żonę zabrał do swojej rodziny na wyspę Bethel. Irytowało go podobno, że jego żona nie rodzi mu dzieci w takim tempie, jak by sobie tego życzył. Pragnąc więcej potomstwa, wyruszył po jedyną, poza własną żoną, kobietę w okolicy. Kilka miesięcy później Andreas Van Heuvel złamał nogę podczas budowy obory. Wywiązało się zakażenie, w wyniku którego wkrótce zmarł. Niedługo potem kobiety i dzieci ocalił przepływający obok wysp angielski statek patrolowy, który przewiózł je do Fortu Pemaquid. Obie kobiety były w ciąży. Jedna urodziła zdrowego syna, któremu nadała imię Niles. Dziecko drugiej zmarło podczas porodu. Matkę uratował angielski lekarz Thaddeus Courne. Wydarzenia te zaowocowały nazwami nadanymi wyspom: Fort Niles i Courne Haven — dwóm pięknym miejscom, które przez kolejne półwiecze miały pozostać niezamieszkane.

Później na wyspach pojawili się i osiedlili Irlandczycy o szkockich korzeniach. Courne Haven przejął w 1758 roku niejaki Archibald Boyd, który zamieszkał tam z żoną i jej siostrami z rodzinami. W kolejnym dziesięcioleciu dołączyli do nich Cobbowie, Pommeroyowie i Strachanowie. Z kolei w 1761 roku Duncan Wishnell z rodziną założyli owczą farmę na Fort Niles, a w ich sąsiedztwie wkrótce zamieszkali Dalgleishowie, Thomasowie, Addamsowie, Lyfordowie, Cardowayowie i O'Donnellowie, a także część rodziny Cobbów, która przeprowadziła się z Courne Haven. Panny z jednej wyspy wychodziły za kawalerów

z drugiej, a nazwiska rodowe przemieszczały się tam i z powrotem jak niezamocowane boje. W połowie XIX stulecia na wyspach pojawili się nowi przybysze, a wraz z nimi nowe nazwiska: Friend, Cashion, Yale czy Cordin.

Ludność wysp miała bardzo zbliżone pochodzenie, a ponieważ jej liczba była niewielka, nic dziwnego, że z czasem mieszkańcy coraz bardziej się do siebie upodabniali — wszystko z winy licznie zawieranych małżeństw. Fort Niles i Courne Haven zdołały jakimś cudem uniknąć losu wyspy Malaga, której ludność spokrewniła się nadmiernie do tego stopnia, że w końcu interweniowało państwo, ewakuując z niej mieszkańców. Niemniej sytuacja nie wyglądała najlepiej. Z czasem u wyspiarzy wykształciła się charakterystyczna sylwetka (niska, umięśniona, mocno zbudowana) oraz wygląd twarzy (blada, z ciemnymi brwiami i niewielkim podbródkiem), zarówno u mieszkańców Courne Haven, jak i Fort Niles. Z narodzinami kolejnych pokoleń można już było powiedzieć, że każdy mężczyzna przypominał swojego sąsiada, a każda kobieta zostałaby natychmiast rozpoznana przez swoich przodków.

Wszyscy mieszkańcy wysp byli farmerami lub rybakami. Wszyscy wyznawali prezbiterianizm bądź kongregacjonalizm. Wszyscy byli też konserwatystami. W czasie wojny o niepodległość stanęli po stronie kolonii, a podczas wojny secesyjnej wysyłali mężczyzn w mundurach z niebieskiej wełny do walki za Unię w odległej Wirginii. Niechętnie pozwalali sobą rządzić. Nie lubili płacić podatków. Nie ufali specjalistom i nie interesowały ich ani zdanie, ani obecność obcych. Z upływem lat wyspy — z różnych przyczyn i w rozmaitych okolicznościach — włączano do większych jednostek administracyjnych. Jednak te inkorporacje nigdy nie kończyły się dobrze. Każde poro—

zumienie z czasem przestawało zadowalać wyspiarzy, po czym wreszcie, w 1900 roku, Courne Haven i Fort Niles stworzyły odrębny maleńki powiat zwany Skillet. Niemniej i ta umowa okazała się tymczasowa. Wyspy w końcu oddzieliły się od siebie — zdawało się, że mieszkańcy każdej z nich najlepiej, najbezpieczniej i najbardziej niezależnie czuli się bez żadnych powiązań.

Liczba ludności wysp wciąż rosła. U schyłku XIX wieku nastąpiła prężna ekspansja związana z rozwojem handlu granitem. Młody przemysłowiec z New Hampshire, dr Jules Ellis, pozyskał obie wyspy dla swej Ellis Granite Company. Wkrótce potem zbił majątek na wydobyciu i sprzedaży lśniącego czarnego kamienia.

W 1889 roku liczba ludności Courne Haven osiągnęła rekordowy poziom 618 osób. Uwzględniała ona szwedzkich emigrantów zatrudnianych przez Ellis Granite Company w charakterze umięśnionej siły roboczej w kamieniołomie. (Część granitu z Courne Haven była tak niejednolita i gruboziarnista, że nadawał się on jedynie na kocie łby — ich produkcja to nieskomplikowana praca, w sam raz dla niewykwalifikowanych robotników, jakimi byli Szwedzi.) W tym samym roku Fort Niles zamieszkiwało 627 osób, w tym włoscy emigranci przyjmowani jako wyuczeni kamieniarze. (Na Fort Niles wydobywano dobrej jakości granit budowlany — piękny materiał, z którym tylko Włosi potrafili się odpowiednio obchodzić.) Rdzenni wyspiarze nigdy nie mieli w kamieniołomach czego szukać. Ellis Granite Company wolała zatrudniać emigrantów, którzy stanowili tańszą i łatwiejszą do nadzorowania siłę roboczą. Przybysze z zagranicy niemal nie kontaktowali się z miejscową ludnością. Niektórzy rybacy z Courne Haven żenili się ze Szwedkami, w wyniku czego

na wyspie pojawili się blondyni. Na Fort Niłes jednak nic nie zmąciło wszechobecnej ciemnowłosej szkockiej powierzchowności. Nikt nie żenił się z Włoszkami. To było po prostu nie do przyjęcia.

Mijały lata. Rybacy przeszli z wędek na sieci i z dorszy na morszczuki. Budowano coraz nowocześniejsze łodzie, a farmy stawały się coraz bardziej przestarzałe. Na Courne Haven wzniesiono ratusz, a na Fort Niles most przez strumień Murder. W 1895 roku, dzięki kablowi przeprowadzonemu po dnie morza, wyspy uzyskały dostęp do usług telefonicznych, w 1918 kilka domów było już zelektryfikowanych. Wydobycie granitu słabło, a z pojawieniem się betonu po prostu upadło. Liczba ludności skurczyła się równie szybko, jak urosła. Młodzi mężczyźni wyjeżdżali z wysp w poszukiwaniu zatrudnienia w ogromnych fabrykach i wielkich miastach. Stare nazwiska powoli znikały z rejestrów ludności. W 1904 roku na Courne Haven wymarli ostatni Boydowie. Po 1910 roku na Fort Niles zabrakło O'Donnellow, a z każdą dekadą XX stulecia liczba rodzin zamieszkujących Fort Niles i Courne Haven stopniowo malała. Niegdyś słabo zaludnione wyspy znów świeciły pustkami.

Tym, czego potrzebowały wyspy — zresztą od zawsze — było zgodne współistnienie. Żyjąc w takim oddaleniu od reszty narodu, przy tak zbliżonych temperamencie, pochodzeniu i historii, mieszkańcy Courne Haven i Fort Niles powinni byli pozostawać dobrymi sąsiadami. Przecież potrzebowali się nawzajem. Powinni więc sobie pomagać. Powinni dzielić się zasobami i obowiązkami, rozwijając wszechstronną współpracę. I może mogliby pozostać w dobrosąsiedzkich stosunkach. Może ich los nie musiał być takim pasmem konfliktów. Rzecz jasna, mniej więcej

przez pierwsze dwa stulecia od momentu osiedlenia się na wyspach mieszkańcy żyli pokojowo. Być może gdyby mężczyźni z Fort Niles i Courne Haven pozostali zwykłymi farmerami lub dalekomorskimi rybakami, żyliby w idealnej zgodzie. Nie wiemy jednak, jak mogłoby być, ponieważ w końcu zajęli się oni połowem homarów, co położyło kres dobrosąsiedzkim relacjom.

Poławiacze homarów, podobnie jak same homary, nie uznają granic. Szukają wszędzie, gdzie bytują te stworzenia, co oznacza, że przemierzają w pogoni za zdobyczą cały obszar płytkiego morza i zimne wody wybrzeży wysp. Znaczy to również, że poławiacze homarów wciąż rywalizują o dobre łowiska. Wchodzą sobie w drogę, plączą więcierze, szpiegują cudze łodzie i podkradają sobie informacje. Walczą o każdy metr sześcienny morza. Każdy homar odłowiony przez jednego jest stracony dla drugiego. To małostkowy biznes, który wykształca małostkowych ludzi. W końcu jako ludzie stajemy się tym, do czego dążymy. Hodowla bydła mlecznego czyni z właścicieli ludzi zrównoważonych, solidnych i powściągliwych, polowanie na jelenie powoduje, że myśliwi stają się spokojni, szybcy i wrażliwi, natomiast połów homarów rodzi ludzi podejrzliwych, podstępnych i bezwzględnych.

Pierwsza wojna homarowa między Fort Niles i Courne Haven wybuchła w 1902 roku. Na innych wyspach, w innych zatokach stanu Maine również następowały takie konflikty, lecz żaden nie rozgorzał tak wcześnie. W 1902 roku odławianie homarów na masową skalę było jeszcze w powijakach, a homar nie został jeszcze uznany za rzadki przysmak. Było ich wtedy dużo, uznawano je za bezwartościowe, a nawet kłopotliwe. Po silnych sztormach woda wyrzucała na brzeg setki, a nawet tysią—

ce tych stworów i należało je usuwać za pomocą wideł i taczek. Ustanowiono przepisy zabraniające zamożnym domom karmienia służby homarami więcej niż trzy razy w tygodniu. Połów tych stworzeń był wtedy dla wyspiarzy zaledwie sposobem na podwyższenie głównego dochodu osiąganego z hodowli czy rybołówstwa dalekomorskiego. Mężczyźni z Fort Niles i Courne Haven zajmowali się nim dopiero około trzydziestu lat i nadal robili to w płaszczach i krawatach. Był to jeszcze raczkujący biznes. Dlatego to takie niezwykłe, że ktoś mógł się w niego zaangażować na tyle, by rozpocząć wojnę. Niemniej w 1902 roku tak własnie się stało.

Pierwsza wojna homarowa między Fort Niles a Courne Haven rozgorzała z powodu słynnego zuchwałego listu pana Valentine'a Addamsa. W 1902 roku Addamsowie mieszkali już na obu wyspach. Valentine Addams pochodził z Fort Niles. Uchodził za dość inteligentnego, ale słynął też z tego, że łatwo puszczały mu nerwy, może nawet był trochę szalony. Napisał swój list wiosną 1902 roku. Wystosował go do przewodniczącego II Międzynarodowej Konferencji ds. Rybołówstwa w Bostonie (prestiżowej imprezy, na którą nikt go nie zapraszał). Starannie przepisane kopie listu rozesłał do kilku najważniejszych gazet rybackich wschodniego wybrzeża. Jedną kopię dostarczył też łodzią pocztową na Courne Haven.

Valentine pisał:

Panowie!

Z przykrością, acz z poczucia obowiązku donoszę o nacechowanej nienawiścią —zbrodni popełnianej przez podstępnych członków w szeregach miejscowych poławiaczy homarów. Określiłem ją mianem Podrzu—

cania Małych Homarów. Mam tu na myśli praktyki potajemnego nocnego wyciągania więcierzy uczciwych poławiaczy homarów przez innych, pozbawionych skrupułów i podmieniania Dużych Homarów uczciwego człowieka na partię młodych, bezwartościowych Małych Homarów człowieka bez skrupułów. Zważcie na konsternację uczciwego rybaka, który następnego dnia wyciąga swoje więcierze, by znaleźć w nich tylko bezwartościowe Małe Homary! Takie praktyki, uprawiane przez moich sąsiadów z pobliskiej wyspy Courne Haven, co rusz mnie dotykają! Proszę o rozważenie podjęcia kroków w kierunku powstrzymania i ukarania tych podrzucających Małe Homary bandytów z Courne Haven (załączam listę ich nazwisk)!

Pozostaję z wdzięcznością,
Valentine Addams

Wiosną 1903 roku Valentine Addams skierował list do III Międzynarodowej Konferencji ds. Rybołówstwa, która ponownie odbyła się w Bostonie. W konferencji tej, większej nawet niż w poprzednim roku, uczestniczyli między innymi dostojnicy z prowincji kanadyjskich, Szkocji, Norwegii i Walii. Addams znów nie otrzymał zaproszenia. Niby dlaczego miałby je dostać? Czego zwykły rybak mógłby szukać na takim zgromadzeniu? Było to przecież spotkanie ekspertów i ustawodawców, a nie okazja do publicznego wylewania lokalnych żali. Dlaczego Addams miałby zostać zaproszony na równi z tymi wszystkimi kanadyjskimi i walijskimi dygnitarzami, świetnie prosperującymi hurtownikami z Massachusetts i wszystkimi znanymi strażnikami łowieckimi? Nieważne. Na wszelki wypadek i tak napisał.

Panowie!

Z całym szacunkiem zwracam się do Was o przekazanie pozostałym tego, co następuje: homarzyca w okresie rozrodu nosi pod brzuchem 25 000 do 80 000 jaj, zwanych przez poławiaczy „jagodami". Jako artykuł spożywczy o słonym smaku powszechnie dodawano je niegdyś do zup. Zapewne pamiętacie, że ich spożywanie jest od lat oficjalnie potępiane, a prawo zakazuje odławiania homarzyc z jajami w celach handlowych. To rozsądne, Panowie! Uczyniono tak w przyzwoitym celu — by rozwiązać problemy połowu homarów na wschodnim wybrzeżu i zachować tamtejsze homary. Panowie! Z pewnością dotarło już do Was, że niektórzy hultaje odławiający homary naruszają prawo, zeskrobując cenne „jagody" z odwłoków tych stworzeń. Ci pozbawieni skrupułów rybacy czynią to, by sprzedać te rozmnażające się homary dla własnej korzyści!

Panowie! Zeskrobane do morza jaja homarów nie wyrastają na zdrowe potomstwo, lecz zmieniają się w 25 000—80 000 przynęt dla wygłodniałych ławic dorszy i soli. Panowie! W tych łakomych rybich żołądkach szukajcie tysięcy homarów, które znikły z naszego wybrzeża! A do tych pozbawionych skrupułów, zeskrobujących jaja poławiaczy zwróćcie się w sprawie ginięcia populacji homarów! Panowie! Pismo Święte zapytuje: „Gdyby się zabiło dla nich wszystkie owce i woły, czyżby to wystarczyło? Albo gdyby się wszystkie ryby morskie złowiło, czyż będzie im dosyć?"*

Wiem z bardzo dobrego źródła, Panowie, że na sa—

* Biblia Tysiąclecia, Księga Liczb 11,22, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2007.

siedniej wyspie Courne Haven każdy poławiacz uprawia proceder zeskrobywania jaj! Stanowi strażnicy łowieccy nie kwapią się aresztować albo chociaż powstrzymać tych złodziei z Courne Haven — bo to są złodzieje! — pomimo moich doniesień. Zamierzam niezwłocznie osobiście stawić czoło tym draniom i powziąć takie działania odwetowe, jakie uznam za odpowiednie, kierując się pewnością co do zasadności swoich podejrzeń i występując w szacownym imieniu Waszej Komisji. Panowie!

Pozostaję Waszym oddanym przedstawicielem,
Valentine R. Addams
(niniejszym załączam listę nazwisk tych drani
z Courne Haven).

Już w następnym miesiącu spłonęła jedyna przystań na Courne Haven. Kilku poławiaczy homarów z tej wyspy przypuszczało, że maczał w tym palce Valentine Addams. Jego obecność podczas pożaru na Courne Haven bynajmniej nie rozwiewała tych podejrzeń — łódka Addamsa znajdowała się o świcie nieopodal brzegu, a jej właściciel stał, wymachując pięścią i krzycząc: „Portugalskie dziwki! Spójrzcie teraz na tych katolickich żebraków!", gdy poławiacze homarów z Courne Haven (w nie większym stopniu Portugalczycy i katolicy niż sam Valentine Addams) uwijali się jak w ukropie, by ocalić swoje łodzie. Nie upłynęło wiele dni, gdy Addamsa odnaleziono w Zatoce Finemana. Jego ciało obciążono dwoma pięćdziesięciofuntowymi workami soli kamiennej i wrzucono do wody. Odnalazł je na dnie morza poławiacz małży.

Strażnik rybacki i łowiecki uznał utonięcie Addamsa za samobójstwo. Zgoda. Jego śmierć była na swój sposób

samobójcza. Podpalenie jedynej przystani na sąsiedniej wyspie jak najbardziej można nazwać czynem samobójczym. Wszyscy o tym wiedzieli. Nikt przy zdrowych zmysłach na Fort Niłes nie mógł odmówić rybakom z Courne Haven prawa do odwetu, bez względu na jego brutalność. Mimo to powstał problem. Addams pozostawił żonę, która jak na złość była akurat w ciąży. Jej pozostanie na Fort Niles byłoby dla sąsiadów kłopotliwe, ponieważ musieliby ją wspierać. Okazało się jednak, że wdowa nie zamierza nigdzie wyjeżdżać. Była dla Fort Niles zbyt wielkim ciężarem, wyciągając środki ze społeczności, w której ciężko pracujące rodziny z ledwością się utrzymywały. Strach przed tym obciążeniem wywołał niezadowolenie z powodu śmierci Valentine'a Addamsa. Co więcej, utopienie człowieka za pomocą soli, której używał do przechowywania własnej cuchnącej przynęty, było zbyt obraźliwe. Należało więc poszukać wyjścia z sytuacji.

W odwecie mężczyźni z Fort Niles pewnej nocy popłynęli na Courne Haven i pokryli cienką warstwą smoły siedziska wszystkich łodzi przycumowanych w tamtejszym porcie. Był to tylko niewybredny żart, taki kawał dla śmiechu. Potem jednak poodcinali wszystkie napotkane na łowiskach Courne Haven boje oznaczające umiejscowienie więcierzy, przez co liny poszły na dno, a połączone nimi więcierze przepadły na dobre. Spowodowało to zupełną katastrofę działalności prowadzonej przez społeczność zaatakowanej wyspy — nawet jeśli w 1903 roku nie zajmowano się nią jeszcze na wielką skalę — do końca sezonu.

Zgoda, tak było.

Przez tydzień po tym wydarzeniu panował spokój. Później znanego i lubianego na Fort Niles Josepha Cardowaya otoczyło przed tawerną na lądzie dwunastu poławiaczy

homarów z Courne Haven i pobiło dębowymi osękami. Cardoway doszedł do siebie, utraciwszy jednak lewe ucho i zdolność widzenia lewym okiem, a jego lewy kciuk zwisał bezwładnie z poszarpanej dłoni, niczym zbędna ozdoba. Ta napaść wzburzyła całą wyspę Fort Niles. Cardoway nie był nawet rybakiem. Miał na wyspie niewielki młyn i zajmował się kruszeniem lodu. Nie miał nic wspólnego z połowem homarów, a jednak właśnie z jego powodu został kaleką. Wojna homarowa rozgorzała więc na dobre.

Rybacy z Courne Haven i Fort Niles walczyli ze sobą przez dziesięć lat — od 1903 do 1913 roku. Rzecz jasna, nie przez cały czas. Wojny homarowe nawet wtedy nie toczyły się bez przerw. Są to niespieszne spory o terytoria, przeplatane spazmatycznymi aktami odwetu i odwrotu. Niemniej w czasie wojny homarowej sytuacja jest wciąż napięta, panuje ciągłe niebezpieczeństwo utraty gotowości na pchnięcie czyjegoś noża. Ludzie są tak pochłonięci obroną swojego źródła utrzymania, że w gruncie rzeczy je unicestwiają. Tracą tyle czasu na walkę, szpiegowanie i ataki, że pozostaje im go bardzo niewiele na sam połów.

Jak w przypadku każdego konfliktu, niektórzy uczestnicy wojny homarowej zaangażowali się w nią bardziej niż inni. Na Fort Niles najbardziej uwikłani w spory o łowiska byli Pommeroyowie, dlatego padli ich ofiarą. Zupełnie zubożeli. Rybaków z rodziny Burdenów z Courne Haven spotkał zresztą podobny los; zaniedbali pracę, by udaremnić poczynania na przykład Pommeroyów z Fort Niles. W niemal tak samo opłakanej sytuacji znaleźli się Cobbowie z obu wysp. Henry ego Dalgliesha natomiast wojna tak zniechęciła, że po prostu spakował dobytek i przeniósł się z rodziną na Long Island w Nowym Jorku, gdzie zatrudnił się jako posterunkowy. Wszyscy, którzy

dorastali w tym dziesięcioleciu na Fort Niles albo Courne Haven, wychowywali się w ubóstwie, a każdy Pommeroy, Burden czy Cobb — w skrajnej biedzie. I nienawiści. Dotknęła ich prawdziwa klęska głodu.

Co się zaś tyczy wdowy po zamordowanym Valentinie Addamsie, w 1904 roku urodziła ona bliźnięta: rozrabiakę Angusa i tłuściutkiego, ospałego Simona. Wdowa Addamsowa nie grzeszyła większym rozsądkiem niż jej zmarły mąż. Nie znosiła, gdy w jej obecności ktoś wymawiał słowa „Courne Haven". Gdy je usłyszała, wszczynała lament, jakby to ją mordowano. Była uosobieniem mściwości, zgorzkniałą kobietą, którą postarzył gniew. Podburzała sąsiadów do zuchwałych wrogich działań przeciwko rybakom z drugiej strony cieśniny Worthy. Podsycała ich wściekłość i urazę, gdy te nieco słabły. Po części z powodu tych nawoływań, a po części z powodu nieuniknionego rozwoju konfliktu synowie wdowy skończyli dziesięć lat, gdy wojna homarowa rozpoczęta przez ich ojca wreszcie dobiegła końca.

Na obu wyspach tylko jeden rybak nie wziął udziału w tych wydarzeniach. Nazywał się Ebbett Thomas i pochodził z Fort Niles. Po spaleniu przystani w Courne Haven Thomas po cichu wyciągnął z wody wszystkie swoje więcierze. Wyczyścił je i ukrył wraz z całym osprzętem w piwnicy. Wyciągnął na brzeg swoją łódź, doprowadził ją do ładu i pozostawił na lądzie przykrytą plandeką. Wojny homarowej nigdy dotąd nie było, więc można się zastanawiać, jak zdołał przewidzieć nadchodzące katastrofalne wydarzenia. Ebbett Thomas miał jednak niezłą intuicję. Widocznie podejrzewał, przy rybackim wyczuciu nadchodzącego pogorszenia pogody, że być może lepiej to przeczekać.

Po bezpiecznym ulokowaniu sprzętu do połowu homarów Thomas poszedł na jedyne na Fort Niles wzgórze do biur Ellis Granite Company i złożył podanie o pracę. Była to rzecz praktycznie niespotykana — miejscowy szuka pracy w kamieniołomach — niemniej Ebbett Thomas został zatrudniony. Udało mu się namówić do podjęcia tej decyzji samego dr. Julesa Ellisa, założyciela i właściciela firmy. Ebbett Thomas został brygadzistą w warsztacie opakowań i nadzorował wykonywanie drewnianych skrzyń oraz pudeł, w których wysyłano z wyspy obrobiony granit. Był rybakiem, podobnie jak wszyscy jego przodkowie i jak zapewne byłoby jego potomstwo. Ebbett Thomas nie opuścił jednak łodzi na wodę przez kolejnych dziesięć lat. Całkiem dobra intuicja pozwoliła mu przetrzymać ten trudny okres bez dos'wiadczania finansowej ruiny, która dotknęła jego sąsiadów. Sam trzymał się na uboczu i dopilnował, by jego rodzina również w nic się nie mieszała.

Ebbett Thomas był na owe czasy i miejsce człowiekiem niezwykłym. Nie zdobył żadnego wykształcenia, ale był bystry i na swój sposób obyty. Jego inteligencję docenił dr Jules Ellis, który uważał za wielką szkodę jego przywiązanie do małej, ciemnej wyspy i nieszczęsnego trybu życia rybaka. Dr Ellis nieraz myślał, że w innych okolicznościach Ebbett Thomas mógłby być niezłym przedsiębiorcą albo nawet profesorem. Niemniej Ebbettowi Thomasowi nigdy nie stworzono innych warunków, więc wiódł życie na Fort Niles, osiągając niewiele poza dobrym i zyskownym połowem i nigdy nie angażując się w małostkowe spory sąsiadów. Ożenił się z daleką kuzynką Patience Burden, kobietą niezwykle praktyczną, z którą miał dwóch synów, Stanleya i Lena.

Ebbettowi Thomasowi żyło się całkiem dobrze, tyle że

niedługo. W wieku pięćdziesięciu lat zmarł na udar. Nie dożył ślubu swojego pierworodnego Stanleya. Największą stratą było jednak to, że Ebbett Thomas nie doczekał się wnuczki imieniem Ruth, którą urodziła w 1958 roku jego synowa. Wielka szkoda, ponieważ Ebbett Thomas wprost przepadałby za Ruth. Może nie do końca by ją rozumiał, jednak na pewno z niesłabnącą ciekawością obserwowałby jej życie.

1

W przeciwieństwie do innych skorupiaków, które z chłodną obojętnością odnoszą się do opieki nad potomstwem, mamusia homarzyca trzyma młode homarzątka przy sobie, dopóki nie dorosną do samodzielnego życia.

Crab, Shrimp and Lobster Lore
William B. Lord
1867

Narodziny Ruth Thomas nie przebiegały gładko. Przyszła na świat podczas tygodnia legendarnych straszliwych burz. Ostatni tydzień maja 1958 roku nie przyniósł wprawdzie huraganu, lecz nie było wcale spokojnie, Fort Niles smagał deszcz. Żona Staną Thomasa, Mary, przeżyła w czasie tej burzy niezwykle ciężki poród. Powiła pierwsze dziecko. Była dość drobna, a maluch opornie wychodził na świat. Właściwie należałoby przewieźć Mary Thomas do szpitala na lądzie i oddać pod opiekę lekarza, jednak pogoda zupełnie nie sprzyjała transportowi rodzącej kobiety. Na Fort Niles nie było lekarza ani pielęgniarek. Cierpiąca z bólu kobieta była pozbawiona opieki medycznej. Musiała radzić sobie sama.

Podczas porodu Mary jęczała i krzyczała, a sąsiadki — w roli akuszerek amatorek — pocieszały ją i dawały wskazówki. Odchodziły od jej łóżka jedynie po to, by opowiedzieć na wyspie, w jakim jest stanie. Sytuacja faktycznie nie wyglądała najlepiej. Najstarsze i najmądrzejsze kobiety od początku były przekonane, że żona Staną nie przeżyje porodu. Zresztą Mary Thomas nie pochodziła z wyspy, więc kobiety niespecjalnie w nią wierzyły. W najlepszym przypadku uważały ją za nieco rozpieszczoną, trochę za delikatną, skłonną do płaczu i nieśmiałą. Były niemal pewne, że opus'ci je podczas porodu, umierając z bólu na oczach wszystkich. Mimo to przejmowały się i wtrącały. Kłóciły się o to, jak najlepiej postępować, o najlepszą dla rodzącej pozycję, o to, która najlepiej radzi. A gdy wracały na chwilę do domów po czyste ręczniki czy lód, opowiadały mężom, że sytuacja w domu Thomasów przedstawia się naprawdę ponuro.

Senator Simon Addams usłyszał tę pogłoskę i postanowił przyrządzić swój słynny pieprzny bulion z kurczaka, który uważał za wielce leczniczy, w sam raz dla kobiety w potrzebie. Był wiekowym starym kawalerem i mieszkał z bratem Angusem, również nieżonatym. Byli oni całkiem już dorosłymi synami Valentine'a Addamsa. Angus był najbardziej bezwzględnym i agresywnym poławiaczem homarów na wyspie, Senator Simon zaś kompletnie się do tego nie nadawał. Bardzo się bał morza; jego noga nigdy nie postała na pokładzie łodzi. Na Plaży Gavina trzymał się zawsze o krok od fali i to był jego najbliższy kontakt z morzem. Gdy był nastolatkiem, miejscowy łobuz chciał go wyciągnąć na nabrzeże, przez co Simon złamał mu rękę i niemal rozdrapał twarz. Dusił zabijakę do utraty przytomności. Senator Simon niewątpliwie nie przepadał za wodą.

Był za to zręczny, więc zarabiał, naprawiając innym meble, więcierze oraz łodzie (wyciągnięte bezpiecznie na brzeg). Uznawano go za ekscentryka. Poświęcał czas na czytanie i studiowanie map, które zamawiał i otrzymywał pocztą. Bardzo dużo wiedział o świecie, choć nigdy w życiu nie opuścił Fort Niles. Jego wiedza z tylu dziedzin przysporzyła mu przydomek Senator — tylko częściowo prześmiewczy. Simon Addams był wprawdzie dziwakiem, jednak cieszył się a u t o r y t e t e m .

Zdaniem Senatora dobry pieprzny bulion z kurczaka mógł pomóc na wszystko, łącznie z trudnym porodem, więc przygotował solidną porcję dla żony Stanleya Thomasa. Darzył tę kobietę dużym podziwem i martwił się o nią. 28 maja po południu zaniósł więc do domu Thomasów garnek z ciepłą zupą. Sąsiadki wpuściły go i oświadczyły, że maleństwo przyszło już na świat. Zapewniły go, że ono i matka dobrze się czują. Dziecko było silne, a matka stopniowo odzyska zdrowie. Ostatecznie jednak łyk bulionu mógłby jej posłużyć.

Senator Addams zajrzał do łóżeczka i zobaczył maleńką Ruth Thomas. Dziewczynka. Wyjątkowo śliczne dziecko z przylegającymi do główki wilgotnymi czarnymi włoskami i wyrazem skupienia na twarzy. Senator Simon Addams natychmiast dostrzegł, że mała nie była zaczerwieniona jak większość noworodków. Nie wyglądała jak oprawiony gotowany królik. Miała śliczną oliwkową skórę i nader poważną jak na niemowlę minę.

— Och, jakie ładne maleństwo — powiedział Senator Simon Addams, a kobiety pozwoliły mu potrzymać Ruth Thomas. Z dzieckiem na rękach wydawał się taki ogromny, że kobiety aż się roześmiały — śmiały się z wielkiego kawalera kołyszącego maleńkie niemowlę. Ruth z kolei wydała

coś w rodzaju westchnienia, wydęła maleńkie usteczka i mrugnęła bez zainteresowania. Senator Simon poczuł przypływ dumy, niemal jak rodzony dziadek. Pogłaskał małą pod brodą. Pokołysał.

— Och, czyż to nie najpiękniejsze dziecko? — spytał, a kobiety nie przestawały się śmiać.

— Czyż nie jest wspaniała? — zachwycał się.

***

Ruth Thomas była ładnym dzieckiem i wyrosła na śliczną dziewczynkę o ciemnych brwiach, szerokich ramionach i niezwykłej posturze. Od dzieciństwa miała plecy wyprostowane jak struna. Nawet jako ledwo jeszcze chodzące dziecko wydawała się uderzająco dojrzała. Pierwszym słowem, jakie wypowiedziała, było bardzo zdecydowane „nie", a pierwszym zdaniem — „Nie, dziękuję". Niespecjalnie przepadała za zabawkami. Lubiła siedzieć na kolanach ojca i czytać z nim gazety. Lubiła przebywać w otoczeniu dorosłych. Zachowywała się tak cicho, że godzinami nie dostrzegano jej obecności. Była mistrzynią podsłuchiwania. Gdy rodzice udawali się z wizytą do sąsiadów, Ruth siedziała pod kuchennym stołem, niezauważalna i bezgłośna jak kurz, i przysłuchiwała się uważnie każdemu słowu dorosłych. Jedno z najczęściej słyszanych przez nią w dzieciństwie zdań brzmiało: „Ruth, że też cię nie zauważyłam!"

Ruth Thomas pozostawała niedostrzeżona z powodu swojego usposobienia obserwatora, a także na skutek ciągłego, odwracającego od niej uwagę zamieszania wywoływanego przez Pommeroyów. Byli to najbliżsi sąsiedzi rodziny Ruth. Mieli siedmiu synów, a Ruth urodziła się zaraz po ostatnim. Niemalże ginęła w chaosie powodowanym przez Webstera, Conwaya, Johna, Fagana, Timo—

thy'ego, Chestera i Robina Pommeroyów. Chłopcy byli na Fort Niles wyjątkowym zjawiskiem. Oczywiście w historii wyspy znalazłyby się kobiety, które urodziły tyle dzieci, ale robiły to w ciągu dziesięcioleci i z dużą niechęcią. Siódemka urodzona w jednej żywiołowej rodzinie w ciągu niewiele ponad sześciu lat zakrawała jednak na epidemię.

Bliźniaczy brat Senatora Simona, Angus, mawiał o Pommeroyach: „To nie rodzina. To cholerne śmieci".

Angusa Addamsa można było jednak podejrzewać o zazdrość, ponieważ nie miał nikogo poza bratem ekscentrykiem, a sprawy innych szczęśliwych rodzin były mu solą w oku. Senator z kolei uwielbiał panią Pommeroy. Zachwycały go jej ciąże. Mawiał, że pani Pommeroy zawsze sprawia wrażenie, że zaszła w ciążę, bo cóż mogła na to poradzić, i że w odmiennym stanie wydaje się zawsze uroczo przepraszająca.

Pani Pommeroy wyszła za mąż niezwykle młodo — w wieku niespełna szesnastu lat — i uwielbiała życie z mężem. Była bardzo swawolna. W młodości piła jak szewc. Przepadała za tym. Podczas ciąż piła tak dużo, że sąsiedzi nabrali podejrzeń, że to za jej przyczyną dzieci urodziły się upośledzone. Jakkolwiek było, żaden z młodych Pommeroyów nigdy nie nauczył się dobrze czytać. Nawet Webster nie potrafił przeczytać książki, a uchodził on za rodzinnego bystrzaka. Jako dziecko Ruth Thomas często siadywała cichutko na drzewie i gdy nadarzyła się okazja, rzucała w Webstera Pommeroya kamieniami. On odpowiadał pięknym za nadobne i przezywał ją śmierdzielem. Ruth zaś odgryzała się: „Ach tak, a gdzie to wyczytałeś?" Wtedy Webster ściągał ją z drzewa i kopał w twarz. Ruth była mądrą dziewczynką, która czasami nie mogła się powstrzymać od bystrych uwag. Kopanie po twarzy, jak przypuszczała,

przytrafiało się niekiedy mądrym dziewczynkom mieszkającym po sąsiedzku z tyloma Pommeroyami.

***

Gdy Ruth Thomas skończyła dziewięć lat, wydarzyło się coś ważnego. Jej matka opuściła Fort Niles. Towarzyszył jej ojciec, Stan Thomas. Pojechali do Rockland. Planowali tam pozostać przez tydzień lub dwa. Ruth natomiast miała na krótko zamieszkać u Pommeroyów. Do powrotu rodziców. W Rockland zaszły jednak jakieś komplikacje i matka Ruth nie wróciła. W owym czasie dziewczynki nie wtajemniczono we wszystkie szczegóły.

W końcu przyjechał ojciec, ale tylko na chwilę, więc w efekcie Ruth spędziła u Pommeroyów kilka miesięcy. Pozostawała u nich przez całe lato. To istotne wydarzenie nie było jednak zbyt traumatyczne, ponieważ Ruth szczerze kochała panią Pommeroy. Pomysł mieszkania razem z nią wprost ją zachwycił. Chciała być zawsze przy niej. A pani Pommeroy kochała Ruth.

— Jesteś dla mnie jak rodzona córka! — powtarzała dziewczynce. — Jak własna cholerna córka, której nigdy nie miałam!

Słowo „córka" wymawiane przez panią Pommeroy brzmiało w uszach Ruth cudownie miękko. Jak wszyscy na Fort Niles i Courne Haven, pani Pommeroy mówiła z akcentem określanym w Nowej Anglii jako południowo—wschodni — nosił on nikłe ślady sposobu wymowy pierwotnych szkocko—irlandzkich osadników i charakteryzował się niemal karygodnym lekceważeniem litery „r". Ruth uwielbiała jej słuchać. Matka nie mówiła z tym pięknym akcentem ani nie używała takich słów, jak „cholerny", „pieprzyć", „gówno" czy „dupek", które przydawały językowi miejscowych poławiaczy homarów, a nierzadko

też ich żon, uroczej pikanterii. Matka Ruth nie wypijała też sporych ilości rumu, po którym stawałaby się równie łagodna i kochająca, jak była co dzień pani Pommeroy.

Krótko mówiąc, pani Pommeroy miała nad matką Ruth wielką przewagę.

Nie była kobietą, która pragnie wciąż przytulać, ale niewątpliwie lubiła od czasu do czasu dać kuksańca. Zawsze szturchała Ruth Thomas i na nią wpadała, czule ją przyciskała, a niekiedy nawet przewracała. Za to zawsze z miłością. Przewracała Ruth tylko dlatego, że dziewczynka była jeszcze taka mała. Jeszcze nie wyrosła. Pani Pommeroy dawała jej po tyłku z czystej miłości, od serca.

— Jesteś dla mnie jak cholerna rodzona córka, której nigdy nie miałam! — mawiała pani Pommeroy, szturchała Ruth, po czym — bum — dziewczynka lądowała na podłodze.

Córka!

Przy siedmiu synach pani Pommeroy pewnie przydałaby się córka. Z pewnością odnosiła się do córek ze szczerą aprobatą, zwłaszcza po latach spędzonych z Websterem, Conwayem, Johnem, Faganem itp., itd., którzy jedli jak wygłodniałe sieroty, a wyli jak skazańcy. Pani Pommeroy myślała już o córce, zanim wprowadziła się Ruth Thomas, więc obdarzyła ją swoistą miłością.

Nikogo jednak nie kochała tak jak męża. Szalała na punkcie pana Pommeroya. Był to niewysoki i mocno umięśniony mężczyzna z dłońmi wielkimi i ciężkimi jak kołatki. Miał oczy jak szparki. Chodził, podpierając się pod boki. Jego twarz była dziwna, ściągnięta. Usta układały się prawie jak do pocałunku. Marszczył czoło i mrużył oczy jak ktoś, kto rozwiązuje w myślach trudne matematyczne zadania. Pani Pommeroy go uwielbiała.

Gdy mijała męża w korytarzu, łapała go przez podkoszulek za sutki, szczypała i krzyczała: „Szczyp! Szczyp!"

Pan Pommeroy odkrzykiwał: „Ojoj!"

Potem łapał ją za nadgarstki i mówił: „Wanda! Przestań, dobra? Naprawdę tego nie znoszę".

Mawiał też: „Wanda, żeby nie te twoje ręce jak piecyki, wywaliłbym cię z tego cholernego domu".

Ale ją kochał. Wieczorami, gdy siedzieli na kanapie, słuchając radia, pan Pommeroy ssał niekiedy kosmyk włosów żony niczym lukrecjowy cukierek. Niekiedy godzinami przesiadywali w milczeniu, ona robiła na drutach, on wiązał więcierze, a pomiędzy nimi na podłodze stała butelka rumu, z której oboje pociągali. Gdy pani Pommeroy już trochę wypiła, lubiła unosić nogi i opierać stopy o męża, mówiąc: „Kładę stopy".

— Żadnego kładzenia, Wanda — odpowiadał kategorycznie, nawet na nią nie patrząc, choć uśmiechając się przy tym pod nosem.

Ona zaś nadal przyciskała do niego stopy.

— Kładę — mówiła. — Kładę.

— Wanda, proszę. Żadnych nóg. (Nazywał ją Wandą, choć w rzeczywistości miała na imię Rhonda. Ten żart miał związek z ich synem, Robinem, który — poza typowym dla miejscowych niewymawianiem „r" na końcu wyrazu — nie mógł wypowiedzieć żadnego słowa zaczynającego się tą głoską. Przez lata Robin nie potrafił poprawnie wymówić własnego imienia, podobnie zresztą jak imienia matki. Co więcej, wszyscy na Fort Niles bardzo długo go przedrzeźniali. Na całej wyspie słychać było wielkich osiłków narzekających na los „łybaka" łub planujących kupno nowego krótkofalowego „ładia". Można też było

usłyszeć krzepkie, postawne kobiety zwracające się z prośbą o pożyczenie „łondla".)

Ira Pommeroy bardzo kochał żonę, co zrozumiałe, ponieważ Rhonda była prawdziwą pięknością. Nosiła długie spódnice, które idąc, unosiła, jakby wyobrażała sobie, że jest w Atlancie. Jej twarz nieustannie wyrażała zdumienie i zachwyt. Gdy ktoś choć na chwilę opuścił pokój, unosiła brwi i gdy wrócił, pytała go uroczo: „Gdzie się p o d z i e— w a ł e ś?" Mimo siedmiu synów była jeszcze młoda i wciąż nosiła długie włosy jak dziewczyna. Owijała je wokół głowy w misterną lśniącą fryzurę. Podobnie jak wszyscy na Fort Niles, Ruth Thomas uważała panią Pommeroy za bardzo piękną. Uwielbiała ją. Często też ją udawała.

Jako dziewczynka Ruth nosiła krótką chłopięcą fryzurę, więc kiedy wcielała się w panią Pommeroy, owijała sobie głowę ręcznikiem, jak niektóre kobiety po kąpieli. Jej ręcznik udawał jednak lśniące włosy pani Pommeroy. Ruth angażowała Robina Pommeroya, najmłodszego z braci, by odgrywał rolę pana Pommeroya. Łatwo było nim rządzić. Poza tym zabawa mu się spodobała. Gdy Robin udawał ojca, ściągał usta tak samo jak on i obchodził Ruth ciężkim krokiem, ująwszy się mocno pod boki. Przeklinał i marszczył brwi. Dodawało mu to powagi, co zresztą bardzo lubił.

Ruth Thomas i Robin Pommeroy zawsze udawali państwa Pommeroyów. W nic innego się nie bawili. Upływały im na tym całe godziny i tygodnie dzieciństwa. Bawili się na zewnątrz, w lesie, prawie codziennie tego lata, gdy Ruth mieszkała u Pommeroyów. Zabawa zaczynała się ciążą. Ruth wkładała do kieszeni spodni kamień, który symbolizował jednego z braci Pommeroyów, jeszcze przed urodzeniem. Robin wydymał wargi i pouczał ją na temat macierzyństwa:

— Słuchaj no — mówił, opierając pięści na biodrach — kiedy dziecko się ułodzi, nie będzie miało zębów. Słyszysz? Nie będzie mógł jeść tego twałdego jedzenia co my. Wanda! Dziecku trzeba dawać sok!

Ruth głaskała kamienne dziecko w kieszeni.

— Chyba zaraz urodzę — mówiła.

Wyrzucała kamień na ziemię. Dziecko przyszło na świat. Tak po prostu.

— Spójrz na to dziecko — zwracała się do Robina. — Ale duże.

Każdego dnia pierwszy urodzony kamień otrzymywał imię Webster, ponieważ to on był najstarszy. Potem Robin znajdował inny kamień, który zastępował Conwaya. Podawał go Ruth, by umieściła go w kieszeni.

— Wanda! Co to? — dopytywał.

— Popatrz, popatrz — odpowiadała Ruth. — No, proszę, znowu cholerne dziecko!

— Nazwę je Kathleen — dodawała. (Zawsze chciała, by na wyspie było więcej dziewczynek.)

— Nie ma mowy — oponował Robin. — To też będzie chłopak.

Oczywiście, był. Nazywali kamień Conwayem i rzucali go obok jego brata Webstera. Wkrótce w lesie spiętrzył się stos synów. Ruth Thomas rodziła tych chłopców przez całe lato. Czasami następowała na kamienie, mówiąc: „Kładę stopy, Fagan! Kładę stopy, John!" Codziennie rodziła chłopców, a Robin chodził wokół niej, ująwszy się pod boki, przechwalając się i pouczając. A kiedy wreszcie pod koniec zabawy rodził się kamień Robin, Ruth mawiała czasami:

— Wywalam tego parszywego dzieciaka. Jest za gruby. I nawet nie umie porządnie mówić.

Wtedy zdarzało się, że Robin się zamierzał i strącał ręcznik z głowy Ruth. Ona zaś biła go nim po nogach, pozostawiając na piszczelach czerwone pręgi. Albo uderzała go pięścią w plecy, jeśli próbował uciec. Ruth miała całkiem dobry zamach, jeśli celem był powolny, otyły Robin. Ręcznik przemakał na ziemi, brudził się i niszczył, więc zostawiali go, by następnego dnia wziąć nowy. Wkrótce w lesie spiętrzył się stos ręczników. Pani Pommeroy nie mogła się w tym połapać.

— Powiedzcie, gdzie się podziały wszystkie ręczniki? Hej! Co z moimi ręcznikami?

***

Pommeroyowie mieszkali w dużym domu po zmarłym prawujku, który był krewnym obojga. Państwo Pommeroy byli spokrewnieni, zanim się pobrali. Byli kuzynami i nim się w sobie zakochali, oboje — tak się świetnie składało — nazywali się Pommeroy. („Jak ci cholerni Roosevel—towie" — mawiał Angus Addams.) Prawdę powiedziawszy, na Fort Niles taka sytuacja nie należała do rzadkości. Nie było zbyt wielu rodzin do wyboru, więc wszyscy stali się rodziną.

Zmarły prawujek Pommeroy był więc wspólnym zmarłym prawujkiem. Za pieniądze zarobione na sklepie wielobranżowym wybudował duży dom koło kościoła jeszcze przed pierwszą wojną homarową. Państwo Pommeroyowie podwójnie go odziedziczyli. Kiedy Ruth miała dziewięć lat i spędzała u nich lato, pani Pommeroy próbowała umieścić ją w sypialni po zmarłym prawujku, zacisznej, pod dachem, z oknem wychodzącym na wielki świerk i miękką drewnianą podłogą z szerokich desek. Śliczny pokoik dla dziewczynki. Jedyny problem polegał na tym, że właśnie tutaj prawujek się zastrzelił, włożywszy lufę do

ust, a na tapecie wciąż pozostawały rdzawe, zmatowiałe plamy krwi. Ruth Thomas kategorycznie odmówiła spania w tym pokoju.

— Jezu, Ruthie, ten człowiek nie żyje i jest już dawno pochowany — przekonywała pani Pommeroy. — W tym pokoju nie ma się czego bać.

— Nie — opierała się Ruth.

— Nawet jeśli zobaczysz ducha, Ruthie, to będzie tylko duch mojego wujka, a on nigdy by cię nie skrzywdził. On kochał dzieci.

— Nie, dziękuję.

— A te ślady na tapecie to wcale nie krew! — skłamała pani Pommeroy. — To grzyb. Od wilgoci.

Powiedziała Ruth, że od czasu do czasu na tapecie w jej sypialni pojawia się taki sam grzyb i że to zupełnie nie przeszkadza jej spać. Wyznała, że każdą noc przesypia błogo jak niemowlę. Ruth oświadczyła, że w takim razie skorzysta z sypialni pani Pommeroy. I w końcu tak właśnie zrobiła.

Spała na podłodze obok łóżka Pommeroyów. Miała dużą poduszkę i coś w rodzaju materaca z wełnianych koców z zapaszkiem. Gdy Pommeroyowie wydawali jakieś dźwięki, Ruth je wyłapywała, słyszała też, gdy chichocząc, uprawiali seks. Docierało do niej ich pijackie chrapanie. Kiedy o czwartej nad ranem pan Pommeroy wstawał, by sprawdzić siłę wiatru, po czym udawał się na połów homarów, Ruth Thomas nasłuchiwała, jak poruszał się po domu. Słuchała tych jego poranków, nie otwierając oczu.

Pan Pommeroy miał teriera, który wszędzie za nim chodził, nawet do kuchni o czwartej nad ranem. Jego pazurki postukiwały jednostajnie o podłogę. Pan Pommeroy przemawiał do niego po cichu, szykując sobie śniadanie.

— Połóż się jeszcze, piesku — przekonywał. — Nie chcesz się jeszcze przespać? Nie chcesz jeszcze trochę odpocząć?

Czasami zaś mówił:

— Wszędzie za mną chodzisz, piesku, więc może się nauczysz parzyć mi kawę? Uczysz się, jak mi przygotować śniadanie?

Pommeroyowie mieli też przez chwilę kota. Był to kot z nabrzeża, wielki, rasy maine coon, który przeniósł się do nich na górę, bo tak nie znosił teriera i chłopców, że chciał być wciąż w pobliżu małżonków. W ferworze walki kot wydrapał psu oko, wdała się infekcja i oczodół zmienił się w śmierdzącą i paprzącą się ranę. Conway wsadził więc kota do skrzynki na homary, którą spuścił na wodę i do której potem wystrzelił z broni ojca. Po tym wydarzeniu terier z ropiejącym okiem spał na podłodze obok Ruth Thomas.

Ruth lubiła sypiać na podłodze, ale miała dziwne sny. Śniło jej się, że duch prawujka Pommeroyów gonił ją aż do kuchni, gdzie gorączkowo szukała noża, by go dźgnąć. Nie mogła jednak znaleźć nic do obrony, poza drucianą trzepaczką i płaskimi kuchennymi łopatkami. Miała też inne sny, w których ogródek za domem Pommeroyów zalewał deszcz, a chłopcy mocowali się ze sobą. Musiała ich omijać, idąc pod małą parasolką i osłaniając każdego po kolei od deszczu. Cała siódemka Pommeroyów kłębiła się w walce wokół niej.

Rano, gdy pan Pommeroy wychodził z domu, Ruth ponownie zasypiała, by obudzić się kilka godzin później, gdy słońce było już znacznie wyżej. Gramoliła się do łóżka pani Pommeroy, która budziła się, łaskotała ją po szyi i opowiadała o psach swojego ojca z czasów, kiedy była jeszcze dziewczynką jak Ruth.

— Nazywały się Beadie, Brownie, Cassie, Prince, Tally, Whippet... — wyliczała pani Pommeroy, a Ruth w końcu nauczyła się wszystkich imion na tyle dobrze, że można by ją z nich odpytywać.

Ruth Thomas spędziła u Pommeroyów trzy miesiące, po czym ojciec wrócił na wyspę bez matki. Skomplikowany problem został rozwiązany. Pan Thomas pozostawił matkę Ruth w mieście Concord w New Hampshire, gdzie mogła bezterminowo przebywać. Ruth dano wyraźnie do zrozumienia, że matka już nigdy nie wróci. Ojciec odebrał dziewczynkę od Pommeroyów i zaprowadził do domu. Odtąd mogła znów zasypiać we własnym łóżku. Powróciła do spokojnego życia z ojcem i odkryła, że niespecjalnie tęskni za matką. Za to bardzo jej brakowało spania przy łóżku Pommeroyów.

Wtedy pan Pommeroy utonął.

***

Wszyscy mówili, że Ira Pommeroy się utopił, bo łowił sam i pił na łodzi. Przywiązywał do lin podtrzymujących więcierze butle z rumem, które kołysały się w chłodnej wodzie dwadzieścia sążni pod powierzchnią morza, w połowie drogi między bojami a więcierzami na dnie. Każdy czasami tak robił. Ktoś wpadł na ten pomysł znacznie wcześniej niż pan Pommeroy, ale on bardzo go udoskonalił i sądzono, że właśnie to doprowadziło do katastrofy. Po prostu za bardzo się upił w dniu, kiedy fala była zbyt duża, a pokład zanadto śliski. Prawdopodobnie wyciągając więcierz, zanim zdążył się zorientować, wypadł z łodzi, straciwszy równowagę za sprawą nagłej fali. A pływać nie potrafił. Rzadko który z rybaków z Fort Niles i Courne Haven umiał. Chociaż umiejętność pływania i tak by panu Pommeroyowi niewiele pomogła. Szybko by utonął

w wysokich butach, długim płaszczu przeciwdeszczowym i ciężkich rękawicach, w groźnej zimnej wodzie. Przynajmniej niedługo się męczył. Umiejętność pływania czasami powoduje, że człowiek tylko dłużej umiera.

Trzy dni później podczas połowu Angus Addams odnalazł ciało. Zaplątało się w jego liny niczym sznurowana szynka. Tak właśnie skończył pan Pommeroy. Ciała dryfują, a w wodach otaczających Fort Niles było mnóstwo zatopionych lin, które mogły odgrywać rolę wyłapujących je sieci. Pan Pommeroy dotarł do łowiska Angusa. Mewy zdążyły mu już wydziobać oczy. Angus Addams wyciągał linę, z nią jeden z więcierzy, a przy okazji ciało. Miał niewielką łódkę, na której pokładzie nie starczało miejsca dla drugiej osoby — wszystko jedno, żywej czy nie — więc wrzucił martwego pana Pommeroya do pojemnika z ruszającymi się wciąż homarami, które złowił tego rana. Zabezpieczył ich szczypce, by nie mogły się pociąć na kawałki. Angus łowił sam, podobnie jak pan Pommeroy. W tym okresie nie miał do pomocy sternika. Nie miał też ochoty dzielić się połowem z jakimś nastoletnim pomocnikiem. Nie miał nawet radia, co było wśród poławiaczy homarów rzadkością, ale Angus nie lubił trajkotania. Tego dnia miał wyciągnąć dziesiątki więcierzy. Zawsze wypełniał swoje obowiązki, obojętnie jak udany miał połów. Znalazłszy ciało, łowił więc dalej, co zajęło mu kilka godzin. Zgodnie z przepisami mierzył każdego homara, małe wypuszczał do morza, a zatrzymywał większe — legalne, zabezpieczając im szczypce. Chroniąc je przed działaniem słońca, wrzucał na ciało Pommeroya w chłodni.

Około wpół do pierwszej skierował się w stronę Fort Niles. Przycumował łódź. Przerzucił ciało pana Pommeroya do łodzi wiosłowej, żeby przestało mu zawadzać,

policzył homary i przełożył do skrzyń, napełnił wiadro przynętą na następny dzień, zmył pokład i odwiesił płaszcz przeciwdeszczowy. Gdy wypełnił codzienne obowiązki, przesiadł się do łodzi z panem Pommeroyem i popłynął na nabrzeże. Przywiązał łódź do drabinki i wspiął się na górę. Później opowiedział wszystkim ze szczegółami, jakiego umarlaka znalazł rano na swoich łowiskach.

— Całkiem się zaplątał w moje liny — oznajmił ponuro Angus Addams.

Tak się akurat złożyło, że Webster, Conway, John, Fagan, Timothy i Chester Pommeroyowie byli na nabrzeżu, gdy Angus Addams wyładował z łodzi ciało. Tego popołudnia właśnie się tam bawili. Ujrzeli na przystani ciało ojca, rozdęte i bezokie. Pierwszy zauważył je najstarszy z braci, Webster. Zająknął się i krzyknął, a wtedy dostrzegli je pozostali. Ustawili się w zwariowanym szyku jak przerażeni żołnierze i całą grupą popędzili do domu. Biegli z portu w głąb wyspy, a potem szybko, szlochając, minęli walący się stary kościół i wpadli do domu. Na schodach ich sąsiadka, Ruth Thomas, biła się z najmłodszym bratem, Robinem. Pommeroyowie porwali ich za sobą i cała ósemka jednocześnie wpadła do kuchni. Podbiegli do pani Pommeroy.

Pani Pommeroy spodziewała się tej wiadomości od trzech dni, odkąd odnaleziono pustą łódź jej męża, a jego samego nie było nigdzie w pobliżu. Wiedziała już, że Ira nie żyje, i domyślała się, że już nigdy nie odzyska jego ciała. Teraz jednak, gdy synowie i Ruth Thomas z przerażonymi minami wtargnęli do kuchni, pani Pommeroy odgadła, że się odnalazło. I że synowie je widzieli.

Chłopcy wpadli na panią Pommeroy i przewrócili ją na podłogę, rzucając się na nią niczym szaleni, brawurowi

żołnierze na granat. Otoczyli ją, mocno się przyciskając. Byli zrozpaczeni, a przy tym naprawdę przytłaczali matkę. Ruth Thomas również została przewrócona i leżała zdezorientowana na podłodze. Robin Pommeroy, który jeszcze się nie domyślił, co zaszło, krążył wokół leżących jeden na drugim, szlochających braci oraz matki i pytał: „No co? No co?"

„Co" — w przeciwieństwie do jego własnego imienia — było słowem, którego wymowa nie sprawiała Robinowi najmniejszego kłopotu, więc w kółko je powtarzał.

— No co? No co? Co, Webster? — dopytywał się. Musiał się dziwić temu kłębowisku chłopców i matce, która tak cicho pod nimi leżała. Był stanowczo za mały, by przyjąć taką wiadomość. Pani Pommeroy milczała jak grób. Synowie zupełnie ją przykryli. Kiedy próbowała się wyswobodzić i wstać, chłopcy podnosili się wraz z nią, wciąż jej nie odstępując. Zdejmowała ich z długiej spódnicy jak jeżyny czy żuki. Lecz gdy tylko opadali na podłogę, znów pchali się z powrotem. Dostali ataku histerii, a ona mimo to milczała, odrywając ich od siebie.

— Webster, co? — pytał Robin. — No co? No co?

— Ruthie — odezwała się pani Pommeroy — idź do domu i powiedz ojcu.

W jej głosie brzmiał przejmujący, piękny smutek. „Powiedz ojcu..." Ruth pomyślała, że to najcudowniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek słyszała.

***

Senator Addams wykonał trumnę dla pana Pommeroya, lecz nie wziął udziału w pogrzebie. Śmiertelnie bał się morza i nigdy nie chodził na pogrzeby topielców. Przerażenie, jakie odczuwał, było nie do zniesienia, bez względu na to, kim był zmarły. Musiał się trzymać od

tego z daleka. Za to zbudował panu Pommeroyowi trumnę z czystej białej świerczyny, oheblowanej i nabłyszczonej olejem. Naprawdę śliczną.

Był to pierwszy pogrzeb, w którym uczestniczyła Ruth Thomas, i jak na pierwszy raz okazał się naprawdę wspaniały. Pani Pommeroy dała się już poznać jako wyjątkowa wdowa. Rankiem wyszorowała szyje i paznokcie Webstera, Conwaya, Johna, Fagana, Timothy ego, Chestera i Robina. Przyczesała im włosy pięknym grzebieniem ze skorupy żółwia maczanym w wysokiej szklanicy z zimną wodą. Towarzyszyła im Ruth. Trudno jej było przebywać z dala od pani Pommeroy, szczególnie w tak ważnym dniu. Ustawiła się na końcu kolejki i pozwoliła przyczesać wodą. Dała sobie wyczyścić szyję i paznokcie. Pani Pommeroy zajęła się Ruth na końcu, jakby była najmłodszym synem. Wyczesała jej włosy, aż przyległy mocno do gorącej głowy. Jej czyste paznokcie lśniły jak monety. Pommeroyowie stali spokojnie, z wyjątkiem najstarszego Webstera, który nerwowo bębnił palcami o uda. Ze względu na matkę chłopcy byli tego dnia bardzo grzeczni.

Wyszykowawszy synów, pani Pommeroy usiadła przy kuchennym stole przed lustrem z toaletki i zrobiła sobie wspaniałą fryzurę. Zaplotła skomplikowany warkocz i upięła go wokół głowy. Natłuściła włosy czymś, co nadało im pyszny połysk granitu. Udrapowała na głowie czarny szal. Ruth Thomas i synowie bacznie ją obserwowali. Emanowała powagą, jaka przystoi dostojnej wdowie. Naprawdę miała do tego dryg. Wyglądała nadzwyczaj smutno i należało ją tego dnia sfotografować. Taka była piękna.

Fort Niles musiała czekać na pogrzeb ponad tydzień, ponieważ tyle czasu zajmowała podróż duchownego na łodzi misyjnej *New Hope*. Fort Niles ani Courne Haven

nie miały już swojego pastora. Opuszczone kościoły na obu wyspach popadały w ruinę. W 1967 roku na wyspach nie było wystarczającej liczby parafian (ludność obu liczyła nieco ponad sto osób), by stworzyć odpowiednio duże zgromadzenie. Mieszkańcy dzielili więc pastora z tuzinem innych odległych wysp u wybrzeża Maine, które znalazły się w podobnej sytuacji. *New Hope* była pływającym kościołem, przemieszczającym się nieustannie od jednej odległej społeczności do innej, przybywając na krótko, w konkretnym celu. Zatrzymywała się w porcie tylko na tak długo, jak wymagały tego chrzest, ślub czy pogrzeb, po czym odpływała. Łódź zapewniała też pomoc pochodzącą z działalności dobroczynnej, przywoziła książki, a niekiedy nawet pocztę. Zbudowana w 1915 roku, w czasie swojego funkcjonowania przyjęła już na pokład kilku pastorów. Obecny pochodził z Courne Haven, ale prawie nigdy tam nie bywał. Działalność duszpasterska wiodła go czasem aż do Nowej Szkocji. Nadzorował naprawdę rozległą parafię i niekiedy trudno było szybko go sprowadzić.

Ów pastor nazywał się Toby Wishnell i pochodził z rodziny Wishnellów z Courne Haven. Na Fort Niles wszyscy ich znali. Byli to poławiacze homarów najwyższej klasy. Oznaczało to, że perfekcyjnie opanowali swoje rzemiosło, co z kolei prowadziło do nieuniknionej zamożności. Byli słynnymi poławiaczami homarów, najlepszymi ze wszystkich. Byli bogatymi rybakami o nadprzyrodzonych zdolnościach, którzy celowali w swej dziedzinie (w porównaniu z innymi) nawet podczas wojen homarowych. Wishnellowie zawsze, w każdym sezonie, wyciągali z wody mnóstwo homarów, za co ich powszechnie nienawidzono. Innym rybakom nie mieściło się w głowie, że można osiągać takie rezultaty. Zupełnie jakby Wishnellowie mieli

jakąś szczególną umowę z Bogiem. Nawet więcej — jakby mieli wyjątkowy układ z homarem jako gatunkiem.

Rzeczywiście, skorupiaki zdawały się uważać złapanie się w więcierz Wishnellów za przywilej. Milami pełzły po dnie, omijając inne więcierze, by stać się zdobyczą Wishnellów. Mówiono, że Wishnell znajdzie homara pod kamieniem w babcinym ogródku. Opowiadano też, że w domach Wishnellów gnieździły się całe rodziny homarów, zupełnie jak gryzonie. Według pogłosek chłopcy Wishnellów rodzili się z czułkami, szczypcami i skorupami, które zrzucali pod koniec okresu karmienia piersią.

Powodzenie Wishnellów było nieprzyzwoite, obraźliwe i dziedziczne. Mieli oni wyjątkowy talent do pozbawiania ludzi z Fort Niles pewności siebie. Jeśli rybak z Fort Niles udawał się w interesach na ląd, powiedzmy na jeden dzień do Rockland, i spotykał w banku lub na stacji benzynowej Wishnella, nieuchronnie robił z siebie idiotę. Straciwszy panowanie nad sobą, poniżał się przed nim. Uśmiechał się, jąkał i podziwiał jego nową fryzurę czy samochód. Przepraszał za swój brudny kombinezon. Próbował się głupio tłumaczyć, że pracował przy łodzi, że te brudne szmaty to tylko strój roboczy i że wkrótce na pewno je wyrzuci. Potem Wishnell po prostu szedł w swoją stronę, a rybak z Fort Niles do końca tygodnia szalał ze wstydu.

Wishnellowie byli wielkimi innowatorami. Jako pierwsi wykorzystali lekkie nylonowe liny zamiast dawnych konopnych, które trzeba było skrupulatnie smołować, by nie zgniły w morskiej wodzie. Jako pierwsi zaczęli też wydobywać więcierze mechanicznymi wyciągarkami. Poza tym nikt przed nimi nie używał łodzi motorowych. Tak się właśnie miały sprawy z Wishnellami. Zawsze byli pierwsi i najlepsi. Mówiono, że kupują przynętę u samego Chry—

stusa. Co tydzień sprzedawali ogromny połów, śmiejąc się z własnego obrzydliwie wielkiego szczęścia.

Pastor Toby Wishnell był pierwszym i jedynym w rodzinie, który nie zajmował się połowem. Jakaż to była paskudna obelga! Urodzić się Wishnellem — magnesem przyciągającym homary i łiomarowym magnatem — i przeputać taki dar! Odrzucić korzyści właściwe tej dynastii! Jaki idiota by się na to zdecydował? Otóż właśnie Toby Wishnell. Zrezygnował z tego wszystkiego dla Pana, co postrzegane było na Fort Niles jako rzecz żałosna i nie do przyjęcia. Ludzie z Fort Niles nienawidzili Toby ego najbardziej ze wszystkich Wishnellów. Niesamowicie ich irytował. Byli więc bardzo niezadowoleni, że został ich pastorem. Chcieli, żeby ten facet trzymał się od nich z daleka.

— Ten Toby Wishnell coś ukrywa — mówił ojciec Ruth Thomas, Stan.

— Pedalstwo, ot, co — odpowiadał Angus Addams. — To stuprocentowy pedał.

— To obrzydliwy kłamca. Urodzony łajdak — dodawał Stan Thomas. —A może i pedał. Z tego, co wiadomo, może być właśnie pedałem.

Dzień, w którym młody pastor Toby Wishnell przybył na *New Hope,* by odprawić pogrzeb topielca — zapitego, rozdętego i bezokiego pana Pommeroya — był piękny, wczesnojesienny. Niebo było bezchmurne i mocno wiało. Toby Wishnell też nieźle się prezentował. Nosił się elegancko. Miał na sobie czarny wełniany garnitur. Spodnie wcisnął w ciężkie rybackie gumiaki, by nie zabrudzić ich błotem.

Z pastorem było coś nie tak — wyglądał jakoś za dobrze, jego gładko wygolony podbródek sprawiał wrażenie zbyt ładnego. Był wymuskany, zadbany. Co więcej, był błon—

dynem. Któryś z Wishnellów musiał się kiedyś ożenić ze Szwedką — córką robotnika z firmy Ellisa. Stało się to na przełomie wieków, lecz miękkie jasne włosy powracały w następnych pokoleniach. Na Fort Niles, wyspie ludzi bladych i ciemnowłosych, była to rzecz zupełnie niespotykana. Blondyni czy blondynki z Courne Haven mieli niekiedy naprawdę piękne włosy, czym się zresztą szczycili. Jednak głośno się o tym nie mówiło. Mieszkańcy Fort Niles mieli uraz do jasnowłosych — wszystkich, bez wyjątku. Stanowiło to kolejny powód nienawiści do pastora Wishnella.

Pastor Toby Wishnell odprawił Irze Pommeroyowi bardzo elegancki pogrzeb. Zachowywał się nienagannie. Wziął wdowę pod rękę i poprowadził ją na cmentarz, a potem do świeżo wykopanego grobu. Wuj Ruth Thomas, Len, kopał go własnoręcznie przez minionych kilka dni. Zawsze spłukany, gotów był chwycić się każdej roboty. Był lekkomyślny i ogólnie rzecz biorąc, nic go w życiu specjalnie nie obchodziło. Wcześniej wbrew protestom żony zaproponował, że przechowa przez tydzień ciało pana Pommeroya w swojej piwnicy. Pokrył je grubo solą, by stłumić odór. Lenowi było wszystko jedno.

Ruth patrzyła na panią Pommeroy i pastora Wishnella na czele orszaku pogrzebowego. Szli równym krokiem, zsynchronizowani jak łyżwiarze. Stanowili ładną parę. Pani Pommeroy dzielnie opanowywała płacz. Lekko odrzuciła głowę do tyłu, jakby leciała jej krew z nosa.

Pastor przemawiał nad grobem. Mówił starannie, zdradzając swoje wykształcenie.

— Pomyślcie o dzielnym rybaku — zaczął — i niebezpieczeństwach czyhających na morzu...

Rybacy słuchali z kamiennymi twarzami i wzrokiem

wbitym w ziemię. Siedmiu synów Pommeroyów ustawiło się kolejno u boku matki. Stali nieruchomo niczym wrośnięci w ziemię. Wyjątek stanowił Webster, który przebierał nogami, jakby miał zaraz pobiec. Nie mógł odzyskać spokoju, odkąd ujrzał ciało ojca na przystani. Od tego momentu wciąż się kręcił i bębnił palcami. Tamtego popołudnia coś się z nim stało. Był wystraszony, niespokojny i nerwowy i wcale mu to nie przechodziło. Co do pani Pommeroy, jej uroda wprowadzała w uroczystą ciszę nieco zamieszania.

Pastor Wishnell przypomniał rybacki kunszt pana Pommeroya oraz to, że kochał on łodzie i dzieci. Wyraził żal, że równie dobremu żeglarzowi mógł się przytrafić taki wypadek. Poradził, by zgromadzeni na uroczystości sąsiedzi i bliscy unikali spekulacji na temat zamysłów Pana Boga.

Nie polało się zbyt wiele łez. Płakali Webster Pommeroy i Ruth Thomas, a pani Pommeroy co chwilę unosiła rękę ku kącikom oczu — to wszystko. Mężczyźni stali w ciszy, okazując zmarłemu szacunek, lecz ich twarze nie zdradzały rozpaczy. Kobiety, matki i żony, przestępowały z nogi na nogę i uważnie się wszystkiemu przyglądały, oceniając grób, panią Pommeroy, Toby'ego Wishnella, a wreszcie własnych mężów i synów. Na pewno były przekonane, że to tragedia. Ciężko stracić mężczyznę. To bolesne i niesprawiedliwe. Jednak poza współczuciem w głowach kobiet rodziła się też inna myśl: „Ale przecież to nie mój". Poczucie ulgi niemal zupełnie nimi owładnęło. W końcu ilu mężczyzn może się utopić w ciągu jednego roku? Utonięcie to rzadkość. W tak małej społeczności prawie nigdy nie zdarza się dwa razy w roku. Przesądność podpowiadała im, że utonięcie pana Pommeroya uchroniło przed tym

innych mężczyzn. Przez jakiś czas ich mężowie będą bezpieczni. I w tym roku nie stracą już synów.

Pastor Toby Wishnell poprosił zebranych, by pamiętali o tym, że sam Chrystus był rybakiem i On też obiecał panu Pommeroyowi pobyt w raju w otoczeniu chórów anielskich. Poprosił, by zgromadzeni, jako Boża wspólnota, dbali o rozwój duchowy siedmiu synów pana Pommeroya. Przypomniał obecnym, że po utracie ojca na ziemi koniecznie należy zatroszczyć się o to, by nie oddalili się od Ojca Niebieskiego. Opieka nad nimi spoczywa teraz na barkach wspólnoty, a utrata przez nich wiary będzie z pewnością odebrana przez Pana jako wina całej wspólnoty i to ona poniesie karę.

Pastor Wishnell poprosił zebranych, by wzięli pod uwagę świadectwo świętego Mateusza i potraktowali je jako ostrzeżenie. Odczytał z Biblii: „Lecz kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza"*.

Za plecami pastora Wishnella znajdowało się właśnie połyskujące w popołudniowym świetle morze, a przy nim port. Pomiędzy łodziami rybackimi cumowała *New Hope,* błyszcząca i dobrze widoczna, smukła i wydłużona w porównaniu z pozostałymi. Ruth Thomas dostrzegała to wszystko ze swojego miejsca na zboczu pagórka, przy grobie pana Pommeroya. Na pogrzeb przyszli wszyscy oprócz Senatora Simona Addamsa. Stali teraz wokół Ruth. Dobrze ich znała. Jednak na dole, na przystani, stał nieznajomy wysoki jasnowłosy chłopak. Był jeszcze mło—

* Biblia Tysiąclecia, Ewangelia według świętego Mateusza, 18,6, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2007.

dy, lecz przerastał każdego z Pommeroyów. Ruth mogła to zauważyć nawet z tak znacznej odległości. Miał dużą głowę kształtem przypominającą puszkę do farb i długie silne ręce. Stał zupełnie nieruchomo, zwrócony plecami do wyspy. Patrzył na morze.

Ruth Thomas tak się nim zainteresowała, że przestała opłakiwać śmierć pana Pommeroya. Przyglądała się nieznajomemu przez całą uroczystość, a on wcale się nie poruszył. Wciąż stał z twarzą skierowaną ku wodzie i opuszczonymi rękami. Spokojnie i bez ruchu. Odwrócił się dopiero długo po pogrzebie, gdy pastor Wishnell udał się na nabrzeże. Bez słowa zszedł do łodzi i odwiózł duchownego. Ruth przyglądała się temu z najwyższym zainteresowaniem.

Wszystko to wydarzyło się po pogrzebie. Na razie zaś uroczystość przebiegała bez zakłóceń. W końcu zakopano pana Pommeroya w jego długiej, świerkowej trumnie na nóżkach. Mężczyźni rzucali na nią garści ziemi, a kobiety kwiaty. Webster Pommeroy wiercił się i wyglądał, jakby miał się za chwilę poderwać do wyścigu. Pani Pommeroy straciła opanowanie i ładnie się rozpłakała. Ruth Thomas patrzyła gniewnie, jak chowano męża najdroższej jej osoby.

Pomyślała: Chryste! Dlaczego się nie uratował?

Wieczorem Senator Simon Addams przyniósł synom pani Pommeroy książkę w płóciennym worku. Wdowa przygotowywała właśnie kolację. Wciąż miała na sobie czarną żałobną suknię ze zbyt grubego na tę porę roku materiału. Obierała marchewki z ogródka. Senator przyniósł też dla niej niewielką butelkę rumu, za co podziękowała, unikając jednak wypicia.

— Jeszcze się nie zdarzyło, żeby pani odmówiła szklaneczki rumu — zauważył Senator.

— Już mnie to nie cieszy, Senatorze. Nie wrócę do picia.

— A kiedyś to pani lubiła? — spytał. — Naprawdę?

— Ach — westchnęła pani Pommeroy i smutno się uśmiechnęła. — Co jest w tym worku?

— Prezent dla chłopców.

— Zje pan z nami kolację?

— Chętnie. Bardzo dziękuję.

— Ruthie! — zawołała pani Pommeroy. — Przynieś Senatorowi szklaneczkę do rumu.

Ruth Thomas już zdążyła to zrobić, włożywszy na dodatek kostkę lodu. Senator Simon pogłaskał ją po głowie dużą miękką dłonią.

— Zamknij oczy, Ruthie — powiedział. — Tobie też coś podaruję.

Ruth posłusznie spełniła prośbę, jak zawsze, odkąd była małą dziewczynką, a on pocałował ją w czoło. Z głośnym cmoknięciem. Taki to był prezent. Otworzyła oczy i obdarzyła go uśmiechem. Kochał ją.

Potem Senator złączył czubki dwóch palców wskazujących.

— Dobrze, Ruthie. Tnij — powiedział.

Dziewczynka zrobiła z palców prawej dłoni nożyczki i ciachnęła jego palce.

— A teraz uważaj! — wykrzyknął i połaskotał ją po żebrach. Ruth była już za duża na takie zabawy, ale Senator je uwielbiał. Długo się zaśmiewał. Ona zaś uśmiechała się z pobłażaniem. Czasami zdarzało im się powtarzać te igraszki nawet cztery razy dziennie. Tego wieczoru Ruth Thomas została na kolacji u Pommeroyów, mimo że był

to dzień pogrzebu. Prawie zawsze u nich jadała. To było przyjemniejsze niż stołowanie się w domu. Ojciec nie przepadał za przyrządzaniem ciepłych posiłków. Utrzymywał porządek, ale poza tym nie potrafił zająć się domem. Nie miał nic przeciwko zimnym kanapkom na obiad. Nie widział też nic złego w mocowaniu brzegów spódniczek córki zszywkami. Starał się jakoś sobie radzić, odkąd odeszła żona. Nikt nie głodował, nie marzł na kość ani nie chodził bez swetra, lecz w domu nie było specjalnie ciepłej atmosfery. Ruth spędzała zatem większość czasu u Pommeroyów, gdzie było znacznie przytulniej. Pani Pommeroy zaprosiła na kolację także Stana Thomasa, lecz on wolał zostać w domu. Jego zdaniem mężczyźnie nie wypadało jeść u kobiety, która dopiero co opłakiwała męża na pogrzebie.

Siedmiu Pommeroyów siedziało przy stole z zabójczo ponurymi minami. Cookie, pies Senatora, drzemał za jego krzesłem. Bezimienny i bezoki pies Pommeroyów, zamknięty w łazience na czas wizyty Addamsa, wył i szczekał oburzony obecnością konkurenta w domu. Cookie jednak wcale tego nie zauważała. Była wykończona. Czasami wypływała w morze za łodziami, nawet przy brzydkiej pogodzie, i zawsze prawie się topiła. Okropieństwo. Była zaledwie rocznym niemądrym kundelkiem i wydawało jej się, że może przepłynąć ocean. Kiedyś prąd zniósł ją niemal do Courne Haven, ale wyłowiła ją łódź pocztowa i odwiozła ledwo żywą właścicielowi. Senator czuł się okropnie, gdy Cookie, szczekając, wypływała za łodziami. Podchodził do nabrzeża najbliżej, jak mógł, i błagał Cookie, by zawróciła. Błagał bez końca! Psiak odpływał coraz dalej niewielkimi kręgami, kichając od wody pryskającej spod silników łodzi. Sternicy rzucali w Cookie przynętą na śledzie i wołali: „Spadaj!"

Senator rzecz jasna nie mógł podążyć za psem. Nie on, który bał się wody równie mocno, jak fascynował się nią jego pies.

— Cookie! — krzyczał. — Proszę, wróć! Wracaj, Cookie! Natychmiast wracaj!

Był to przykry widok, który się powtarzał, odkąd Cookie była szczeniakiem. Niemal codziennie ścigała łodzie. I co wieczór padała ze zmęczenia. Ten nie stanowił wyjątku. Wyczerpana Cookie spała więc podczas kolacji za krzesłem Senatora. Gdy kończyli jeść, Addams wziął ostatni kawałek wieprzowiny z talerza, nakłuł go na widelec i pomachał psu przed nosem. Mięso upadło na podłogę. Cookie obudziła się, przeżuła kęs z namysłem i ponownie zasnęła.

Następnie Senator wydobył z płóciennego worka książkę, którą przyniósł dla braci. Była wielka i ciężka jak łupkowa płytka.

— To dla chłopców — powiedział.

Pani Pommeroy przejrzała książkę i podała Chestero— wi, który zrobił to samo. Ruth przemknęło przez głowę: „Książka dla tych chłopaków?" Nie mogła powstrzymać litości dla kogoś takiego jak Chester, kto siedzi z tak wielką księgą w dłoniach i gapi się na nią, nic nie rozumiejąc.

— Wie pan — zwróciła się do Senatora Simona. — Oni nie potrafią czytać. Potem zaś powiedziała do Chestera: — Przepraszam! — myśląc, że to nie w porządku wyciągać takie rzeczy w dzień pogrzebu jego ojca, ale nie była pewna, czy Senator wie o analfabetyzmie Pommeroyów. Nie miała pojęcia, czy zdaje sobie sprawę z ich ułomności.

Senator Simon wziął książkę z rąk Chestera. Wyjawił, że należała ona niegdyś do jego pradziadka, który nabył ją w Filadelfii przy okazji jedynego w życiu wyjazdu

z Fort Niles. Okładka wykonana była z grubej i twardej brązowej skóry. Senator otworzył książkę i zaczął czytać od początku:

— „Poświęcam Królowi, Bożemu Zwierzchnikowi Admiralicji, Kapitanom i Oficerom Marynarki Królewskiej oraz całemu Ludowi. Oto najdokładniejsze, najbardziej eleganckie i doskonałe wydanie wszystkich dzieł i odkryć słynnego żeglarza, co opłynął cały świat, kapitana Jamesa Cooka".

Senator Simon przerwał i popatrzył na braci.

— Opłynął cały świat! — wykrzyknął.

Chłopcy odpowiedzieli mu pozbawionymi wyrazu spojrzeniami.

— Chłopcy, on opłynął świat! Kapitan Cook! Chcielibyście kiedyś tego dokonać?

Timothy Pommeroy wstał od stołu, przeszedł do salonu i położył się na podłodze. John dołożył sobie marchewki. Webster siedział, bębniąc palcami o kuchenne kafelki.

Pani Pommeroy natomiast spytała uprzejmie:

— Opłynął cały świat, nieprawdaż, Senatorze?

Senator podjął czytanie:

— „Zawarta tu została historia prawdziwa, zajmująca i kompletna pierwszej, drugiej i trzeciej wyprawy kapitana Cooka".

Uśmiechnął się do pani Pommeroy.

— To cudowna książka dla chłopców. Inspirująca. Wie pani, tego poczciwego kapitana zamordowali dzicy. Chłopcy uwielbiają takie opowieści. Chłopcy! Jeśli chcecie być żeglarzami, uczcie się z przygód Jamesa Cooka!

W tym okresie tylko jednego z Pommeroyów można było tak nazwać. Conway pracował u rybaka z Fort Niles, pana Duke'a Cobba, zastępując sternika. Przez kilka dni w tygodniu wychodził z domu o piątej rano i wracał póź—

nym wieczorem, zalatując śledziami. Wyciągał więcierze, zabezpieczał szczypce homarów i napełniał worki przynętą, w zamian za co otrzymywał dziesięć procent zysku. Żona pana Cobba pakowała Conwayowi lunch, co wliczano mu do wypłaty. Łódź pana Cobba, jak wszystkie inne, nigdy nie oddalała się od Fort Niles bardziej niż na milę czy dwie. Jej właściciel bynajmniej nie opłynął więc całego świata. A Conway, ponury i leniwy dzieciak, nie zapowiadał się wcale na wielkiego dalekomorskiego żeglarza.

Webster, najstarszy z braci, czternastolatek, jako jedyny oprócz Conwaya dorósł już do pracy, jednak jego poczynania na łodzi były kompletną porażką. Po prostu był do niczego. Choroba morska prawie go oślepiała, umierał z bólu głowy i wciąż wymiotował. Chciał zostać farmerem. Hodował kilka kurczaków.

— Coś ci pokażę — powiedział Senator Simon do najbliżej siedzącego Chestera. Położył książkę na stole i otworzył ją na środku. Ogromną powierzchnię stron pokrywał drobniutki druk. Był gęsty, tłusty i niewyraźny jak drobny wzór na starej tkaninie.

— Co tu widzisz? Popatrz na tę pisownię.

Chester wgapiał się w książkę — zapanowała okropna cisza.

— Wszędzie brakuje litery „s", prawda, synu? Drukarze zamienili ją na „f", widzisz? Tak jest w całej książce. Zresztą to nie należało do rzadkości. A nam się wydaje śmieszne, prawda? Dla nas to wygląda, jakby słowo „statek" było „ftatkiem". Jakby kapitan Cook pływał jakimś „ftatkiem", a to przecież bzdura.

Chester stosownie przytaknął.

— Rhondo, czy ktoś już z panią rozmawiał? — nagle spytał Senator i zatrzasnął księgę niczym ciężkie drzwi.

— Kto, Senatorze?

— Cała reszta.

— Nie.

— Chłopcy — poprosił Senator — wyjdźcie na chwilkę. Musimy z waszą mamą porozmawiać na osobnos'ci. Uciekajcie. Zabierzcie książkę i idźcie się bawić.

Nadąsani bracia opuścili pokój. Niektórzy poszli na górę, inni na zewnątrz. Chester wyniósł z domu olbrzymi, nietrafiony prezent z żeglarskimi opowieściami o kapitanie Cooku. Niezauważona przez nikogo Ruth wcisnęła się pod kuchenny stół.

— Niedługo się zjawią, Rhondo — powiedział Senator do pani Pommeroy. — Mężczyźni przyjdą wkrótce z panią porozmawiać.

— Dobrze.

— Chciałbym panią ostrzec. Wie pani, o co spytają?

— Nie.

— Spytają, czy zamierza pani zostać na wyspie. Będą chcieli wiedzieć, czy pani zostaje, czy wyprowadzi się na ląd.

— W porządku.

— Pewnie by chcieli, żeby pani wyjechała.

Pani Pommeroy nie odpowiedziała.

Ze swej dogodnej pozycji pod stołem Ruth usłyszała chluśnięcie i domyśliła się, że Senator napełnił rumem szklankę z pozostałym na dnie lodem.

— Zatem czy zostanie pani na Fort Niles ?—dopytywał się.

— Myślę, Senatorze, że chyba zostaniemy. Nie znam nikogo na lądzie. Nie miałabym dokąd pojechać.

— Obojętnie, czy pani wyjedzie, czy zostanie, będą chcieli kupić łódź po pani mężu. I przejąć jego łowisko.

— Dobrze.

— Rhondo, powinna pani zatrzymać łódź i łowisko dla chłopców.

— Nie wiem, Senatorze, jak miałabym to zrobić.

— Prawdę mówiąc, Rhondo, ja też nie.

— Widzi pan, chłopcy są jeszcze tacy młodzi. Nie są gotowi do wypraw na łowisko.

— Wiem, wiem. Nie wyobrażam też sobie, w jaki sposób mogłaby pani zatrzymać łódź. Będą pani potrzebne pieniądze, a jeśli oni chcą ją kupić, będzie się pani musiała zdecydować na sprzedaż. Nie można jej przecież trzymać na brzegu, dopóki chłopcy nie dorosną. I nie będzie pani codziennie przeganiać rybaków z łowiska Pommeroyów.

— Zgadza się, Senatorze.

— Nie widzę też mozliwos'ci, by rybacy pozwolili pani zachować łódź czy łowisko. Wie pani, co powiedzą? Że zamierzają tam łowić tylko przez kilka lat, żeby się nie marnowało. Tylko dopóki chłopcy nie podrosną, by je przejąć. Dobre sobie! A potem niech tylko spróbują je odebrać!

Pani Pommeroy spokojnie słuchała.

— Timothy—zawołał Senator Simon, odwracając głowę w kierunku pokoju dziennego — chciałbyś być rybakiem? A ty, Chester? Chłopcy, czy chcecie zostać poławiaczami homarów?

— Odesłał ich pan na zewnątrz, Senatorze — przypomniała pani Pommeroy. — Nie słyszą pana.

— Racja, racja. Ale czy oni w ogóle chcą być rybakami?

— Oczywiście, że tak, Senatorze — odparła pani Pommeroy. — Cóż innego mogliby robić?

— Pójść do wojska.

— Na całe życie? Kto zostaje w armii na zawsze, Senatorze? Zechcą wrócić na wyspę i łowić, jak wszyscy mężczyźni.

— Siedmiu chłopaków — Senator popatrzył na swoje ręce. — Rybacy będą się zastanawiać, czy wystarczy homarów, by utrzymać jeszcze siedmiu. Ile lat ma Conway?

Pani Pommeroy poinformowała Senatora, że dwanaście.

— Ach, wszystko pani odbiorą. Na pewno. Szkoda, wielka szkoda. Przejmą łowisko Pommeroyów i podzielą między siebie. Odkupią za bezcen łódź i osprzęt pani męża, a pieniądze wyda pani w ciągu roku na wyżywienie chłopców. Zabiorą łowisko i chłopcy będą musieli stoczyć zaciętą walkę, by je odzyskać. Szkoda. I założę się, że ojcu Ruthie zapewne dostanie się najwięcej. Jemu i mojemu chciwemu bratu. Chytrusowi Numer Jeden i Chytrusowi Numer Dwa.

Siedząca pod stołem upokorzona Ruth Thomas zmarszczyła brwi. Nie do końca rozumiała treść rozmowy, lecz nagle poczuła wstyd za ojca i za siebie.

— Szkoda — powtórzył Senator. — Poradziłbym pani, by o nie walczyła, lecz naprawdę nie widzę sposobu. Nie w pojedynkę. A chłopcy są na to za młodzi.

— Nie chcę, żeby moi chłopcy o cokolwiek walczyli, Senatorze.

— Więc proszę ich nauczyć nowego zawodu, Rhondo. Tak będzie lepiej.

Przez jakiś czas oboje siedzieli w milczeniu. Ruth starała się oddychać jak najciszej. Potem pani Pommeroy rzekła:

— On nie był zbyt dobrym rybakiem, Senatorze.

— Powinien był umrzeć sześć lat później, wtedy chłopcy byliby gotowi go zastąpić. Naprawdę powinien był jeszcze poczekać.

— Senatorze!

— Ale pewnie i tak na nic by się to nie zdało. Szczerze

mówiąc, nie pojmuję, na czym się tu wszystko trzymało. Zastanawiałem się nad tym, Rhondo, odkąd urodziło się wam tylu synów. Starałem się przewidzieć, jak to się rozwinie, i nigdy nie spodziewałem się niczego dobrego. Nawet gdyby pani mąż żył, chłopcy na pewno walczyliby między sobą. Homarów nie wystarczy — to fakt. Szkoda. Tacy dorodni, silni chłopcy. Z dziewczętami jest oczywiście łatwiej. Mogą wyjść za mąż poza wyspą. Trzeba było rodzić dziewczynki, Rhondo! Powinniśmy panią zamknąć w wylęgarni, dopóki nie zaczęłaby pani rodzić córek.

Córki!

— Senatorze!

Rum znów chlusnął do szklanki, po czym Senator powiedział:

— Jeszcze jedno. Przyszedłem przeprosić za nieobecność na pogrzebie.

— W porządku, Senatorze.

— Powinienem był pójść. Powinienem. Zawsze byłem przyjacielem waszej rodziny. Ale nie mogłem tego znieść, Rhondo. Nie potrafię znieść utonięcia.

— Nie potrafi pan, Senatorze. Wszyscy o tym wiedzą.

— Dziękuję za zrozumienie. Zacna z pani kobieta, Rhondo. Dobra kobieta. I jeszcze coś. Przyszedłem się też ostrzyc.

— Ostrzyc? Dzisiaj?

— Pewnie, pewnie.

Odsuwając krzesło, Senator Simon potrącił Cookie. Suka zerwała się na równe nogi i natychmiast dostrzegła Ruth pod kuchennym stołem. Szczekała tak długo, aż Senator z wysiłkiem się pochylił, uniósł obrus i zauważył dziewczynkę. Roześmiał się.

— Wychodź stamtąd, dziewczyno.

Ruth usłuchała.

— Możesz popatrzeć, jak strzygę włosy.

Senator wyjął z kieszeni koszuli banknot dolarowy i położył na stole. Pani Pommeroy przyniosła z kuchennej szafy stare prześcieradło, nożyce i grzebień. Ruth wypchnęła na środek pomieszczenia krzesło dla Simona Addamsa. Pani Pommeroy okryła go, razem z krzesłem, prześcieradłem, którego koniec zatknęła mu pod szyją. Spod tej osłony widać było jedynie jego głowę i czubki butów.

Pani Pommeroy zmoczyła grzebień w szklance z wodą, zwilżyła włosy Senatora, przyciskając je do jego dużej głowy przypominającej boję, i rozdzieliła je na wąskie pasy. Chwytała kolejno pasma między najdłuższymi palcami i ukośnie przycinała. Ruth, która obserwowała te wszystkie znajome gesty, wiedziała, co zaraz nastąpi. Gdy pani Pommeroy ukończy fryzurę, rękawy jej żałobnej sukni pokryją włosy Senatora. Kobieta obsypie szyję Addamsa talkiem, zwinie prześcieradło i każe Ruth wyjść na zewnątrz je wytrzepać. Cookie pobiegnie za dziewczynką, obszczeka trzepoczący materiał i zacznie chwytać zębami skłębione kępki wilgotnych włosów.

— Cookie! — krzyknie Senator Simon. — Wracaj tu natychmiast, kochana!

***

Później, rzecz jasna, panią Pommeroy odwiedzili rybacy.

Przyszli następnego dnia wieczorem. Ojciec Ruth mieszkał po sąsiedzku, więc w przeciwieństwie do innych nie przyjechał niezarejestrowaną ciężarówką używaną do transportu odpadów i dzieci. Żony przekazały im jagodowe ciasta i zapiekanki dla Pommeroyów. Mężczyźni

pozostali w kuchni, wielu opierało się o blaty i ściany. Pani Pommeroy uprzejmie poczęstowała ich kawą.

Na trawie przed domem, pod kuchennym oknem, Ruth Thomas próbowała nauczyć Robina Pommeroya, jak wymawiać własne imię lub jakiekolwiek inne słowo zaczynające się na „r". Chłopiec powtarzał, z zaciekłością wymawiając wszystkie spółgłoski z wyjątkiem tej niemożliwej do wypowiedzenia.

— RO—bin — mówiła Ruth.

— ŁO—bin — uparcie powtarzał chłopiec. — ŁO—bin.

— RO—ża — kontynuowała Ruth. — RA—barbar. RO—bak.

— ŁO—ża — odpowiadał.

Wewnątrz mężczyźni przedstawili pani Pommeroy pewne sugestie. Przedyskutowali kilka spraw. Mieli parę pomysłów odnośnie do podziału łowiska Pommeroyów, by było wykorzystywane i zadbane, dopóki któryś z chłopców nie wykaże się zainteresowaniem i umiejętnościami rybackimi. Dopóki któryś z nich nie będzie w stanie utrzymać łodzi i więcierzy.

— RA—buś — pouczała Robina Ruth Thomas.

— ŁA—buś — mówił chłopiec.

— RUTH, RUTH!

Robin nawet nie spróbował. „Ruth" było o wiele za trudne. Poza tym zmęczyła go już ta zabawa, przez którą tylko wychodził na głupka. A Ruth i tak nie było za wesoło. W trawie pełzało pełno czarnych ślimaków, lśniących i okropnych, a Robin co rusz klepał się po głowie. Komary cięły tego wieczoru jak najęte. Było zbyt ciepło, by wyginęły. Kąsały Ruth Thomas, jak wszystkich na wyspie, jednak Robina Pommeroya dosłownie pożerały. W końcu owady przepędziły dzieci do domu. Ruth i Ro—

bin schowali się w szafie i nie wychodzili do momentu, aż dom opustoszał.

Ojciec zawołał dziewczynkę, a ona podała mu rękę. Poszli razem do siebie. Towarzyszył im przyjaciel Staną Thomasa, Angus Addams. Ściemniało się i robiło zimno, więc kiedy znaleźli się w domu, Stan rozpalił ogień w piecyku w salonie. Angus posłał Ruth na górę, by przyniosła z szafy w sypialni ojca planszę do gry w karty, a potem do kredensu w pokoju dziennym po talie. Sam zaś ustawił przy piecu niewielki stary karciany stolik. Ruth siedziała przy stole, a mężczyźni oddali się grze. Jak zwykle robili to w milczeniu, każdy zdecydowany wygrać. Dziewczynka obserwowała ich ruchy setki razy. Wiedziała, jak się zachować, by pozwolono jej zostać. Przynosiła im piwo z lodówki, gdy sobie tego zażyczyli. Przesuwała pionki na tablicy, żeby nie musieli się wychylać do przodu. I głośno liczyła punkty. Mężczyźni prawie nie musieli się odzywać. Czasami tylko Angus mawiał:

— Widziałeś kiedyś takie szczęście?

Albo:

— Bęzręki kaleka lepiej by umiał.

Bądź też:

— Gówniane rozdanie.

Angus przegrał z kretesem, odłożył karty i opowiedział okropny dowcip.

— Paru facetów wybrało się na ryby i za dużo wypiło — zaczął. Ojciec Ruth również odłożył karty i słuchał, oparłszy się wygodnie. Angus opowiadał z wielką starannością: — Więc dają sobie spokój z rybami i ochoczo sobie polewają. Spijają się jak bydlaki. Tak się nachlali, że jeden, co nazywał się pan Smith, wypada za burtę i tonie. Wtedy wszystko idzie w diabły. Psiakrew! Kiepska zabawa, jak

ktoś tonie. Więc tankują jeszcze gorzały i zaczynają się czuć podle, bo nikomu się nie chce wracać i przekazywać wdowie nowinę.

— Jesteś okropny, Angusie — przerwał mu ojciec Ruth. — Jak możesz opowiadać dzisiaj taki dowcip?

Jego przyjaciel nie zamierzał jednak przerywać.

— Nagle któryś wpada na pomysł. Proponuje, żeby zapłacić za obwieszczenie tej złej nowiny panu Gładkie Słówko. To jest to. W mieście, zdaje się, mieszka facet, co naprawdę gładko nawija. Idealnie się do tego nada. Powie pani Smith o śmierci męża, a zrobi to tak ładnie, że ona nie zdąży się przejąć. Reszta facetów myśli sobie: „Hej, świetny pomysł!" Znajdują tego Gładkie Słówko, a on się na wszystko zgadza. Wystroił się w najlepszy garnitur, włożył krawat i kapelusz i idzie do domu Smithów. Puka do drzwi, otwiera mu kobieta, a on mówi: „Proszę wybaczyć, czy mam przyjemność z wdową Smithową?"

Ojciec Ruth roześmiał się prosto w kufel z piwem, aż na stół trysnęło trochę piany. Angus Addams powstrzymał go gestem ręki. To jeszcze nie koniec. Podjął opowiadanie.

— Kobieta odpowiada: „Ależ to ja jestem panią Smith, tylko żadna ze mnie wdowa!" A Gładkie Słówko na to: „Gówno prawda, kochaniutka".

Ruth powtarzała sobie w myślach: kochaniutka, kochaniutka...

— To okropne. — Ojciec otarł usta. A jednak się śmiał. — To straszne. Chryste, Angus, co za paskudny dowcip. Nie mogę uwierzyć, że właśnie dziś go opowiedziałeś. Jezu Chryste.

— Dlaczego, Stan? Czy może kogoś ci to przypomina? — spytał chytrze Addams. A potem dodał dziwnym falsetem: — Czy mam przyjemność z wdową Pommeroyową?

— Angusie, to straszne — zganił go ojciec Ruth, zanosząc się śmiechem.

— Nie jestem okropny, tylko opowiadam dowcipy.

— Jesteś, Angusie, jesteś.

Obydwaj zaśmiewali się do łez, po czym nieco się uspokoili. W końcu wrócili do kart i nastało milczenie.

Niekiedy ojciec Ruth wykrzykiwał:

— Chryste!

Albo:

— Za taką grę powinno się mnie zastrzelić.

Tego wieczoru Angus Addams wygrał jedną partię, a Stan Thomas dwie. Uregulowali rachunki. Odłożyli karty i planszę, którą Ruth odniosła na miejsce w sypialni ojca. Angus Addams złożył karciany stolik i ulokował go za sofą. Mężczyźni przenieśli się do kuchni i usiedli przy stole. Ruth dołączyła do nich, a ojciec poklepał ją po pupie i powiedział Angusowi:

— Trudno sobie wyobrazić, że Pommeroy zostawił żonie dość pieniędzy, żeby zapłacić za tę ładną trumnę, co zrobił twój brat.

— Chyba żartujesz. Pommeroy nie zostawił ani centa. Ta cholerna rodzinka nie ma grosza przy duszy. Mówię ci, nie starczyłoby nawet na cholerny pogrzeb. Ani na trumnę. Ani nawet na kość od szynki, żeby mu ją wsadzić w dupę i dać psom odwlec ciało gdzieś dalej.

— Ciekawe — zauważył ojciec Ruth ze śmiertelną powagą. — Nie znam takiego zwyczaju.

Wtedy roześmiał się Angus Addams. Powiedział, że to Stan Thomas jest okropny.

— Ja okropny? Ja? To ty jesteś straszny.

Coś pobudzało ich wciąż do śmiechu. Ojciec Ruth i Angus Addams, starzy dobrzy przyjaciele, cały wieczór

nazywali się okropnymi ludźmi. Okropny! Straszny! Jakby się w tym utwierdzali. Wyzywali się od okropnych, zepsutych i potwornych.

Siedzieli do późnej nocy, a wraz z nimi Ruth. W końcu dziewczynka nie mogła już powstrzymać senności i rozpłakała się ze zmęczenia. Przeżyła trudny tydzień, a miała dopiero dziewięć lat. Była silnym dzieckiem, ale uczestniczyła w pogrzebie, wysłuchała niezrozumiałych rozmów, a gdy minęła północ, była już zupełnie wyczerpana.

— Hej — zwrócił się do niej Angus. — Ruthie? Ruthie? Nie płacz już, co? Myślałem, że jesteśmy kumplami, Ruthie.

— Małe biedactwo — powiedział ojciec.

Wziął ją na kolana. Chciała przestać płakać, ale nie mogła się powstrzymać. Była tym bardzo zakłopotana. Nie cierpiała płakać w czyjejś obecności. Łkała jednak, aż ojciec posłał ją po talię kart i wciąż trzymając córkę na kolanach, pozwolił jej je tasować. Bawili się tak, kiedy była całkiem mała. Teraz, choć już dawno z tego wyrosła, poczuła się pocieszona.

— Daj spokój, Ruthie — mówił Angus. — Uśmiechnij się.

Ruth posłusznie spróbowała, ale niespecjalnie jej się udało. Angus poprosił więc ojca i córkę, żeby opowiedzieli mu swój najzabawniejszy dowcip. Co też uczynili.

— Tatusiu, tatusiu — powiedziała Ruth, naśladując głos małej dziewczynki. — Dlaczego wszystkie dzieci chodzą do szkoły, a ja muszę siedzieć w domu?

— Zamknij się i rozdawaj — warknął ojciec.

Angus Addams kulał się ze śmiechu.

— To okropne! — powiedział. — Oboje jesteście okropni.

2

Gdy homar odkrywa, że jest uwięziony, a robi to bardzo szybko, zdaje się zupełnie tracić ochotę na przynętę i poświęca czas na wędrówkę po więcierzu w poszukiwaniu sposobu ucieczki.

The Lobster Fishery of Maine
John N. Cobb, agent Komisji
Stanów Zjednoczonych
ds. Rybołówstwa
1899

Minęło dziewięć lat.

Ruth Thomas wyrosła na nastolatkę i wysłano ją do prywatnej szkoły dla dziewcząt w odległym stanie Delaware. Uczyła się dobrze, lecz nie doskonale, na miarę swoich zdolności. Starała się uzyskiwać odpowiednie oceny i nic ponadto. Była niezadowolona, że wysłano ją do tej szkoły, chociaż coś przecież należało z nią począć. W tym czasie, w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, edukacja dzieci na Fort Niles sięgała trzynastego roku życia. Większości chłopców (czyli przyszłych poławiaczy homarów) to zupełnie wystarczało. Dla innych — zdolnych dziewczynek i chłopców z większymi ambicjami — na-

leżało czynić specjalne starania. Ogólnie rzecz biorąc, oznaczało to, że wysyłano ich na kontynent, do krewnych w Rockland, by uczęszczali tam do państwowego liceum. Wracali na wyspę tylko podczas dłuższych przerw wakacyjnych albo latem. Ojcowie odwiedzali ich w Rockland, gdy nadchodził czas sprzedaży homarów.

Ruth Thomas wolałaby, żeby stało się tak i w jej przypadku. Uczęszczanie do liceum w Rockland było naturalną koleją rzeczy, tego właśnie oczekiwała. Dla Ruth uczyniono jednak wyjątek. Zresztą kosztowny. Zorganizowano jej naukę w prywatnej szkole, z dala od domu. Według matki Ruth, która mieszkała wtedy w Concord w stanie New Hampshire, chodziło o to, by dziewczynka znalazła się w otoczeniu oferującym coś ponad towarzystwo poławiaczy homarów, alkoholizm, ignorancję i chłód. Ojciec z ponurą miną wyraził milczące przyzwolenie, więc Ruth nie miała wyboru. Pojechała do tej szkoły, ale nie skrywała swojego niezadowolenia. Czytała książki, uczyła się matematyki, nie zwracała uwagi na inne dziewczęta, po prostu jakoś to przetrzymała. Co lato wracała na wyspę. Matka proponowała jej inne letnie zajęcia — wyjazdy na obozy, podróże, podjęcie ciekawej pracy — lecz Ruth odmawiała ze stanowczością, która nie pozostawiała pola do negocjacji.

Twardo obstawała przy tym, że jej miejsce jest właśnie na Fort Niles i nigdzie poza wyspą. Takie stanowisko zajmowała w rozmowach z matką: tylko na Fort Niles czuła się naprawdę szczęśliwa, miała wyspę we krwi, nosiła ją w sercu i tylko jej mieszkańcy mogli ją w pełni zrozumieć. Prawdę mówiąc jednak, nie do końca tak było.

Dla Ruth liczyło się to, że z zasady czuje się na Fort Niles szczęśliwa, chociaż przeważnie się tam nudziła. Tęsk-

niła za wyspą, gdy przebywała poza nią, lecz gdy wracała, natychmiast brakowało jej rozrywek. Tuż po przyjeździe do domu manifestacyjnie udawała się na długi spacer wybrzeżem („Cały rok o tym myślałam!" — mawiała), lecz przechadzka trwała tylko parę godzin i cóż takiego zaprzątało wtedy myśli Ruth? Otóż nic szczególnego. Zobaczyła mewę, potem fokę i znów mewę. Widok był tak znajomy jak sufit w jej własnym pokoju. Zabierała nad morze książki. Twierdziła, że uwielbia czytać, słuchając bijących o brzeg fal. Niemniej przyznać należy, że wiele miejsc na ziemi bardziej sprzyja czytaniu niż wilgotne skały pełne bernikli. Gdy Ruth znajdowała się z dala od Fort Niles, wyspa nabierała dla niej cech odległego raju, lecz gdy tam wracała, dom okazywał się zimny i wilgotny, wietrzny i nieprzyjemny.

Mimo to, gdy Ruth przebywała na Fort Niles, pisała do matki: „Wreszcie czuję, że oddycham!"

Zamiłowanie Ruth do Fort Niles było przede wszystkim wyrazem protestu. Okazywała tym opór wobec wszystkich, którzy odesłali ją tak daleko, rzekomo dla jej dobra. Znacznie bardziej wolałaby sama decydować, co dla niej korzystne. Była święcie przekonana, że zna samą siebie najlepiej i że gdyby dano jej wolną rękę, dokonałaby lepszego wyboru. Z pewnością nie postanowiłaby wyjechać do elitarnej prywatnej szkoły setki mil od domu, w której uwaga dziewcząt skupiała się przede wszystkim na trosce o cerę i na koniach. Wielkie dzięki, żadnych koni. Ruth była inna. Surowsza. Uwielbiała łodzie, tak przynajmniej mówiła. Kochała tylko Fort Niles. I łowienie ryb.

W rzeczywistości pomagała ojcu na łodzi podczas połowu homarów, lecz nie było to bynajmniej wspaniałe doświadczenie. Sił jej wystarczało, ale monotonia tej pracy

była wykańczająca. Zajęcie sternika polegało na sterczeniu na rufie łodzi, wyciąganiu więcierzy, wydobywaniu z nich homarów, wkładaniu przynęty, ponownym spuszczaniu do wody i wyciąganiu następnych. A potem kolejnych, i tak w kółko. Trzeba było wstawać przed świtem i zadowalać się kanapkami na śniadanie i lunch. Dzień po dniu oglądało się te same widoki, rzadko zapuszczając się dalej niż dwie mile od brzegu. Zajęcie to oznaczało również długie godziny spędzone na małej łodzi w towarzystwie ojca, z którym w tych warunkach Ruth nie najlepiej się dogadywała.

Nie zgadzali się w zbyt wielu sprawach. Głupstwach. Ojciec Ruth po zjedzeniu kanapki wyrzucał torebkę prosto do oceanu, co doprowadzało dziewczynę do szału. To samo robił z puszką po napoju gazowanym. Ruth krzyczała na niego, a ojciec się dąsał i reszta wyprawy upływała w napięciu i milczeniu. Zdarzało się jednak, że i on nie wytrzymywał i całą drogę beształ córkę. Że pracuje zbyt wolno, że zbyt nieuważnie obchodzi się z homarami, że jeśli będzie taka nieostrożna, to któregoś dnia zapłacze się w linę, wypadnie z łodzi i utonie. I temu podobne.

Podczas jednej z wypraw Ruth uprzedziła ojca, że z lewej burty zbliża się jakaś beczka. Roześmiał jej się w twarz.

— Z lewej burty? — powtórzył. — To nie marynarka, Ruth, nie trzeba się przejmować prawą ani lewą burtą. Martw się tylko o to, jak nie wchodzić mi w drogę.

Ruth zdawała się działać mu na nerwy nawet niechcący, choć czasami robiła to specjalnie, dla zabicia czasu. Pewnego deszczowego dnia, na przykład, wyciągali dziesiątki więcierzy, nie znajdując w nich homarów. Ojciec był coraz bardziej wzburzony. Cały dotychczasowy połów składał się

z wodorostów, krabów i jeżowców. Trochę później Ruth wydobyła jednak z więcierza dorodnego samca homara.

— Co to jest, tato? — spytała niewinnie, unosząc homara. — Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Może zabierzemy go do miasta i komuś sprzedamy?

— Nie ma się z czego śmiać — odpowiedział ojciec, choć sama Ruth była innego zdania.

Łódź nabierała wody. Nawet latem było zimno. Przy kiepskiej pogodzie pokład wciąż podskakiwał, a Ruth bolały nogi od usilnego utrzymywania równowagi. Było ciasno, brakowało jakiegokolwiek ustronnego miejsca. Dziewczyna musiała siusiać do wiadra i wylewać mocz za burtę. Wciąż marzły jej ręce, a ojciec krzyczał na nią, gdy przerywała pracę, by ogrzać je przy gorącej rurze wydechowej. Twierdził, że sam nigdy nie używa rękawiczek, nawet w grudniu. Dlaczego więc ona nie może znieść chłodu w środku lipca?

Niemniej gdy matka pytała Ruth o wakacyjne plany, dziewczyna nieodmiennie odpowiadała, że chce pracować przy połowie homarów.

— Chcę popracować z tatą—mówiła.—Tylko na wodzie czuję się naprawdę szczęśliwa.

Inni wyspiarze niekoniecznie tak świetnie ją rozumieli, jak opisywała matce. Kochała panią Pommeroy. Uwielbiała braci Addamsów, a oni ją. Jednak długie pobyty w szkole w Delaware spowodowały, że pozostali o niej zapomnieli albo, co gorsza, przestali się do niej przyznawać. Była już inna. Prawdę powiedziawszy, zawsze się od nich różniła. Była introwertycznym dzieckiem, w przeciwieństwie do młodych Pommeroyów, którzy tłukli się, wrzeszczeli i byli dla wszystkich zrozumiali. W dodatku Ruth spędzała większość czasu gdzieś daleko i mówiła teraz inaczej.

Przeczytała mnóstwo książek. Wielu sąsiadom wydawało się więc, że zadziera nosa.

Skończyła naukę w szkole z internatem pod koniec maja 1976 roku. Nie snuła żadnych planów na przyszłość poza powrotem na Fort Niles, gdzie, rzecz jasna, było jej miejsce. Nie czyniła najmniejszych starań, by kontynuować naukę w college'u. Nigdy nie przeglądała broszur reklamujących uczelnie, których w szkole było pełno, nie słuchała rad nauczycieli, nie zważała na nieśmiałe sugestie matki.

W maju 1976 roku Ruth Thomas skończyła osiemnaście lat. Miała około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i błyszczące, niemal czarne włosy do ramion, które na co dzień wiązała w koński ogon, tak grube i mocne, że mogła nimi przyszywać guziki do płaszcza, a ponadto — zaokrągloną twarz, szeroko rozstawione oczy, niewielki nos i piękne długie rzęsy. Jej cera była ciemniejsza niż pozostałych mieszkańców Fort Niles i opalona na równy brąz. Miała umięśnioną sylwetkę, może nieco ciężkawą przy swoim wzroście. Rozmiar tylnej części ciała również odbiegał od tego, czego by sobie życzyła, lecz Ruth specjalnie nie grymasiła, bo upodobniłoby ją to do dziewcząt ze szkoły w Delaware, które miały wstrętny, denerwujący zwyczaj ciągłego narzekania na mankamenty figury, a tego zupełnie nie chciała. Poza tym miała mocny sen. Była niezależna. I sarkastyczna.

W pełnym niezależności i sarkazmu wieku osiemnastu lat Ruth powróciła na Fort Niles na łodzi ojca. Odebrał ją z dworca autobusowego przerdzewiałym samochodem dostawczym. Parkował go w pobliżu miejsca, do którego przybijał prom, i wykorzystywał do transportu homarów lub wyjazdów na zakupy, kiedy przebywał w mieście, czyli mniej więcej co dwa tygodnie. Odebrał Ruth, która ob—

darzyła go nieco ironicznym pocałunkiem, i natychmiast oświadczył, że podrzuci ją do sklepu spożywczego, żeby zrobiła zakupy, a on w tym czasie pogada z tym nędznym sukinsynem hurtownikiem („Wiesz, co trzeba kupić. Po prostu idź i wydaj pięćdziesiątaka"). Następnie wyjawił Ruth, dlaczego nazywa tego cholernego hurtownika nędznym sukinsynem. Nie była to żadna nowość — już nieraz wysłuchała tej historii ze wszystkimi szczegółami. Pochłonęły ją więc własne myśli. Zastanawiała się, jakie to dziwne, że ojcu, który nie widział jej od kilku miesięcy, nie przyszło do głowy, żeby spytać ją o uroczystość zakończenia szkoły. Niespecjalnie jej na tym zależało, ale to jednak dziwne.

Powrót łodzią na Fort Niles trwał ponad cztery godziny, podczas których oboje niewiele rozmawiali, bo silnik hałasował, a Ruth musiała kontrolować, czy kartony z zakupami na rufie nie poprzewracały się albo nie zamokły. Myślała o lecie. Nie miała żadnych planów. Gdy umieszczali zakupy w łodzi, ojciec poinformował ją, że wynajął na sezon sternika — Robina Pommeroya, jakby nie miał innego wyboru. Nie było dla niej pracy. Choć ją to zdenerwowało, ucieszyła się w duchu, że nie będzie musiała znów z nim wypływać. Zrobiłaby to dla zasady, gdyby ją poprosił, ale nie czułaby się szczęśliwa. Ulżyło jej więc, choć oznaczało to, że nie będzie się miała czym zająć. Nie była na tyle pewna swoich umiejętności, by spróbować poszukać pracy sternika u innego poławiacza homarów, nawet gdyby naprawdę bardzo tego chciała. Faktycznie jednak wcale tego nie pragnęła. Poza tym, jak zdążył jej zdradzić ojciec, wszyscy na Fort Niles mieli już pomocników. Negocjacje już się odbyły. Wiele tygodni przed przyjazdem Ruth każdy starszy rybak z Fort Niles wynajął kogoś młodego do pracy fizycznej na rufie.

— Może coś znajdziesz, jeżeli jakiś dzieciak zachoruje albo go wyrzucą — krzyknął nagle ojciec w połowie drogi.

— Może i tak — odkrzyknęła Ruth.

Wybiegła już myślą w przyszłość — w kolejne trzy miesiące i — co tu się oszukiwać? — resztę życia, która była dla niej kompletną niewiadomą. Dobry Boże! — pomyślała. Patrzyła w tył, siedząc na kartonie z konserwami. Rockland dawno już zniknęło we mgle, a inne wyspy, zamieszkane bądź nie, które tak wolno i głośno mijali, były małe, brązowe i wilgotne niczym bobki. W każdym razie tak się Ruth zdawało. Zachodziła w głowę, gdzie na Fort Niles mogłaby znaleźć jakąś inną pracę, choć sam pomysł szukania na wyspie zajęcia niezwiązanego z połowem homarów zakrawał na żart. Cha, cha.

Cholera, co ja ze sobą pocznę? — myślała Ruth. Poczuła, jak narasta w niej okropne, znajome poczucie znudzenia. O ile się orientowała, nie miała na Fort Niles nic do roboty i dobrze wiedziała, co to oznacza. Brak zajęcia skazywał ją na kontakty z kilkoma innymi mieszkańcami wyspy w podobnej sytuacji. Ruth już sobie to wyobrażała. Spędzi lato w towarzystwie pani Pommeroy i Senatora Simona Addamsa. Świetnie wiedziała, co ją czeka. Nie jest tak źle — przekonywała się. Pani Pommeroy i Senator Simon to przecież przyjaciele, lubiła ich. Nie zabraknie im tematów do rozmowy. Wypytają ją o uroczystość zakończenia szkoły. Naprawdę nie będzie aż tak nudno.

Niemniej niepokojące, nieprzyjemne poczucie nudy czaiło się gdzieś w środku jak jakaś choroba. Wreszcie je stłumiła — „Tak szybko!" — układając w myślach list do matki. Napisze go wieczorem, w swoim pokoju. Zacznie tak: „Droga Mamo, gdy tylko poczułam pod stopami Fort Niles, z mojego ciała uszło całe napięcie i po raz pierwszy

od miesięcy wzięłam głęboki oddech. Powietrze pachniało nadzieją!"

Tak właśnie napisze. Ruth podjęła tę decyzję na łodzi ojca dokładnie dwie godziny przed pojawieniem się wyspy na horyzoncie. Resztę drogi spędziła, układając w myślach bardzo poetycki list. To zajęcie znacznie poprawiło jej nastrój.

***

Senator Simon Addams skończył siedemdziesiąt trzy lata i absorbował go właśnie wyjątkowy projekt. Ambitny i ekscentryczny. Zamierzał odnaleźć cios słonia, który według niego spoczywał gdzieś w piaskach mulistej Plaży Pottera. Sądził, że można się tam spodziewać nawet dwóch ciosów, lecz oznajmił, że zadowoli go odkrycie choćby jednego.

Przekonanie Senatora Simona, że 138 lat działania wody morskiej nie uszkodzi tak wytrzymałego materiału jak kość słoniowa, utwierdziło go w powziętym postanowieniu. Wiedział, że ciosy muszą gdzieś tam być. Możliwe, że oderwały się od szkieletu i tkwiły osobno, ale na pewno się nie rozłożyły. Nie mogły się przecież rozpuścić. Spoczywały gdzieś głęboko w piasku na dnie morza lub fale wyrzuciły je na brzeg. Senator sądził, że ta druga ewentualność jest wielce prawdopodobna. Prądy morskie mogły zanieść te rzadkie słoniowe ciosy, podobnie jak w ciągu wieków rozmaite szczątki, prosto na Plażę Pottera. Dlaczego nie?

Ciosy, których poszukiwał Senator, pochodziły od słonia przewożonego na pokładzie czterystutonowego parowca *Clarice Monroe,* który zatonął w pobliżu kanału Worthy pod koniec października 1838 roku. W owych czasach było to głośne wydarzenie. Tuż po północy, w czasie niespodziewanej burzy śnieżnej, na parowcu — drewnia—

nym bocznokołowcu — wybuchł pożar. Sam ogień mógł być wynikiem zwykłego nieszczęśliwego wypadku, na przykład przewrócenia lampy, jednak silny wiatr rozprzestrzenił go, zanim zdołano go ugasić. Wkrótce płonął już cały pokład.

Kapitan *Clarice Monroe* sporo pił. Pożar niemal bez wątpienia wybuchł nie z jego winy, lecz jego nałóg okazał się zgubny. Otóż kapitan karygodnie spanikował. Nie zbudził pasażerów ani załogi, rozkazał marynarzowi na wachcie opuścić jedną szalupę, którą odpłynął, zabrawszy małżonkę i młodego podkomendnego. Opuścił skazaną na zgubę *Clarice Monroe,* pozostawiając statek, pasażerów i ładunek na pastwę płomieni. Troje rozbitków zagubiło się podczas burzy. Wiosłowali przez cały dzień, po czym całkiem osłabli, więc przez kolejny po prostu dryfowali. Kiedy wyłowił ich statek handlowy, kapitan zmarł już z zimna, jego żona straciła z powodu odmrożeń palce rąk i nóg oraz uszy, a młody marynarz zupełnie zwariował.

Pozbawiona nadzoru, wciąż płonąca *Clarice Monroe* podryfowała ku skałom Fort Niles i została rozbita przez fale. Nie ocalał żaden z dziewięćdziesięciu siedmiu pasażerów. Morze wyrzuciło na Plażę Pottera wiele ciał — piętrzyły się pośród wody i błota obok zwęglonych, roztrzaskanych szczątków parowca. Mieszkańcy Fort Niles zebrali je, owinęli w grube płótno i przewieźli do chłodni. Niektóre zostały rozpoznane przez członków rodzin, przybywających przez resztę października promem na Fort Niles po swoich braci, żony, matki i dzieci. Nieszczęśników, po których nikt się nie zgłosił, pochowano na miejscowym cmentarzu, a na niewielkich granitowych płytach nagrobnych wypisano po prostu: TOPIELEC.

Wraz z parowcem zatonął też innego rodzaju ładunek.

Clarice Monroe przewoziła z Nowego Brunszwiku do Bostonu nieduży cyrk, w którego skład wchodziło sześć śnieżnobiałych koni, kilka tresowanych małp, wielbłąd, tresowany niedźwiedź, parę psów, klatka z egzotycznymi ptakami oraz słoń afrykański. Gdy statek się rozbił, cyrkowe konie usiłowały dopłynąć w śnieżycy do brzegów Fort Niles. Trzy utonęły, a pozostałe dotarły na wyspę. Nazajutrz, gdy się wypogodziło, mieszkańcy ujrzeli trzy wspaniałe białe zjawy ostrożnie kroczące między ośnieżonymi głazami.

Żadnemu z pozostałych zwierząt nie udało się przeżyć. Młody marynarz z *Clarice Monroe,* odnaleziony w łodzi z martwym kapitanem i jego poszkodowaną żoną, którego przebywanie w zawiei doprowadziło do delirium, twierdził — wręcz przy tym obstawał! — że widział, jak z płonącego wraku wyskoczył słoń i dzielnie przedzierał się przez fale z trąbą i ciosami uniesionymi wysoko ponad wzburzoną, lodowatą wodą. Przysięgał, że gdy oddalał się od statku, widział, jak słoń brnie w masie słonego śniegu. Widział, jak długo płynie, po czym, zatrąbiwszy po raz ostatni, znika pod wodą.

Jak już wspomniano, w chwili, gdy go wyratowano, marynarz nie był w pełni władz umysłowych, znaleźli się jednak tacy, którzy dali wiarę jego opowieści. Senator Simon Addams nigdy w nią nie wątpił. Słyszał ją wiele razy od wczesnego dzieciństwa i zawsze uważał za fascynującą. Teraz, po 138 latach, wiosną 1976 roku próbował odnaleźć ciosy tego właśnie cyrkowego słonia.

Pragnął włączyć choć jeden z nich do ekspozycji Muzeum Historii Naturalnej Fort Niles. W 1976 roku nie było na wyspie takiego muzeum, lecz Senator usilnie się o nie starał. Od lat zbierał rozmaite przedmioty i okazy, które

przechowywał w swojej piwnicy. Pomysł stworzenia tej instytucji pochodził wyłącznie od niego. Nie miał żadnego wsparcia, był jedynym kuratorem. Sądził, że cios słonia będzie największą atrakcją jego kolekcji.

Senator nie mógł, rzecz jasna, poszukiwać ciosu samodzielnie. Był krzepkim staruszkiem, lecz całodzienne przekopywanie mułu przerastało jego możliwości. Nawet w młodszym wieku nie odważyłby się zapuścić w tę przypominającą rzadką zupę morską wodę i przekopywać przybrzeżne błota odchodzące od Plaży Pottera. Za bardzo obawiał się wody. Wynajął więc pomocnika — "Webstera Pommeroya.

Webster Pommeroy, który ukończył w 1976 roku dwadzieścia trzy lata, tak czy inaczej nie miał nic do roboty. Codziennie towarzyszył więc Senatorowi w wyprawach na Plażę Pottera i poszukiwał słoniowych ciosów. Zadanie było dla niego idealne, ponieważ do niczego innego właściwie się nie nadawał. Wrodzona potulność, a zwłaszcza choroba morska nie pozwalały mu zostać poławiaczem homarów ani sternikiem, ale jego problemy wcale się na tym nie kończyły. Coś z nim było nie w porządku. Wszyscy o tym wiedzieli. Coś się z nim stało w dniu, w którym ujrzał w porcie martwego ojca — obrzmiałego i pozbawionego oczu. Załamał się w tamtej chwili, był zdruzgotany. Przestał rosnąć, rozwijać się i niemal zaniemówił. Zmienił się w chodzącą tragedię, uosobienie napięcia i niepokoju. Jako dwudziestotrzylatek był niewysoki i szczupły jak w wieku czternastu lat. Wydawało się, że na zawsze pozostał chłopcem. Uwięzionym przez chwilę, gdy rozpoznał ciało ojca.

Senator Simon Addams szczerze się nim przejmował. Chciał mu pomóc. Widok chłopaka rozdzierał mu serce.

Czuł, że Webster musi odnaleźć swoje powołanie. Upłynęło jednak kilka lat, zanim Senator poznał się na chłopcu, gdyż nie od razu było wiadomo, do czego się w ogóle nadaje. Jedyne, co przyszło Senatorowi do głowy, to włączenie młodzieńca do prac nad projektem Muzeum Historii Naturalnej.

Na początek Senator polecił Websterowi obejść sąsiadów z Fort Niles i spytać ich, czy podarowaliby muzeum przyrodniczemu jakieś ciekawe przedmioty czy antyki, jednak nieśmiały chłopak fatalnie sobie z tym radził. Pukał do drzwi, a gdy sąsiad otwierał, Webster zapominał języka w gębie, nerwowo postukując nogą o ziemię. Jego zachowanie zaniepokoiło miejscowe gospodynie domowe. Sterczący kołkiem w progu Webster Pommeroy z miną, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem, z pewnością nie był urodzonym akwizytorem.

Senator zaangażował go wobec tego w budowę szopy na tyłach domu Addamsów, do której zamierzał przenieść rozrastającą się kolekcję przyszłych eksponatów muzealnych. Webster jednak, choć sumienny, nie okazał się sprawnym cieślą. Brakowało mu siły i zręczności. Jego nieustanne drżenie sprawiło, że okazał się bezużyteczny na placu budowy. Właściwie nawet więcej niż bezużyteczny. Stwarzał zagrożenie dla siebie i innych, ponieważ wciąż upuszczał piły i wiertarki, ranił młotkiem palce. Dlatego Senator odsunął go od spraw budowlanych.

Inne zadania, które wymyślał Websterowi Addams, okazały się równie chybione. Zaczynało wyglądać na to, że chłopak faktycznie do niczego się nie nadaje. Minęło dziewięć lat, zanim Senator odkrył, w czym Webster jest naprawdę świetny.

Otóż w pracy w błocie i mule.

Na Plaży Pottera były całe połacie błota, całkowicie widoczne tylko w czasie odpływu. Przy największych odpływach spod wody ukazywało się ponad dziesięć akrów mułu o ogromnej, płaskiej powierzchni i zapachu zwarzonej krwi. Niekiedy poszukiwano tu małży, często znajdując ukryte skarby — fragmenty starych łodzi, drewniane boje, zagubione buty, stare kości, łyżki z brązu czy żelazne narzędzia, które już dawno wyszły z użycia. Mulista zatoczka najwyraźniej przyciągała zaginione przedmioty, więc Senator wpadł na pomysł, by poszukać na płyciznach ciosów słonia. Dlaczego miałoby ich tam nie być? Gdzież jeszcze mogłyby się kryć?

Addams spytał więc Webstera, czy nie zechciałby pobrodzić w błocie jak poszukiwacze małży, sprawdzając systematycznie, czy nie ma w nim interesujących dla muzeum przedmiotów. Czy Webster nie mógłby przeszukać mulistych płycizn Plaży Pottera, pracując w wysokich gumiakach? Czy nie sprawiłoby mu to zbyt wielkiego problemu? Webster Pommeroy wzruszył ramionami. Nie sprawiał wrażenia zmartwionego sytuacją. W taki właśnie sposób rozpoczął pracę przeszukiwacza mułu. I był w tym doskonały.

Okazało się, że potrafi się przedrzeć przez każde błoto, nawet sięgające piersi. Jakby był statkiem przystosowanym właśnie do tego zadania. I znajdował wspaniałe skarby — zegarek, ząb rekina, czaszkę walenia, kompletną taczkę. Senator zasiadał codziennie na brudnych przybrzeżnych kamieniach i obserwował postępy Webstera. Patrzył na niego dzień po dniu, przez całe lato 1975 roku.

Kiedy w maju 1976 roku Ruth Thomas wróciła do domu po ukończeniu szkoły, Senatora i Webstera znów pochłonęło ubiegłoroczne przedsięwzięcie. Z braku lepszych

zajęć, pracy i przyjaciół w swoim wieku dziewczyna wciągnęła się w poranne spacery na Plażę Pottera i obserwację Webstera Pommeroya. Godzinami przesiadywała obok Senatora. Gdy zapadał zmierzch, cała trójka wracała razem do miasteczka.

Dziwna z nich była paczka. Webster wyróżniałby się zresztą w każdym towarzystwie. Senator Simon Addams, mężczyzna ogromnej postury, miał przekrzywioną głowę — wyglądała, jakby nie zaleczyła się prawidłowo po doznanym urazie. Lubił też żartować ze swojego dziwacznego, dużego nosa („Nie odpowiadam za kształt mojego nosa" — mawiał. — „To prezent urodzinowy"). Często też nerwowo wykręcał ręce. Jego ciało było jeszcze krzepkie, ale miewał silne napady strachu — sam siebie nazywał mistrzem świata w tchórzostwie. Często wyglądał tak, jakby się obawiał, że ktoś czai się tuż za rogiem i zaraz go pobije. Ruth Thomas natomiast — wprost przeciwnie — sprawiała nieraz wrażenie, jakby to ona miała przyłożyć pierwszemu, kto niechcący się na nią napatoczy.

Czasami, siedząc na plaży i przyglądając się zwalistemu Senatorowi Simonowi i maleńkiemu Websterowi Pommeroyowi, dziewczyna zastanawiała się, co połączyło ją z tymi dziwacznymi słabeuszami. Jak to się stało, że się z nimi zaprzyjaźniła? Co powiedziałyby na tę kompanię dziewczyny z Delaware? Zapewniała samą siebie, że nie wstydzi się Senatora ani Webstera. Przed kim zresztą miała się w ogóle wstydzić na Fort Niles, gdzie diabeł mówi dobranoc? Ci dwaj byli jednak dziwakami i każdy, kto spojrzałby z daleka na całą trójkę, wziąłby Ruth za im podobną.

Musiała jednak przyznać, że widok ryjącego w mule Webstera miał w sobie coś fascynującego. Ruth nie żywiła

cienia nadziei, że uda mu się odnaleźć ciosy, ale przyglądanie się jego pracy sprawiało jej przyjemność. To było naprawdę coś niezwykłego.

— Co on tam robi? To przecież niebezpieczne — zwracał się do niej Senator, gdy głowa chłopaka zagłębiała się w muł.

Rzeczywiście, sytuacje bywały groźne, ale Senator nie miał zamiaru interweniować, nawet gdy Webster znikał w najrzadszym, najbardziej grząskim i wciągającym błocie, zagłębiając w nim ręce poszukujące po omacku przyszłych eksponatów. Senator i Ruth zaczynali się denerwować, lecz chłopak poruszał się ze stoickim spokojem, bez najmniejszej obawy. W rzeczywistości tylko w takich chwilach jego drżące ciało zupełnie się uspokajało. W mule był wyciszony. Nigdy się nie bał. Czasami wydawało się, że tonie. Przerywał poszukiwania, a Senator i Ruth widzieli, jak zagłębia się w błocie. Coś przerażającego. Czasami wyglądało na to, że zaraz dojdzie do nieszczęścia.

— Idziemy po niego? — sugerował niepewnie Senator.

— Nie będę lazła w tę pieprzoną pułapkę — odpowiadała Ruth. — Co to, to nie.

(Zanim Ruth skończyła osiemnaście lat, nauczyła się nieźle pyskować. Ojciec często to komentował. „Cholera jasna, skąd u ciebie ta niewyparzona gęba?" — mawiał, a ona odparowywała: — „Wymyślił sobie cholerną zagadkę".)

— Jesteś pewna, że nic mu nie będzie? — pytał Senator.

— Nie — odpowiadała Ruth. — Chyba tonie. Ale nie mam zamiaru go wyciągać. Pan zresztą też nie. Nie z tej pieprzonej śmiertelnej pułapki.

Nie, co to, to nie. Nie wpakuje się tam, gdzie zapomniane homary, małże i inne stwory rozrastały się do niebotycznych rozmiarów i gdzie Bóg jeden wie, co jeszcze się

kręciło. Gdy szkoccy osadnicy wylądowali na Fort Niles, wychylali się z ogromnych kamieni i właśnie z tego mułu wyciągali osękami żywe homary wielkości człowieka. Pisali o tym w swoich dziennikach. Opisywali ohydne, półtorametrowe potwory, stare jak aligatory, całe oblepione mułem, które w ciągu wieków rozrosły się tak straszliwie, żyjąc w spokoju w swoim siedlisku. Sam Webster, macając rękami w błocie, znalazł skamieniałe szczypce homara wielkości rękawicy baseballowej. Wydobywał małże wielkości melona, jeżowce, rekinki, zdechłe ryby. Ruth Thomas nie wejdzie tam za nic w świecie. Za nic.

Senator i Ruth musieli więc patrzeć, jak Webster tonie. Cóż mogli na to poradzić? Zupełnie nic. Siedzieli w napiętym milczeniu. Czasami przelatywała nad nimi mewa. Kiedy indziej nic się nie poruszało. Patrzyli więc i czekali, czując niekiedy nadchodzący przypływ paniki. Webster nigdy jednak nie panikował. Stał i czekał. Zdawało się, że oczekuje czegoś nieznanego, co po długim czasie sam odnajdzie albo co odnajdzie jego. Zaczynał poruszać się w grząskim mule.

Ruth nie miała pojęcia, jak to robił. Z plaży wyglądało to tak, jakby z dna wynurzał się jakiś drąg, sięgał bosych nóg chłopaka, stając się dla nich oparciem, po czym powoli, łagodnie odsuwał go od niebezpiecznego miejsca. Jakby przeprowadzano sprawną akcję ratunkową.

Dlaczego nigdy nie utkwił w błocie? Dlaczego nie poraniły go małże, szkło, homary, mięczaki, żelazo ani kamienie? Wszystkie niebezpieczeństwa kryjące się w mule zdawały się mu grzecznie ustępować. Rzecz jasna, zagrożenie nie zawsze istniało. Czasami Webster brodził powoli w płytkim, przybrzeżnym błocie sięgającym kostek, patrząc w dół oczami pozbawionymi wyrazu. Coś takiego

mogło się znudzić. Gdy nuda stawała się nie do zniesienia, siedzący na kamieniach Senator i Ruth zaczynali ze sobą rozmawiać. Mówili przeważnie o mapach, odkryciach, katastrofach morskich i ukrytych skarbach, co było konikiem Addamsa. Szczególnie zaś o wrakach.

Pewnego popołudnia Ruth oznajmiła Senatorowi, że rozważa poszukiwanie pracy przy połowie homarów. Nie była to do końca prawda, choć właśnie tak dziewczyna napisała matce poprzedniego dnia w obszernym liście. Ruth p r a g n ę ł a chcieć pracować przy połowie homarów, jednak samej chęci pracy faktycznie nie odczuwała. Poruszyła ten temat w rozmowie z Senatorem tylko dlatego, że mówienie o tym głośno sprawiało jej przyjemność.

— Zastanawiałam się — powiedziała — nad podjęciem pracy przy połowie homarów.

Senator natychmiast się zdenerwował. Nie mógł znieść myśli, że noga Ruth postanie na pokładzie jakiejś łodzi. Jej całodzienne wyprawy z ojcem do Rockland już wystarczająco go niepokoiły. Także dawniej, za każdym razem, kiedy dziewczyna pracowała z ojcem, Addams bardzo się martwił. Codziennie wyobrażał sobie, że wypadnie za burtę i utonie, że łódź pójdzie na dno albo że rozpęta się straszna burza i woda zmyje Ruth z pokładu. Kiedy więc dziewczyna wspomniała o swoim zamiarze, Senator wyznał, że nie zniesie ryzyka jej utraty. Dodał też, że kategorycznie zabrania jej pracy na łodzi.

— Czy ty chcesz zginąć? — zapytywał. — Chcesz się utopić?

— Nie, chcę trochę zarobić.

— Nie ma mowy. To wykluczone. Twoje miejsce jest gdzie indziej. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, to ci je dam.

— To niezbyt godny sposób zarabiania na życie.

— Ale dlaczego chcesz pracować na łodzi? Z taką głową? Łodzie są dla takich idiotów jak chłopcy Pommeroyów. Zostaw je dla nich. Wiesz, czym naprawdę powinnaś się zająć? Jedź na kontynent i tam zostań. Zamieszkaj w Nebrasce. Na twoim miejscu tak bym właśnie zrobił. Uciekaj od oceanu.

— Jeśli połów homarów jest odpowiedni dla Pommeroyów, to równie dobrze dla mnie — odparowała Ruth. Nie wierzyła swoim słowom, ale zabrzmiały one zasadniczo.

— Na miłość boską, Ruth!

— Zawsze namawiał pan młodych Pommeroyów, żeby pracowali na łodzi, Senatorze. Zawsze im pan szuka rybackich zajęć. Powtarza im pan, że powinni pływać po świecie. Nie rozumiem, dlaczego dla mnie nie znajdzie pan od czasu do czasu paru słów zachęty.

— Przecież cię zachęcam.

— Nie do pracy na łodzi.

— Zabiję się, jeśli to zrobisz. Dzień po dniu będę się zabijał.

— A jeśli mimo to chcę pracować na łodzi? Jeśli chcę pływać? Wstąpić do straży przybrzeżnej? Jeśli pragnę opłynąć świat?

— Nie chcesz niczego opłynąć.

— Może właśnie chcę.

Ruth nie chciała. Po prostu podtrzymywała rozmowę. Całymi godzinami potrafili z Senatorem wygadywać takie bzdury. Całymi dniami. Żadne z nich nie przejmowało się zbytnio niedorzeczną paplaniną drugiego. Senator Simon poklepywał psa po łbie i zwracał się do Ruth:

— Cookie powiedziała: „O czym ta dziewczyna mówi, pływanie po świecie? Ruth przecież nie chce pływać po świecie". Czy nie tak mówiłaś, Cookie? Prawda, Cookie?

— Nie wtrącaj się, Cookie — odpowiadała Ruth.

Mniej więcej tydzień później Senator znów podjął ten temat, gdy obserwowali z Ruth pracę Webstera. Tak właśnie wyglądały ich rozmowy, powracali w kółko do tego samego tematu. Odkąd Ruth skończyła dziesięć lat, prowadzili właściwie jedną niekończącą się rozmowę. Wciąż o tym samym. Wałkowali te same sprawy jak dwie szkolne psiapsiółki.

— Na litość boską, po co ci ta praca na łodzi? — grzmiał Senator Simon. — Nie jesteś skazana na tę wyspę jak Pom—meroyowie. To nieszczęsne niedołęgi. Nadają się tylko do połowów.

Ruth zapomniała już, że w ogóle wspomniała o podjęciu pracy na łodzi. Teraz jednak broniła swego pomysłu.

— Kobieta nadaje się do tego jak każdy inny.

— Nie mówię, że nie. Mówię, że nikt się nie powinien do tego brać. To okropna praca. Praca dla idiotów. Zresztą, jeśli ludzie zaczęliby się do tego brać, homary szybko by wyginęły.

— Homarów starczy dla wszystkich.

— Ależ skąd, Ruthie. Na miłość boską, kto ci to powiedział?

— Tato.

— Cóż, dla niego na pewno wystarczy.

— Co to miało znaczyć?

— Jest Chciwcem Numer Dwa. Swojego nie popuści.

— Proszę nie nazywać tak ojca. Nie cierpi tego przezwiska.

Senator poklepał psa.

— Twój tato to Chciwiec Numer Dwa. A mój brat Chciwiec Numer Jeden. Wszyscy o tym wiedzą. Nawet Cookie.

Ruth popatrzyła na Webstera i nie odpowiedziała. Po kilku minutach Senator przerwał milczenie.

— Czy wiesz, że na łodziach do połowu homarów nie ma szalup ratunkowych? To niebezpieczne.

— Po co tam szalupy? Przecież są od nich niewiele większe.

— Nie powiem, żeby szalupa mogła kogoś naprawdę uratować, ale...

— Oczywiście, że szalupa może uratować. Przecież dzięki nim ludzie wciąż się ratują — zapewniła Ruth.

— Nawet jeśli się jest w szalupie, lepiej mieć nadzieję, że pomoc jak najszybciej nadejdzie. Jeśli znajdą cię godzinę po katastrofie, rzecz jasna nic ci nie będzie...

— Kto tu mówi o katastrofie? — spytała Ruth, ale wiedziała doskonałe, że Senator był zawsze gotów zboczyć na ulubiony temat. Od lat opowiadał jej o katastrofach.

— Jeśli pomoc nie nadejdzie w ciągu godziny, szanse na odnalezienie szalupy ogromnie maleją. Naprawdę ogromnie, Ruthie. Z każdą kolejną godziną są coraz mniejsze. Po całym dniu dryfowania po morzu można już przestać liczyć na ratunek. Co byś wtedy zrobiła?

— Wiosłowałabym.

— Wiosłowałabyś. Wiosłowałabyś, gdybyś tkwiła w łódce w pełnym słońcu, bez śladu ekipy ratunkowej na horyzoncie? Wiosłowałabyś. To ci plan.

— Chyba musiałabym coś wymyślić.

— Co takiego? Co tu można wymyślić? Jak powiosło—wać do innego kontynentu?

— Jezu, Senatorze. Nigdy nie zaginę na morzu w szalupie. Obiecuję.

— Jeśli nastąpi katastrofa — ciągnął Senator — nadejście pomocy jest kwestią przypadku, jeśli w ogóle się zdarza.

I pamiętaj, Ruthie, większość rozbitków jest ranna. Nie wyskakują przecież popływać w spokojnej wodzie. Większość ma połamane nogi, koszmarne rany cięte i poparzenia. A jak myślisz, co w końcu zabija?

Ruth znała odpowiedź.

— Zimno? — Wysunęła błędne przypuszczenie tylko po to, by podtrzymać rozmowę.

— Nie.

— Rekiny?

— Nie. Brak wody. Pragnienie.

— Naprawdę? — spytała uprzejmie.

Poruszyli temat rekinów, więc Senator przerwał na chwilę. Wreszcie odezwał się ponownie:

— W tropikach rekiny podpływają do samej łodzi. Wtykają do niej pyski jak węszące psy. Ale barakudy są jeszcze gorsze. Powiedzmy, że nastąpiła katastrofa i jesteś rozbitkiem. Trzymasz się fragmentu wraku. Nadpływa barakuda i zatapia w tobie zęby. Możesz ją oderwać, Ruthie, ale głowa zostanie. Jak żółw jaszczurowaty. Barakuda nie odpuści, nawet długo po własnej śmierci. Tak już jest.

— W tej okolicy nie obawiam się specjalnie barakud, Senatorze. Pan chyba też nie powinien.

— Dobrze, a tasergale? Nie trzeba być w tropikach, by się na nie natknąć, Ruthie. Przecież ich tu pełno. — Senator Simon Addams machnął ręką i wskazał na Atlantyk. — Polują stadnie jak wilki. A ogończe! Ocalali rozbitkowie opowiadali o olbrzymich płaszczkach, które podpływały pod łódź, pozostawały tam przez cały dzień i wyczekiwały. Niektóre są większe niż mała szalupa. Płyną pod łodzią niczym cień śmierci.

— Bardzo barwny opis, Senatorze. Naprawdę świetny.

— Z czym ta kanapka, Ruthie? — spytał Senator.

— Z sałatką z szynką. Poczęstuje się pan?

— Nie, nie. Musisz się dobrze odżywiać.

— Może jednak kęs?

— Co to jest? Musztarda?

— Proszę spróbować, Senatorze.

— Nie, nie. Sama zjedz, tobie się bardziej przyda. Powiem ci coś jeszcze. W szalupach ludzie tracą rozum. Tracą poczucie czasu. Mogą spędzić w łódce ze dwadzieścia dni. Potem nadchodzi pomoc, a oni się dziwią, że nie są w stanie chodzić. Stopy im gniją, a od ciągłego siedzenia w słonej wodzie mają otwarte rany. Do tego dochodzą obrażenia po katastrofie i poparzenia słoneczne. I jeszcze się dziwią, że nie mogą chodzić. Zupełnie nie rozumieją, w jakiej są sytuacji.

— Szaleństwo.

— Tak jest. Szaleństwo. Dokładnie tak. Niektórych rozbitków ogarnia zbiorowe szaleństwo. Powiedzmy, że w łodzi jest dwóch ludzi. Obaj w podobny sposób tracą zmysły. Jeden mówi: „Idę do tawerny na piwo", po czym wychodzi za burtę i tonie. Drugi na to: „Ja z tobą, Ed", i też tonie.

— A rekiny tylko na to czekają.

— I tasergale. Albo inny przykład zbiorowych omamów. Powiedzmy, że w szalupie znajduje się tylko dwóch ludzi. Gdy nadchodzi ratunek, obaj przysięgają, że cały czas był z nimi trzeci. Pytają: „Gdzie mój przyjaciel?", a ratownicy odpowiadają: „Leży tu obok na łóżku. Jest już bezpieczny". Lecz ten człowiek się upiera: „Nie, gdzie mój drugi przyjaciel? Gdzie ten drugi?" Ale trzeciego rozbitka nie było. Tych dwóch jednak w to nie uwierzy. Do końca życia będą się zastanawiać, co się stało z trzecim.

Ruth Thomas podała Senatorowi połowę kanapki, którą ten szybko połknął.

— W Arktyce umiera się, rzecz jasna, z zimna — podjął temat.

— Oczywiście.

— Ludzie zasypiają. I nigdy się już nie budzą.

— Jasne, że nie.

Czasami rozmawiali też o kartografii. Senator uwielbiał Ptolemeusza. Wychwalał go, jakby był jego utalentowanym synem.

— Mapy Ptolemeusza pozostawały niezmienione do 1511 roku! — mówił z dumą. — To kawał czasu, Ruth. Ten facet był specjalistą przez trzynaście stuleci! Nieźle. Całkiem nieźle.

Kolejnym ulubionym tematem Senatora była katastrofa *Victorii* i *Camperdown*. Od czasu do czasu do niego powracał. Nie potrzebował szczególnego pretekstu. Pewnego sobotniego wieczoru w połowie czerwca, na przykład, Ruth opowiadała mu, jak bardzo nie podobała jej się uroczystość zakończenia szkoły. Senator powiedział wtedy:

— Pamiętasz katastrofę *Victorii* i *Camperdown,* Ruthie?

— OK — odparła ugodowo dziewczyna — skoro pan nalega.

Ruth Thomas rzeczywiście pamiętała katastrofę *Victorii* i *Camperdown,* ponieważ Senator opowiadał jej o niej od czasu, kiedy była jeszcze berbeciem. Addams uważał tę tragedię za bardziej zatrważającą od katastrofy *Titanica*.

Victoria i *Camperdown* były okrętami flagowymi potężnej marynarki brytyjskiej. W 1893 roku doszło do ich kolizji, w środku dnia i na spokojnym morzu, ponieważ komandor porucznik wydał podczas manewrów idiotyczny rozkaz. Katastrofa tak poruszyła Senatora, ponieważ nastąpiła w dniu, kiedy żaden statek nie powinien był zato—

nąć, a także dlatego, że na pokładach okrętów znajdowali się najlepsi marynarze świata. Same jednostki były zresztą doskonałe, a oficerowie stanowili śmietankę brytyjskiej marynarki. Mimo to okręty zatonęły. *Victoria* i *Camperdoum* zderzyły się, bo znakomici oficerowie, w pełni świadomi tego, że otrzymali idiotyczny rozkaz, posłusznie go wykonali i w efekcie zginęli. Katastrofa ta dowodziła, że na morzu wszystko jest możliwe. Bez względu na to, jak piękna jest pogoda i jak świetnie wykwalifikowana załoga, na morzu człowiek nigdy nie jest bezpieczny.

Po kolizji *Victorii* i *Camperdown,* jak przez lata opowiadał Ruth Senator, przez wiele godzin morze pełne było tonących. Śruby napędowe idących na dno okrętów straszliwie ich okaleczyły. Pocięły na kawałki — podkreślał zawsze Addams.

— Porąbało ich na kawałki, Ruthie.

Ruth nie rozumiała, jaki to miało związek z *jej* opowieścią o zakończeniu szkoły, jednak nie przerywała.

— Wiem, Senatorze — powiedziała. — Wiem.

W następnym tygodniu, siedząc na Plaży Pottera, Ruth i Senator powrócili do tematu katastrof na morzu.

— A *Margaret B. Rouss?* — spytała dziewczyna po długim milczeniu Senatora. — Ta katastrofa całkiem dobrze się skończyła.

Wyraźnie wymówiła nazwę statku. Jej brzmienie niekiedy uspokajało Addamsa, a niekiedy pobudzało.

— Jezu Chryste, Ruthie! — wybuchnął. — Jezu Chryste!

Tym razem był najwyraźniej pobudzony.

— *Margaret B. Rouss* przewoziła drewno i tonęła całą wieczność. Przecież wiesz, Ruthie. Jezu Chryste! Wiesz, że to był wyjątek. Wiesz, że zwykle to wszystko nie jest takie

proste. I powiem ci coś jeszcze. Storpedowanie w żadnych okolicznościach nie należy do przyjemności, cokolwiek się tam stało z załogą tej przeklętej *Margaret B. Rouss*.

— A co się stało z tą załogą, Senatorze?

— Doskonale wiesz.

— Wiosłowała przez czterdzieści mil...

— Czterdzieści pięć.

— Wiosłowała przez czterdzieści pięć mil do Monte Carlo, gdzie zaprzyjaźniła się z księciem Monako. I odtąd żyła w dobrobycie. To dopiero opowieść ze szczęśliwym zakończeniem, prawda?

— Wyjątkowa katastrofa, Ruthie, bez komplikacji.

— Pewnie.

— Wyjątkowa.

— Ojciec mówi, że zatonięcie każdej łodzi to wyjątek.

— Ależ z niego mądrala, co? I ty też nie jesteś gorsza. Myślisz, że dzięki *Margaret B. Rouss* możesz całe życie bezpiecznie pracować na wodzie i łowić homary?

— Nie spędzam życia na wodzie, Senatorze. Powiedziałam tylko, że może poszukam takiej pracy na trzy miesiące. Przez większość czasu byłabym nie dalej niż dwie mile od brzegu. Mówiłam tylko, że chcę pracować na wodzie w czasie lata.

— Wiesz, Ruth, że wypływanie jakąkolwiek łodzią na otwarte morze jest niezmiernie groźne. Tam jest bardzo niebezpiecznie. I większość ludzi nie zdoła wiosłować przez czterdzieści pięć mil do jakiegoś Monte Carlo.

— Przepraszam, że o tym wspomniałam.

— W normalnych okolicznościach do tego czasu umarłabyś z zimna. Kiedyś wydarzyła się katastrofa na północnym kole podbiegunowym. Ludzie spędzili trzy dni w szalupach, po kolana w lodowatej wodzie.

— Która to była katastrofa?

— Nie pamiętam nazwy statku.

— Naprawdę? — Ruth nie słyszała o rozbitym statku, którego nazwy nie znałby Senator.

— To nieważne. W końcu rozbitkowie wylądowali na Islandii. Wszyscy doznali odmrożeń. Eskimosi próbowali odratować im kończyny. I co robili, Ruthie? Energicznie nacierali rozbitkom stopy oliwą. Energicznie! Rozbitkowie krzyczeli, błagali, by Eskimosi przestali. Ale ci nie przerywali. Nie przypominam sobie nazwy statku. Ale ty powinnaś pamiętać, co się wtedy działo, kiedy będziesz na łodzi.

— Nie zamierzam płynąć na Islandię.

— Niektórzy członkowie załogi zemdleli z bólu podczas tego rozcierania i zmarli na miejscu.

— Nie twierdzę, że katastrofy na morzu to coś przyjemnego, Senatorze.

— W końcu każdy i tak wymagał amputacji.

— Senatorze?

— Aż do kolana, Ruthie.

— Senatorze? — zagadnęła znów Ruth.

— Zmarli z bólu spowodowanego rozcieraniem.

— Senatorze, proszę.

— Ocalali rozbitkowie musieli pozostać w Arktyce do lata, a jedynym ich pożywieniem był tłuszcz.

— Proszę, nie.

Proszę. Proszę, nie.

Nie, ponieważ stał przed nimi Webster oblepiony mułem do pasa. Grudki błota zlepiły mu włosy, miał upaćkaną całą twarz. W wyciągniętych, brudnych rękach trzymał słoniowy cios.

— Och, Senatorze! — zawołała Ruth. — O mój Boże.

Webster położył cios na ziemi u stóp Senatora niczym

dar złożony władcy. Cóż, Addams po prostu zaniemówił. Troje ludzi na plaży — starszy mężczyzna, młoda kobieta i maleńki, ubłocony młodzieniec — przyglądało się słoniowemu ciosowi. Żadne się nie poruszyło, dopóki Cookie nie wstała i nie zbliżyła się podejrzliwie do znaleziska.

— Nie, Cookie — powiedział Senator Simon i pies przyjął postawę sfinksa, z nosem wyciągniętym w stronę ciosu, jakby chciał go obwąchać.

W końcu Webster odezwał się przepraszająco i z wahaniem:

— To chyba był mały słoń.

Rzeczywiście, cios był niewielki. Bardzo mały jak na słonia, który przez 138 lat funkcjonowania mitu rozrósł się do olbrzymich rozmiarów. Cios był niewiele dłuższy niż ręka Webstera, cienki i tylko nieznacznie wygięty, z jednej strony zakończony tępo niczym kciuk. Drugi koniec — miejsce, w którym odłamał się od szkieletu — był nierówny, poszarpany. Kość słoniową pokrywały głębokie czarne szczeliny pęknięć.

— Zdaje się, że to był po prostu mały słoń — powtórzył Webster, nie doczekawszy się odpowiedzi. Jego głos brzmiał tym razem niemal rozpaczliwie. — Chyba spodziewaliśmy się czegoś większego, co?

Senator wstał, tak powoli i sztywno, jakby w oczekiwaniu na odnalezienie ciosu przesiedział całe 138 lat. Wpatrywał się w niego jeszcze chwilę, po czym objął Webstera.

— Dobra robota, synu — pochwalił go.

Webster upadł na kolana, a Senator ukląkł obok niego i położył mu rękę na szczupłym ramieniu.

— Rozczarowałeś się, Websterze? — spytał. — Myślałeś, że będę zawiedziony? To piękny cios.

Webster wzruszył ramionami, a na jego twarzy malowało się przygnębienie. Powiał lekki wiatr i chłopak lekko zadrżał.

— Ten słoń musiał być mały — powtórzył.

— Websterze, to wspaniały cios. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Świetnej roboty.

Wtedy Webster zaszlochał.

— Och, daj spokój, chłopcze — odezwał się zdławionym głosem Senator.

Webster płakał. Ruth odwróciła głowę. Mimo to nadal słyszała jego żałosne łkanie, wstała więc i odeszła od kamieni w kierunku przybrzeżnych świerków. Na długą chwilę pozostawiła Webstera i Senatora samych na plaży. Przechadzała się pośród drzew, zbierała patyki i łamała je. Gryzły ją komary, ale było jej to obojętne. Nie mogła patrzeć, jak ludzie płaczą. Co jakiś czas popatrywała na plażę, ale Webster wciąż szlochał pocieszany przez Senatora. Nie chciała przy tym być.

Usiadła na omszałej kłodzie, zwrócona plecami do plaży. Uniosła płaski kamień, spod którego wybiegła salamandra i napędziła jej strachu. Może zostanę weterynarzem — zamyśliła się. Przeczytała ostatnio książkę o hodowli aporterów, którą dostała od Senatora. Bardzo jej się spodobała. Napisano ją w 1870 roku bardzo pięknym językiem. Opis najlepszego labradora, jakiego widział autor, poruszył ją niemal do łez. Pies aportował ustrzelone ptactwo morskie, skacząc po kruszących się krach i wypływając daleko poza zasięg wzroku. Bugle, bo tak się wabił, powracał na brzeg niemal śmiertelnie przemarznięty, delikatnie niosąc ptaka w swoim miękkim pysku. Dostarczał zdobycz bez najmniejszego uszczerbku.

Ruth zerknęła przez ramię na Webstera i Senatora.

Chłopak chyba przestał już płakać. Dziewczyna powędrowała w kierunku brzegu, gdzie młodzieniec siedział, patrząc ponuro przed siebie. Senator zaniósł cios do ciepłej odpływowej kałuży, by opłukać go z błota. Ruth Thomas zbliżyła się do niego, a on podniósł się i podał jej cios. Osuszyła go swoją koszulą. Był lekki, jak to kość, i pożółkły jak stare zęby, a otwór w jego wnętrzu wypełniał muł. Był ciepły. Nawet nie zauważyła, jak Webster go znalazł! Spędziła na plaży tyle godzin, przyglądając się, jak przeszukuje muł, a przegapiła chwilę, kiedy na niego natrafił!

— Pan też nie widział, jak Webster go znalazł — zwróciła się do Senatora. Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Ruth ważyła cios w dłoniach. — Niewiarygodne — powiedziała.

— Nie sądziłem, że naprawdę go znajdzie, Ruth — wyszeptał rozpaczliwie. —I co ja teraz z nim pocznę? Spójrz tylko na niego.

Ruth popatrzyła. Webster drżał niczym stary silnik na luzie.

— Przygnębiło go to?

— Oczywiście, że tak! Ten projekt przez rok zapewniał mu zajęcie. Sam nie wiem — szeptał spanikowany Senator — co mam teraz z nim zrobić.

Webster Pommeroy wstał i podszedł do Ruth i Senatora. Addams wyprostował się i szeroko uśmiechnął.

— Wyczyścił go pan? — spytał Webster. — Wygląda już lepiej?

Senator obrócił się i uścisnął maleńkiego Pommeroya.

— Jest wspaniały! Cudowny! Jestem z ciebie taki dumny, synu! Taki dumny!

Webster znów się rozszlochał. Ruth odruchowo zamknęła oczy.

— Wiesz co, Websterze? — usłyszała pytanie Senatora. — Myślę, że to wspaniałe znalezisko. Naprawdę. Uważam, że powinniśmy je zanieść panu Ellisowi.

Zaniepokojona Ruth natychmiast otworzyła oczy.

— A wiesz, co zrobi pan Ellis, kiedy zobaczy nas z tym ciosem? — spytał Senator, kładąc Websterowi rękę na ramieniu. — Wiesz?

Chłopak nie wiedział. Żałośnie wzruszył ramionami.

— Pan Ellis się uśmiechnie. Prawda, Ruthie? Czy to nie wspaniałe? Nie sądzisz, że pan Ellis będzie zachwycony?

Ruth nie odpowiedziała.

— Nie uważasz, Ruthie? Jak myślisz?

3

Homary instynktem wiedzione
Są samolubne, choć nie to ich zamiarem.
Subtelnych uczuć pozbawione
Zawsze unoszą się honorem.

Medyk i poeta
J. H. Stevenson
1718—1785

Pan Lanford Ellis mieszkał w Domu Ellisów wzniesionym w 1883 roku. Był to najwspanialszy budynek na Fort Niles. Przebijał też zresztą wszystkie domy na Courne Haven. Zbudowano go z czarnego granitu dobrej jakości, w stylu przypominającym duży bank czy dworzec kolejowy, acz w mniejszych proporcjach. Miał kolumny, arkady, okna w niszach i ogromny hol wyłożony połyskującymi kaflami, który przywodził na myśl rzymskie łaźnie. Dom Ellisów, położony na najwyższym wzniesieniu wyspy, znajdował się najdalej od portu, na samym końcu Drogi Ellisa. Choć właściwie to budynek zdawał się powstrzymywać bieg drogi, jak wielki gliniarz z gwizdkiem i stanowczo uniesioną ręką.

Sama droga powstała w 1880 roku. Była to stara trasa

robocza łącząca trzy kamieniołomy należące do firmy wydobywczej Ellisa na Fort Niles. W owym czasie była ruchliwą drogą przejazdową, jednak gdy czerwcowym rankiem 1976 roku pokonywali ją Webster Pommeroy, Senator Simon Addams i Ruth Thomas, dawno już przestała być często używana.

Biegły wzdłuż niej stare tory, część dwumilowej trasy położonej w 1882 roku, by transportować do portu tony wydobytych w kamieniołomach granitowych bloków. Załadowane statki latami odpływały do Nowego Jorku, Filadelfii i Waszyngtonu. Posuwały się powoli, w zwartym szyku, w kierunku miast, które nieustannie potrzebowały płyt brukowych z Courne Haven i doskonalszej jakości materiału rzeźbiarskiego z Fort Niles. Przez dziesięciolecia statki wywoziły granit pochodzący z wnętrza wysp, powracając po kilku tygodniach z węglem, który umożliwiał kontynuację wydobycia — dokładniejsze patroszenie wysp.

Przy torach walały się przerdzewiałe narzędzia i części maszyn używanych niegdyś do wydobywania granitu — młoty, kliny i inne, których nikt, nawet Senator, nie potrafił już zidentyfikować. Ogromna tokarka firmy Ellisa — większa niż lokomotywa — rozpadała się w pobliskim lesie, całkiem zapomniana. Stała żałośnie w mroku, opleciona winoroślą, jakby umieszczono ją tu za karę. Sto czterdzieści ton mechanizmów trzymało się mocno kupy jakby we wściekłym szczękościsku. Długaśne zardzewiałe przewody rozpełzły się po przyległej trawie.

Webster Pommeroy, Senator Simon Addams i Ruth Thomas wciąż szli. Pięli się w górę Drogą Ellisa, wzdłuż torów, w kierunku Domu Ellisów, dzierżąc słoniowy cios. Nie było im do śmiechu. Żadne z nich nie bywało w Domu Ellisów.

— Nie wiem, po co się tam pchamy — powiedziała Ruth. — Na pewno go nie będzie. Jest jeszcze w New Hampshire. Zjawi się dopiero w przyszłą sobotę.

— W tym roku przybył wcześniej — poinformował Senator.

— Co takiego?

— Pan Ellis jest tu od 18 kwietnia.

— Żartuje pan.

— Nic podobnego.

— Już jest? Już tak długo tu jest? Od mojego powrotu ze szkoły?

— Właśnie.

— Nikt mi o tym nie powiedział.

— A pytałaś? Nie powinnaś się tak dziwić. W Domu Elłisów wszystko się teraz pozmieniało.

— Cóż, chyba powinnam o tym wiedzieć.

— Tak, Ruthie. Przypuszczam, że powinnaś.

Idąc, Senator przeganiał z głowy i szyi komary wachlarzem z pierzastych liści paproci.

— Ruth, czy twoja matka pojawi się latem na wyspie?

— Nie.

— A widziałaś się z nią w tym roku?

— Właściwie nie.

— Naprawdę? Nie odwiedziłaś w tym roku Concord?

— Nie.

— Czy twojej matce się tam podoba?

— Najwyraźniej. Przecież dosyć długo tam mieszka.

— Założę się, że ma ładny domek. Zgadza się?

— Mówiłam już panu milion razy, że tak.

— Wiesz, że nie widziałem twojej matki od dziesięciu lat?

— To też mi pan powtarzał milion razy.

— Więc mówisz, że nie odwiedzi latem wyspy?

— Przecież nigdy tego nie robi — przerwał nagle Webster Pommeroy. — Nie wiem, dlaczego wszyscy wciąż o niej mówią.

Ta uwaga zakończyła rozmowę. Przez dłuższą chwilę cała trójka wędrowała w milczeniu, które wreszcie przerwała Ruth.

— Pan Ellis naprawdę jest na wyspie już od 18 kwietnia?

— Owszem — potwierdził Senator.

To była niezwykła, a nawet zadziwiająca wiadomość. Ellisowie przybywali na Fort Niles w trzecią sobotę czerwca, a czynili tak niezmiennie od 1883 roku. Resztę roku spędzali w Concord w stanie New Hampshire. Zwyczaj ten zapoczątkował patriarcha rodu, doktor Jules Ellis, przenosząc powiększającą się rodzinę na lato na wyspę, by uniknąć miejskich chorób i dopilnować kamieniołomów. Nikt z miejscowej ludności nie wiedział, w czym dokładnie specjalizował się doktor Ellis. Z pewnością nie zachowywał się jak lekarz. Raczej jak przemysłowiec. Działo się to jednak w innych czasach, o czym lubił przypominać Senator, kiedy człowiek mógł być wszechstronniejszy. Kiedy mężczyzna mógł często zmieniać kapelusze.

Mieszkańcy Fort Niles nie przepadali za rodziną Ellisów, ale fakt, że doktor wybrał na miejsce swojej siedziby właśnie tę wyspę, nie zaś Courne Haven, gdzie również działała jego firma, był dla nich powodem do dumy. W rzeczywistości jednak nie było się czym szczycić. Doktor Jules Ellis wybrał Fort Niles nie dlatego, że wyspa bardziej mu się spodobała. Jego decyzja była podyktowana tym, że stawiając dom na wzgórzu, tak by wychodził na wschód, na urwisko, mógł obserwować obie wyspy. Mógł mieszkać na najwyższym wzniesieniu jednej, mieć na oku drugą, a przy tym podziwiać wschody słońca.

W czasach doktora Julesa Ellisa na Fort Niles co lato ściągał coraz większy tłumek. Z czasem na wakacje przyjeżdżała piątka jego dzieci, a także liczni krewni. Zjawiali się kolejno dobrze ubrani goście Ellisów oraz partnerzy w interesach, a także szesnastoosobową letnia służba. Służący dowozili z Concord wszelkie niezbędne sprzęty domowe najpierw pociągiem, a następnie statkiem. Pojawiali się na nabrzeżu w trzecią sobotę czerwca, wyładowywali niezliczone kufry z porcelaną, bielizną pościelową i stołową, kryształami i zasłonami. Stosy kufrów wyglądają na fotografiach jak niezależne konstrukcje, niezgrabne budynki. To doniosłe wydarzenie, czyli przybycie Ellisów, powodowało, że trzecia sobota czerwca nabrała wielkiego znaczenia.

Służący Ellisów transportowali statkiem także kilka wierzchowców. Przy domu znajdowała się piękna stajnia, jak również zadbany ogród różany, sala balowa, chłodnia, domki dla gości, kort tenisowy oraz staw ze złotymi rybkami. Rodzina i przyjaciele spędzający lato na wyspie oddawali się rozmaitym formom rekreacji. Pod koniec lata zaś, w drugą sobotę września, doktor Ellis opuszczał wyspę wraz z żoną i piątką dzieci, wierzchowcami, szesnastoosobową służbą, gośćmi, srebrami, porcelaną, bielizną, kryształami i zasłonami. Rodzina i służba wsiadały na prom, a sprzęty pakowano w piętrzące się kufry, po czym wszyscy i wszystko odpływało na zimę do Concord w New Hampshire.

Działo się to jednak przed wielu laty i dawno temu się skończyło.

W 1976 roku, gdy Ruth Thomas kończyła dziewiętnaście lat, jedynym Ellisem, który wciąż przybywał na wyspę, był Lanford, najstarszy syn doktora Julesa. Był już staruszkiem. Miał dziewięćdziesiąt cztery lata.

Pozostałe dzieci doktora, wyjąwszy jedną córkę, po—

umierały. Pozostały wnuki, a nawet prawnuki, którym wielki dom na Fort Niles mógłby się pewnie spodobać, lecz Lanford Ellis za nimi nie przepadał, więc trzymał ich z dala od wyspy. Miał do tego prawo. Dom należał w całości do niego, tylko on go odziedziczył. Żyjąca siostra pana Lanforda, Vera Ellis, była jedyną krewną, na której mu zależało, lecz ona dawno już zrezygnowała z odwiedzania wyspy. Sądziła, że jest zbyt wątła, by odbywać takie podróże. Uważała się za osobę słabego zdrowia. Spędziła na Fort Niles wiele udanych wakacji, lecz teraz wolała przez cały rok przebywać w Concord z osobą do towarzystwa, która się nią opiekowała.

Od dziesięciu lat Lanford Ellis spędzał zatem lato samotnie. Nie trzymał koni ani nie zapraszał gości. Nie grał w krokieta ani nie wybierał się na przejażdżki łodzią. Nie zatrudniał żadnej służby poza Calem Cooleyem, który pełnił jednocześnie funkcje jego ogrodnika i opiekuna. Gotował nawet starcowi posiłki. Cooley mieszkał w Domu Ellisów przez cały rok i wszystkiego pilnował.

Senator Simon Addams, Webster Pommeroy i Ruth Thomas nadal podążali w kierunku domu. Szli obok siebie, chłopak opierał cios na ramieniu, jakby niósł muszkiet z czasów wojny o niepodległość. Po lewej stronie ciągnęły się stare tory. Po prawej natomiast, w lesie, straszyły makabryczne ruiny chałupinek zbudowanych przed stu laty dla pracujących u Ellisa Włochów i ich rodzin. Niegdyś w tych chatynkach cisnęło się trzystu włoskich imigrantów. Miejscowa społeczność z reguły niechętnie ich przyjmowała, choć niekiedy pozwalano im na świąteczne parady Drogą Ellisa. Na wyspie był kiedyś katolicki kościółek skupiający włoskich wiernych. Teraz nie ma po nim śladu. Już dawno doszczętnie spłonął.

W czasach działalności firmy wydobywczej Fort Niles przypominała prawdziwe miasto, ruchliwe i potrzebne. Wyglądała jak jajo Faberge — przedmiot pieczołowicie i bogato inkrustowany. Tak wiele tłoczyło się na tak małej powierzchni! Na wyspie były dwie pasmanterie. Funkcjonowały muzeum rozmaitości — nieelitarna instytucja edukacyjno—rozrywkowa, lodowisko, wypychacz zwierząt, lokalna gazeta, tor wyścigowy dla kuców, hotel i bar z pianistą, a także położone po przeciwnych stronach ulicy teatr Ellisa Eureka oraz sala taneczna Ellisa Olimpia. Zanim nastąpił 1976 rok, wszystko zostało spalone bądź zburzone. Gdzie to się podziało? — zastanawiała się Ruth. I jak to wszystko się tu w ogóle mieściło? Większość wykorzystywanych dawniej terenów porastał las. Z imperium Ellisa pozostały zaledwie dwa budynki: sklep firmowy oraz dom. Sklep, dwupiętrowa drewniana konstrukcja przy porcie, stał opustoszały i zrujnowany. Oczywiście zostały jeszcze kamieniołomy, dziury w ziemi głębokości ponad stu stóp — o gładkich, spadzistych ścianach — które po wiośnie wypełniały się wodą.

Ojciec Ruth nazywał leśne chałupinki „chatkami za gwineę". Musiał przejąć tę nazwę od swego ojca albo nawet dziadka, bo kiedy był chłopcem, w domkach nikt już nie mieszkał. Opustoszały jeszcze w czasach dzieciństwa Senatora Simona Addamsa. Handel granitem dogorywał już około 1910 roku, a do 1930 zupełnie ustał. Popyt na granit wygasł, zanim wyczerpał się sam kamień. Jeśli byłby zbyt, firma Ellisa bez końca by wydobywała. Wypatroszyłaby do cna Fort Niles i Courne Haven. Z wysp zostałyby jedynie otoczone oceanem granitowe wydmuszki. Tak przynajmniej twierdzą miejscowi ludzie. Mówią, że gdyby nie to, że nikt nie chciał już materiału, z którego zbudowane są wyspy, Ellisowie wywieźliby z nich wszystko.

Cała trójka wciąż pięła się drogą, zwolniwszy tylko raz, kiedy Webster dostrzegł martwego węża i zatrzymał się, by go przeszyć czubkiem słoniowego ciosu.

— Wąż — powiedział.

— Nieszkodliwy — uspokoił go Senator.

Chwilę później chłopak zatrzymał się i spróbował oddać cios Addamsowi.

— Proszę go wziąć — powiedział. — Nie chcę iść do żadnego pana Ellisa.

Senator jednak odmówił. Stwierdził, że to Webster znalazł cios i to jemu należy się uznanie. Oznajmił też, że nie ma powodu obawiać się pana Ellisa. To dobry człowiek. Choć w przeszłości w jego rodzinie byli ludzie, których należało się bać, pan Lanford zalicza się do tych przyzwoitych i, nawiasem mówiąc, traktuje Ruthie właściwie jak własną wnuczkę.

— Zgadza się, Ruthie? Czyż nie wita cię zawsze szerokim uśmiechem? Nie odnosił się dobrze do twojej rodziny?

Ruth nie odpowiedziała. Szli dalej w milczeniu.

Nie odzywali się, dopóki nie stanęli przed Domem Ellisów. Wszystkie okna były pozamykane, a zasłony zaciągnięte. Żywopłoty nadal spowijał ochronny materiał, który zabezpieczał je przed zimowym wiatrem. Miejsce wyglądało na opuszczone. Senator wspiął się na szerokie granitowe schody ku ciemnym drzwiom wejściowym i zadzwonił. Zapukał. I zawołał. Nie doczekał się odpowiedzi. Na podjeździe w kształcie pętli stał zielony pikap należący do Cala Cooleya.

— Cóż, wygląda na to, że zastaliśmy starego Cala Cooleya w domu — orzekł Senator.

Zaszedł na tyły budynku, a Ruth i Webster podążyli

za nim. Minęli ogród, który nie przypominał już ogrodu, lecz zapuszczone chaszcze, potem kort tenisowy, zaros'niety i podmokły, oraz fontannę, porośniętą trawą i pozbawioną wody. Skierowali się ku stajni i dostrzegli, że jej szerokie rozsuwane wrota stoją otworem. Zmieściłyby się w nich dwa stojące obok siebie powozy. Budynek był piękny, lecz tak dawno nieużywany, że najmniejszy ślad zapachu koni już się ulotnił.

— Calu Cooley! — zawołał Senator Simon. — Panie Cooley?

Cal Cooley znajdował się na środku kamiennej posadzki stajni z zimnymi, pustymi i bezwonnymi boksami. Siedział na zwyczajnym stołku przed czymś ogromnym, co czyścił i polerował szmatką.

— Mój Boże! — krzyknął Senator. — Co my tu mamy!

Była to olbrzymia latarnia morska, a właściwie cudowna szklano—mosiężna okrągła soczewka reflektora latarni. Mierzyła chyba z siedem stóp. Cali Cooley wstał, niemal dorównywał jej wzrostem. Miał gęste, zaczesane do tyłu kruczoczarne włosy i ogromne czarne oczy, potężną kwadratową sylwetkę, duży nos i wydatną szczękę oraz głęboką poprzeczną zmarszczkę na czole, która sprawiała wrażenie śladu po sznurze do bielizny. Wyglądał, jakby w jego żyłach płynęło trochę indiańskiej krwi. Pracował u Ellisów około dwudziestu lat, ale zdawał się zupełnie nie starzeć. Nieznajomemu trudno byłoby zgadnąć, czy ma lat czterdzieści czy sześćdziesiąt.

— Ależ to mój dobry przyjaciel Senator! — zawołał, przeciągając samogłoski.

Cal Cooley pochodził z Missouri, którego nazwę uparcie wymawiał „Missourah". Miał wyraźny południowy akcent. Ruth Thomas — która wprawdzie nigdy nie była

na Południu — wydawało się, że specjalnie go podkreśla. Całe zachowanie Cala uważała w dużej mierze za sztuczne. Nie cierpiała w nim wielu rzeczy, lecz szczególnie raził ją jego nienaturalny akcent i maniera mówienia o sobie per „staruszek Cal". Na przykład „Staruszek Cal nie może się już doczekać wiosny" albo „Staruszek Cal chybaby się jeszcze napił".

Ruth nie mogła znieść tej pretensjonalności.

— Patrzcie no! Jest i panna Ruth Thomas! — przeciągał słowa Cal Cooley. — Cóż za niesamowity widok! A kto tam z nią idzie: dzikus.

Webster Pommeroy stanął z ciosem słonia w ręku, przygaszony i cichy pod przenikliwym wzrokiem Cooleya. Jego stopy poruszały się szybko i nerwowo, jakby miał zaraz popędzić.

— Wiem, co to jest — oświadczył Senator Simon Adams, zbliżając się do cudownego wielkiego szkła, które polerował Cal. — Dobrze wiem, co to jest!

— Domyślasz się, przyjacielu? — spytał Cooley, mrugając do Ruth Thomas, jakby mieli jakąś niesamowitą wspólną tajemnicę. Dziewczyna odwróciła wzrok. Czuła, że policzki zaczynają jej płonąć. Zastanawiała się, jak zorganizować sobie życie na Fort Niles, by uniknąć spotkań z Calem Cooleyem.

— To soczewka Fresnela z reflektora latarni na Koziej Skale, prawda? — spytał Senator.

— Owszem. Zgadza się. Był pan tam kiedyś? Musiał pan kiedyś być, co?

— Cóż, nie — przyznał Senator, czerwieniąc się. — Nie mógłbym się tam wybrać. Wie pan, za nic nie wsiądę do łodzi.

O czym Cal Cooley doskonale wie, pomyślała Ruth.

— Ach tak? — spytał niewinnie Cal.

— Widzi pan, boję się wody.

— Co za okropna przypadłość — mruknął Cooley.

Ruth zastanowiła się, czy Cal dostał kiedyś w życiu porządne lanie. Chętnie by na to popatrzyła.

— Mój Boże — dziwił się Senator. — Mój Boże. Jak się panu udało to zdobyć? To niezwykła latarnia. Jedna z najstarszych w kraju.

— Otóż, przyjacielu, kupiliśmy ją. Panu Ellisowi już dawno wpadła w oko. Więc ją kupiliśmy.

— Ale jak ją tu ściągnęliście?

— Łodzią, a potem pikapem.

— Jak to się stało, że nikt się o tym nie dowiedział?

— Naprawdę nikt nie wie?

— Jest wspaniała.

— Odnawiam ją dla pana Ellisa. Czyszczę każdy cal, każdą śrubkę. Z dziewięćdziesiąt godzin nad tym siedzę. A praca potrwa jeszcze całe miesiące. Ale za to jak będzie wtedy błyszczeć!

— Nie wiedziałem, że ta latarnia była na sprzedaż. Nie miałem pojęcia, że coś takiego można kupić.

— Straż Przybrzeżna wymieniła ten piękny przedmiot na nowoczesne urządzenie. Nowa latarnia nie potrzebuje nawet obsługi. Niezwykłe, prawda? Wszystko jest zautomatyzowane. Bardzo tanie. Latarnia jest elektryczna i strasznie brzydka.

— Ma pan całkowitą rację. Przecież ma pan tu obiekt muzealny!

— Tak jest, przyjacielu.

Senator Simon przyglądał się soczewce Fresnela. Piękny widok. Samo szkło i mosiądz. Z ułożonymi warstwowo fazowanymi szybami grubymi jak deski. Niewielki

fragment, który Cal Cooley już wymontował, wyczyścił i ponownie zamontował, lśnił niczym złoto i kryształ. Gdy Addams przeszedł za soczewkę, by obejrzeć całą latarnię, jego odbicie wykrzywiło się i zafalowało, jakby znajdował się za bryłą lodu.

— Nigdy dotąd nie widziałem latarni — powiedział. Z nadmiaru emocji miał zdławiony głos. — Nie osobiście. Nigdy nie miałem okazji.

— To nie latarnia — poprawił go natychmiast Cal Cooley. — To tylko soczewka reflektora latarni, sir.

Ruth przewróciła oczami.

— Nigdy takiej nie widziałem. O, mój Boże, to dla mnie taka przyjemność, taka przyjemność. Oczywiście widziałem zdjęcia. Widziałem zdjęcia tej właśnie latarni.

— To nasze ukochane dziecko, moje i pana Ellisa. Pan Ellis zwrócił się do władz z pytaniem, czy może ją nabyć, oni określili cenę, a on ją zaakceptował. I, jak mówiłem, pracuję już nad nią jakieś dziewięćdziesiąt godzin.

— Dziewięćdziesiąt godzin — powtórzył Senator, wpatrując się w soczewkę Fresnela jak zahipnotyzowany.

— Zbudowali ją Francuzi w 1929 roku — dodał Cal. — Waży pięć tysięcy funtów, przyjacielu.

Soczewka Fresnela była osadzona na oryginalnej mosiężnej obrotnicy, którą Cal Cooley leciutko pchnął. Pod wpływem nacisku zaczęła się obracać z niesamowitą szybkością — ogromna, bezgłośna i doskonale wyważona.

— Dwa palce — powiedział Cal, unosząc dwa palce. — By uruchomić te pięć tysięcy funtów wystarczą tylko dwa palce. Dacie wiarę? Czy widzieliście kiedyś tak niezwykłą konstrukcję?

— Nie — przyznał Senator Simon Addams. — Nigdy.

Cooley ponownie puścił w ruch soczewkę Fresnela.

Maleńka ilość światła, która docierała do stajni, zdawała się padać właśnie na wielką wirującą soczewkę, a potem odskakiwać od niej, rozsypując się iskrami po ścianach.

— Spójrzcie, jak pochłania światło — zwrócił uwagę Cal.

— Kiedyś na pewnej wyspie stanu Maine mieszkała kobieta — zaczął Senator — która spłonęła, gdy padło na nią światło słoneczne skupione przez soczewkę.

— W słoneczne dni zakrywano soczewki ciemnymi workami jutowymi — wyjaśnił Cooley. — W przeciwnym wypadku wszystko by się od nich spaliło. Takie są silne.

— Zawsze bardzo lubiłem latarnie morskie.

— Ja też, sir. I pan Ellis.

— Podczas rządów Ptolemeusza II w Aleksandrii zbudowano latarnię morską, którą uznano za jeden z cudów świata starożytnego. Zniszczyło ją w XIV wieku trzęsienie ziemi.

— Tak przynajmniej mówi historia — dodał Cal. — Jednak nie ma co do tego pełnej zgodności.

— Najwcześniejsze latarnie — rozwodził się Senator — budowali Libijczycy w Egipcie.

— Wiem, co to były za latarnie — odpowiedział spokojnie Cooley.

Zabytkowa soczewka Fresnela z latarni na Koziej Skale nie przestawała się obracać w obszernej, pustej stajni, a Senator patrzył na nią jak urzeczony. W końcu zwolniła i zatrzymała się. Addams milczał, zahipnotyzowany.

— A co was tu sprowadza? — spytał wreszcie Cal.

Cooley miał wyraźnie na myśli Webstera Pommeroya, który dzierżył słoniowy cios. Upaćkany mułem chłopak wyglądał żałośnie. Desperacko ściskał swe niewielkie znalezisko. Nie odpowiedział na pytanie Cala, lecz zaczął nerwowo przebierać nogami. Senator również się nie ode—

zwał. Nie wyszedł jeszcze z transu, w jaki wprowadziła go soczewka.

Rozmowę podjęła więc Ruth Thomas.

— Webster znalazł dzisiaj cios słonia. To pozostałość po katastrofie *Clarice Monroe* sprzed stu trzydziestu ośmiu lat. Szukali go z Simonem niemal rok. Niesamowite, prawda?

Rzeczywiście, to było nadzwyczajne. W każdych innych okolicznościach cios uznano by za niezaprzeczalnie cudowny przedmiot. Jednak w Domu Ellisów, w obliczu pięknej i nienaruszonej szklano—mosiężnej soczewki Fresnela wykonanej w 1929 roku przez Francuzów, trudno było na to liczyć. Nagle cios wydał się głupstwem. Poza tym Cal Cooley przy swoim wzroście i zachowaniu wszystko by umniejszył. Dziewięćdziesiąt godzin, które spędził na czyszczeniu soczewki latarni, zmienił w heroiczny, pożyteczny czyn, a rok poszukiwań chłopaka — oczywiście nie mówiąc na ten temat ani słowa — w kiepski żart.

Cios wydał się nagle małą, żałosną kością.

— To ci dopiero — odezwał się wreszcie Cooley. — Jaki fascynujący projekt.

— Pomyślałem, że pan Ellis zechce to zobaczyć — powiedział Senator. Otrząsnął się z wrażenia, jakie wywarła na nim latarnia, i patrzył teraz na Cala obrzydliwie błagalnym wzrokiem. — Że może widok tego ciosu wywoła uśmiech na jego twarzy.

— Może.

Cal Cooley nie zamierzał im pomagać.

— Jeśli pan Ellis mógłby nas dzisiaj przyjąć... — zaczął Senator, po czym się wycofał. Nie miał kapelusza, lecz gdyby go nosił, miętosiłby go teraz w rękach. Wobec braku nakrycia głowy poruszał nerwowo dłońmi.

— Tak, przyjacielu?

— Jeśli pan Ellis znajdzie chwilę, chciałbym z nim o tym porozmawiać. O tym ciosie. Widzi pan, myślę, że taki przedmiot mógłby go wreszcie przekonać, że potrzebujemy na wyspie Muzeum Historii Naturalnej. Chcę poprosić pana Ellisa, by rozważył udostępnienie mi sklepu firmowego na siedzibę muzeum. Dla dobra wyspy. Wie pan, w celach edukacyjnych.

— Muzeum?

— Muzeum Historii Naturalnej. Od kilku lat zbieramy z Websterem przyszłe eksponaty. Mamy już całkiem pokaźną kolekcję.

O tym Cal Cooley doskonale wiedział. Pan Ellis zresztą też. Wszyscy wiedzieli. Ruth nie kryła już wściekłości. Ściskało ją w żołądku. Czuła, jak marszczy brwi, i nakazała sobie wygładzić czoło. Nie życzyła sobie okazywać emocji w obecności Cala Cooleya. Chciała wyglądać niewzruszenie. Zastanawiała się, jak sprawić, by Cooley spłonął. Albo zginął.

— Mamy już dużo obiektów — ciągnął Senator. — Ostatnio zdobyłem albinotycznego homara zakonserwowanego w alkoholu.

— Muzeum przyrodnicze — powtórzył Cal, jakby po raz pierwszy zastanawiał się nad tym pomysłem. — Intrygujące.

— Potrzebujemy lokalu. Mamy już eksponaty. Budynek sklepu jest tak duży, że z czasem moglibyśmy poszerzać kolekcję. Można by na przykład pokazać tę soczewkę Fresnela.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że chodzi mu o latarnię pana Ellisa? — Na twarzy Cooleya malowało się zdumienie.

— Och, nie. Nie! Nie, nie, nie! Nie chcemy od pana Ellisa niczego poza pozwoleniem na użytkowanie budynku sklepu firmowego. Oczywiście wzięlibyśmy go w najem. Moglibyśmy zaproponować mu jakiś czynsz. Widzi pan, kto wie, czy to nie byłoby mu nawet na rękę, bo budynek od lat stoi opustoszały. Nie potrzebujemy od niego żadnych pieniędzy. Nie chcemy zagarniać jego własności.

— Mam nadzieję, że nie prosi pan o pieniądze.

— Wie pan co? — odezwała się Ruth Thomas. — Zaczekam na zewnątrz. Nie mam ochoty dłużej tu sterczeć.

— Ruth, kochanie — powiedział czule Cal — wyglądasz na poruszoną.

Nie zwróciła na niego uwagi.

— Idziesz ze mną, Websterze?

Młody Pommeroy wolał jednak przebierać nogami u boku Senatora, dzierżąc swój cios nadziei. Ruth wyszła więc sama. Ruszyła zapuszczonymi pastwiskami w kierunku skalistego urwiska z widokiem na wschód, na Courne Haven. Nie mogła znieść widoku Simona Addamsa płaszczącego się przed opiekunem pana Lanforda Ellisa. Już kiedyś tego doświadczyła i nie miała najmniejszej ochoty na powtórkę. Poszła więc na skraj urwiska i zrywała porosty. Przed jej oczami rozpościerał się wyraźny widok na Courne Haven po drugiej stronie cieśniny. Rozgrzane powietrze falowało nad wyspą jak grzyb atomowy.

Była to już piąta oficjalna wizyta Senatora Simona Addamsa u pana Lanforda Ellisa — o ile Ruth było wiadomo. Pan Ellis nigdy nie zaprosił Senatora do środka. Choć może były też inne wizyty, o których dziewczynie nikt nie powiedział. Jeszcze więcej godzin próżnego wyczekiwania przed Domem Ellisów, więcej nieszczerych przeprosin i tłumaczeń Cala Cooleya, że mu przykro, ale pan Lan—

ford źle się czuje i nie przyjmuje gos'ci. Za każdym razem Addamsowi towarzyszył Webster z nowym odkryciem czy znaleziskiem, które miało przekonać pana Ellisa o konieczności utworzenia muzeum przyrodniczego. Muzeum Historii Naturalnej byłoby miejscem publicznym — jak gotów był z przejęciem objaśniać Senator — gdzie mieszkańcy wyspy — za opłatą w wysokości zaledwie dziesięciu centów! — mogliby oglądać przedmioty związane z ich własną historią. Senator Simon przygotował dla pana Ellisa wysoce przekonującą mowę, jednak nigdy nie miał okazji jej wygłosić. Wiele razy powtarzał ją w obecności Ruth. Dziewczyna słuchała uprzejmie, choć serce jej się krajało.

— Niech pan mniej prosi — sugerowała. — I będzie pewniejszy swego.

To prawda, że niektóre eksponaty Senatora Simona były nieciekawe. Zbierał wszystko jak leci i kiepski był z niego kurator — nie potrafił wybierać cennych przedmiotów i odrzucać bezwartościowych. Uważał, że wszystko, co stare, zasługuje na uwagę. Na wyspie ludzie rzadko pozbywali się rzeczy, więc w zasadzie każda miejscowa piwnica przypominała muzeum — muzeum przestarzałego osprzętu rybackiego, pozostałości po zmarłych przodkach, zabawek dawno wydoroślałych dzieci. Zbiory te nie zostały jednak uporządkowane, skatalogowane czy opisane, a pragnienie Senatora, by stworzyć muzeum, wynikało ze szczytnych ideałów.

— Zwykłe przedmioty — powtarzał wciąż Ruth — stają się dzisiaj rzadkością. Podczas wojny secesyjnej najzwyczajniejszym przedmiotem na świecie była granatowa wełniana kurtka żołnierza Unii. Zwykła kurtka z mosiężnymi guzikami. Każdy unionista taką miał. Czy zachowali je

po wojnie na pamiątkę? Nie. Och, zostawili galowe mundury generalskie i eleganckie bryczesy kawalerzystów, ale nikt nie pomyślał o zwyczajnych granatowych kurtkach. Mężczyźni wracali po wojnie do domów i donaszali je, pracując w polu. Gdy się rozpadły, ich żony zrobiły z nich szmaty albo pocięły i poszyły patchworkowe kapy. Za to dzisiaj taka najzwyklejsza kurtka z czasów wojny secesyjnej należy do najrzadszych rzeczy na świecie.

Wyjaśniał to Ruth, odkładając puste pudełko po płatkach śniadaniowych czy nienaruszoną puszkę tuńczyka do skrzynki z napisem DLA POTOMNOŚCI.

— Nie możemy dziś wiedzieć, co jutro będzie cenne, Ruth — mawiał.

— Płatki? — odpowiadała z niedowierzaniem. — Płatki, Senatorze? Płatki?

Nic więc dziwnego, że Senatorowi zabrakło w domu miejsca na rozrastającą się kolekcję. Nic też zaskakującego, że wpadł na pomysł uzyskania dostępu do dawnego sklepu firmowego Ellisa, ziejącego pustkami od czterdziestu lat. Była to niszczejąca, bezużyteczna przestrzeń. Mimo to pan Ellis nigdy nie raczył odpowiedzieć Senatorowi, przytaknąć mu czy potwierdzić jego słowa. Po prostu unikał tego tematu. Jakby chciał Addamsa przetrzymać, przeżyć go, a wtedy sprawa sama by się rozwiązała, bez kłopotu związanego z podejmowaniem decyzji.

Łodzie łowiły jeszcze w cieśninie homary, uwijały się, krążyły. Ze swego stanowiska na klifie Ruth dostrzegła te należące do pana Angusa Addamsa, pana Duke'a Cobba oraz własnego ojca. Zauważyła też za nimi czwartą, która mogła należeć do kogoś z Courne Haven. Ruth nie potrafiła jej rozpoznać. Cieśnina była usiana bojami oznaczającymi miejsca zastawienia więcierzy, które z góry

przypominały rozsypane na podłodze confetti lub śmieci na zaniedbanej autostradzie. Poławiacze homarów umieszczali więcierze niemal jeden na drugim. Połów wiązał się więc z pewnym ryzykiem. Granica pomiędzy wodami Courne Haven i Fort Niles nigdy nie została ustalona, jednak żaden jej fragment nie był tak sporny jak kanał Worthy. Mieszkańcy obu wysp wyznaczali granice swoich terytoriów, wciąż przesuwając je dalej. Odcinali sobie więcierze i dopuszczali się grupowych napaści.

— Zastawią nam więcierze pod samym nosem, jeżeli im na to pozwolimy — mawiał Angus.

Rybacy z Courne Haven byli rzecz jasna tego samego zdania o poławiaczach homarów z Fort Niles, przy czym obie strony miały rację.

Tego dnia Ruth Thomas pomyślała, że łódź z Courne Haven trochę za bardzo zbliżyła się do tych z Fort Niles, ale nie miała pewności, nawet spoglądając z góry. Spróbowała policzyć ciągi boi. Zerwała źdźbło trawy i zapiszczała na nim, przytrzymując je między kciukami. Bawiła się sama ze sobą, udając, że po raz pierwszy w życiu ma przed oczami roztaczający się z urwiska widok. Zamknęła je na dłuższą chwilę, a potem powoli otworzyła. Morze! Niebo! Jakie to piękne. Mieszka w naprawdę uroczym miejscu. Spróbowała spojrzeć na łodzie, jakby nie wiedziała, ile kosztują, czyje są i jaki wydzielają zapach. Jak wyglądałaby ta scena w oczach turysty? Jak odebrałaby cieśninę osoba, powiedzmy, z Nebraski? Łodzie przypominałyby zabawki, zachwycające i solidne jak łódeczki w wannie, z pracowitą załogą z południowego wschodu, odzianą w malownicze kombinezony i machającą przyjaźnie marynarzom z innych łodzi.

A tutaj nic z tych rzeczy...

Ruth zastanawiała się, czy połów homarów nie sprawiałby jej większej przyjemności, gdyby miała własną łódź, gdyby była kapitanem. Może to praca z ojcem tak jej doskwierała. Nie przychodziło jej jednak do głowy, kogo wzięłaby na sternika. Przebiegła myślą nazwiska wszystkich młodzieńców z Fort Niles i szybko doszła do wniosku, że — taka jest prawda— to sami idioci. Co do jednego. Nieudolni, leniwi, gburowaci, nie potrafili się wysłowić i wyglądali po prostu śmiesznie. Do żadnego nie miałaby cierpliwości, z wyjątkiem może Webstera Pommeroya, którego było jej żal i o którego troszczyła się jak matka. Webster zdążył jednak zbyt wiele doświadczyć i nie nadawał się na sternika. Nie żeby sama Ruth celowała w połowie homarów. Nie warto się oszukiwać. Nie znała się specjalnie na nawigacji, a już zupełnie na konserwacji łodzi. Kiedyś krzyknęła do ojca „Pali się!", gdy zauważyła, że z ładowni wydobywa się dym. Okazało się, że to para z pękniętego węża.

— Ruth — powiedział wtedy ojciec — miła z ciebie dziewczyna, ale niezbyt bystra.

Ruth była jednak bystra. Zawsze miała poczucie, że inteligencją przewyższa wszystkich wokoło. Skąd jej się to wzięło? Kto jej to w ogóle powiedział? Bóg jeden wie, że publicznie Ruth nigdy by się do tego uczucia nie przyznała. Zabrzmiałoby to bulwersująco, strasznie. Nie mogła wyjawić, co sądzi na temat własnej błyskotliwości.

— Masz się za mądrzejszą od innych.

Ruth często zdarzało się słyszeć taki zarzut od sąsiadów z Fort Niles. Powiedziało jej to kilku chłopców Pommeroyów, Angus Addams, siostry pani Pommeroy i ta stara suka z ulicy Langly, której dziewczyna pewnego lata za grosze kosiła trawnik.

— Dajcie mi spokój — odpowiadała zazwyczaj Ruth.

Nie potrafiła zaprzeczać z większym przekonaniem, ponieważ faktycznie uważała się za znacznie bystrzejszą od innych. To poczucie osadzone było nie tyle w jej głowie, ile w klatce piersiowej. Doświadczała go z każdym oddechem.

Ruth była z pewnością wystarczająco inteligentna, by postarać się o własną łódź, jeśliby tego zapragnęła. Jeśli czegoś chciała, potrafiła to zdobyć. To oczywiste. Nie była na pewno głupsza niż którykolwiek z mężczyzn na obu wyspach, żyjących dostatnio z połowu homarów. Dlaczego miałoby być inaczej? Angus Addams znał pewną kobietę z wyspy Monhegan, która łowiła w pojedynkę i świetnie sobie radziła. Po śmierci brata odziedziczyła jego łódź. Wychowywała samotnie trójkę dzieci. Miała na imię Flaggie. Flaggie Cornwall. Nieźle się rozkręciła. Angus opowiadał, że malowała boje na różowo, w żółte serduszka. Przy tym Flaggie Cornwall potrafiła być też twarda. Odcinała mężczyznom więcierze, jeśli uznała, że szkodzą jej interesom. Angus Addams nawet ją podziwiał. Często o niej mówił.

Ruth byłaby do czegoś takiego zdolna. Mogłaby łowić w pojedynkę. Jednak nie pomalowałaby swoich boi na różowo ani w żółte serduszka. „Jezu Chryste, Flaggie, miej do siebie trochę szacunku!" Wybrałaby ładny, klasyczny wzór. Ruth zastanawiała się, od jakiego imienia pochodzi zdrobnienie Flaggie. To musiał być przydomek. Florence? Agatha? Ruth nigdy nie miała przydomka. Postanowiła, że jeśli zostanie poławiaczem — poławiaczką? — homarów, wymyśli jakiś sposób, by świetnie na tym zarabiać bez zrywania się tak cholernie wcześnie. Bądźmy szczerzy, dlaczego mądry rybak miałby wstawać o czwartej rano? Musiało istnieć jakieś lepsze rozwiązanie.

— Podziwiasz widoki?

Za Ruth stał Cal Cooley. Przestraszyła się, ale nie pokazała tego po sobie. Odwróciła się powoli i obrzuciła go pewnym siebie spojrzeniem.

— Może.

Cal nie dosiadł się do niej. Po prostu stał tuż za jej plecami. Niemal dotykał kolanami jej ramion.

— Odesłałem twoich przyjaciół do domu — oznajmił.

— Czy pan Ellis spotkał się z Senatorem? — spytała Ruth, z góry znając odpowiedź.

— Pan Ellis jest dzisiaj nie w sosie. Nie mógł się z nim zobaczyć.

— I to ma być powód? Nigdy nie przyjmuje Senatora.

— Może i racja.

— Nie macie pojęcia, jak należy się zachowywać. Nie wiecie, jakie z was gbury.

— Nie wiem, co myśli pan Ellis, Ruth, ale ja odesłałem ich do domu. Uznałem, że jeszcze za wczesna pora, żeby się użerać z upośledzonymi.

— Jest czwarta po południu, kutasie. — Ruth bardzo się spodobało spokojne brzmienie własnej repliki.

Cal Cooley przez pewien czas nie ruszał się z miejsca. Stał za plecami Ruth niczym lokaj, choć bardziej poufale. Uprzejmie, lecz zbyt blisko. Jego bliskość zrodziła uczucie, które się dziewczynie nie spodobało. I nie chciała rozmawiać, nie patrząc Cooleyowi w twarz.

— Może usiądziesz? — odezwała się w końcu.

— Chcesz, żebym się przysiadł?

— Jak chcesz, Cal.

— Dzięki — odparł i usiadł. — Bardzo gościnnie z twojej strony. Dziękuję za zaproszenie.

— To wasza ziemia. Nie mogę być gościnna na cudzym terenie.

— To nie moja ziemia, młoda damo, tylko pana Ellisa.

— Naprawdę? Zawsze o tym zapominam. Zapominam, że to faktycznie nie twoja ziemia. A ty zawsze o tym pamiętasz?

Cal nie odpowiedział.

— Jak się nazywa ten mały? Ten z ciosem — spytał.

— Webster Pommeroy.

Cal Cooley dobrze o tym wiedział.

Patrząc na wodę, wyrecytował:

— Pommeroy, okrętowy boy, co za wstrętne małe źdźbło. Wsadził sobie w dupę szkło i obrzezał szypra.

— Urocze — skomentowała Ruth.

— Zdaje się, że miły z niego dzieciak.

— On ma dwadzieścia trzy lata, Cal.

— I chyba się w tobie podkochuje. Zgadłem?

— Mój Boże, Cal. To naprawdę istotne, nie ma co.

— Spójrz na siebie, Ruth! Jesteś taka wykształcona. Tak przyjemnie słuchać, jak używasz uczonych słów. To prawdziwa nagroda. Wszyscy tak się cieszymy, że lata kosztownej nauki procentują.

— Widzę, że próbujesz mnie wkurzyć, Cal, tylko nie wiem, co chcesz przez to osiągnąć.

— To nieprawda, Ruth. Nie chcę cię wkurzać. Jestem całym sercem po twojej stronie.

Ruth roześmiała się gwałtownie.

— Wiesz co, Cal? Ten cios to naprawdę ważne znalezisko.

— Owszem. Mówiłaś.

— Nawet cię nie zainteresowała historia — bardzo zresztą ciekawa — tej niezwykłej katastrofy. Nie spytałeś Webstera, jak znalazł ten cios. To niewiarygodna historia,

a ty zupełnie ją zlekceważyłeś. To mogłoby wkurzać, jeśli nie byłoby takie cholernie nagminne.

— Nieprawda. Na wszystko zwracam uwagę.

— Poświęcasz bardzo wiele uwagi tylko niektórym sprawom.

— Stary Cal Cooley nigdy nie traci czujności.

— W takim razie ten cios powinien cię bardziej zaciekawić.

— Ciekawi mnie, Ruth. Zachowałem go nawet dla pana Ellisa, żeby później rzucił okiem. Myślę, że naprawdę bardzo go to zainteresuje.

— Co znaczy „zachowałeś"?

— Mam go u siebie.

— Zabrałeś go?

— Tak jak mówiłem, mam go u siebie.

— Zabrałeś go. Odesłałeś ich bez ciosu. Jezu Chryste. Jak można coś takiego zrobić?

— Zapalisz ze mną, młoda damo?

— Ale z was banda kutasów.

— Jeśli masz ochotę zapalić, nikomu o tym nie pisnę.

— Kurwa mać, Cal, ja nie palę.

— Na pewno masz sporo za uszami, tylko nikomu o tym nie mówisz.

— Zabrałeś Websterowi cios i go odesłałeś? Co za cholerne świństwo. Typowe.

— Naprawdę pięknie dziś wyglądasz, Ruth. Od razu chciałem ci to powiedzieć, ale nie było okazji.

Ruth wstała.

— OK, idę do domu — zdecydowała.

Odchodziła już, gdy Cal Cooley powiedział:

— Chyba jednak będziesz musiała zostać.

Ruth zatrzymała się. Nie odwracała się, lecz stała

nieruchomo, bo z tonu jego głosu wywnioskowała, co nastąpi.

— Jeśli masz dziś trochę czasu, pan Ellis chciałby się z tobą zobaczyć.

***

Poszli razem do Domu Ellisów. W milczeniu pokonali pastwiska i stary ogród, po czym wspięli się po schodach na werandę na tyłach domostwa i weszli do środka szerokimi balkonowymi drzwiami. Przemierzyli przestronny, pogrążony w ciemności salon, a potem korytarz, aż znaleźli się na skromnej klatce schodowej dla służby. Na górze, pokonawszy kolejny korytarz, dotarli do drzwi pokoju.

Cal Cooley stanął, jakby miał zaraz zapukać, lecz zamiast tego się odsunął. Przeszedł kilka kroków dalej, zatrzymał się przy innych, wbudowanych we wnękę drzwiach. Skinął na Ruth, by do niego dołączyła. Położył jej na ramionach swoje wielkie dłonie i szepnął:

— Wiem, że mnie nie cierpisz.

Po czym się uśmiechnął.

Ruth słuchała.

— Wiem, że mnie nie znosisz, ale mogę ci zdradzić, o co chodzi, jeśli chcesz wiedzieć.

Dziewczyna milczała.

— Chcesz wiedzieć?

— Nie obchodzi mnie, co powiesz, a czego nie — odparła. — To w moim życiu nic nie zmieni.

— Oczywiście, że cię obchodzi. Przede wszystkim — mówił Cal ściszonym głosem — pan Ellis po prostu chce cię zobaczyć. Już od kilku tygodni się o ciebie dopytuje, a ja mu kłamię. Powiedziałem mu, że jesteś jeszcze w szkole. A potem, że pracujesz z ojcem na łodzi.

Czekał na odpowiedź, ale Ruth milczała.

— Chyba powinnaś mi za to podziękować — powiedział. — Nie lubię kłamać panu Ellisowi.

— To tego nie rób.

— Da ci kopertę — wyjawił Cal. — Z trzystoma dolarami.

Znów nie doczekał się odpowiedzi, więc ciągnął:

— Pan Ellis powie ci, że to pieniądze na rozrywki, tylko dla ciebie. To prawda, do pewnego stopnia. Możesz je wydać, na co masz ochotę. Ale ty wiesz, na co one są, co? Pan Ellis chce cię poprosić o przysługę.

Ruth nadal milczała.

— Tak jest — podjął Cal. — Chce, żebyś odwiedziła matkę w Concord. A ja cię do niej zawiozę.

Stali tak we wnęce. On z wielkimi dłońmi na jej szerokich ramionach. Upłynęło sporo czasu.

— Przemyśl to sobie, młoda damo.

— Jasna cholera — skomentowała Ruth.

Cal opuścił dłonie.

— Po prostu weź te pieniądze. Radzę ci, nie sprzeciwiaj mu się.

— Nigdy mu się nie sprzeciwiam.

— Bierz pieniądze i bądź uprzejma. Potem obgadamy szczegóły.

Cal wyszedł z wnęki i zbliżył się do poprzednich drzwi. Zapukał. Szepnął jeszcze do Ruth:

— Tego przecież chciałaś, co? Chciałaś wiedzieć. Żadnych niespodzianek. Lubisz o wszystkim wiedzieć, co?

Otworzył drzwi, a Ruth weszła do pokoju. Sama. Drzwi zamknęły się za nią z pięknym szelestem, jaki wydaje droga tkanina.

Znajdowała się w sypialni pana Ellisa.

Łóżko pościelono tak nieskazitelnie, jakby nigdy

z niego nie korzystano. Jakby pościel pochodziła z tego samego okresu, co sam mebel, i była do niego na stałe przymocowana. Wyglądało, jakby wystawiono je na pokaz w jakimś drogim sklepie. Ściany zastawione były półkami, na których stały rzędy ciemnych książek, przy czym każda miała dokładnie takie same wymiary i odcień jak sąsiednie. Jakby pan Ellis nabył jeden tom, a potem kazał wykonać jego repliki, którymi obstawił pokój. W kominku palił się ogień, a na gzymsie stały ciężkie wabiki — drewniane dzikie kaczki służące do przywoływania kaczorów w czasie polowań. Stare tapety urozmaicały oprawione ryciny przedstawiające klipry i wielkie żaglowce.

Pan Ellis siedział przy kominku w ogromnym przepastnym fotelu. Był już bardzo, bardzo stary i mizerny. Kraciasty pled otulał go od stóp niemal po pachy. Mężczyzna był zupełnie łysy, a jego czaszka sprawiała wrażenie chłodnej i delikatnej. Wyciągnął ręce do Ruth, ukazując otwarte, drżące dłonie. Jego oczy były pełne błękitu, pełne łez.

— Cieszę się, że pana widzę, panie Ellis — odezwała się dziewczyna.

Staruszek rozpływał się w uśmiechach.

4

Przemierzając dno w poszukiwaniu zdobyczy, homar porusza się zręcznie na swoich delikatnych odnóżach. Wyjęty zaś z wody, ze względu na duży ciężar ciała oraz szczypiec, może jedynie pełzać, gdyż cienkie kończyny nie są w stanie go utrzymać.

The American Lobster: A Study of Its Habits and Development
dr Francis Hobart Herrick
1895

Wieczorem, gdy Ruth Thomas wyjawiła ojcu, że była w Domu Ellisów, ten skwitował to tylko:

— Wszystko mi jedno, z kim spędzasz czas, Ruth.

Dziewczyna szukała ojca, odkąd wyszła od pana Ellisa. Poszła do portu, zauważyła tam jego łódź, ale inni rybacy powiedzieli jej, że już dawno skończył pracę. Zajrzała do domu, ale nie odpowiedział na nawoływanie. Wsiadła więc na rower i pojechała do domu braci Addamsów. Może wstąpił napić się z Angusem? Tak rzeczywiście było.

Mężczyźni siedzieli rozparci w fotelach na werandzie, z piwem w ręku. Pies Senatora Simona, Cookie, sapał,

leżąc na stopach Angusa. Zmierzchało, powietrze lśniło złotem i drgało od upału. Nad ich głowami niskim lotem śmigały nietoperze. Ruth zostawiła rower przed domem i weszła na werandę.

— Cześć, tato.

— Cześć, kochanie.

— Dzień dobry, panie Addams.

— Dzień dobry, Ruth.

— Jak połów homarów?

— Świetnie, wyśmienicie — odpowiedział Angus. — Już odkładam na spluwę, żeby odstrzelić sobie ten pieprzony łeb.

Angus Addams, w przeciwieństwie do brata bliźniaka, z wiekiem stawał się coraz szczuplejszy. Lata pracy przy złej pogodzie zniszczyły mu cerę. Mrużył oczy, jakby raziło go słońce. Spędziwszy całe życie w pobliżu hałaśliwych silników łodzi, zaczął też tracić słuch, więc mówił podniesionym głosem. Nie znosił niemal wszystkich mieszkańców Fort Niles, a gdy nachodziła go ochota wyłożyć ze szczegółami przyczyny tego stanu rzeczy, nie sposób go było powstrzymać.

Większość wyspiarzy obawiała się Angusa, za to ojciec Ruth go lubił. Gdy był jeszcze chłopcem, pracował u Addamsa jako sternik. Okazał się bystrym, zręcznym i ambitnym uczniem. Teraz rzecz jasna ojciec Ruth miał własną łódź. Obaj mężczyźni zdominowali homarowy biznes na Fort Niles. Chciwiec Numer Jeden i Chciwiec Numer Dwa. Łowili bez względu na pogodę, nie znając ograniczeń co do wielkości połowu ani też litości wobec innych rybaków. Chłopcy, którzy najmowali się do pracy jako sternicy u Angusa i Staną, zwykle po kilku tygodniach rezygnowali, nie wytrzymując narzuconego im

tempa. Inni poławiacze homarów — mniej stroniący od alkoholu, bardziej otyli, leniwi czy głupi (zdaniem ojca Ruth) — okazywali się mniej wymagającymi szefami.

Co do Staną Thomasa — był wciąż najprzystojniejszym mężczyzną na Fort Niles. Po odejściu matki Ruth nigdy się ponownie nie ożenił, lecz dziewczyna wiedziała, że miewał romanse. Snuła pewne domysły na temat tożsamości jego rodziców, ale ojciec nigdy z nią o tym nie rozmawiał, więc nie drążyła sprawy. Był niewysoki, lecz miał szerokie barki i wąskie biodra.

— Ani śladu tyłka — mawiał.

W wieku czterdziestu pięciu lat ważył wciąż tyle samo, ile jako dwudziestopięciolatek. Pedantycznie dbał o ubranie i codziennie się golił. Co dwa tygodnie chodził do pani Pommeroy, żeby się ostrzyc. Ruth podejrzewała, że mogło ich łączyć coś więcej, lecz sama myśl o tym była dla niej tak nieznośna, że nigdy jej na dłużej nie zaprzątała. Ojciec miał bardzo ciemne, brązowe włosy i niemal zielone oczy. Nosił też wąsy.

Osiemnastoletnia Ruth uważała go za całkiem porządnego człowieka. Wiedziała o jego reputacji kutwy i kombinatora w interesach, lecz zdawała sobie sprawę, że zrodziła się ona w głowach wyspiarzy, którzy w ciągu jednej nocy przepuszczali w barze pieniądze za tygodniowy połów. Ludzie ci uznawali oszczędność za zachowanie aroganckie i obraźliwe. Nie mogli się równać z jej ojcem, wiedzieli o tym i nie znosili tej świadomości. Ruth zdawała sobie również sprawę, że najlepszy przyjaciel ojca był łobuzem i bigotem, ale i tak zawsze go lubiła. W każdym razie nie uważała go za hipokrytę, co stawiało go w korzystniejszym świetle niż wielu innych.

Na ogół Ruth całkiem nieźle dogadywała się z ojcem.

Najlepiej, gdy nie pracowali razem ani nie próbował jej niczego nauczyć, na przykład prowadzenia samochodu, reperowania lin czy sterowania według kompasu. Takie sytuacje zawsze kończyły się krzykiem. Tego krzyku Ruth nie miała jednak ojcu specjalnie za złe. Nie lubiła za to, gdy milkł. Działo się to zwykle, gdy sprawa w jakiś sposób dotyczyła matki dziewczyny. Ruth sądziła, że ojciec tchórzy. Jego milczenie wzbudzało w niej czasem niesmak.

— Napijesz się piwa? — spytał Angus Addams.

— Nie, dziękuję.

— To dobrze — odparł. — Tyje się od tego jak cholera.

— Pana to najwyraźniej nie dotyczy.

— Bo ja pracuję.

— Ruth też potrafi pracować — powiedział Stan Thomas. — Chce się latem nająć do połowu homarów.

— Cholera jasna, powtarzacie mi to prawie od miesiąca. Lato zaraz się skończy.

— Weźmiesz ją na sternika?

— Ty ją weź, Stan.

— Wtedy się pozabijamy — powiedział ojciec Ruth. — Lepiej ty.

Angus przecząco pokręcił głową.

— Powiem ci szczerze — wyznał — dopóki sam daję sobie radę, nie chcę żadnych pomocników. Kiedyś łowiliśmy sami. I tak jest lepiej. Żadnego podziału.

— Wiem, wiem, pan nie lubi się dzielić — wtrąciła się Ruth.

— Zgadza się, moja panno, cholernie nie znoszę się dzielić. I powiem ci dlaczego. W 1936 przez cały pieprzony rok zarobiłem tylko trzysta pięćdziesiąt dolarów, a pachałem jak dziki. Koszty wyniosły prawie trzysta. Zostało pięćdziesiąt na całą zimę. A miałem jeszcze na

głowie mojego cholernego brata. Więc owszem, jeżeli nie muszę, to się nie dzielę.

— Daj spokój, Angusie. Daj dziewczynie robotę. Jest silna — przekonywał Stan. — Chodź no tu, Ruth. Podwiń rękawy, dziecino. Pokaż, jaką masz krzepę.

Ruth podeszła i posłusznie naprężyła mięśnie prawej ręki.

— Ależ miażdżący szczypiec — powiedział ojciec, naciskając biceps. Potem Ruth naprężyła muskuły lewej ręki, które Stan również ścisnął. — A ten jak złapie, to już nie wypuści!

— Zmiłujcie się, cholera jasna — przyhamował go Angus.

— Senator jest w domu? — spytała Ruth.

— Poszedł do Pommeroyów — odparł Addams. — Cholernie się przejął tym pieprzonym gnojkiem.

— Martwi się o Webstera?

— Powinien go, kurwa, adoptować.

— I zostawił Cookie z panem? — dopytywała się Ruth.

Angus odwarknął coś i odtrącił psa nogą. Cookie obudziła się i cierpliwie obejrzała za siebie.

— Przynajmniej jest w dobrych rękach — orzekł z uśmieszkiem ojciec. — Simon zostawił psa komuś, kto o niego zadba.

— Czule i troskliwie — uzupełniła Ruth.

— Nie znoszę tego przeklętego kundla — powiedział Angus.

— Ach tak? — spytała Ruth, otwierając szeroko oczy. — Naprawdę? Nie wiedziałam. A ty wiedziałeś, tato?

— Nic podobnego, Ruth.

— Nienawidzę tego cholernego psa — powtórzył Angus. — Aż mnie skręca na myśl, że muszę go karmić.

Ruth i Stan wybuchnęli śmiechem.

— Nie cierpię tego przeklętego kundla — upierał się Angus. Wyliczając kłopoty z Cookie, coraz bardziej podnosił głos. — Ucho mu się paprze i muszę mu kupować jakieś cholerne krople, i jeszcze dwa razy dziennie go trzymać, kiedy Simon mu je wpuszcza. Muszę mu kupować te przeklęte krople, chociaż wolałbym, żeby ogłuchł. Ta cholera pije prosto z wychodka, co dzień rzyga i w życiu jej się nie zdarzyło nie mieć sraczki.

— Coś jeszcze pana niepokoi? — zainteresowała się Ruth.

— Simon chce, żebym okazywał temu psu jakieś cholerne uczucia, ale instynkt mi tego zabrania.

— A co panu nakazuje?

— Zmiażdżyć go ciężkim buciorem.

— Jesteś okropny — stwierdził Stan, kulając się ze śmiechu. — Jesteś straszny, Angusie.

Ruth weszła do środka i nalała sobie wody. Kuchnia w domu Addamsów była wręcz nieskazitelna. Angus był flejtuchem, lecz brat dbał o niego niczym żona, polerował chromowane wykończenia na wysoki połysk i zapełniał lodówkę. Ruth miała pewność, że Senator Simon wstawał codziennie o czwartej rano, przygotowywał Angusowi śniadanie (bułeczki, jajka, kawałek ciasta) i pakował kanapki na lunch. Inni mężczyźni drwili z Angusa, żaląc się, że się tak dobrze nie urządzili. Addams odgryzał się, każąc im zamknąć mordy i przypominając, że nie trzeba się było żenić z tymi grubymi, leniwymi kurwami. Ruth wyjrzała przez kuchenne okno na podwórko na tyłach domu, gdzie powiewały na wietrze suszące się nieprzemakalne spodnie i kalesony. Na blacie leżała grasica, więc dziewczyna odkroiła sobie kawałek i jedząc, wróciła na werandę.

— Dziękuję. Nie będę jadł — dogryzł jej Angus.

— Przepraszam. Chce pan kawałek?

— Nie, ale wypiłbym jeszcze piwka, Ruth.

— Przyniosę następnym razem.

Angus uniósł brwi i gwizdnął.

— To tak wykształcone panny traktują przyjaciół?

— O kurczę, panie Addams.

— Tak dziewczęta Ellisów traktują przyjaciół?

Ruth nie odpowiedziała, a jej ojciec zaczął się nagle przyglądać czubkom własnych butów. Na werandzie zapanowała cisza. Ruth chciała się przekonać, czy ojciec przypomni Angusowi, że jest dziewczyną Thomasów, nie Ellisów, ale Stan milczał.

Addams odstawił pustą butelkę na podłogę i odezwał się:

— Chyba sam się obsłużę — po czym zniknął w domu.

Ojciec spojrzał na Ruth.

— Co dziś robiłaś, kochanie? — spytał.

— Możemy o tym porozmawiać przy kolacji.

— Zostaję na kolacji u Angusa. Możemy teraz pogadać.

Więc Ruth powiedziała:

— Widziałam się dzisiaj z panem Ellisem. Nadal chcesz o tym teraz rozmawiać?

Ojciec odparł spokojnie:

— Wszystko mi jedno, o czym chcesz mówić i kiedy.

— Jesteś zły, że u niego byłam?

Wtedy na werandę wrócił Angus Addams i usłyszał słowa Staną:

— Wszystko mi jedno, z kim spędzasz czas, Ruth.

— A z kim ona się, do cholery, wałęsa? — zaciekawił się Angus.

— Była u Lanforda Ellisa.

— Tato, nie chcę teraz o tym mówić.

— Znów te przeklęte kanalie — powiedział Addams.

— Ruth trochę u niego posiedziała.

— Tato...

— Nie musimy mieć tajemnic przed przyjaciółmi, Ruth.

— W porządku — odparła dziewczyna i rzuciła ojcu kopertę od pana Ellisa.

Stan odemknął ją i zerknął na banknoty. Potem odłożył ją na poręcz fotela.

— Co to ma, do cholery, znaczyć? — spytał Angus. — Co to ma być? Kupa siana? Pan Ellis dał ci te pieniądze, Ruth?

— Tak. Dał mi je.

— No to mu je, kurwa, oddaj.

— To chyba nie pana interes. Mam oddać pieniądze, tato?

— Mam w nosie, na co ci ludzie wyrzucają pieniądze, Ruth — odparł Stan Thomas. "Wziął jednak kopertę, wyjął banknoty i policzył. Było ich piętnaście. Piętnaście dwudziestodolarówek.

— Na co ci te cholerne pieniądze? — dopytywał się Angus. — Na co, do cholery jasnej?

— Nie wtrącaj się, Angusie — powstrzymał go ojciec Ruth.

— Pan Ellis powiedział, że mam je przeznaczyć na rozrywki.

— Ach tak? — spytał ojciec.

— Właśnie.

— Na rozrywki? Jakie rozrywki?

Ruth nie odpowiedziała.

.— Zapowiada się niezła zabawa — ciągnął ojciec. — A ty, Ruth, dobrze się bawisz?

Dziewczyna wciąż milczała.

— Ci Ellisowie naprawdę wiedzą, jak się zabawić.

— Nie wiem, po co ci te pieniądze, ale bierz dupę w troki i zanieś je z powrotem — wtrącił się jednak Angus.

Cała trójka skupiła się wokół banknotów.

— Jest jeszcze jedna rzecz — odezwała się Ruth.

Ojciec przeciągnął dłonią po twarzy — tylko raz — jakby nagle zdał sobie sprawę, że jest zmęczony.

— Słucham.

— Jeszcze jedno: pan Ellis bardzo by chciał, żebym przeznaczyła część pieniędzy na odwiedziny u mamy. Mojej matki.

— Jezu Chryste! — wybuchnął Addams. — Jezu Chryste, Ruth, nie było cię cały cholerny rok! Przecież dopiero wróciłaś, a już cię próbują odesłać z powrotem!

Ojciec milczał.

— Ci cholerni Ellisowie wyrabiają z tobą, co im się żywnie podoba, mówią ci, co masz robić, dokąd chodzić i z kim się spotykać — perorował Angus. — Robisz wszystko, co ta przeklęta rodzinka ci każe. To się źle skończy, będziesz taka sama jak twoja cholerna matka.

— Nie wtrącaj się, Angus! — krzyknął Stan Thomas.

— Zgadzasz się, tato? — spytała ostrożnie Ruth.

— Chryste, Stan! — wyrwało się Angusowi. — Powiedz swojej przeklętej córuchnie, żeby siedziała tam, gdzie jej cholerne miejsce.

— Przede wszystkim — zwrócił się ojciec do Angusa — stul cholerny pysk.

Dalszego ciągu nie było.

— Jeśli nie chcesz, żebym się z nią zobaczyła, nie pojadę — powiedziała Ruth. — Jeśli chcesz, żebym oddała pieniądze, zrobię to.

Ojciec dotknął koperty. Po chwili milczenia powiedział osiemnastoletniej córce:

— Wszystko mi jedno, z kim spędzasz czas.

Odrzucił jej pieniądze.

— Co cię napadło?! — Angus Addams ryknął na przyjaciela. — Ludzie, co się z wami, do cholery, dzieje?

***

Sprawa matki Ruth rzeczywiście stanowiła spory problem.

Według mieszkańców Fort Niles, zawsze było z nią coś nie w porządku. Różniła się od pozostałych, których rodziny zamieszkiwały wyspę od pokoleń. Nie wiedziała dokładnie — jak wszyscy oprócz niej — kim byli jej przodkowie. Urodziła się na Fort Niles, lecz nie do końca stąd pochodziła. Stanowiła problem, ponieważ była córką sieroty i emigrantki.

Nikt nie znał prawdziwego nazwiska babki Ruth. Nikt nic o tej emigrantce nie wiedział. Drzewo genealogiczne matki Ruth pozbawione było zatem obu gałęzi — rozwidlało się w dwie ślepe uliczki. Nie miała żadnych przodków, żadnych korzeni, dzięki którym mogłaby określić swoją tożsamość. Ruth Thomas mogła prześledzić genealogię ojca dwieście lat wstecz, nie opuszczając cmentarza na Fort Niles, lecz nie była w stanie cofnąć się w przeszłość poza sierotę i emigrantkę, na której zaczynała się i kończyła krótka historia rodziny matki. Ponieważ korzenie matki pozostały nieznane, na wyspie odnoszono się do niej nieufnie. Od narodzin otaczały ją dwie tajemnice, a na Fort Niles nikt nie miał żadnych sekretów. Nie można było tak po prostu zjawić się na wyspie, bez udokumentowanej historii rodzinnej, która świadczyłaby o człowieku. Coś takiego wprawiało ludzi w zaniepokojenie.

Babcia Ruth Thomas — matka jej matki — była sierotą, której nadano wymyślone pośpiesznie i bez polotu imię i nazwisko Jane Smith. W 1884 roku podrzucono ją jako niemowlę na schody przytułku dla sierot po oficerach marynarki w Bath. Opiekunki przygarnęły ją, wykąpały i obdarzyły niewyszukanym imieniem i nazwiskiem, które uznały za równie odpowiednie jak każde inne. W owym czasie placówka ta była jeszcze stosunkowo nową instytucją. Założono ją tuż po wojnie domowej z zamiarem ulokowania w niej osieroconych w wyniku konfliktu dzieci, szczególnie potomstwa poległych w walkach oficerów floty wojennej.

Przytułek był rygorystycznie prowadzony i świetnie zorganizowany, wychowanków zachęcano do utrzymywania czystości, uprawiania gimnastyki i regularnego wypróżniania się. Możliwe, że dziecko, które nazwano Jane Smith, było córką marynarza, a nawet oficera floty wojennej, jednak nie znaleziono przy nim niczego, co by na to wskazywało. Żadnej informacji, znaczącego przedmiotu czy elementu ubrania. Na schodach przytułku leżało jedynie dobrze opatulone zdrowe niemowlę.

W 1894 roku, gdy sierota nazwiskiem Jane Smith skończyła dziesięć lat, adoptował ją pewien pan, który przedstawił się jako doktor Jules Ellis. Choć był to jeszcze młody mężczyzna, zdążył już wiele osiągnąć. Założył w Concord w stanie New Hampshire firmę zajmującą się wydobyciem granitu. Wakacje spędzał zawsze na wyspach Maine, gdzie działało kilka jego dochodowych kamieniołomów. Lubił Maine. Uważał tamtejszą ludność za wyjątkowo wytrzymałą i uczciwą. Dlatego też gdy postanowił, że nadeszła pora, by adoptować dziecko, rozpoczął poszukiwania właśnie od sierocińca w Maine. Uznał, że ta placówka zagwarantuje mu zdrową dziewczynkę.

Nie bez przyczyny adoptował właśnie dziewczynkę. Doktor Jules Ellis miał ukochaną córkę — rozpieszczoną dziewięcioletnią Verę — która uparcie prosiła o siostrę. Miała już kilku braci, lecz śmiertelnie się z nimi nudziła. Pragnęła towarzyszki zabaw, która spędzałaby z nią długie lato na odległej wyspie Fort Niles. Doktor Jules postarał się więc o Jane Smith — siostrę dla swojej ulubienicy.

— Oto twoja nowa siostra bliźniaczka — oznajmił Verze w jej dziesiąte urodziny.

Dziesięcioletnia Jane była wysoką, nieśmiałą dziewczynką. Podczas adopcji zmieniono jej nazwisko na Smith—Ellis, co przyjęła bez protestu. W dniu, w którym doktor przedstawił ją córce, zawiązał jej na głowie czerwoną kokardę. Uwieczniono to na fotografiach. Wstążka na głowie dużej dziewczynki w sukience z sierocińca wygląda na nich absurdalnie. Jak obelga.

Od tego czasu Jane Smith—Ellis nie odstępowała Very Ellis na krok. Co roku, w trzecią sobotę czerwca, dziewczynki udawały się na Fort Niles, by powrócić z wyspy w drugą sobotę września. Jane towarzyszyła Verze w drodze do posiadłości Ellisów w Concord.

Nie ma powodu przypuszczać, że babka Ruth Thomas była kiedykolwiek naprawdę uważana za siostrę panny Very. Choć adopcja uczyniła je pod względem prawnym równymi, sama myśl, że zasługiwały w domu Ellisów na jednakowe traktowanie, zakrawała na farsę. Vera nie kochała Jane, jak się kocha siostrę, lecz zdawała się na niej całkowicie polegać jako na służącej. Mimo jednak iż Jane spełniała obowiązki służącej, w świetle prawa była członkiem rodziny, więc nie otrzymywała za swą pracę wynagrodzenia.

— Twoja babka — powtarzał ojciec Ruth — była niewolnicą tej przeklętej rodzinki.

— Twoja babka — mawiała matka — miała szczęście, że adoptowała ją tak hojna rodzina jak Ellisowie.

Panna Vera nie wyrosła na piękność, jednak miała przewagę w postaci bogactwa. Zawsze cudownie się ubierała. Zachowały się jej fotografie w doskonałych strojach do pływania, jazdy konnej i na łyżwach, czytania bądź — w nieco starszym wieku — do tańca, prowadzenia samochodu czy wreszcie w kreacji ślubnej. Toalety z przełomu wieków były misterne i ciężkie. Babka Ruth Thomas pomagała pannie Verze się ubierać, dobierała jej giemzowe rękawiczki, dbała o pióra u jej kapeluszy, prała pończochy i koronki. Właśnie ona selekcjonowała, układała i pakowała gorsety, halki, buty, krynoliny i torebki przydatne pannie Verze podczas corocznego letniego pobytu na Fort Niles. Ona też bez najmniejszej pomyłki układała w kufrach rzeczy panny Very przed jesiennym powrotem do Concord.

Pannie Verze Ellis zdarzało się też, rzecz jasna, udać na weekend do Bostonu, urządzić październikowy wypad do doliny rzeki Hudson czy wyjechać do Paryża, by udoskonalić maniery. W takich sytuacjach także potrzebowała obsługi. Babka Ruth, sierota Jane Smith—Ellis, doskonale się w tym sprawdzała.

Zresztą Jane również nie należała do szczególnie urodziwych. Podobnie jak panna Vera, nie przyciągała wzroku. Niemniej rodzona córka doktora Julesa ma przynajmniej na fotografiach choć odrobinę interesujący wyraz twarzy — minę wyniosłej bogaczki — a babce Ruth brak nawet tego. Twarz Jane, stojącej za doskonale znudzoną Vera Ellis, zupełnie nic nie wyraża. Żadnej bystrości, znamionującej zdecydowanie wysuniętej brody czy posępnie

wykrzywionych ust. Brakuje błysku w oku, lecz nie ma też łagodności. Tylko ogromne, monotonne zmęczenie.

Latem 1905 roku panna Vera wyszła za młodzieńca z Bostonu nazwiskiem Joseph Hanson. Ślub nie odbił się wielkim echem — rodzina pana młodego była wprawdzie porządna, lecz Ellisowie znacznie ją przewyższali, więc ster pozostał w rękach panny Very. Małżeństwo nie naraziło jej właściwie na żadną niedogodność. Nigdy nie mówiła o sobie pani Josephowa Hanson, zwracano się do niej nieodmiennie „panno Vero Ellis". Para zamieszkała w domu rodzinnym Very w Concord. Co roku w trzecią sobotę czerwca, zgodnie z tradycją, przenosiła się na Fort Niles, by powrócić z wyspy w drugą sobotę września.

Co więcej, ślub panny Very Ellis i Joego Hansona ani na jotę nie zmienił trybu życia babki Ruth. Jej obowiązki pozostały wciąż wyraźnie określone. Naturalnie usługiwała pannie Verze w dniu jej ślubu. (Nie była, rzecz jasna, druhną — w tej roli wystąpiły córki zaprzyjaźnionych rodzin oraz kuzynki. Jane pomagała pannie młodej się ubrać, pozapinała tuziny perłowych guziczków na plecach sukni, zawiązała wysokie ślubne buciki i upięła francuski welon.) Babka Ruth towarzyszyła też małżonkom podczas podróży poślubnej na Bermudy. (Przynosiła z plaży parasolki panny Very, wyczesywała piasek z jej włosów, dbała, by wełniane stroje kąpielowe nie płowiały podczas wysychania.) Jane nie opuściła jej też po ślubie i miodowym miesiącu.

Panna Vera i Joseph Hanson nie doczekali się wprawdzie potomstwa, lecz na młodej żonie spoczywał szereg zobowiązań towarzyskich. Musiała przecież uczestniczyć w mnóstwie wydarzeń, odbyć niezliczone spotkania, napisać wszystkie listy. Rankiem, jeszcze w łóżku, skubnąwszy śniadanie przyniesione jej na tacy przez babkę Ruth, panna

Vera dyktowała jej listę dziennych obowiązków, subtelnie naśladując pracodawcę wydającego polecenia pracownikowi.

— Zobacz, czy będziesz w stanie się tym zająć, Jane — mawiała.

Robiła to codziennie, przez całe lata.

Ta rutyna trwałaby pewnie o wiele dłużej, gdyby nie pewne wydarzenie. Jane Smith—Ellis zaszła w ciążę. Pod koniec 1925 roku cichutka sierota, którą Ellisowie adoptowali z przytułku w Bath, spodziewała się dziecka. Miała czterdzieści jeden lat. To było wprost nie do pomyślenia. Nie trzeba, rzecz jasna, dodawać, że nie miała męża — nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że jakiś pretendent do jej ręki mógłby się w ogóle pojawić. Oczywiście nikt w rodzinie Ellisów nawet przez mgnienie oka nie myślał, iż Jane mogłaby prowadzić jakieś życie intymne. Nie oczekiwali, że znajdzie sobie jakichkolwiek przyjaciół, nie mówiąc o kochanku. Nigdy by na to nie wpadli. Inni służący wciąż wikłali się w rozmaite idiotyczne sytuacje, lecz Jane była zbyt praktyczna i zbyt niezbędna, by popaść w kłopoty. Panna Vera nie obywała się bez niej zbyt krótko, żeby Jane zdążyła się w coś wplątać. Zresztą, dlaczego w ogóle miałaby szukać kłopotów?

Ellisowie, w rzeczy samej, mieli do Jane wiele pytań. Rozmaitych pytań dotyczących ciąży. Oraz wymagań. Jak do tego w ogóle doszło? Kto jest winien tej katastrofy? Niemniej babka Ruth Thomas, choć na ogół była posłuszna, nie wyjawiła im nic poza jednym szczegółem.

— On jest Włochem — wyznała.

Włochem? W ł o c h e m? Oburzające! Cóż mogli pomyśleć? Oczywiście mężczyzna odpowiedzialny za rodzinną tragedię był jednym z setek włoskich emigrantów, którzy pracowali w kamieniołomach Ellisa na Fort

Niles. Ellisowie nie mogli tego pojąć. Jak Jane trafiła do kamieniołomów? I — co jeszcze bardziej zadziwiające —jak jakiś robotnik dostał się do Jane? Czy dziewczyna chodziła po nocach do chałupinek, w których mieszkali Włosi? Czy też — o zgrozo! — jakiś włoski robotnik zakradał się do Domu Ellisów? Nieprawdopodobne. Czy długo się spotykali? Może latami? Czy Jane miała innych kochanków? Czy to pojedynczy błąd, czy może Jane prowadziła perwersyjne podwójne życie? Czy to był gwałt? A może zachcianka? Albo romans?

Włoscy robotnicy nie znali angielskiego. Zatrudniano wciąż nowych, więc nawet dla bezpośrednich przełożonych pozostawali anonimowi. Brygadzistom było wszystko jedno — według nich mogli mieć nawet dokręcane głowy, które by się tylko wymieniało. Nikt nie traktował ich jako osobowości. Byli katolikami. Nie utrzymywali kontaktów z ludnością wyspy, nie mówiąc o otoczeniu rodziny Ellisów. Właściwie ich ignorowano. Zauważano ich tylko wtedy, gdy się narazili. Miejscowa gazeta, która upadła tuż po ustaniu handlu granitem, niekiedy publikowała pomstujące na Włochów artykuły.

„The Fort Niles Bugle", luty 1905:

„Ci garibaldziści to najbiedniejsze, najnikczemniej—sze stworzenia w Europie. Niemoralne czyny Włochów doprowadziły do tego, że ich dzieci i żony są kalekie i przygarbione".

„Ci neapolitańczycy" — pisze dalej autor artyku-łu — „szokują nasze dzieci, które muszą przechodzić obok nich na naszych drogach i słuchać, jak paplają, wydając przerażające, szczekliwe odgłosy".

To było wprost niesłychane, by Włoch, garibaldzista, neapolitańczyk, mógł przestąpić próg Domu Ellisów. Nie—

mniej, pytana przez rodzinę o ojca swego dziecka, babka Ruth odpowiadała tylko: „To Włoch".

Rozważano wyciągnięcie pewnych konsekwencji. Doktor Jules chciał natychmiast zwolnić Jane, lecz żona przypomniała mu o związanych z tym trudnościach. Zaznaczyła, iż trochę nie wypada zwalniać kobietę, która — bądź co bądź — nie była przez rodzinę zatrudniana, lecz adoptowana.

— Więc się jej wyrzeknijcie! — grzmieli bracia panny Very, jednak ta nie chciała o tym nawet słyszeć. Jane popełniła błąd i Vera czuła się zdradzona, ale przyszywana siostra była jej niezbędna. Nie, nie było innego wyjścia — Jane musiała zostać, ponieważ Vera nie mogła się bez niej obyć. Nawet bracia przyznali, że było w tym sporo racji. Przecież Vera była nieznośna, a pozbawiona ciągłej obsługi zmieniłaby się w istną krwiożerczą harpię. Jane powinna była zatem zostać.

Zamiast kary dla nielojalnej towarzyszki Vera zażądała jednak wyciągnięcia konsekwencji wobec włoskiej społeczności Fort Niles. Zapewne nigdy wcześniej nie słyszała o zgrajach dokonujących samosądu, jednak mniej więcej taki sposób wymierzenia sprawiedliwości miała właśnie na myśli. Spytała ojca, czy nie miałby nic przeciwko, gdyby złapano kilku Włochów i dano im solidną nauczkę lub puszczono z dymem parę nędznych chałupinek. Doktor Ellis nie dopuszczał jednak takiej możliwości. Był zbyt mądrym przedsiębiorcą, by pozwolić na zakłócenie pracy kamieniołomów czy okaleczenie sprawnych robotników, postanowił więc wyciszyć całą sprawę. Załatwiono ją z największą dyskrecją.

Jane Smith—Ellis pozostała z rodziną przez okres ciąży, usługując pannie Verze. Urodziła w czerwcu 1926 roku,

w noc po przybyciu Ellisów na lato na Fort Niles. Nikomu nie przyszło do głowy, by zmienić plany ze względu na jej zaawansowaną ciążę. W tym stanie kobieta nie powinna w ogóle przebywać na łodzi, lecz Vera zmusiła ją do podróży. Dziecko przyszło na świat praktycznie na nabrzeżu wyspy. Dziewczynce nadano imię Mary. Była nieślubnym dzieckiem sieroty i emigrantki i matką Ruth.

Po problematycznym porodzie panna Vera zwolniła Jane na tydzień od obowiązków. Gdy urlop się kończył, wezwała ją do siebie i wyznała ze łzami w oczach:

— Potrzebuję cię, kochana. Dzidziuś jest śliczny, ale musisz mi pomóc. Bez ciebie po prostu sobie nie radzę. Teraz musisz zająć się mną.

Jane Smith—Ellis nie spała więc nocami, zajmując się dzieckiem, i pracowała w dzień, obsługując pannę Verę — szyjąc, ubierając, zaplatając jej włosy, szykując kąpiele, zapinając i rozpinając suknię za suknią. Służba Ellisów starała się w tym czasie doglądać niemowlęcia, miała jednak własne obowiązki. Matka Ruth, choć prawnie należała do rodziny, spędziła dzieciństwo w pokojach dla służby, spiżarniach i piwniczkach, przekazywana z rąk do rąk, jakby ją przemycano. Zimą, gdy rodzina wracała do Concord, nic się właściwie nie zmieniało. Vera nie dawała Jane chwili wytchnienia.

Na początku lipca 1927 roku, gdy Mary miała niewiele ponad rok, panna Vera zaraziła się odrą i dostała wysokiej gorączki. Lekarz, jeden z letnich gości Ellisów na Fort Niles, przepisał chorej morfinę, która łagodziła dolegliwości i usypiała ją na długie godziny. W tym czasie Jane odpoczywała — po raz pierwszy, odkąd trafiła do tej rodziny jako dziecko. Po raz pierwszy zaznała przyjemności wolnego czasu i wytchnienia od obowiązków.

Pewnego popołudnia, gdy panna Vera i mała Mary spały, babka Ruth zeszła stromą ścieżką z urwiska na wschodni brzeg wyspy. Czy to był jej pierwszy spacer? Pierwsze swobodne godziny w życiu? Zapewne tak. Wzięła ze sobą czarną torbę z drutami i robótką. Dzień był piękny, pogodny, a ocean spokojny. Dotarłszy do brzegu, Jane wdrapała się na wielką skałę wcinającą się w wodę, usiadła na niej i zaczęła robić na drutach. Poniżej fale równo i łagodnie unosiły się, a potem opadały. W górze krążyły mewy. Jane siedziała w samotności, zajęta robótką. Świeciło słońce.

Po kilku godzinach w Domu Ellisów obudziła się panna Vera i zadzwoniła po służącą. Zachciało jej się pić. Przyniesiono jej szklankę wody, lecz to jej nie zadowoliło.

— Chcę, żeby przyszła Jane — powiedziała. — Kochana jesteś, ale przyślij moją siostrę Jane. Zawołasz ją? Gdzie ona się podziewa?

Służąca przekazała to żądanie lokajowi. Ten przywołał młodego pomocnika ogrodnika i polecił mu przyprowadzić Jane. Chłopak szedł wzdłuż urwiska, dopóki nie dostrzegł jej na skale z robótką w rękach.

— Panno Jane! — zawołał i pomachał jej ręką.

Spojrzała na niego i odmachnęła mu.

— Panno Jane! — krzyknął znów. — Panna Vera panią prosi!

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się, po czym nagle — jak opowiadał później młody ogrodnik — uniosła się wielka, bezgłośna fala i całkowicie przykryła ogromną skałę, na której przysiadła Jane Smith—Ellis. Gdy gigantyczna fala się cofnęła, kobiety już nie było. Wóda znów przelewała się spokojnie, lecz po Jane nie pozostało ani śladu. Ogrodnik pośpieszył po innych służących, którzy zbiegli ścieżką, by

ją odszukać. Nie znaleźli jednak niczego poza butem. Jane przepadła. Po prostu pochłonął ją ocean.

— Co za nonsens — stwierdziła panna Vera, gdy poinformowano ją o zniknięciu siostry. — Na pewno gdzieś tam jest. Idźcie jej poszukać. Natychmiast. Ruszcie się.

Szukali służący i mieszkańcy Fort Niles, jednak nie zdołali jej odnaleźć. Całymi dniami grupy poszukiwawcze przeczesywały wybrzeże, lecz nie zauważyły najmniejszego siadu zaginionej.

— Znajdźcie mi ją — nakazywała wciąż panna Vera. — Jest mi potrzebna. Nikt inny nie potrafi mi pomóc.

Trwało to tygodniami, aż w końcu ojciec, doktor Jules Ellis, przyszedł do jej pokoju w towarzystwie całej czwórki braci i spróbował dokładnie wyjaśnić sytuację.

— Przykro mi, kochanie — zwrócił się do jedynej rodzonej córki. — Naprawdę mi przykro, ale Jane odeszła. Dalsze poszukiwania nie mają sensu.

Twarz panny Very wykrzywił uparty grymas niezadowolenia.

— Czy nie można przynajmniej odnaleźć ciała? Nie można go wyłowić?

Najmłodszy z braci zadrwił:

— Oceanu nie przeryjesz bagrem, to nie staw.

— Postaramy się odłożyć pogrzeb, jak długo się da — zapewnił córkę doktor Ellis. — Może woda z czasem wyrzuci ciało na brzeg. Musisz jednak przestać nakazywać służbie, by szukała Jane. To strata czasu, a poza tym służący powinni się zająć domem.

— Widzisz, Vero — wyjaśniał jej najstarszy brat, Lanford — już jej nie odnajdą. Nikt jej nigdy nie znajdzie.

Ellisowie czekali z pogrzebem Jane aż do pierwszego tygodnia września. Ponieważ jednak zbliżał się termin wy-

jazdu do Concord, nie można tego było dłużej odkładać. Nie było mowy o przeniesieniu uroczystości do posiadłości rodzinnej i umieszczeniu symbolicznego nagrobka na własnej ziemi. Nie widziano tam miejsca dla Jane. Fort Niles nadawał się do odprawienia jej pogrzebu jak każde inne miejsce. Wobec braku ciała pogrzeb babki Ruth miał raczej charakter nabożeństwa żałobnego niż pochówku. Podobne przypadki nie należały na wyspie do rzadkości, ponieważ ciał ofiar utonięć dość często nie udawało się odnaleźć. Na miejscowym cmentarzu umieszczono granitową płytę, na której widniał napis:

JANE SMITH–ELLIS
UR.? 1884
ZM. 10 LIPCA 1927
POZOSTAJEMY NIEUTULENI W ŻALU

Panna Vera z rezygnacją udała się na uroczystość. Nie pogodziła się jeszcze z faktem, że Jane ją opuściła. Właściwie nawet się na nią złościła. Pod koniec pogrzebu poprosiła kogoś ze służby, by przyprowadzono do niej dziecko siostry. Mary miała niewiele ponad rok. Później wyrosła i została matką Ruth Thomas, jednak wtedy była jeszcze maleńką dziewczynką. Panna Vera wzięła ją na ręce i kołysała. Potem uśmiechnęła się i powiedziała:

— Cóż, moja mała Mary, teraz skupimy się na tobie.

5

Popularność homara wykracza daleko poza granice naszej wyspy, wyprawia się go zatem w szeroki świat niczym pokutującą duszę uwięzioną w hermetycznie zamkniętym pojemniku.

Crab, Shrimp and Lobster Lore
W. B. Lord
1867

Cal Cooley zorganizował odwiedziny Ruth Thomas u matki w Concord. Wszystko ustalił, po czym zadzwonił do dziewczyny, by następnego dnia o szóstej rano czekała na niego spakowana na werandzie swojego domu. Ruth początkowo na to przystała, lecz tuż przed szóstą zmieniła zdanie. Poczuła chwilowy przypływ paniki i zrejterowała. Nie uszła daleko. Zostawiła bagaże na ganku i pobiegła do Pommeroyów.

Przypuszczała, że pani Pommeroy już wstała, i liczyła na wspólne śniadanie. Rzeczywiście, kobieta już nie spała. Nie była jednak sama ani nie szykowała śniadania. Malowała kuchnię. Pomagały jej dwie starsze siostry, Kitty i Gloria. Wszystkie trzy miały na sobie czarne worki na

śmieci, by ochronić ubranie przed zabrudzeniem. Przez otwory po bokach wysunęły jedynie ręce. Ruth natychmiast się zorientowała, że kobiety pracowały całą noc. Gdy tylko dziewczyna przestąpiła próg domu, rzuciły się ku niej jednocześnie i obściskując ją serdecznie, poplamiły jej odzież farbą.

— Ruth! — krzyczały. — Ruthie!

— Jest szósta rano! — odkrzyknęła dziewczyna. — Spójrzcie tylko na siebie!

— Malujemy! — poinformowała ją Kitty. — Właśnie malujemy!

Zamachnęła się pędzlem i zostawiła na bluzce Ruth kolejny barwny ślad. Potem ze śmiechem padła na kolana. Była pijana. Kitty faktycznie lubiła się napić. („Jej babka była taka sama" — powiedział kiedyś Ruth Senator. — „Wciąż zdejmowała przykrywki baków w starych fordach T i wąchała opary benzyny. Całe życie wałęsała się po wyspie kompletnie otumaniona".) Gloria pomogła siostrze wstać. Kitty delikatnie zasłoniła usta dłonią, by powstrzymać śmiech, a następnie kobiecym ruchem uniosła ręce ku głowie, by poprawić fryzurę.

Wszystkie trzy siostry Pommeroy miały wspaniałe włosy upięte w ten sam sposób, który przysporzył najmłodszej sławy miejscowej piękności. Głowa pani Pommeroy z każdym rokiem coraz bardziej się srebrzyła. W świetle słońca lśniła już jak pstrąg w strumieniu. Kitty i Gloria miały wprawdzie równie zachwycające włosy, lecz nie dorównywały młodszej siostrze urodą. Twarz Glorii była nalana i smutna, a Kitty — oszpecona. Na jej policzku widniała zgrubiała blizna po oparzeniu, pozostałość po niegdysiejszym wybuchu w fabryce konserw.

Najstarsza z sióstr — Gloria — nie wyszła za mąż. Sred—

nia — Kitty — schodziła się i rozchodziła z bratem ojca Ruth, lekkomyślnym wujem Lenem. Nie mieli dzieci. Pani Pommeroy jako jedyna się ich doczekała, za to z nawiązką — urodziła przecież Webstera, Conwaya, Fagana itd. W 1976 roku właściwie wszyscy chłopcy byli już dorośli. Czterech wyjechało z wyspy, znalazłszy swoje miejsce na świecie poza nią. Webster, Timothy i Robin pozostali jednak w domu. Nadal zajmowali pokoje w wielkim domu sąsiadującym z Thomasami, w których mieszkali od dzieciństwa. Webster, rzecz jasna, nie miał pracy, lecz dwaj pozostali byli sternikami na łodziach. Zatrudniali się jednak tylko tymczasowo, u innych rybaków. Nie postarali się o własne łodzie, nie mieli więc stałych dochodów. Wszystko wskazywało na to, że przez całe życie będą się tak najmować. Tego ranka obaj już dawno wypłynęli, wyszli z domu jeszcze przed świtem.

— Co dzisiaj porabiasz, Ruthie? — spytała Gloria. — Dlaczego tak wcześnie wstałaś?

— Chcę się przed kimś schować.

— W takim razie zostań! — zachęciła pani Pommeroy. — Możesz sobie popatrzeć, jak malujemy!

— Raczej powinnam na was uważać — odpowiedziała Ruth, wskazując na poplamioną bluzkę.

Kitty znów padła na kolana, zanosząc się śmiechem. Zawsze tak reagowała na żarty — po prostu ją powalały. Gloria zaczekała, aż siostra się uspokoi, po czym pomogła jej się podnieść. Kitty westchnęła i uniosła rękę ku włosom.

Całe wyposażenie kuchni pani Pommeroy piętrzyło się na stole lub skrywało pod prześcieradłami. Krzesła zostały przeniesione do salonu i umieszczone na kanapie, by nie zawadzały. Ruth przyniosła sobie jedno i usiadła

na środku kuchni. Siostry Pommeroy podjęły przerwane zajęcie. Pani Pommeroy malowała małym pędzelkiem parapety. Gloria przesuwała wałkiem po jednej ze ścian, a Kitty absurdalnymi, pijackimi ruchami zeskrobywała farbę z innej.

— Kiedy postanowiła pani pomalować kuchnię? — spytała Ruth.

— Wczoraj wieczorem — odpowiedziała pani Pommeroy.

— Czyż ten kolor nie jest okropny, Ruthie? — spytała z kolei Kitty.

— Fakt, niezbyt ładny.

Pani Pommeroy odeszła od parapetu i oceniła swoją pracę.

— Okropieństwo—przyznała bez śladu niezadowolenia.

— Czy to farba do boi? — spróbowała odgadnąć Ruth. — Maluje pani kuchnię farbą do boi?

— Obawiam się, że masz rację, kochanie. Poznałaś po kolorze?

— Nie do wiary — powiedziała Ruth, bo rzeczywiście tak było. Zdumiewające, że pani Pommeroy malowała kuchnię farbą o identycznym odcieniu, jakiego jej zmarły mąż używał do oznaczania swoich boi — rażąco jaskrawej limetowej zieleni. Poławiacze homarów zawsze malowali boje krzykliwymi kolorami, by w każdej pogodzie z łatwością dostrzec na błękicie morza miejsca, w których pozostawili więcierze. Stosowali gęstą farbę przemysłową, zupełnie nieodpowiednią do pomieszczeń.

— Obawia się pani, że kuchnia zniknie we mgle? — zażartowała Ruth.

Kitty znów pokładała się ze śmiechu. Gloria zmarszczyła brwi.

— Na miłość boską, Kitty. Opanuj się. — Podciągnęła siostrę, by pomóc jej wstać.

Kitty dotknęła włosów i powiedziała:

— Gdybym miała taką kuchnię, tobym chyba całą zarzygała.

— Czy farbę do boi można stosować w pomieszczeniach? — spytała Ruth. — Czy nie powinna pani wybrać specjalnej farby do malowania wnętrz? To się może skończyć rakiem albo inną chorobą.

— Sama nie wiem — odparła pani Pommeroy. — Wieczorem znalazłam te puszki w szopie z narzędziami i pomyślałam sobie, że lepiej tego nie marnować. To mi przypomina męża. Kitty i Gloria przyszły na kolację, zaczęłyśmy się wygłupiać, a potem nagle zabrałyśmy się do malowania kuchni. Co o tym sądzisz?

— Szczerze? — upewniła się Ruth.

— Nieważne — powiedziała pani Pommeroy. — Mnie się podoba.

— Gdybym miała taką kuchnię, tak bym rzygała, że aż by mi łeb odpadł — oznajmiła Kitty.

— Lepiej uważaj — skontrowała Gloria. — Wkrótce możesz tu wylądować.

— Za cholerę!

— Kitty może się tu przenieść, kiedy zechce — rozstrzygnęła pani Pommeroy. — Przecież dobrze o tym wiesz, Kitty. I ty też, Glorio.

— Ależ ty jesteś złośliwa, Glorio — stwierdziła Kitty. — Pieprzona żmija.

Gloria malowała w milczeniu, kładąc wałkiem równe warstwy farby.

— Wujek Len znów wyrzuca panią z domu, Kitty? — spytała Ruth.

— Owszem — potwierdziła cicho Gloria.

— Nie! — gwałtownie zaprotestowała Kitty. — Wcale mnie nie wywala z tego pieprzonego domu! Ty jadowita cholero!

— Powiedział, że jeżeli nie przestanie pić, to ją wyrzuci — poinformowała tym samym spokojnym tonem Gloria.

— To dlaczego, do cholery, sam nie rzuci picia? — wykłócała się Kitty. — Mówi, żebym z tym skończyła, ale nikt nie chleje tyle co on.

— Kitty może się w każdej chwili do mnie wprowadzić — powtórzyła pani Pommeroy.

— Dlaczego, cholera jasna, on wciąż chleje? Ani dnia nie przepuści! — krzyczała Kitty.

— Bo to wstrętny stary pijak — odezwała się Ruth.

— Kutas — dodała Gloria.

— W każdym razie ma największego na wyspie. Głowę daję — podsumowała Kitty.

Gloria nie przerywała malowania, lecz pani Pommeroy się roześmiała. Nagle z góry dobiegł płacz niemowlęcia.

— O Boże — westchnęła pani Pommeroy.

— Ale narobiłaś — powiedziała Gloria. — Obudziłaś tego cholernego dzieciaka, Kitty.

— To nie ja! — krzyknęła Kitty, a płacz przeszedł w zawodzenie.

— O Boże — powtórzyła pani Pommeroy.

— Boże, co za hałaśliwe dziecko — skomentowała Ruth, a Gloria dodała:

— Jak cholera, Ruth.

— Domyślam się, że Opal wróciła.

— Kilka dni temu, Ruth. Chyba pogodzili się z Robinem, więc wszystko gra. Są teraz rodziną i powinni

mieszkać razem. Myślę, że już do tego dojrzeli. Wyrastają na porządnych ludzi.

— Tak naprawdę — wyjawiła Gloria — własna rodzina ma jej już powyżej uszu, więc ją tu odesłała.

Usłyszały kroki na górze i płacz ucichł. Wkrótce potem zeszła do nich Opal z dzieckiem na rękach.

— Zawsze robisz tyle hałasu, Kitty—jęknęła. — Zawsze budzisz mojego Eddiego.

Opal była żoną Robina Pommeroya. Fakt ten nie przestawał zadziwiać Ruth — ten otyły, głupkowaty siedemnastolatek miał żonę. Opal była jego równolatką i pochodziła z Rockland. Jej ojciec był właścicielem tamtejszej stacji benzynowej. Robin poznał ją podczas jednej z wypraw po paliwo do swojego pikapa na wyspie. Była dość ładna (Angus Addams mówił o niej „ładniutka mała zdzira"), a jej włosy, które zaplatała w niechlujne warkoczyki, miały odcień popielatego blondu. Tego ranka ubrana była w podomkę i sfatygowane kapcie. Szurała nogami jak staruszka. Ruth pamiętała, że Opal była kiedyś szczuplejsza, ale nie widziały się przecież od poprzedniego lata. Chłopczyk miał grubą pieluchę i tylko jedną skarpetkę. Wyjął z buzi paluszki i machnął ręką w powietrzu, jakby chciał coś uchwycić.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Ruth. — Ależ urósł!

— Cześć, Ruth — przywitała się nieśmiało Opal.

— Cześć, Opal. Twoje maleństwo zrobiło się ogromne!

— Nie wiedziałam, że już wróciłaś ze szkoły.

— Tak, prawie miesiąc temu.

— Cieszysz się z powrotu?

— Jasne.

— Powrót na Fort Niles to jak upadek z konia — wtrąciła się Kitty Pommeroy. — Nigdy nie zapomnisz, jak to się stało.

Ruth przemilczała tę uwagę.

— Twoje dziecko jest naprawdę olbrzymie! Witaj, Eddie! Hej, malutki!

— Tak jest! — odezwała się znów Kitty. — To nasz wspaniały duży chłopak! Prawda, Eddie? Prawda, że duży z ciebie chłopak?

Opal postawiła malca na podłodze między swoimi nogami i podała mu palce wskazujące, by się ich przytrzymał. Chłopczyk próbował ustać na nogach, lecz chwiał się jak pijany. Brzuszek wystawał mu śmiesznie znad pieluchy. Ciałko miał pulchniutkie i naprężone. Jego rączki przypominały serdelki, zamiast szyi widać było tylko kilka podbródków, a klatka piersiowa lśniła od śliny.

— O tak, bardzo nam wyrósł! — uśmiechnęła się szeroko pani Pommeroy. Uklękła przed malcem i uszczypnęła go lekko w policzki. — Kto jest moim wspaniałym dużym chłopakiem? Jaki już jesteś duży? Jak nam Eddie urósł?

Zachwycony chłopczyk wrzasnął tylko:

— Ga!

— O tak, faktycznie jest duży— zgodziła się zadowolona Opal. — Już ledwo go podnoszę. Nawet Robin mówi, że Eddie robi się za ciężki do noszenia. I że dobrze by było, gdyby się szybko nauczył chodzić.

— Proszę, proszę, kto nam wyrośnie na wielkiego rybaka! — chwaliła Kitty.

— W życiu chyba nie widziałam takiego dorodnego, zdrowego chłopca — wyznała Gloria. — Spójrzcie na te nogi. Chłopak na pewno wyrośnie na piłkarza. Widziałaś kiedyś większe dziecko, Ruth?

— Nie, większego nie widziałam — przyznała dziewczyna.

Opal zarumieniła się z zadowolenia.

— Wszystkie dzieci w mojej rodzinie są duże. Tak mówi moja mama. A Robin też nie był najmniejszy. Prawda, pani Pommeroy?

— Och tak, Robin był wspaniałym dużym chłopcem. Ale nie takim jak olbrzymi pan Eddie! — Pani Pommeroy połaskotała brzuszek chłopca.

— Ga! — krzyknął malec.

— Nie mogę mu nastarczyć jedzenia — powiedziała Opal. — Powinnaś go zobaczyć w czasie posiłku. Je więcej ode mnie! Wczoraj pochłonął pięć plastrów bekonu.

— O mój Boże! — przeraziła się Ruth. Bekon! Nie mogła oderwać od berbecia wzroku. Nie przypominał dzieci, które zdarzyło jej się dotąd widzieć. Przypominał łysego grubasa skurczonego do nieco ponad sześćdziesięciu centymetrów wzrostu.

— Ma po prostu wspaniały, wilczy apetyt, ot, co. Prawda? Prawda, mój wielkoludku? — Gloria, stękając, podniosła Eddiego i obsypała jego policzek pocałunkami. — Prawda, moja pyzuchno? Masz wspaniały, zdrowy apetyt. Bo jesteś naszym drwalem, co? Naszym małym piłkarzem. Jesteś największym maluchem na świecie.

Dziecko zapiszczało i potężnie kopnęło Glorię. Opal wyciągnęła po niego ręce.

— Wezmę go, Glorio. Ma kupę w pieluszce. — Odebrała Eddiego i powiedziała: — Pójdę na górę go obmyć. Zobaczymy się później. Do zobaczenia, Ruth.

— Do zobaczenia, Opal.

— Do widzenia, olbrzymie! — wykrzyknęła Kitty i pomachała chłopcu.

— Pa, przystojniaku! — zawołała Gloria.

Siostry Pommeroy odprowadziły Opal wzrokiem po schodach, śmiejąc się i machając Eddiemu. Gdy usłyszą—

ły kroki dziewczyny w sypialni na górze, wszystkie trzy jednocześnie przestały się uśmiechać.

Gloria oczyściła ręce, odwróciła się do sióstr i powiedziała stanowczo:

— To dziecko jest za duże.

— Ona go przekarmia — stwierdziła pani Pommeroy, marszcząc brwi.

— To niezbyt dobre dla serca — dodała Kitty.

Kobiety wróciły do malowania.

Kitty natychmiast podjęła temat męża, Lena Thomasa.

— O tak, czasem mi dołoży, to jasne — wyznała. — Ale coś ci powiem. Nie urządzi mnie gorzej niż ja jego.

— Co takiego? — zdumiała się Ruth. — Co ona chce przez to powiedzieć, Glorio?

— Nic poza tym, że Len nie da rady uderzyć jej mocniej niż ona jego.

— Tak jest — potwierdziła z dumą pani Pommeroy. — Kitty naprawdę potrafi przyłożyć.

— Zgadza się — przyznała Kitty. — Gdybym tylko zechciała, tak bym mu przywaliła, że przebiłby łbem te cholerne drzwi.

— Wtedy odpłaciłby pani pięknym za nadobne — odparła Ruth. — Świetny układ.

— Udane małżeństwo — dodała bardzo cicho Gloria.

— Żebyś wiedziała — podjęła z satysfakcją Kitty — że udane. Ale cóż ty mogłabyś o tym wiedzieć, Glorio. I nikt nie wywala nikogo z domu.

— Jeszcze się przekonamy — wyszeptała Gloria.

Pani Pommeroy jako dziewczyna lubiła się zabawić, ale po utonięciu pana Pommeroya przestała pić. Glorii nigdy to nie pociągało. Kitty natomiast nie wylewała za kołnierz w młodości i później też nie przestała. Całe życie lubiła

sobie wypić. Była żywym przykładem tego, co mogło spotkać panią Pommeroy, gdyby nie odstawiła butelki. Kiedyś, w młodości, Kitty przez jakiś czas mieszkała poza wyspą. Przez wiele lat pracowała w fabryce konserw śledziowych, a całe oszczędności wydała na szybki kabriolet. I przespała się z dziesiątkami facetów — tak przynajmniej twierdziła Gloria. Starsza siostra zdradziła też, że Kitty poddawała się aborcjom, przez co teraz nie może mieć dzieci. Po wybuchu w fabryce konserw Kitty wróciła na Fort Niles. Związała się z Lenem Thomasem, niezgorszym ochlapusem, z którym od tamtej pory wciąż się tłuką. Ruth nie znosiła wuja Lena.

— Mam pomysł, Kitty — powiedziała.

— Tak?

— Niech pani zabije wuja Lena podczas snu.

Gloria roześmiała się, a Ruth ciągnęła:

— Może by go tak zatłuc na śmierć? Zanim on zrobi to z panią. Niech go pani załatwi.

— Ruth! — wykrzyknęła pani Pommeroy, nie mogąc jednak powstrzymać śmiechu.

— Dlaczego nie? Dlaczego by go nie zatłuc?

— Zamknij się, Ruth. Co ty tam wiesz.

Kitty siedziała na krześle, które dziewczyna przyniosła z salonu. Zapaliła papierosa. Ruth zbliżyła się do niej i usiadła jej na kolanach.

— Złaź, do cholery. Masz kościsty tyłek, zupełnie jak twój ojczulek.

— Skąd pani wie, że mój stary ma kościsty tyłek?

— Bo się z nim pieprzyłam, głuptasie — odparła Kitty.

Ruth roześmiała się, jakby usłyszała świetny dowcip, ale zmroziło ją przeczucie, że kobieta mówi prawdę. Usiłowała pokryć śmiechem zmieszanie. Zaraz też zeskoczyła z kolan Kitty.

— Ruth Thomas — zwróciła się do niej kobieta — pojęcia nie masz, co się dzieje na tej wyspie. Już tu nie mieszkasz, więc się nie odzywaj. Przecież ty nawet nie jesteś stąd.

— Kitty! — wykrzyknęła pani Pommeroy. — Jesteś okropna!

— Proszę wybaczyć, ale wciąż tu mieszkam.

— Przez parę miesięcy w roku, Ruth. Jak turystka.

— Obawiam się, że to nie moja wina.

— Właśnie — poparła ją pani Pommeroy. — To nie jej wina.

— Zawsze ci się tak zdaje — zarzuciła jej siostra.

— Chyba źle trafiłam — powiedziała Ruth. — W tym domu aż kipi od nienawiści.

— Nie, Ruth — przekonywała ją pani Pommeroy. — Nie denerwuj się. Kitty po prostu się z tobą drażni.

— Wcale się nie denerwuję — odparła Ruth, coraz bardziej się przejmując. — Myślę, że to po prostu śmieszne, i tyle.

— Z nikim się nie drażnię. Nic już nie wiesz o tej wyspie. Przez cztery cholerne lata praktycznie cię tu nie było. Przez ten czas wiele się zmieniło.

— Taaa, szczególnie tutaj — odparowała Ruth. — Ogromne zmiany, gdziekolwiek spojrzeć.

— Ruth nie chciała wyjeżdżać — wstawiła się za dziewczyną pani Pommeroy. — Pan Ellis odesłał ją do tej szkoły. Nie miała wyboru, Kitty.

— Właśnie — potwierdziła Ruth. — Zostałam zesłana.

— Zgadza się — zawtórowała jej pani Pommeroy i poszła dać dziewczynie kuksańca. — To było zesłanie. Odebrali ją nam.

— Chciałabym, żeby jakiś milioner zesłał mnie do takiej prywatnej szkoły dla bogaczy — wymamrotała Kitty.

— Nic podobnego. Ręczę za to.

— Chciałabym, żeby to mnie tam zesłał — powiedziała Gloria nieco bardziej stanowczo.

— OK, Glorio — mruknęła Ruth. — Może i tak. Ale Kitty wcale by tego nie chciała.

— Co to ma, kurwa, znaczyć? — warknęła Kitty. — Co? Że niby jestem za głupia?

— Na śmierć by się pani zanudziła. Glorii może by się spodobało, ale pani by tego nie zniosła.

— A to co ma znaczyć? — spytała z kolei Gloria. — Że bym się nie nudziła? Dlaczego nie, Ruth? Bo jestem nudziarą? Nazywasz mnie nudziarą, Ruth?

— Ratunku — jęknęła Ruth.

Kitty mamrotała wciąż, że jest, cholera jasna, wystarczająco bystra, żeby chodzić do jakieś przeklętej szkoły, a Gloria patrzyła przenikliwie na Ruth, zmuszając ją do odwracania wzroku.

— Pomocy, pani Pommeroy — poprosiła Ruth i otrzymała oczekiwane wsparcie.

— Ruth nie nazywa nikogo głupkiem. Powiedziała tylko, że Gloria jest trochę bystrzejsza od Kitty.

— W porządku — zgodziła się Gloria. — Racja.

— O Boże, ratuj — szepnęła Ruth i na widok zbliżającej się Kitty zanurkowała pod kuchenny stół. Kobieta pochyliła się i zaczęła tłuc dziewczynę po głowie.

— Au — jęknęła Ruth, śmiejąc się. Idiotyczna sytuacja. Chciała tylko wpaść na śniadanie! Pani Pommeroy i Gloria też zanosiły się śmiechem.

— Ruth, nie jestem, kurwa, idiotką! — Trzepnęła dziewczynę Kitty.

— Au.

— To ty jesteś głupia i już nawet nie jesteś stąd.

— Au.

— Przestań ujadać — zdenerwowała się Kitty. — Nie możesz już nawet oberwać po głowie? Ja miałam pięć wstrząsów mózgu i żyję. — Kitty przerwała na chwilę, by wyliczyć je na palcach. — Najpierw spadłam z wysokiego krzesełka. Potem z roweru. Potem przewróciłam się w kamieniołomie. A dwa ostatnie to sprawka Lena. I jeszcze oberwałam przez ten wybuch w fabryce. I miałam egzemę. Więc mi tu, dziewczyno, nie gadaj, że nie wytrzymasz zwykłego lania! — Znów trzepnęła Ruth. Tym razem już nie na poważnie. Z uczuciem.

— Au — powtórzyła Ruth. — Jestem ofiarą pobicia. Au.

Gloria i pani Pommeroy nie przestawały się śmiać. W końcu Kitty uspokoiła się i powiedziała:

— Ktoś idzie.

Pani Pommeroy poszła otworzyć drzwi.

— To pan Cooley — oznajmiła. — Dzień dobry, panie Cooley.

Od wejścia rozległo się przeciągane:

— Miłe panie...

Ruth wciąż siedziała pod stołem, objąwszy rękami głowę.

— To Cal Cooley! — obwieściła głośno pani Pommeroy.

— Szukam Ruth Thomas — powiedział Cal.

Kitty Pommeroy uchyliła rąbek prześcieradła i krzyknęła:

— Ta—da!

Ruth pomachała mu palcami jak małe dziecko.

— Oto młoda dama, o którą mi chodzi. Jak zwykle się przede mną chowa.

Ruth wygramoliła się spod stołu i wstała.

— Witam, Cal. Oto jestem. — Nie zdenerwowała się na

jego widok. Czuła się zrelaksowana. Jakby Kitty wybiła jej z głowy wszystkie zmartwienia.

— Widzę, że sporo się tu dzieje.

— Racja, Cal, jestem trochę zajęta.

— Zdaje się, że się umawialiśmy. Miałaś na mnie czekać przed domem. A może byłaś zbyt zaabsorbowana, żeby przyjść na czas?

— Miałam opóźnienie — odpowiedziała Ruth. — Pomagałam przyjaciółce malować kuchnię.

Cal Cooley rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu. Zauważył okropną zieloną farbę do boi, niechlujne siostry w workach na śmieci, prześcieradło narzucone byle jak na kuchenny stół i plamę na bluzce Ruth.

— Staruszek Cal bynajmniej nie chce cię odrywać od pracy — przeciągał.

Ruth uśmiechnęła się szeroko.

— Ja też bardzo nie chcę, by staruszek Cal to robił.

— Wcześnie się zerwałeś, koleś — zagadnęła Kitty Pommeroy i walnęła Cala w ramię.

— Cal — zwróciła się do niego Ruth — zdaje się, że poznałeś już panią Kitty Pommeroy? Spotkaliście się już? Mam rację?

Siostry wybuchnęły śmiechem. Zanim Kitty wyszła za Lena Thomasa — a także kilka lat później — była kochanką Cala. Cooley miał prześmieszne wyobrażenie, że nikt nie odkrył tej tajemnicy, lecz znali ją wszyscy na wyspie. Wiedzieli też, że Kitty i Cal od czasu do czasu wciąż się spotykają, mimo jej małżeństwa. Jedynie Len Thomas nie zdawał sobie z tego sprawy. Ludzie mieli z tego niezły ubaw.

— Miło cię widzieć, Kitty — powiedział beznamiętnie Cal.

Kitty padła ze śmiechem na kolana. Gloria pomogła jej wstać. Kitty zakryła dłonią usta, a potem poprawiła włosy.

— Naprawdę nie chcę cię zabierać z tej babskiej nasiadówki, Ruth — rzekł Cal. Kitty gwałtownie zachichotała, a on się skrzywił.

— Muszę iść — powiedziała Ruth.

— Ruth! — wykrzyknęła pani Pommeroy.

— Znów na zesłanie.

— Wykorzystujecie ją! — wrzasnęła Kitty. — Lepiej na niego uważaj, Ruth. To kogut i na zawsze kogutem zostanie. Pamiętaj, krzyżuj nogi. — Roześmiali się wszyscy, nawet Gloria, jedynie pani Pommeroy zachowała powagę. Z obawą patrzyła na Ruth.

Dziewczyna uściskała wszystkie trzy siostry. Gdy przyszła kolej na panią Pommeroy, Ruth przytrzymała ją dłużej i szepnęła jej na ucho:

— Zmuszają mnie, żebym odwiedziła matkę.

Pani Pommeroy westchnęła. Przytuliła Ruth i wyszeptała:

— Przywieź ją tu ze sobą, Ruth. Przywieź ją tu, gdzie jej miejsce.

***

Cal Cooley lubił udawać przy Ruth zmęczonego. Udawać, że dziewczyna go wyczerpuje. Często wzdychał, kręcił głową, jakby Ruth nie potrafiła dostrzec, jakie mu sprawia cierpienie. Kiedy więc po wyjściu od Pommeroyów skierowali się ku jego pikapowi, westchnął i pokręcił głową, jakby poddawał się fali zmęczenia.

— Dlaczego wciąż się przede mną chowasz?

— Wcale się nie chowałam.

— Nie?

— Po prostu cię unikam. Chowanie się przed tobą nie ma większego sensu.

— Zawsze mnie obwiniasz, Ruth — lamentował Cal Cooley. — Przestań się uśmiechać. Mówię poważnie. Zawsze mnie obwiniasz.

Otworzył drzwi samochodu i zawiesił głos.

— Nie masz żadnego bagażu? — spytał.

Ruth pokręciła przecząco głową i wsiadła do pikapa.

Cal odezwał się wtedy z dramatycznym zmęczeniem w głosie:

— Jeśli przyjedziesz do domu panny Very bez ubrań, będzie musiała kupić ci nowe.

Ruth nie odpowiedziała, więc dodał:

— Wiesz o tym, co? Jeśli to ma być sprzeciw, to obróci się przeciwko tobie. Wciąż sobie wszystko utrudniasz.

— Cal — szepnęła konspiracyjnie dziewczyna i pochyliła się w jego stronę. — Nie lubię brać bagażu do Concord. Nie chcę, żeby ktoś w tym domu pomyślał, że zostaję.

— To taki chwyt?

— Właśnie.

Pojechali w kierunku nabrzeża, gdzie Cal zaparkował.

— Pięknie dziś wyglądasz — powiedział.

Tym razem Ruth dramatycznie westchnęła.

— Nie przestajesz się objadać — ciągnął — a jednak nie tyjesz. To cudowne. Wciąż się zastanawiam, kiedy ten wilczy apetycik da ci w kość i rozdmucha cię jak balon. To chyba twoje przeznaczenie.

Ruth znów westchnęła.

— Ależ ty mnie cholernie męczysz, Cal.

— Cóż, kochanie, to samo mogę powiedzieć o tobie.

Wysiedli z pikapa. Dziewczyna rozejrzała się po nabrzeżu i zatoce, jednak nie dostrzegła tam łodzi Ellisów

o nazwie *Stonecutter*. Zdziwiła się. Znała przecież zasady. Cal Cooley od lat jej towarzyszył. Woził ją do szkoły i do matki. Zawsze opuszczali wyspę na tej łodzi, dzięki uprzejmości pana Lanforda Ellisa. Tego ranka Ruth zobaczyła jednak tylko kołyszące się na wodzie stare łodzie do połowu homarów oraz — co dziwne — *New Hope*. Łódź misyjna cumowała spokojnie, z wygaszonym silnikiem.

— Co tu robi *New Hopet*

— Pastor Wishnell podrzuci nas do Rockland — powiedział Cal.

— Dlaczego?

— Pan Ellis już nie chce, żeby *Stonecutter* na tak krótko wypływała. A z pastorem się przyjaźni. To po prostu przysługa.

Ruth nigdy nie była na pokładzie *New Hope,* choć od lat ją widywała. Była to najlepsza łódź w okolicy, dorównująca jachtowi pana Ellisa — duma pastora Toby'ego Wishnella, który wprawdzie wyrzekł się wspaniałej rodzinnej tradycji rybackiej na rzecz Boga, lecz piękna *New Hope* pozostała jego oczkiem w głowie. Zmienił ją w czterdziestostopową, lśniącą szkłem i mosiądzem ślicznotkę. Podziwiali ją nawet mężczyźni z Fort Niles, którzy co do jednego nienawidzili pastora. Choć przy tym szczerze nie znosili jej widoku w porcie.

Zresztą łódź nieczęsto gościła na wyspie. Pastor Toby Wishnell rzadko bywał w tej okolicy. Opływał wybrzeże od Casco po Nową Szkocję, pełniąc posługi na wszystkich wyspach. Prawie zawsze znajdował się na morzu. Mimo że mieszkał bardzo blisko, bo po drugiej stronie kanału, na Courne Haven, tylko sporadycznie odwiedzał Fort Niles. Rzecz jasna przypływał na śluby i pogrzeby, a czasami też na chrzty, choć większość mieszkańców wyspy darowy—

wała je sobie, by uniknąć zapraszania pastora. Przybywał tylko na zaproszenie, a nieczęsto je otrzymywał.

Dlatego dziewczyna była naprawdę zdziwiona, zobaczywszy jego łódź.

Na końcu nabrzeża na Cala i Ruth czekał młody mężczyzna. Zbliżyli się do niego i Cooley się przywitał:

— Witaj, Owney.

Chłopak nie odpowiedział, tylko zszedł do białej zadbanej łódki. Przybysze podążyli w jego ślady. Łódka zakołysała się pod ich ciężarem. Młodzieniec odwiązał linę, usiadł z tyłu i powiosłował do *New Hope*. Był dobrze zbudowany, miał dużą, nieco kwadratową głowę i liczył około dwudziestu lat. Miał też potężne, przypominające kształtem kwadrat ciało o biodrach szerokością dorównujących barkom. Ubrany był w sztormiak oraz wysokie gumowe buty. Choć strój ten przypominał odzież poławiaczy homarów, lśnił jednak czystością, a buty nie zalatywały przynętą. Jego ręce przytrzymujące wiosła były wprawdzie wielkie i silne jak ręce rybaka, lecz zupełnie niezabrudzone, pozbawione przecięć, zgrubień czy blizn. Nosił ubranie rybaka, miał odpowiednią sylwetkę, lecz wyraźnie rybakiem nie był. Gdy wiosłował, Ruth zauważyła potężne, napinające się bicepsy pokryte delikatnym jasnym owłosieniem. Ostrzyżony był po domowemu na jeżyka i miał żółtawe włosy, niespotykane na Fort Niles. Szwedzkie. I jasnoniebieskie oczy.

— Jak panu na imię? — spytała Ruth. — Owen?

— Owney — odpowiedział Cal Cooley. — To Owney Wishnell. Bratanek pastora.

— Owney, tak? Naprawdę? Witaj, Owney.

Chłopak spojrzał na Ruth, lecz się nie odezwał. Spokojnie wiosłował w kierunku *New Hope*. Wspięli się na

górę, a Owney wciągnął łódź i umieścił ją na pokładzie. Dziewczyna znalazła się na najczystszej łodzi, jaką dotąd widziała. Przeszła z Calem do kabiny, w której siedział pastor Wishnell, zajadając kanapkę.

— Owney — zwrócił się do bratanka. — Odpływamy.

Chłopak podniósł kotwicę i uruchomił łódź. Pozostali przyglądali mu się, gdy wyprowadzał ją z portu, lecz on wydawał się być tego nies'wiadomy. Ominął mielizny i unoszące się na falach boje z dzwonkami ostrzegawczymi. Przepłynął obok łodzi ojca Ruth. Było wciąż wcześnie rano, lecz Stan Thomas pracował już od trzech godzin. Wychyliwszy się, Ruth zobaczyła, jak ojciec zaczepia boję długą drewnianą osęką. Na rufie siedział Robin Pommeroy, czyścił więcierz i wyrzucał do morza małe homary i kraby. Nagle niczym widmo pojawiła się mgła. Ruth nie wołała. Robin przerwał na chwilę pracę, by spojrzeć na *New Hope*. Widok dziewczyny najwyraźniej przyprawił go o szok. Stał przez chwilę z otwartymi ustami, gapiąc się na nią. Za to ojciec wcale nie uniósł wzroku. Nie interesowała go *New Hope* z córką na pokładzie.

Następnie minęli łowiącego samotnie Angusa Addamsa. On też nie spojrzał w górę. Pochylając się, ukradkiem wpychał psujące się śledzie do worków na przynętę, jakby pakował łup podczas napadu na bank.

Gdy Owney Wishnell wypłynął na pełne morze i skierował się ku Rockland, pastor zwrócił się w końcu do Cala Cooleya i Ruth Thomas. Milcząco pozdrowił dziewczynę.

— Spóźniliście się — powiedział do Cala.

— Przykro mi.

— Mówiłem, żebyście byli o szóstej.

— Ruth nie była jeszcze gotowa.

— Mieliśmy wypłynąć o szóstej, żeby wczesnym popołudniem dotrzeć do Rockland, panie Cooley. Wyjaśniałem to panu, prawda?

— To wina tej młodej damy.

Ruth nie bez przyjemności przysłuchiwała się tej rozmowie. Zazwyczaj Cal był nader aroganckim kutasem, więc obserwowanie, jak tłumaczy się przed pastorem, okazało się dość zajmujące. Dziewczyna nigdy nie widziała, by zwracał się do kogoś z takim szacunkiem. Zastanawiała się, czy Toby Wishnell faktycznie zada mu bobu. Bardzo chętnie by na to popatrzyła.

Jednak pastor uznał już sprawę za załatwioną. Zwrócił się do siostrzeńca, a Cal spojrzał na Ruth. Dziewczyna uniosła brwi.

— To przez ciebie — wysyczał.

— Ależ z ciebie chojrak, Cal.

Skrzywił się. Ruth skupiła uwagę na pastorze. Był mężczyzną po czterdziestce, nadal niezmiernie przystojnym. Spędził pewnie na morzu tyle samo czasu, ile rybacy z Fort Niles czy Courne Haven, lecz żadnego z nich nie przypominał. Miał w sobie doskonałość porównywalną ze świetnością jego łodzi — był tak samo zgrabnie zbudowany, bez zbędnej przesady, odpowiednio utrzymany i zadbany. Cienkie, proste i jasne włosy nosił gładko przyczesane, z przedziałkiem z boku. Miał wąski nos i bladoniebieskie oczy. Nosił też niewielkie okulary w drucianej oprawce. Wyglądał jak wysoki rangą oficer floty brytyjskiej: z wysoką pozycją społeczną, opanowany i olśniewający.

Długo płynęli w milczeniu. Trafili na najgorszą mgłę, która oblepia ciało jak mokry ręcznik i szkodzi płucom oraz stawom. Ptaki trzymają się od niej z daleka, więc nie słyszeli krzyku mew. Podróż upływała spokojnie. W miarę

oddalania się od wyspy mgła się rozrzedzała, by w końcu zupełnie zniknąć. Wypogodziło się, jednak dzień był jakiś dziwny. Niebo jaśniało błękitem, wiał słaby wiatr, lecz morze się kłębiło — wciąż tworzyły się niebezpieczne, wielkie fale. Dzieje się tak czasami, gdy gdzieś w oddali trwa sztorm. Morze długo oddaje jego gwałtowność, choć na niebie nie ma już po nim śladu. Jakby żywioły nie mogły się porozumieć, nie zauważały swojej obecności czy nie zostały sobie przedstawione. Pływanie po takim wzburzonym morzu przy idealnie pogodnym niebie naprawdę dezorientuje. Ruth stała przy relingu i obserwowała kipiącą, spienioną wodę.

— Nie przeszkadza pani wzburzone morze? — spytał pastor.

— Nie cierpię na chorobę morską.

— Ma pani szczęście.

— W przeciwieństwie do nas — przeciągnął Cal Cooley. — Rybacy mówią, że kobieta albo duchowny na pokładzie przynosi pecha. A my tu mamy jedno i drugie.

Przez twarz pastora przemknął blady uśmiech.

— Nie wypływaj w piątki — zaczął wyliczać — Nie wsiadaj na statek, który miał niepomyślne wodowanie. Ani ze zmienioną nazwą. Nie maluj nic na niebiesko. Nie gwiżdż na łodzi albo rób to pod wiatr. Nie zabieraj na pokład kobiet ani duchownych. Nie niszcz ptasich gniazd na łodzi. Nie wypowiadaj liczby trzynaście. I nie używaj słowa „świnia".

— Świnia? — zdziwiła się Ruth. — O tym nie słyszałam.

— W każdym razie padło już drugi raz — zauważył Cal Cooley. — Świnia, świnia, świnia. Mamy pastora, mamy kobietę, ludzi, co krzyczą „świnia". Przepadliśmy z kretesem. Dziękuję wszystkim za uczestnictwo.

— Cal Cooley to prawdziwy wilk morski — powiedziała Ruth do pastora. — Pochodzi przecież z „Missourah", więc morze ma we krwi.

— Faktycznie jestem wilkiem morskim, Ruth.

— Tak naprawdę, Cal, to chyba chłopakiem z farmy — poprawiła go dziewczyna. — Nędznym wieśniakiem.

— Owszem, urodziłem się w Missourah, ale to nie oznacza, że nie mogę mieć duszy wyspiarza.

— Inni wyspiarze chybaby się z tobą nie zgodzili, Cal.

Cal wzruszył ramionami.

— Człowiek nie odpowiada za to, gdzie się urodził. Kotka może się okocić w piecu, ale to nie znaczy, że będą z tego ciasteczka.

Ruth się rozes'miała, w przeciwieństwie do Cala. Pastor Wishnell przyglądał się dziewczynie.

— Ruth? — spytał. — Nazywa się pani Ruth Thomas?

— Tak, proszę pana — odpowiedziała i przestała się śmiać. Zamiast tego zakaszlała.

— Ma pani znajomą twarz, Ruth.

— Jeśli tak, to tylko dlatego, że przypominam każdego na Fort Niles. Wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Wie pan, co o nas mówią — nie stać nas na nowe twarze, więc jedna musi nam wystarczyć. Cha, cha.

— Ruth wyróżnia się urodą — dodał Cal. — Ma ciemną cerę. I proszę tylko spojrzeć na te piękne ciemne oczy. Takie włoskie. Ma to po dziaduniu makaroniarzu.

— Cal — warknęła Ruth. — Dość już. — Zawsze wykorzystywał okazję, by jej przypomnieć, jak babka się zhańbiła.

— Włoch? — Pastor zmarszczył czoło. — Na Fort Niles?

— Opowiedz o dziaduniu, Ruth — zachęcał Cal.

Ruth zignorowała go, podobnie zresztą jak pastor. Duchowny wciąż uważnie jej się przypatrywał.

— Ach — przypomniał sobie w końcu. — Już wiem, skąd panią znam. Chowałem pani ojca, gdy była pani dziewczynką. Na pewno. Odprawiałem jego pogrzeb, prawda?

— Nie, proszę pana.

— Jestem o tym przekonany.

— Nie, mój ojciec jeszcze żyje.

Pastor się zastanowił.

— To pani ojciec nie utonął? Prawie dziesięć lat temu.

— Nie, proszę pana. Ma pan chyba na myśli Irę Pommeroya. Mniej więcej dziesięć lat temu odprawiał pan jego pogrzeb. A mojego ojca minęliśmy, gdy wypływaliśmy z portu. Żyje i ma się dobrze.

— Ten Ira Pommeroy zaplątał się w czyjeś liny?

— Zgadza się.

— I miał kilkoro dzieci?

— Siedmiu synów.

— I córkę?

— Nie.

— Ale była tam pani, prawda? Na pogrzebie.

— Owszem.

— Więc mi się nie wydawało.

— Nic podobnego. Rzeczywiście tam byłam.

— Miałem wrażenie, że należy pani do tej rodziny.

— Nie, pastorze. Nie należę.

— A ta urocza wdowa...?

— Pani Pommeroy?

— Tak, pani Pommeroy. To nie pani matka?

— Nie, proszę pana.

— Ruth należy do rodziny Ellisów — uzupełnił Cal Cooley.

— Thomasów — poprawiła go Ruth. Mówiła spokojnie, ale była wściekła. Co ten Cal Cooley miał takiego w sobie, że zaraz nachodziły ją mordercze myśli? Nikt inny na nią tak nie działał. Wystarczyło tylko, by otworzył usta, a już wyobrażała sobie, jak rozjeżdżają go ciężarówki. Niesamowite.

— Matka Ruth jest oddaną siostrzenicą panny Very — wyjaśnił Cal. — Mieszka z panną Vera w posiadłości Ellisów w Concord.

— Moja matka jest służącą panny Very Ellis — oświadczyła Ruth spokojnym głosem.

— Matka Ruth jest oddaną siostrzenicą panny Very — powtórzył Cal. — Właśnie do nich jedziemy.

— Doprawdy? — zdziwił się pastor. — Byłem przekonany, młoda damo, że jest pani Pommeroyówną. I że ta śliczna młoda wdowa to pani matka.

— No, cóż. Tak nie jest.

— Czy ona nadal mieszka na wyspie?

— Tak.

— Z synami?

— Paru wstąpiło do wojska, jeden pracuje na farmie w Orono, a trzech wciąż mieszka w domu.

— Jak ona sobie radzi? Jak zarabia na życie?

— Synowie przysyłają jej pieniądze. I strzyże ludzi.

— To jej wystarcza?

— Wszyscy na wyspie się u niej strzygą. Jest w tym świetna.

— Może kiedyś sam powinienem się do niej wybrać.

— Na pewno będzie pan zadowolony — powiedziała oficjalnie Ruth. Nie mogła uwierzyć, że rozmawia z nim

w taki sposób. „Na pewno będzie pan zadowolony?" Co ona gada? Co ją obchodzi zadowolenie pastora Wishnella z nowej fryzury?

— Ciekawe. A pani rodzina, Ruth? Pani ojciec zajmuje się zatem połowem homarów?

— Tak.

— Okropny zawód.

Ruth nie odpowiedziała.

— Okrutny. Wzbudza w ludziach chciwos'c. Jak oni bronią swoich terenów! Nigdy się nie zetknąłem z podobną chciwos'cia! Na tych wyspach popełniono więcej morderstw z powodu granic łowisk...

Pastor urwał. Ruth nadal milczała. Obserwowała odwróconego do niej plecami Owneya Wishnella. Chłopak stał u steru i kierował *New Hope* ku Rockland. Ignorował ich przez cały ranek do tego stopnia, że prościej byłoby chyba założyć, że nie słyszy. Gdy jednak pastor wspomniał o połowie homarów, w postawie chłopaka zaszła zmiana. Naprężył plecy jak polujący kot. Lekko się napiął. Przysłuchiwał się rozmowie.

— Oczywiście — podjął pastor — ma pani inny punkt widzenia. Obcuje pani tylko z poławiaczami homarów z pani wyspy. Ze mną jest inaczej. Na całym wybrzeżu spotykam takich ludzi jak pani sąsiedzi. Widzę, jakie straszne tragedie rozgrywają się... na ilu wyspach, Owney? Ile wysp mamy w naszej parafii? Ile widzieliśmy wojen o homary? W iluż sporach o granice łowisk wystąpiłem jako mediator tylko w ciągu ubiegłych dziesięciu lat?

Jednak Owney Wishnell nie odpowiedział. Stał zupełnie nieruchomo, zapatrzony przed siebie, z wielkimi dłońmi na sterze *New Hope* i ogromnymi stopami (jak

szufle) w czystych rybackich butach. Kierowana przez niego łódź przebijała się przez fale.

— Owney wie, jakie straszne jest życie poławiaczy homarów — odezwał się po chwili pastor. — W 1965 roku, kiedy był jeszcze dzieckiem, kilku poławiaczy homarów z Courne Haven chciało utworzyć spółdzielnię. Przypomina to sobie pani?

— Pamiętam, że coś o tym słyszałam.

— To był świetny pomysł, na papierze, rzecz jasna. Spółdzielnia rybacka to jedyny sposób, żeby prosperować w tym biznesie, a nie tylko głodować. Zbiorowe negocjacje z hurtownikami, ze sprzedawcami przynęty, ustalanie cen, limitowane zastawianie więcierzy. To byłoby niegłupie. Ale proszę tylko spróbować wbić to do głowy tym tępakom.

— Nie mają do siebie zaufania — powiedziała Ruth. Jej ojciec twardo się sprzeciwiał jakiejkolwiek inicjatywie stworzenia spółdzielni rybackiej. Podobnie jak Angus Addams. I wuj Len Thomas. Oraz większość znanych jej rybaków.

— Mówiłem przecież, że to tępaki.

— Nie — sprzeciwiła się Ruth. — Są niezależni i trudno im to zmienić. Czują się bezpieczniej, postępując tradycyjnie, troszcząc się o samych siebie.

— A pani ojciec? — spytał pastor. — Jak transportuje połów do Rockland?

— Na swojej łodzi. — Nie zauważyła, kiedy rozmowa zmieniła się w przepytywanie.

— A jak dowozi przynętę i paliwo?

— Też na łodzi, z Rockland.

— I wszyscy inni też tak robią, prawda? Każdy sam telepie się swoją łódeczką do Rockland, bo nie może ni—

komu zaufać na tyle, żeby wejść z nim w spółkę i robić to na zmianę. Mam rację?

— Mój ojciec za nic w świecie nie zdradzi, ile złapał homarów ani ile mu za nie płacą. Dlaczego inni mieliby o tym wiedzieć?

— Więc jest tak tępy, że nigdy nie znajdzie sobie wspólników.

— Wolę nie myśleć w takich kategoriach — powiedziała spokojnie Ruth. — Poza tym nikt nie ma kapitału, by założyć spółkę.

Cal Cooley parsknął śmiechem.

— Przymknij się, Cal — powstrzymała go dziewczyna ostrzejszym tonem.

— Cóż, mój bratanek Owney miał okazję przyjrzeć się z bliska wojnie, jaka się rozpętała po ostatniej próbie utworzenia spółdzielni na Courne Haven, zgadza się? Usiłował ją założyć Dennis Burden. Zaangażował się w to całym sercem. To jemu i jego dzieciom przywoziliśmy jedzenie i odzież po tym, jak sąsiedzi — jego w ł a s n i sąsiedzi — podpalili mu łódź i biedak nie był już w stanie utrzymać rodziny.

— Słyszałam, że Dennis Burden wszedł cichaczem w układ z hurtownikiem z Sandy Point — powiedziała Ruth. —I że oszukiwał sąsiadów. — Przerwała i naśladując ton pastora, uzupełniła: — W ł a s n y c h sąsiadów.

Duchowny zmarszczył brwi.

— To bajka.

— Słyszałam coś zupełnie innego.

— Czy spaliłaby pani czyjąś łódź?

— Nie było mnie przy tym.

— Rzeczywiście, nie. Ale ja i Owney byliśmy. Chłopak dostał niezłą lekcję homarowego biznesu. Widywał te

średniowieczne wojny i dysputy na każdej wyspie, stąd po Kanadę. Zdaje sobie sprawę z wszechobecnej demoralizacji, niebezpieczeństw, chciwości. Jest za mądry, żeby się w to wpakować.

Owney Wishnell milczał.

Wreszcie pastor zwrócił się do Ruth:

— Mądra z pani dziewczyna, Ruth.

— Dziękuję.

— Zdaje się, że odebrała pani porządną edukację.

— Aż za bardzo. Poszła na to cała pieprzona fortuna — wtrącił się Cal Cooley.

Pastor obrzucił go tak ciężkim spojrzeniem, że Ruth niemal się wzdrygnęła. Cal odwrócił głowę. Ruth poczuła, że po raz ostatni usłyszała, jak ktoś wypowiada na pokładzie *New Hope* słowo „pieprzony".

— I co dalej, Ruth? — spytał Toby Wishnell. —Jest pani rozsądna, prawda? Co pani pocznie ze swoim życiem?

Ruth Thomas spojrzała na plecy i kark Owneya, który — czuła to — nadal uważnie słuchał.

— Może college? — zasugerował pastor.

Postawa Owneya wyrażała skrajne zaniepokojenie.

Ruth zdecydowała się więc podjąć temat.

— Najbardziej na świecie chciałabym zostać poławiaczką homarów, proszę pana.

Pastor wpatrzył się w nią chłodnym wzrokiem. Odpowiedziała mu podobnym spojrzeniem.

— To przecież takie szlachetne powołanie — dodała.

To definitywnie zakończyło rozmowę. Słowa Ruth wywołały natychmiastowy efekt. Nie mogła się powstrzymać. Zawsze musiała odpyskować. Była zawstydzona, że odezwała się w taki sposób. Zażenowana, ale i trochę dumna. Tak! Każdego zapędzi w kozi róg! Ale, mój Boże,

co za niezręczna cisza. Może powinna była przemyśleć swoje zachowanie.

New Hope kołysała się i podskakiwała na wzburzonym morzu. Cal Cooley zbladł, szybko wyszedł na pokład i zawisł na relingu. Owney w milczeniu prowadził łódź, ale kark mu poczerwieniał. Ruth Thomas czuła się wyjątkowo niezręcznie, pozostawszy sam na sam z pastorem Wishnellem, miała jednak nadzieję, że nie było po niej widać zmieszania. Usiłowała wyglądać na rozluźnioną. Nie starała się już podejmować rozmowy. Choć pastor miał jej jeszcze coś do powiedzenia. Do Rockland pozostała cała godzina drogi, gdy się na to zdecydował.

Przechylił się ku niej i rzekł:

— Wiedziała pani, że jestem pierwszym Wishnellem, który nie został poławiaczem homarów? Wiedziała pani?

— Owszem, proszę pana.

— Świetnie — skonstatował. — W takim razie zrozumie pani, co jej powiem. Mój bratanek Owney będzie następny.

Uśmiechnął się, odchylił i przez resztę podróży przyglądał uważnie dziewczynie. Zachowała nikły uśmiech. Nie zamierzała okazywać temu człowiekowi swojego zakłopotania. Co to, to nie. Przez kolejną godzinę mierzył ją swoim chłodnym, inteligentnym spojrzeniem. A ona odpowiadała mu uśmiechem. Czuła się paskudnie.

***

Cooley zawiózł podopieczną do Concord dwutonowym buickiem, który Ellisowie zakupili, gdy Ruth była jeszcze dziewczynką. Oznajmiła Calowi, że się zmęczyła, położyła się na tylnym siedzeniu i udawała, że śpi. On zaś przez

całą drogę gwizdał *Dixie*. Wiedział, że Ruth czuwa i jak bardzo działa jej tym na nerwy.

O zmroku dotarli do Concord. Padał drobny deszcz, a buick przyjemnie syczał, mknąc po mokrym makadamie. Ruth nigdy nie słyszała tego dźwięku, jadąc piaszczystą drogą na Fort Niles. Cal skręcił na długi podjazd posiadłości Ellisów i powoli przyhamował. Dziewczyna wciąż stwarzała pozory snu, a Cooley udał, że ją budzi. Odwrócił się na przednim siedzeniu i szturchnął ją w biodro.

— Postaraj się ocknąć.

Ruth otworzyła powoli oczy i teatralnie się przeciągnęła.

— Jestes'my już na miejscu?

Wysiedli z samochodu, podeszli do frontowych drzwi i Cal zadzwonił. Włożył ręce do kieszeni kurtki.

— Ależ jesteś wściekła, że cię tu przywiozłem — roześmiał się. — Ależ ty mnie musisz nienawidzić.

W otwartych drzwiach ukazała się matka Ruth. Westchnęła cicho i wyszła za próg, by objąć córkę. Ruth położyła jej głowę na ramieniu i oświadczyła:

— Przyjechałam.

Przez chwilę trzymały się w objęciach.

— Wspaniale wyglądasz, Ruth — pochwaliła matka, choć nie mogła przyjrzeć się córce, która trzymała wciąż głowę na jej ramieniu.

— Jestem — powtórzyła dziewczyna — już jestem.

Cal Cooley dyskretnie zakaszlał.

6

Młode stworzenia, które wylęgają się z jaj homara, pod każdym względem — łącznie z wyglądem, przyzwyczajeniami czy sposobem poruszania się — różnią się od dorosłych osobników.

Wiliam Saville—Kent
1897

Panna Vera Ellis nigdy nie pragnęła, by matka Ruth wyszła za mąż.

Gdy Mary Smith—Ellis była małą dziewczynką, panna Vera mawiała:

— Wiesz, jakim ciężkim przeżyciem była dla mnie śmierć twojej matki.

— Tak, panno Vero — odpowiadała Mary.

— Ledwo bez niej przetrwałam.

— Wiem, panno Vero.

— Jesteś do niej taka podobna.

— Dziękuję.

— Nie mogę się bez ciebie obyć!

— Tak, wiem.

— Moja pomocnica!

— Tak, panno Vero.

Matka Ruth wiodła z panną Vera nader dziwne życie. Nigdy nie miała bliskich przyjaciół ani ukochanego. Służba u Ellisów określała wszystko: zajmowała się reperowaniem, korespondencją, pakowaniem, zakupami, zaplataniem włosów, uspokajaniem, pomaganiem, asystą przy kąpieli i tak dalej. Odziedziczyła obowiązki, które niegdyś ciążyły na jej matce, i została wychowana na służącą, dokładnie tak jak ona.

Zimy w Concord, lata na Fort Niles. Mary uczęszczała do szkoły, lecz tylko do szesnastego roku życia i jedynie dlatego, że panna Vera nie chciała mieć za towarzyszkę kompletnej idiotki. Poza latami szkolnymi życie dziewczyny całkowicie wypełniały obowiązki wobec panny Ellis. W ten sposób Mary wyrosła z dziecka na nastolatkę. Następnie stała się kobietą — najpierw młodą, a potem już nie pierwszej młodości. Nigdy nie miała adoratora. Nie była nieatrakcyjna, lecz wciąż było coś do zrobienia. Musiała pracować.

Pod koniec lata 1955 roku panna Vera postanowiła zorganizować piknik dla mieszkańców Fort Niles. W Domu Ellisów przebywali akurat goście z Europy, którym zapragnęła pokazać uroki wyspy. Zaplanowała więc pieczenie homarów na Plaży Gavina, na które miała być zaproszona cała miejscowa ludność. Ta decyzja była bezprecedensowa. Nigdy wcześniej na Fort Niles nie odbywały się wydarzenia towarzyskie, w których mieszkańcy uczestniczyliby wspólnie z Ellisami. Panna Vera uznała jednak, że to zachwycający pomysł. Zupełna nowość.

Organizacja imprezy spoczęła oczywiście na barkach Mary. To ona rozmawiała z żonami rybaków i umówiła się z nimi, że upieką ciasto z borówkami. Była skromna i spokojna, więc kobiety dosyć ją polubiły. Wiedziały,

skąd przychodzi, ale nie miały jej tego za złe. Wyglądała na miłą dziewczynę, tylko nieco nieśmiałą i wystraszoną. Mary zamówiła też kukurydzę, ziemniaki, węgiel drzewny i piwo. Z miejscowej szkoły podstawowej wypożyczyła długie stoły i dopilnowała, by przewieziono na plażę kościelne ławki. Porozmawiała z Fredem Burdonem z Courne Haven, który całkiem przyzwoicie grał na skrzypcach, i wynajęła go, by uprzyjemniał czas gościom podczas pikniku. Wreszcie należało zamówić kilkaset funtów homarów. Żony rybaków doradziły jej, by zwróciła się z tym do Angusa Addamsa, który uzyskiwał największy połów na wyspie. Polecono jej czekać po południu na nabrzeżu, aż przypłynie jego łódź, *Sally Chestnut*.

Mary wybrała się tam więc wietrznym sierpniowym popołudniem. Obeszła sterty połamanych więcierzy, sieci i beczek. Każdego mijanego rybaka — zalatującego nieprzyjemną wonią, w wysokich butach i oblepionym brudem nieprzemakalnym ubraniu — pytała:

— Przepraszam, czy pan Angus Addams? Przepraszam, czy jest pan szyprem *Sally Chestnuii*

Wszyscy kręcili głowami lub zaprzeczali, używając niewybrednych słów, po czym natychmiast odchodzili. Minął ją nawet sam Angus Addams, spuściwszy głowę, by go nie zauważyła. Nie miał pojęcia, kim, do cholery, mogła być ta kobieta i czego od niego chciała. Niewiele go to zresztą obchodziło. Obok Mary przeszedł też ojciec Ruth, a gdy go spytała: „Czy pan jest Angusem Addam—sem?", zaprzeczył mrukliwie jak pozostali. Tyle że potem zwolnił i odwrócił się, by przyjrzeć się nieznajomej, i to bardzo wnikliwie.

Była niebrzydka. Całkiem ładna. Miała na sobie dopasowane, jasnobrązowe spodnie oraz białą bluzkę

z krótkimi rękawami i niewielkim zaokrąglonym kołnierzykiem haftowanym w drobne kwiatki. Nie nosiła makijażu. Na jej przegubie lśnił niewielki srebrny zegarek, a krótkie ciemne włosy były starannie ułożone. Miała przy sobie notes i ołówek. Spodobały mu się jej szczupła talia i schludny wygląd. Stan Thomas, człowiek pedantyczny, bardzo cenił czystość.

Rzeczywiście, dobrze jej się przyjrzał.

— Czy pan jest Angusem Addamsem? — spytała Wayne'a Pommeroya, który minął ją chwiejnym krokiem, niosąc na ramieniu połamany więcierz. Wayne najpierw się zmieszał, a potem własne zakłopotanie tak go rozzłościło, że przemknął obok niej bez odpowiedzi.

Stan Thomas nadal przyglądał się Mary, gdy odwróciła się i napotkała jego wzrok. Uśmiechnął się. Podeszła do niego, odpowiadając uśmiechem, a na jej twarzy malował się uroczy wyraz nadziei. Miała ładny uśmiech.

— Na pewno nie jest pan Angusem Addamsem? — spytała.

— Nie. Jestem Stan Thomas.

— A ja Mary Ellis — przedstawiła się i wyciągnęła do niego rękę. — Pracuję w Domu Ellisów.

Stan Thomas nie odpowiedział, lecz nie wyglądał też nieprzyjaźnie, więc ciągnęła:

— Moja ciotka Vera wydaje w przyszłą niedzielę przyjęcie dla mieszkańców wyspy i chciałaby kupić kilkaset funtów homarów.

— Doprawdy?

— Właśnie.

— Od kogo chce je kupić?

— Nie sądzę, żeby to było istotne. Polecono mi odszukać Angusa Addamsa, ale to właściwie bez znaczenia.

— Mógłbym je sprzedać, ale musiałaby zapłacić cenę detaliczną.

— A ma pan tyle homarów?

— Mogę się o nie postarać. Przecież ich tu pełno. — Wskazał ręką na ocean i uśmiechnął się. — Wystarczy tylko złapać.

Mary wybuchnęła śmiechem.

— Jednak musiałaby zapłacić cenę detaliczną — powtórzył. — Jeśli miałbym je sprzedać.

— Och, na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. Chce się tylko upewnić, że ich nie zabraknie.

— Nie chcę być stratny. Mam w Rockland dystrybutora, który co tydzień oczekuje ode mnie pewnej ilości homarów.

— Jestem przekonana, że pana cena zostanie zaakceptowana.

— A jak zamierzacie przyrządzić te homary?

— Chyba... Przepraszam... Naprawdę nie wiem.

— Zajmę się tym.

— Och, panie Thomas!

— Rozpalę na plaży wielkie ognisko i ugotuję je w metalowych pojemnikach na śmieci, z wodorostami.

— O mój Boże! Właśnie tak?

— Owszem.

— O mój Boże! W kubłach na śmieci! Niemożliwe.

— Ellisowie mogą kupić nowe. Złożę zamówienie. Odbierzecie je za dwa dni w Rockland.

— Naprawdę?

— Na wierzch damy kukurydzę. I małże. Wszystkim się zajmę. Kobieto, to jedyne wyjście!

— Panie Thomas, oczywiście za wszystko panu zapła—

cimy i będziemy bardzo wdzięczni. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, jak to zorganizować.

— Nie ma potrzeby — odparł Stan Thomas. — Niech tam, nie wezmę żadnych pieniędzy. — Sam siebie zadziwił własną rozrzutnos'cia. Nigdy w życiu nie zrobił nic za darmo.

— Panie Thomas!

— Może mi pani pomóc. Co pani na to, Mary? Potrzebuję pomocnika. To by mi wystarczyło za zapłatę.

Położył dłoń na jej ramieniu i uśmiechnął się. Miał bardzo brudne ręce, zalatujące śledziową przynętą, ale niech tam, raz kozie śmierć. Podobał mu się odcień jej skóry, która była ciemniejsza i gładsza niż u mieszkańców wyspy. Kobieta nie była już taka młoda, jak mu się początkowo wydawało. Z bliska wyraźnie widział, że dzieciństwo dawno miała już za sobą. Była jednak szczupła i miała ładne, krągłe piersi. Spodobało mu się, jak leciutko marszczy brwi, z powagą i nieco nerwowo. I miała ładne usta. Uścisnął jej ramię.

— Myślę, że świetnie się pani nada na pomocnicę — stwierdził.

Roześmiała się.

— Będę cały czas na posterunku! — obiecała. — Proszę mi wierzyć, panie Thomas, nie zawiedzie się pan!

***

W dzień pikniku lał deszcz. Był to ostatni raz, kiedy rodzina Ellisów zorganizowała zabawę dla całej wyspy. Dzień okazał się okropny. Panna Vera spędziła na plaży zaledwie godzinę, siedząc pod osłoną plandeki i wciąż narzekając. Jej europejscy przyjaciele wybrali się na długi spacer, a wiatr porwał im parasole. Jeden z panów z Austrii skarżył się, że deszcz zniszczył mu aparat fotograficzny. Pan

Burden, skrzypek, upił się w czyimś samochodzie i tam też grał, przy zamkniętych oknach i drzwiach. Przez wiele godzin nie sposób było go stamtąd wydostać. Ognisko Staną Thomasa nie zapłonęło, co w połączeniu z mokrym piaskiem, lejącym jak z cebra deszczem i kobietami mocno przyciskającymi do piersi wypieki, jakby próbowały ochronić niemowlęta, spowodowało, że impreza skończyła się fiaskiem.

Mary Smith—Ellis krzątała się gorączkowo w przeciwdeszczowym rybackim ubraniu. Przestawiała krzesła pod drzewa i przykrywała stoły prześcieradłami, lecz nic nie zdołało już uratować pikniku. Jego organizacja spoczywała na jej barkach, a efekt był katastrofalny, lecz Stanowi Thomasowi podobał się sposób, w jaki przyjęła tę porażkę, jak poruszała się wśród gości, starając się utrzymywać dobry nastrój. Była nerwowa, ale miała w sobie energię, która go pociągała. Świetnie się sprawdzała w pracy. To również bardzo mu się spodobało. Sam należał do pracowitych i nie znosił próżniactwa.

— Powinna pani do mnie wstąpić, żeby się ogrzać — zagadnął ją, gdy przemykała obok późnym popołudniem.

— Och, nie — odmówiła. — To pan powinien zajść do Domu Ellisów.

Później, gdy pomógł jej odwieźć stoły do szkoły, a ławki do kościoła, ponowiła swoje zaproszenie, więc Stan odwiózł ją do domu. Rzecz jasna, wiedział, gdzie on się znajduje, lecz jeszcze nigdy tam nie był.

— Pewnie dobrze się tu mieszka — powiedział.

Siedzieli w jego pikapie na podjeździe. Okna były zamglone od oddechów i parujących mokrych ubrań.

— Ellisowie przyjeżdżają tu tylko na lato — wyjaśniła Mary.

— A pani?

— Oczywiście też się tu zatrzymuję. Wszędzie towarzyszę rodzinie. Zajmuję się panną Vera.

— Zajmuje się pani panną Vera Ellis? Przez cały czas?

— Jestem jej towarzyszką — odpowiedziała Mary z nikłym uśmiechem.

— Proszę mi przypomnieć, jak się pani nazywa?

— Ellis.

— Ellis?

— Zgadza się.

Nie mógł się w tym połapać. Nie potrafił się zorientować, kim jest ta kobieta. Służącą? Tak się przynajmniej zachowywała — widział, jak ta suka Vera Ellis się do niej zwracała. Dlaczego więc nazywała się Ellis? Ellis? Była ubogą krewną? Czy ktokolwiek słyszał, by jakiś Ellis przestawiał krzesła i ławki i biegał w deszczu w pożyczonej rybackiej kurtce? Przeszło mu przez myśl, by zapytać dziewczynę, jak to z nią, u diabła, właściwie jest, ale nie chciał zrażać do siebie kogoś tak miłego. Zamiast tego wziął ją za rękę. Nie cofnęła dłoni.

W końcu Stan Thomas był przystojnym młodym mężczyzną o starannie przystrzyżonych włosach i pięknych ciemnych oczach. Nie należał do wysokich, lecz miał zgrabną, szczupłą sylwetkę. Był też zdecydowany i bezpośredni, co bardzo ujęło Mary. Wcale nie miała nic przeciwko temu, by wziął ją za rękę, mimo tak krótkiej znajomości.

— Jak długo pani tu jeszcze zostanie? — spytał.

— Prawie do połowy września.

— Racja. Zawsze wtedy wyjeżdżają — wyjeżdżacie.

— Właśnie.

— Chciałbym panią znów zobaczyć — wyznał.

Roześmiała się.

— Mówię poważnie — przekonywał. — Chcę to powtórzyć. Lubię trzymać panią za rękę. Kiedy możemy się spotkać?

Mary zastanawiała się przez kilka minut, a potem szczerze odpowiedziała:

— Też chciałabym pana jeszcze zobaczyć, panie Thomas.

— Świetnie. Mów mi Stan.

— Dobrze.

— Więc kiedy się spotkamy?

— Nie jestem pewna.

— Chyba chciałbym już jutro. Może więc jutro? Jak się umówimy?

— Jutro?

— Czy coś nam w tym przeszkodzi?

— Nie wiem — powiedziała Mary i zwróciła ku niemu twarz, na której widniała niemal panika. — Nie wiem!

— Nie wiesz? Nie podobam ci się?

— Owszem, podoba mi się pan... podobasz mi się, Stan.

— W porządku. W takim razie przyjdę po ciebie jutro około czwartej. Przejedziemy się gdzieś.

— O mój Boże.

— No to jesteśmy umówieni — skonstatował Stan Thomas. — Powiedz, komu trzeba.

— Nie wiem, czy muszę się komuś opowiadać, ale nie wiem też, czy znajdę czas na przejażdżkę.

— W takim razie zrób, co trzeba, i wymyśl jakiś sposób. Naprawdę chcę cię zobaczyć. Nawet na to nalegam!

— Dobrze! — roześmiała się.

— To świetnie. Czy nadal zapraszasz mnie do środka?

— Oczywiście! — potwierdziła Mary. — Proszę cię, wejdź!

Wysiedli z samochodu, lecz kobieta nie skierowała się ku głównemu wejściu. Wciąż padało, więc pobiegła wzdłuż domu, a Stan pośpieszył za nią. Mknęła tuż przy granitowej ścianie, pod osłoną wielkich okapów, by w końcu zniknąć za zwykłymi drewnianymi drzwiami, które przytrzymała dla swego towarzysza. Znajdowali się w korytarzu na tyłach domu. Odebrała od Staną nieprzemakalny płaszcz i powiesiła go na wieszaku.

— Pójdziemy do kuchni — oznajmiła i otworzyła kolejne drzwi. Do wielkiej staroświeckiej piwnicznej kuchni prowadziły kręcone, żelazne schodki. Królował w niej ogromny kamienny kominek z żelaznymi hakami, garnkami i innymi przyrządami. Po jednej stronie kuchni mieściły się zlewy, po drugiej zaś kuchenki i piekarniki. Z sufitu zwieszały się powiązane w pęczki zioła, a czysta podłoga wyłożona była sfatygowanymi już płytkami. Przy szerokim sosnowym stole na środku pomieszczenia siedziała drobna kobieta w średnim wieku, o rudych włosach i żywej twarzy. Sprawnie łuskała fasolę i wrzucała ją do srebrnej misy.

— Witaj, Edith — powitała ją Mary.

Kobieta skinęła głową i powiedziała:

— Chce, żebyś przyszła.

— Naprawdę?

— Bez przerwy cię woła.

— Od kiedy?

— Przez całe popołudnie.

— Przecież byłam zajęta odwożeniem krzeseł i stołów — wyjaśniła Mary. Pośpieszyła do jednego ze zlewów, szybko umyła ręce i wytarła je o spodnie.

— Jeszcze nie wie, że wróciłaś — powiedziała Edith — więc możesz spokojnie usiąść i napić się kawy.

— Powinnam jednak zobaczyć, o co jej chodzi.

— A twój przyjaciel?

— Stan! — krzyknęła Mary i odwróciła się ku niemu. Najwyraźniej zapomniała o jego obecności. — Przykro mi, ale chyba nie będę mogła z tobą posiedzieć.

— Mary, usiądź i napij się kawy — powiedziała Edith, nadal łuskając fasolę. — Przecież nawet nie wie, że już wróciłaś.

— Tak, Mary, usiądź i napij się kawy — przekonywał Stan, a w tym czasie Edith przyjrzała mu się z ukosa. Było to przelotne spojrzenie, lecz dostarczyło jej wielu informacji.

— Może pan też usiądzie? — spytała.

— Dziękuję pani, z chęcią — odpowiedział, siadając.

— Poczęstuj gościa kawą, Mary.

Mary się skrzywiła.

— Nie mogę — powiedziała. — Muszę sprawdzić, co z panną Vera.

— Przecież nie umrze, jeśli posiedzisz tu przez pięć minut i trochę obeschniesz — powiedziała Edith.

— Nie mogę — odparła Mary i wybiegła kuchennymi drzwiami, minąwszy Staną Thomasa i Edith. Usłyszeli tylko odgłos jej pośpiesznych kroków na schodach. — Przepraszam — zawołała jeszcze i zniknęła.

— Chyba nie powinienem sam częstować się kawą — stwierdził Stan.

— Podam panu. To w końcu moja kuchnia.

Edith odstawiła fasolę i nalała Stanowi filiżankę kawy. Bez pytania dolała śmietanki i nie zaproponowała cukru,

co mu zresztą odpowiadało. W ten sam sposób przygotowała kawę też dla siebie.

— *Zaleca,* się pan do niej? — spytała, usiadłszy. Podejrzliwie badała go wzrokiem i wcale nie zamierzała się z tym kryć.

— Dopiero co ją poznałem.

— Jest pan zainteresowany?

Stan nie odpowiedział, uniósł tylko brwi w ironicznym zdziwieniu.

— Nie dam panu żadnej rady — powiedziała Edith.

— Nie musi pani.

— Ktoś powinien.

— Na przykład kto?

— Widzi pan, ona jest już właściwie zamężna, panie...

— Thomas. Stan Thomas.

— Jest już zamężna, panie Thomas.

— Nie. Nie'nosi obrączki. I wcale mi o tym nie wspominała.

— Wyszła za tę staruchę na górze. — Kobieta pożółkłym kciukiem wskazała na sufit. — Widział pan, jak do niej leci, nawet kiedy jej nie woła?

— Czy mogę panią o coś zapytać? — zdecydował się Stan. — Kim ona jest, do jasnej cholery?

— Licz się pan ze słowami — ostrzegła Edith, choć ton jej głosu nie zdradzał szczególnych pretensji. Westchnęła. — Formalnie Mary jest siostrzenicą panny Very, ale faktycznie jest jej niewolnicą. To rodzinna tradycja. Z jej matką było to samo — biedaczka uwolniła się tylko dzięki temu, że utonęła. To właśnie ją zmyła fala w 1927. Nie udało się znaleźć ciała. Słyszał pan o tym?

— Słyszałem.

— Mój Boże, już chyba milion razy opowiadałam tę historię. Doktor Ellis adoptował Jane jako towarzyszkę zabaw dla córeczki, która zmieniła się teraz w tę hałaśliwą zrzędę z góry. Jane była matką Mary. Zaszła w ciążę z jakimś Włochem z kamieniołomów. Ależ był skandal.

— Coś mi się obiło o uszy.

— Cóż, chcieli to utrzymać w tajemnicy, ale ludzie uwielbiają głośne skandale.

— Tutaj na pewno.

— No, i wie pan, potem utonęła, a panna Vera zabrała dziecko i wychowała sobie na pomocnicę, która zastąpiła matkę. Oto, kim jest Mary. Swoją drogą, nie mogę uwierzyć, że ci, co się troszczą o prawa dzieci, do tego dopuścili.

— Kto dopuścił?

— No, nie wiem. Po prostu nie mogę uwierzyć, że w dzisiejszych czasach prawo pozwala, żeby dziecko urodziło się niewolnikiem.

— Przecież nie chodzi pani o prawdziwe niewolnictwo.

— Dobrze wiem, o czym mówię, panie Thomas. Wszyscy mieszkaliśmy w tym domu i widzieliśmy, jak do tego doszło, i zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego nikt tego nie ukrócił.

— A dlaczego?

— Jestem kucharką, panie Thomas, a nie policjantem. Apan czym się zajmuje? Niech pan nie mówi, już wiem. Mieszka pan tutaj, więc oczywiście jest pan rybakiem.

— Zgadza się.

— Dobrze pan zarabia?

— Wystarczająco.

— Wystarczająco na co?

— Wystarczająco jak na tę wyspę.

— Czy ma pan niebezpieczną pracę?

— Nie jest tak źle.

— A chciałby pan się napić czegoś porządnego?

— Pewnie, że tak.

Edith podeszła do szafki, odsunęła kilka butelek i wróciła ze srebrną piersiówką. Nalała z niej bursztynowego płynu do dwóch czystych filiżanek. Jedną podała Stanowi.

— Chyba nie jest pan pijakiem, co?

— A pani?

— Bardzo śmieszne, przy moich obowiązkach. Bardzo zabawne. — Edith utkwiła wzrok w Stanie Thomasie. —1 nie ożenił się pan z miejscową dziewczyną?

— Nie ożeniłem się z miejscową dziewczyną — potwierdził Stan i się roześmiał.

— Chyba dobry z pana człowiek. Tylko żartowałam. Jak długo zaleca się pan do Mary?

— Nikt się do niej nie zaleca, proszę pani.

— A od kiedy się pan nią interesuje?

— Poznałem ją dopiero w tym tygodniu. To chyba coś więcej, niż mi się zdawało. Ładna z niej dziewczyna. I miła.

— Miła. A na wyspie takich ładnych nie ma?

— Hej, tylko spokojnie.

— Cóż, to chyba niezwykłe, że się pan nie ożenił. Ile ma pan lat?

— Ponad dwadzieścia. Grubo ponad dwadzieścia. — Stan Thomas miał dwadzieścia pięć lat.

— Taki przystojny, porządny mężczyzna jak pan, któremu na dodatek nieźle się powodzi? Który nie pije? Jeszcze nieżonaty? Z tego, co wiem, ludzie wcześnie się tu pobierają, szczególnie rybacy.

— Może nikomu się tu nie podobam.

— I do tego wygadany. Może ma pan większe ambicje.

— Niech pani posłucha, pomagałem tylko Mary załatwiać różne sprawy.

— Chce pan się z nią jeszcze zobaczyć? Ma pan taki zamiar?

— Zastanawiałem się nad tym.

— Wie pan, ona ma prawie trzydziestkę.

— Ale nieźle się trzyma.

— I jest jedną z Ellisów — według prawa — ale nie ma grosza przy duszy, więc niech panu nic nie chodzi po głowie. Poza wiktem i opierunkiem nic jej nie dadzą.

— Nie wiem, co pani ma na myśli.

— Sama się próbuję połapać.

— To widać. Całkiem wyraźnie.

— Ona nie ma matki, panie Thomas. Ma w tym domu poważanie, bo jest potrzebna pannie Verze, ale nikt tu o nią nie dba. Jest młodą kobietą bez matki, która by jej dopilnowała, więc staram się dowiedzieć, jakie ma pan zamiary.

— Cóż, nie mówi pani jak matka. Z całym szacunkiem, proszę pani, ale mówi pani jak ojciec.

Ta uwaga wyraźnie pochlebiła Edith.

— Ojca też nie ma.

— Cholerny pech.

— A jak pan zamierza się z nią zobaczyć, panie Thomas?

— Chyba zabiorę ją na przejażdżkę po okolicy.

— Naprawdę?

— Co pani o tym sądzi?

— To nie moja sprawa.

Stan Thomas wybuchnął głos'nym śmiechem.

— Założę się, że niewiele trzeba, żeby jednak była.

— Bardzo zabawne — podsumowała Edith. Łyknęła jeszcze gorzałki. — Wszystko obraca pan w żart, co? A wie pan, że za kilka tygodni Mary wyjedzie? I wróci dopiero w czerwcu przyszłego roku.

— W takim razie chyba będę musiał codziennie ją gdzieś zabierać.

Stan Thomas obdarzył Edith najczarowniejszym uśmiechem, na jaki go było stać, bardzo zresztą ujmującym.

— Pakuje się pan w niezłe kłopoty, panie Thomas. Szkoda, bo nie powiem, żebym pana nie polubiła — ostrzegła Edith.

— Dziękuję. I nawzajem.

— Niech pan nie skrzywdzi tej dziewczyny.

— Nie zamierzam nikogo krzywdzić — zapewnił.

Edith najwyraźniej uznała, że rozmowa dobiegła końca, więc wróciła do łuskania fasoli. Nie wyprosiła Thomasa, więc Stan posiedział jeszcze trochę w kuchni Domu Ellisów w nadziei, że wróci Mary i się do niego przyłączy. Czekał dość długo, ale dziewczyna się nie zjawiała, więc w końcu poszedł do domu. Zdążyło się już ściemnić i wciąż padało. Pomyślał, że spróbuje ją zobaczyć innym razem.

***

Pobrali się w sierpniu następnego roku. Ślub nie był pośpieszny ani nieoczekiwany. Jeszcze w czerwcu 1956 roku — następnego dnia po przybyciu Ellisów na Fort Niles — Stan oznajmił Mary, że pod koniec lata się pobiorą. Powiedział jej, że zamieszka z nim na wyspie i może zapomnieć o niewolniczej służbie u tej przeklętej panny Very Ellis. Wszystko zostało więc ustalone z dużym wyprzedzeniem. Jednak sama uroczystość nosiła znamiona pośpiechu.

Ślubu udzielił im w salonie domu Staną Thomasa Mort

Beekman, podróżujący pastor wysp Maine. Był on poprzednikiem Toby ego Wishnella, który w owym czasie pełnił funkcję szypra na *New Hope*. W przeciwieństwie do Wishnella pastor Mort Beekman był powszechnie lubiany. Roztaczał wokół siebie aurę beztroski, co odpowiadało wszystkim zainteresowanym. Nie był fanatykiem, co w oczach rybaków z jego rozległej parafii również działało na jego korzyść.

Stan Thomas i Mary Smith—Ellis nie mieli świadków, obrączek ani gości, lecz pastor — zgodnie ze swoimi zasadami — wcale się tym nie przejął i rozpoczął uroczystość.

— Po co wam, u licha, świadkowie? — spytał retorycznie. Przyjechał na wyspę chrzcić, więc cóż go obchodzili świadkowie, obrączki czy goście. Tych dwoje młodych ludzi bez wątpienia wyglądało na dorosłych. Mogli podpisać akt ślubu? Tak. Czy wiek pozwalał im się pobrać bez niczyjego zezwolenia? Tak. Czy to sprawi wielki kłopot? Nie. Więc właściwie w czym problem?

— Przeczytać wam wszystkie modlitwy, cytaty z Pisma i całą resztę? — spytał młodą parę pastor Beekman.

— Nie, dziękujemy — odparł Stan. — Wystarczy tylko to, co się tyczy zawarcia małżeństwa.

— I może trochę modlitw... — zasugerowała niepewnie Mary.

Pastor Mort Beekman westchnął i sklecił uroczystość zaślubin z odrobiną modlitwy — specjalnie dla panny młodej. Nie mógł nie zauważyć, że wyglądała okropnie. Bardzo pobladła i cała drżała. Ceremonia trwała około czterech minut. Odprowadzając pastora do drzwi, Stan Thomas wsunął mu do ręki dziesięciodolarówkę.

— Jesteśmy bardzo wdzięczni — powiedział. — Dziękujemy za wizytę.

— Nie ma sprawy — odparł pastor i skierował się ku

łodzi, żeby przed zmrokiem odpłynąć z wyspy. Na Fort Niles nie było przyzwoitego miejsca, w którym mógłby się zatrzymać, więc nie zamierzał nocować na tej niegościnnej skalistej wyspie.

Był to najmniej ostentacyjny ślub w historii rodziny Ellisów. Jeśli oczywiście Mary Smith—Ellis można było uważać za jej członka, co w zaistniałej sytuacji stało się bardzo wątpliwe.

— Jako twoja ciotka — mówiła Mary panna Vera — muszę ci wyznać, że moim zdaniem robisz błąd, decydując się na małżeństwo. Nie powinnaś wiązać się z tym rybakiem i przykuwać do tej wyspy.

— Przecież kocha pani tę wyspę, panno Vero — usprawiedliwiała się Mary.

— Nie w lutym, kochanie.

— Mogłabym panią wtedy odwiedzać.

— Moja droga, będziesz musiała się zająć mężem, nie znajdziesz czasu na wizyty. Sama byłam kiedyś zamężna, więc wiem, o czym mówię. To było nader ograniczające — oświadczyła, choć bynajmniej nie odpowiadało to prawdzie.

Ku powszechnemu zaskoczeniu panna Vera nie występowała więcej przeciwko planom małżeńskim Mary. Dla tych, którzy widzieli jej gwałtowne oburzenie spowodowane ciążą adoptowanej siostry trzydzieści lat wcześniej oraz napady złości wywołane śmiercią matki Mary dwadzieścia dziewięć lat wstecz (nie mówiąc o codziennych wybuchach o rozmaite błahostki), spokój, z jakim przyjęła nowinę siostrzenicy, stanowił niezgłębioną tajemnicę. Jakże panna Vera mogła się na to zgodzić? Jak mogła stracić kolejną towarzyszkę? Jak mogła tolerować tę nielojalność, to opuszczenie?

Jej reakcja zapewne nikogo nie zdziwiła bardziej niż

samej Mary, która niepokojąc się, co będzie ze Stanem Thomasem, schudła tego lata dziesięć funtów. Co miała z nim począć? Nie nalegał, by się z nim spotykała, nie odciągał jej od obowiązków, lecz uparcie nastawał na ślub z końcem lata. Powtarzał to od czerwca. Ta kwestia, jak się zdaje, nie podlegała dyskusji.

— Przecież ty też uważasz, że to dobry pomysł — przypominał, a ona rzeczywiście tak sądziła. Miała ochotę wyjść za mąż. Wcześniej nie myślała zbyt wiele na ten temat, lecz teraz wydawało jej się to bardzo odpowiednie. A on był taki przystojny. I taki pewny swego.

— Jesteśmy coraz starsi — upominał ją i faktycznie miał rację.

Mimo to Mary dwa razy zwymiotowała, zanim obwieściła pannie Verze, że wychodzi za Staną Thomasa. W końcu nie mogła już dłużej tego odkładać i w połowie lipca ogłosiła swoją nowinę. O dziwo, rozmowa potoczyła się gładko. Vera nie wpadła we wściekłość, choć jej się to zdarzało z powodów znacznie mniej istotnych. Słowa o „wielkim błędzie" zabrzmiały jak wyraz troski przejętej ciotki, a pod koniec zdawała się zupełnie pogodzona z sytuacją, podczas gdy Mary w panice zarzucała ją pytaniami.

— Cóż pani beze mnie pocznie?

— Mary, moja kochana. W ogóle o tym nie myśl — zapewnieniu towarzyszył ciepły uśmiech i pogłaskanie ręki.

— A w takim razie co ja teraz zrobię? Nigdy się nie rozstawałyśmy!

— Jesteś uroczą, zdolną młodą kobietą. Świetnie sobie beze mnie poradzisz.

— Ale nie jest pani przekonana, że powinnam się na to decydować, prawda?

— Och, Mary. Cóż to ma za znaczenie, co ja o tym sądzę?

— Uważa pani, że on nie będzie dobrym mężem.

— Nigdy ani słowem go nie skrytykowałam.

— Ale się pani nie podoba.

— To tobie musi się podobać, Mary.

— Myśli pani, że skończę w biedzie i samotności.

— Och, nic podobnego, Mary. Nie zostaniesz bez dachu nad głową. Nie będziesz sprzedawać zapałek na ulicy ani robić nic równie strasznego.

— Sądzi pani, że z nikim się tu nie zaprzyjaźnię. Że będę samotna, a zima doprowadzi mnie do obłędu.

— Któż nie chciałby się z tobą zaprzyjaźnić?

— Uważa pani, że jestem rozwiązła, zadając się z rybakami. Wydaje się pani, panno Vero, że zaczynam powtarzać błędy matki.

— Czegóż to ja nie myślę! — roześmiała się panna Vera.

— Będę ze Stanem szczęśliwa — zapowiedziała Mary. — Na pewno.

— Nic bardziej radosnego. Szczęśliwa panna młoda jest po prostu olśniewająca.

— Tylko gdzie powinniśmy się pobrać?

— Mam nadzieję, że w kościele.

Mary zamilkła, podobnie zresztą jak panna Vera. Ellisówny tradycyjnie wychodziły za mąż w ogrodzie rodzinnego domu, a ślubu udzielał im biskup Kościoła episkopalnego w Concord, którego na tę okazję sprowadzano. Miały wystawne zaślubiny, na które zapraszano wszystkich członków rodziny oraz jej najbliższych przyjaciół. Wydawano dla nich eleganckie przyjęcia weselne w Domu Ellisów. Gdy więc panna Vera zasugerowała ślub w kościele, Mary miała powód, by zamilknąć.

— Chciałabym jednak wyjść za mąż tutaj, w tym domu.

— Och, Mary, po co ci taki kłopot. Powinnaś się zdecydować na skromną uroczystość i szybko wrócić do normalności.

— Ale przyjedzie pani na ślub? — spytała Mary po dłuższej chwili.

— Och, kochanie.

— Przyjedzie pani?

— Zalewałabym się tylko łzami i zepsułabym ci ten szczególny dzień.

Nieco później tego popołudnia pan Lanford Ellis — starszy brat Very i urzędujący patriarcha rodziny — wezwał Mary do siebie i pogratulował jej zbliżającego się zawarcia małżeństwa. Wyraził nadzieję, że Stan Thomas jest honorowym młodzieńcem.

— Powinnaś sobie kupić ładną suknię ślubną — powiedział i podał jej kopertę. Mary sięgnęła po nią, lecz Lanford dodał: — Nie otwieraj jej tutaj. — Ucałował ją, uścisnął jej dłoń i zapewnił: — Zawsze darzyliśmy cię głębokim uczuciem — i na tym zakończył.

Mary otworzyła kopertę dopiero wieczorem, gdy znalazła się sama w swoim pokoju. Doliczyła się tysiąca dolarów w gotówce. Dziesięciu studolarówek, które schowała pod poduszką. W 1956 roku była to pokaźna suma jak na suknię ślubną, lecz w końcu Mary wyszła za mąż w kwiecistej bawełnianej sukience, którą dwa lata wcześniej sama sobie uszyła. Nie chciała wydawać pieniędzy. Postanowiła przekazać kopertę wraz z zawartością Stanowi Thomasowi.

Był to cały jej posag, poza ubraniami i bielizną pościelową. Cały jej majątek po dziesiątkach lat służby u rodziny Ellisów.

W Domu Ellisów w Concord matka wskazała Ruth Thomas drogę do jej pokoju. Nie widziały się od jakiegoś czasu. Ruth nie lubiła odwiedzin w Concord, więc rzadko tam jeździła. Kilka razy na własne życzenie spędziła święta Bożego Narodzenia w swojej szkole z internatem. Wolała to od pobytu w posiadłości Ellisów w Concord. Na ostatnie święta również nie wróciła do domu.

— Wyglądasz wspaniale, Ruth — powiedziała matka.

— Dziękuję. Ty też dobrze wyglądasz.

— Nie masz żadnego bagażu?

— Nie, tym razem nie.

— Położyliśmy ci nową tapetę.

— Ładna.

— A to twoje zdjęcie z dzieciństwa.

— Coś podobnego — powiedziała Ruth i zbliżyła się ku oprawionej w ramkę fotografii wiszącej na ścianie przy komodzie. — To ja?

— Tak.

— Co mam w rękach?

— Kamyki. Kamyki z podjazdu.

— O rany, spójrz tylko na te piąstki!

— A tu ja.

—Ty.

— Próbuję ci odebrać kamyki.

— Nie wygląda na to, żeby ci się udawało.

— Nie. Założę się, że mi się nie udało.

— Ile miałam lat?

— Około dwóch. Byłaś cudowna.

— A ty?

— Och, ze trzydzieści trzy.

— Nie widziałam wcześniej tego zdjęcia.

— Chyba nie.

— Ciekawe, kto je zrobił.

— Panna Vera.

Ruth Thomas usiadła na łóżku, pięknej mosiężnej pamiątce rodzinnej przykrytej koronkową narzutą. Matka usiadła obok niej i powiedziała:

— Trochę tu czuć stęchlizną, prawda?

— Nie, wszystko w porządku.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu. Potem matka Ruth wstała i podniosła rolety.

— Wpuśćmy trochę światła — zaproponowała i znów usiadła.

— Dziękuję — odpowiedziała Ruth.

— Kiedy kupowałam tę tapetę, myślałam, że to kwiaty wiśni, ale gdy im się przyglądam, wydaje mi się, że jednak jabłoni. Czy to nie zabawne? Nie wiem, dlaczego od razu tego nie zauważyłam.

— Kwiaty jabłoni są śliczne.

— To chyba nie ma znaczenia.

— I tak jest ładnie. Nowe tapety to był dobry pomysł.

— Wynajęliśmy kogoś, żeby je położył.

— Wygląda naprawdę uroczo.

Znów zamilkły, a po dłuższej chwili Mary Smith—Ellis Thomas wzięła córkę za rękę i spytała:

— Pójdziemy zobaczyć się z Rickym?

***

Ricky leżał w dziecinnym łóżeczku, choć miał już dziewięć lat. Był wzrostu małego, może trzyletniego dziecka, a jego palce wyginały się jak szpony. Miał krótkie ciemne włosy, zmierzwione z tyłu głowy od ciągłego jej obracania. Wciąż przesuwał nią po materacu, przekręcając twarz z jednego boku na drugi, jakby gorączkowo czegoś szukał. Poza tym bez przerwy wodził wzrokiem z lewa

na prawo, wciąż usiłując coś odnaleźć. Wydawał wrzaski, przenikliwe jęki i wycie, lecz gdy zbliżyła się Mary, zaczął monotonnie mamrotać.

— Mama już jest — powiedziała czule. — Mama jest.

Wyjęła go z łóżeczka i położyła na plecach na owczej skórze rozłożonej na podłodze. Nie potrafił siadać ani utrzymać prosto głowy. Nie umiał sam jeść ani mówić. Na owczej skórze jego małe, wykrzywione nóżki przegięły się w jedną stronę, a ręce w drugą. Wciąż obracał głowę, machał paluszkami i napinał je, a ich ruchy w powietrzu przypominały falowanie morskich roślin.

— Czy jego stan się poprawia? — spytała Ruth.

— Cóż — odparła matka — chyba tak. Zawsze myślę, że ma się coraz lepiej, ale nikt poza mną tego nie zauważa.

— A gdzie jego opiekunka?

— Gdzieś w pobliżu. Może na dole w kuchni, pewnie zrobiła sobie przerwę. Jest nowa i sprawia wrażenie bardzo miłej. Lubi śpiewać Ricky'emu. Prawda, Ricky? Prawda, że Sandra ci śpiewa? Bo wie, że to lubisz. Prawda?

Mary zwracała się do niego jak matka do noworodka albo Senator Simon do Cookie — czule i nie oczekując odpowiedzi.

— Widzisz swoją siostrzyczkę? — spytała. — Widzisz starszą siostrę? Przyjechała do ciebie w odwiedziny, maleńki. Przyszła przywitać się z Rickym.

— Cześć, Ricky — odezwała się Ruth, próbując naśladować ton głosu matki. — Cześć, braciszku.

Poczuła się niezręcznie. Pochyliła się i pogłaskała Ricky ego po głowie, którą wysunął spod jej ręki. Poczuła jego zmierzwione włosy. Odsunęła dłoń. Jego głowa leżała przez chwilę nieruchomo. Potem przekręciła się tak nagle, że dziewczyna aż się wystraszyła.

Ricky urodził się, gdy Ruth skończyła dziewięć lat. Przyszedł na świat w szpitalu w Rockland. Ruth nie widziała go, gdy był niemowlęciem, ponieważ matka nie wróciła z nim na wyspę. Ojciec odwiózł ją do Rockland, gdy nadszedł czas porodu, a Ruth została u pani Pommeroy. Matka miała wrócić z maleństwem, ale nigdy do tego nie doszło. Nie przyjechała, bo z dzieckiem było coś nie w porządku. Nikt tego nie oczekiwał.

Z tego, co słyszała Ruth, ojciec, zobaczywszy mocno upośledzonego syna, szybko i w niewybrednych słowach obwinił o jego stan matkę. Był zły i pełen obrzydzenia. Kto mógł zrobić coś takiego jego synowi? Natychmiast doszedł do wniosku, że dziecko odziedziczyło upośledzenie po przodkach Mary. W końcu cóż było wiadomo o sierocie z przytułku dla dzieci marynarzy czy o włoskim emigrancie? Któż mógł dociec, jakie koszmary kryła przeszłość? On sam posiadał informacje o swoich przodkach na dziesięć pokoleń wstecz, ale nic takiego nigdy im się nie przytrafiło. W rodzinie Staną nigdy nie było żadnych dziwolągów. Stwierdził więc, rzecz jasna, że takie skutki przynosi małżeństwo z osobą o nieznanym pochodzeniu. Tak to się właśnie kończy.

Wyczerpana po porodzie Mary zaczęła się obłąkańczo bronić. Zwykle nie upierała się przy swoim, ale tym razem podjęła walkę. Zadała mężowi cios poniżej pasa. O tak — powiedziała — można wymienić wszystkich przodków Staną, ale tylko dlatego, że byli ze sobą spokrewnieni — byli rodzeństwem albo najbliższym kuzynostwem. Nie trzeba więc być geniuszem, by się zorientować, że po tylu pokoleniach krewniaczych i kazirodczych związków otrzymuje się taki właśnie efekt. Takie dziecko jak Ricky, które wciąż kręci głową i ma palce wygięte jak pazury.

— To twój syn, Stan! — powiedziała.

Paskudnie się kłócili. Niepokoili pielęgniarki na oddziale położniczym, które musiały wysłuchiwać tych okropności. Młodszym zdarzało się płakać. Nigdy przedtem nie były świadkami podobnych scen. O północy przyszła na dyżur oddziałowa i wyprowadziła Staną z pokoju żony. Tę potężną kobietę niełatwo było zastraszyć. Nie udało się to nawet opryskliwemu poławiaczowi homarów. "Wyrzuciła go, gdy Mary jeszcze na niego krzyczała.

— Na miłość boską — zbeształa Staną — ta kobieta potrzebuje odpoczynku.

Po kilku dniach w szpitalu zjawił się pan Lanford Ellis. Skądś się dowiedział o narodzinach dziecka. Przypłynął do Rockland na *Stonecutter,* by złożyć rodzicom uszanowanie i wyrazić żal z powodu tragicznej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Stan i Mary jakoś się pogodzili i odnosili do siebie z chłodną uprzejmością. Mogli już przynajmniej przebywać w tym samym pomieszczeniu.

Lanford Ellis poinformował Mary o rozmowie, którą odbył z siostrą Vera, i o porozumieniu, do jakiego doszli. Omówili problem i uzgodnili, że Mary nie powinna wracać z dzieckiem na Fort Niles. Nie znajdzie tam odpowiedniego zaplecza medycznego ani fachowej pomocy. Lekarze orzekli już, że Ricky będzie przez całe życie wymagał nieustannej opieki. A czy Mary i Stan coś postanowili?

Przyznali, że nie. Lanford Ellis był pełen współczucia. Rozumiał, że para przeżywa trudny okres, więc przedstawił swoją propozycję. Ellisowie gotowi są pomóc ze względu na swoje przywiązanie do Mary. Lanford opłaci pobyt Ricky'ego w odpowiedniej instytucji. Przez całe jego życie. Bez względu na koszty. Słyszał o doskonałym prywatnym ośrodku w New Jersey.

— W New Jersey? — powtórzyła z niedowierzaniem Mary Thomas.

Rzeczywiście, to wydaje się daleko — przyznał Lanford Ellis. Lecz ta placówka jest podobno najlepsza w kraju. Rozmawiał rano z jej kierownikiem. Jeśli jednak Stan i Mary na to nie przystaną, pozostaje jeszcze jedno rozwiązanie...

Gdyby...

Gdyby co?

Gdyby Mary wraz z rodziną przeprowadziła się do Concord, mogłaby znów przyjąć posadę towarzyszki panny Very, a Ellisowie zapewniliby dziecku prywatną opiekę w swojej posiadłości. Lanford dostosowałby część skrzydła dla służby do potrzeb małego Ricky'ego. Opłaciłby mu profesjonalne opiekunki oraz najlepsze leczenie. Na całe życie. Znalazłby też Stanowi dobrą pracę i posłał Ruth do porządnej szkoły.

— Ani mi się waż — powiedział Stan Thomas niebezpiecznie cicho. — Kurwa mać, ani się waż odbierać mi żonę.

— To tylko propozycja — powiedział Lanford Ellis. — Decyzja należy do was — oświadczył, po czym wyszedł.

— Czy wy ją, kurwa, zatruliście? — krzyczał Stan za odchodzącym szpitalnym korytarzem mężczyzną. Potem podążył za nim. — Zaczadziliście mi żonę? Naprawdę chcecie to zrobić? Odpowiadaj! Zmajstrowaliście to wszystko tylko po to, żeby ją, kurwa, odzyskać?

Lanford Ellis nie miał już jednak nic więcej do powiedzenia, a do akcji ponownie wkroczyła potężna pielęgniarka.

Ruth Thomas oczywiście nigdy się nie dowiedziała o szczegółach kłótni rodziców po wizycie pana Ellisa. Wie—

działa jednak, że kilka spraw natychmiast się wyjaśniło, jeszcze w szpitalnej sali. Nie mogło być nawet mowy, by Mary Smith—Ellis Thomas, córka sieroty, umieściła syna w przytułku, bez względu na stopień jego upośledzenia. Było też wykluczone, by Stan Thomas, wyspiarz w dziesiątym pokoleniu, przeprowadził się do Concord w stanie New Hampshire. Nie dopuści też, by jego córka przeniosła się tam, gdzie grozi jej — wzorem babki i matki — niewolnicza służba u panny Very Ellis.

Po zajęciu takich stanowisk pozostawało niewielkie pole do negocjacji. Dlatego mimo poważnej kłótni Thomasów decyzja zapadła szybko i nieodwołalnie. Mary udała się z synem do Concord. Wróciła do posiadłości Ellisów i na stanowisko u boku panny Very. Stan Thomas natomiast pojechał do córki na wyspę, bez żony. Jednak nie pojawił się od razu. Przepadł na kilka miesięcy.

— Gdzie ty się wtedy podziewałeś — spytała go siedemnastoletnia Ruth. — Gdzie cię przez cały ten czas nosiło?

— Byłem zły — odpowiedział. — Poza tym to nie twoja sprawa.

— Gdzie mama? — spytała dziewięcioletnia Ruth, gdy ojciec wreszcie zjawił się na Fort Niles. Sam. Jego wyjaśnienia brzmiały przerażająco i niejasno: mówił, że to nie ma znaczenia, że nie ma potrzeby o to pytać, że trzeba o tym zapomnieć. Ruth kompletnie się w tym pogubiła, ale zaraz potem utonął pan Pommeroy i dziewczynka pomyślała—to naprawdę miało ręce i nogi — że matce pewnie przytrafiło się to samo. Oczywiście. Znalazła odpowiedź. Kilka tygodni po dojściu do tego wniosku Ruth zaczęła otrzymywać od matki listy. Znów była zdezorientowana. Przez jakiś czas sądziła, że nadchodzą z nieba. Z wiekiem jakoś sobie to poukładała, a w końcu poczuła, że wszystko rozumie.

W pachnącym lekami pokoju Ricky'ego Mary usiadła na podłodze obok syna z butelką jakiegoś płynu w ręce. Wcierała go w jego dziwaczne stopy, masując i rozprostowując palce i przyciskając kciuki do wygiętych podbić.

— Co słychać u ojca? — spytała.

Ricky wrzasnął i coś zamamrotał.

— Wszystko w porządku — odpowiedziała Ruth.

— Dba o ciebie?

— A może to ja o niego dbam?

— Martwiłam się kiedyś, że nie okazuje ci zbyt wiele miłości.

— Okazywał, ile trzeba.

Matka wyglądała jednak na tak zmartwioną, że Ruth zastanowiła się, jak ją o tym zapewnić — jaki wskazać moment, kiedy ojciec wykazał się czułością.

— Zawsze kiedy daje mi prezent na urodziny, mówi: „Tylko nie rób mu rentgena, Ruth".

— Rentgena?

— Zanim otworzę prezent, no, wiesz. Kiedy patrzę na pudełko. Zawsze tak mówi. „Tylko nie rób mu rentgena, Ruth". Jest dosyć zabawny.

Mary Smith—Ellis Thomas powoli skinęła głową, nie wydawała się jednak ani trochę mniej strapiona.

— Daje ci ładne prezenty?

— Pewnie.

— To dobrze.

— Kiedy byłam malutka, zawsze w urodziny stawiał mnie na krześle i pytał: „Czujesz, że urosłaś? Wyglądasz dziś na dużo większą".

— Pamiętam.

— Dobrze nam ze sobą — zapewniła Ruth.

— A widujecie się wciąż z Angusem Addamsem?

— Jasne, prawie codziennie.

— Kiedyś mnie przerażał. Widziałam, jak okładał dziecko boją. Niedługo po ślubie.

— Żartujesz. Dziecko?

— Jakiegoś biedaka, który pracował u niego na łodzi.

— W takim razie nie dziecko. To pewnie był jego sternik. Jakiś leniwy nastolatek. Angus się nie patyczkuje, bez dwóch zdań. Teraz łowi już tylko sam. Z nikim się nie dogaduje.

— Chyba nigdy specjalnie mnie nie lubił.

— Raczej nie dopuszcza do siebie myśli, że kogokolwiek mógłby cenić.

— Musisz zrozumieć, Ruth, że nigdy wcześniej nie stykałam się z takimi ludźmi. Wiesz, że pierwszej zimy po mojej przeprowadzce na Fort Niles stracił palec podczas połowu? Przypominasz to sobie? Było tak zimno, a on nie nosił rękawiczek, więc odmroził sobie ręce. I palec utkwił mu w... jak to się nazywa?

— W wyciągarce.

— Zatem utkwił mu tam palec, zaplątał się w linę i po prostu mu go oderwało. Człowiek, który był z nim na łodzi, opowiadał, że Angus kopnął palec za burtę i cały dzień łowił, jakby nigdy nic.

— Ja słyszałam — powiedziała Ruth — że przyżegł go sobie cygarem i dlatego mógł jeszcze łowić.

— Och, Ruth.

— Chociaż sama nie wiem, czy w to wierzyć. Nigdy w życiu nie widziałam Angusa Addamsa z zapalonym cygarem w ustach.

— Och, Ruth.

— Jedno jest pewne. Nie ma palca.

Matka milczała. Ruth spuściła wzrok.

— Przepraszam — powiedziała. — Chciałaś coś powiedzieć?

— Tylko tyle, że nigdy nie przebywałam wśród takich brutalnych ludzi.

Ruth chciała zauważyć, że panna Vera również jest postrzegana jako dość bezwzględna, lecz ugryzła się w język i powiedziała:

— Rozumiem.

— Przebywałam na wyspie dopiero od roku, gdy Angus przyszedł do nas ze swoją kotką Snoopy. Powiedział mi: „Mam dość tego kota, Mary. Jeśli zaraz go ode mnie nie weźmiesz, z miejsca go zastrzelę". A miał przy sobie strzelbę. Wiesz, jaki ma silny głos i jak mówi — jakby był wiecznie o coś zły. Cóż miałam począć, uwierzyłam mu i oczywiście przyjęłam kotkę. Twój ojciec wpadł we wściekłość. Kazał mi ją oddać, a Angus znów zagroził, że ją przy mnie zastrzeli. Nie chciałam patrzeć, jak ją zabija. Twój ojciec mówił, że Angus tego nie zrobi, ale nie miałam pewności. To była śliczna kotka. Pamiętasz Snoopy?

— Chyba tak.

— Taka ładna, duża i biała. Twój ojciec twierdził, że Angus sobie z nas zakpił, bo chciał się jej pozbyć. Chyba miał rację, bo po pięciu tygodniach Snoopy się okociła i jej pięć kociąt zwaliło się nam na głowę. Wtedy ja się rozzłościłam, za to twój ojciec i Angus uznali to za świetny żart. Angus cieszył się, że tak sprytnie mnie nabrał. Miesiącami mi dokuczali. A twój ojciec w końcu utopił kocięta.

— Szkoda.

— Owszem. Ale zdaje się, że i tak coś z nimi było nie w porządku.

— Jasne — odparła Ruth. — Nie umiały pływać.

— Ruth!

— Tylko żartowałam. Przepraszam. Głupi dowcip — kajała się Ruth.

Po raz kolejny zdumiała się, jak szybko przekracza z matką tę granicę — granicę strojenia sobie okrutnych żartów kosztem tak delikatnej kobiety. Mimo najlepszych intencji w ciągu kilku minut rozmowy zawsze mówiła cos', co urażało uczucia matki. Ruth czuła, jak w jej towarzystwie zmienia się w szarżującego słonia. Słonia w składzie porcelany. Dlaczego tak łatwo było ją zranić? Dlaczego właściwie matka była takim składem porcelany? Ruth nie przywykła do takich kobiet. Dorastała w otoczeniu pani Pommeroy i jej sióstr, które szły przez życie krokiem niezwyciężonych. Była swobodniejsza w towarzystwie odporniejszych osób. Tacy ludzie sprawiali, że przestawała się czuć... słoniem.

Mary smarowała nogi syna i delikatnie obracała jego stopy, by usprawnić kostki.

— Och, Ruth, utopienie tych kociąt sprawiło mi taki ból — wyznała.

— Przykro mi — powiedziała Ruth i rzeczywiście tak było. — Przepraszam.

— Nie ma za co, kochanie. Chciałabyś mi pomóc przy Rickym? Pomożesz mi go nasmarować?

— Pewnie — odpowiedziała Ruth, choć nie przyszłoby jej do głowy nic mniej atrakcyjnego.

— Możesz mu posmarować rączki. Podobno dobrze jest zadbać, by się zbytnio nie wykręcały, moje biedactwo.

Ruth wylała nieco płynu na dłoń i zabrała się do nacierania ręki malca. Natychmiast poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Jakaż ta rączka była zwyrodniała i pozbawiona życia!

Kiedyś Ruth wypłynęła na połów z ojcem. Wyciągnął

więcierz z homarem bez pancerza. W lecie nieraz zdarzało im się wyławiać homary ze świeżym, kilkudniowym pancerzem, lecz ten zrzucił go pewnie zaledwie przed godziną. Obok niego w więcierzu leżał doskonale zachowany stary pancerz — bezużyteczna pusta zbroja. Ruth wzięła nagiego homara w dłoń i przyprawiło ją to o takie same mdłości, jakich doznawała w tej chwili, trzymając rękę brata. Homar bez pancerza był bezwładnym kawałkiem mięsa — gdy Ruth go podniosła, zwisł bezwładnie jak mokra skarpeta. Zdawało się, że topnieje, jakby miał jej w końcu przeciec przez palce. Wcale nie przypominał normalnego homara — agresywnego i groźnego małego czołgu. Niemniej wyczuwała w nim życie, czuła jego krew krążącą jakby wprost na jej dłoni. Jego ciało przypominało niebieskawą galaretę, kojarzyło się z surowym przegrzebkiem. Przeszedł ją dreszcz. Zabijała homara samym przytrzymywaniem, zostawiając odciski palców na jego osłoniętych cieniutką skórą organach. Wyrzuciła go za burtę i patrzyła, jak tonie, niemal przezroczysty. Nie miał szans na przeżycie. Zapewne coś go zjadło, zanim zdążył sięgnąć dna.

— Proszę — mówiła matka Ruth do syna. — To ci dobrze zrobi.

— Biedaczek. — Ruth zmusiła się do słowa współczucia, wsmarowując płyn w dziwaczne paluszki brata, nadgarstek i przedramię. Nie zabrzmiało to naturalnie, lecz matka zdawała się tego nie zauważać. — Biedaczek.

— Wiesz, że w latach czterdziestych, kiedy twój ojciec był jeszcze uczniem w szkole na Fort Niles, nauczyciele uczyli dzieci wiązać węzły? To była istotna część tamtejszego programu nauczania. Uczono je też odczytywania wykresów pływów. W szkole! Wyobrażasz to sobie?

— To chyba niezły pomysł — stwierdziła Ruth. — Dla

dzieci z wyspy to były przydatne umiejętności. Zwłaszcza w tamtych czasach. Przecież miały zostać rybakami, prawda?

— Ależ Ruth, w szkole? Czy nie mogli najpierw nauczyć je czytać, a węzły zostawić na popołudnie?

— Jestem pewna, że uczono je również czytania.

— Dlatego właśnie chcieliśmy cię wysłać do prywatnej szkoły.

— Tato nie chciał.

— Mam na myśli siebie i Ellisów. Jestem z ciebie bardzo dumna, Ruth. Z tego, jak dobrze ukończyłaś szkołę. Jedenasta w roczniku! Jestem też dumna, że uczyłaś się francuskiego. Powiesz mi coś po francusku?

Ruth wybuchnęła śmiechem.

— Co się stało? — spytała matka. — Co w tym śmiesznego?

— Nic. Tylko kiedy mówię po francusku przy Angusie Addamsie, on zawsze powtarza: „Co? C o cię boli?"

— Och, Ruth. — Matka się zasmuciła. — Miałam nadzieję, że powiesz mi coś po francusku.

— Nie warto, mamo. Mam idiotyczny akcent.

— Cóż. Jak chcesz, kochanie.

Przez chwilę milczały, po czym matka zagadnęła:

— Twój ojciec pewnie chciał, żebyś została na wyspie i uczyła się wiązać węzły!

— Jestem o tym przekonana — potwierdziła Ruth.

— A pory pływów! Na pewno chciał, żebyś to opanowała. Nigdy nie mogłam się tego nauczyć, chociaż próbowałam. Twój ojciec próbował mi wyjaśnić, jak kierować łodzią. Samo w sobie nie było to skomplikowane, ale ponoć powinnam się była orientować, gdzie znajdują się skały i rafy przybrzeżne i które z nich pokazują się w czasie

określonych pływów. Praktycznie nie było wtedy boi, a te nieliczne zawsze odpływały. Twój ojciec krzyczał na mnie, jeśli próbowałam się nimi kierować. Nie miał do nich zaufania, ale skąd ja miałam o tym wiedzieć? I te prądy! Sądziłam, że trzeba po prostu ustawić łódź dziobem do przodu i dodać gazu. Nie miałam pojęcia o prądach!

— Skąd miałaś o tym wiedzieć?

— Skąd miałam wiedzieć, Ruth? Sądziłam, że całkiem dobrze znam życie na wyspie, ponieważ co roku spędzałam na niej lato. Ale okazało się, że się mylę. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie straszne są zimowe wiatry. Wiesz, że niektórzy stracili od nich rozum?

— Na Fort Niles chyba większość — roześmiała się Ruth.

— W ogóle nie przestaje wiać! Gdy spędzałam na wyspie pierwszą zimę, wiatr zerwał się w październiku i nie ustał przed kwietniem. Miałam wtedy bardzo dziwne sny, Ruth. Wciąż mi się śniło, że wyspa zaraz wybuchnie. Drzewa miały niesamowicie długie korzenie sięgające dna oceanu i tylko dzięki temu wyspa nie dryfowała na tym wietrze.

— Bałaś się?

— Byłam przerażona.

— I nikt cię nie wspierał?

— Owszem, pani Pommeroy.

Rozległo się pukanie do drzwi i matka Ruth drgnęła przestraszona. Ricky też się zaniepokoił i zaczął gwałtownie obracać głowę z jednej strony na drugą. Zapiszczał. Dźwięk był okropny, przypominał odgłos wydawany przez zepsute hamulce starego samochodu.

— Tss... — uspokajała go matka. — Cichutko.

Ruth otworzyła i ujrzała Cala Cooleya.

— Nadrabiamy zaległości? — spytał. Wszedł do środka i pochylił się, by usiąść na bujanym fotelu. Uśmiechnął się do Mary, lecz nie spojrzał na Ricky ego.

— Panna Vera chce się wybrać na przejażdżkę — oznajmił.

— Och! — krzyknęła Mary i skoczyła na równe nogi. — Przyprowadzę opiekunkę. Weźmiemy płaszcze. Ruth, przynieś swój płaszcz.

— Chce się wybrać na zakupy — powiedział Cal, nadal się uśmiechając, lecz ze wzrokiem utkwionym w Ruth. — Słyszała, że Ruth przyjechała bez bagażu.

— Od kogo, Cal? — zaciekawiła się dziewczyna.

— Pojęcia nie mam. Wiem tylko, że chce ci kupić trochę nowych ubrań.

— Niczego nie potrzebuję.

— A nie mówiłem? — rzucił z ogromną satysfakcją. — Mówiłem, żebyś zabrała swoje rzeczy, bo skończy się na tym, że panna Vera kupi ci nowe i tylko cię wkurzy.

— Posłuchaj, wszystko mi jedno — odparła Ruth. — Do czegokolwiek byście mnie zmuszali, mam to w nosie. Gówno mnie to obchodzi. Lepiej miejmy to już za sobą.

— Ruth! — wykrzyknęła matka, ale dziewczyna się tym nie przejęła. Niech wszyscy idą do diabła. Cal Cooley, jak się zdaje, też nie wziął sobie tego do serca. Wzruszył tylko ramionami.

***

Pojechali do sklepu z odzieżą starym dwutonowym buickiem. Ubieranie i szykowanie Very zabrało Calowi i Mary niemal godzinę. W końcu zeszła do samochodu. Usiadła na przednim siedzeniu pasażera z wyszywaną paciorkami torebką na kolanach. Mary zdradziła, że panna Ellis nie wychodziła z domu od kilku miesięcy.

Staruszka była taka drobniutka — niczym ptak, który

przysiadł obok kierowcy. Miała małe dłonie, a jej szczupłe palce poruszały się nieznacznie po powierzchni torebki, jakby czytały tekst napisany alfabetem Braille'a albo w kółko przesuwały paciorki różańca. Zabrała koronkowe rękawiczki, które umieściła na siedzeniu tuż obok siebie. Za każdym razem, gdy Cal Cooley skręcał, kładła na nich lewą dłoń, jakby się obawiała, że zsuną się na podłogę. Na każdym zakręcie robiła gwałtowny wdech, choć Cal prowadził z prędkos'cią dorównującą zdrowemu pieszemu. Panna Vera miała na sobie długie futro z norek i kapelusz z czarną woalką. Mówiła cichym, lekko drżącym głosem. Uśmiechała się przy tym, lecz brzmiała nostalgicznie. Miała nieznaczny brytyjski akcent.

— Och, ależ przejażdżka... — odezwała się.

— Tak — zgodziła się matka Ruth.

— Umiesz prowadzić samochód, Ruth?

— Tak — potwierdziła dziewczyna.

— Bardzo roztropnie. Ja nigdy nie byłam w tym biegła. Wiecznie powodowałam kolizje... — Zachichotała na samo wspomnienie. Zakryła dłonią usta, jak czynią to nieśmiałe dziewczęta. Ruth nie przypominała sobie, by panna Vera była taką śmieszką. To musiało nastąpić z wiekiem. Spóźniona afektacja. Ruth spojrzała na staruszkę i przypomniała sobie, jak na Fort Niles Vera zmuszała miejscowych mężczyzn pracujących w jej ogrodzie, by pili wodę ze szlaucha. Nie pozwalała im wejść do kuchni. Nawet w największe upały. Ten zwyczaj był tak powszechnie znienawidzony, że na wyspie funkcjonowało nawet wyrażenie „pić ze szlaucha" — synonim największego upokorzenia. „Żona odebrała mi dom i dzieciaki. Przez tę sukę muszę teraz pić ze szlaucha".

Na skrzyżowaniu Cal zatrzymał się przed znakiem

stopu i pozwolił się wyminąć. Gdy ruszył, panna Vera krzyknęła:

— Zaczekaj!

Cal zatrzymał się. W pobliżu nie było żadnego innego samochodu. Spróbował znów ruszyć.

— Chwileczkę! — powtórzyła panna Vera.

— Mamy prawo jechać — wyjaśnił Cal. — Teraz nasza kolej.

— Roztropniej będzie zaczekać. Coś może nadjechać.

Cal zredukował bieg i zatrzymał się przed znakiem stopu. Nie pojawiał się żaden samochód. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. W końcu za buickiem przystanęło jakieś kombi, którego kierowca krótko zatrąbił. Cal milczał. Mary i panna Vera również się nie odezwały. Ruth zagłębiła się w siedzeniu i pomyślała, że na świecie roi się od dupków. Kierowca kombi zatrąbił jeszcze dwukrotnie, co staruszka skomentowała słowami:

— Co za bezczelność.

Cal opuścił szybę i machnął kierowcy ręką. Samochód wyminął buicka. Wciąż tkwili w miejscu. Za nimi zatrzymał się kolejny pojazd, któremu Cal dał podobny znak. Z naprzeciwka nadjechał czerwony zardzewiały pikap. Później znów zapanował spokój.

Pana Vera ścisnęła dłonią rękawiczki i poleciła:

— Jedź!

Cal powoli minął skrzyżowanie i skierował się ku autostradzie. Staruszka znów zachichotała.

— Ale wyczyn!

Przyjechali do centrum Concord i Mary poinstruowała Cala, jak dotrzeć do parkingu przed sklepem z damską odzieżą. Na witrynie widniał wymalowany elegancką kursywą złoty napis Blaire's.

— Nie będę wchodziła — zdecydowała panna Vera. — To za duży wysiłek. Ale zawołaj pana Blaire'a. Powiem mu, czego nam trzeba.

Mary weszła do sklepu i wkrótce pojawiła się na zewnątrz w towarzystwie młodego mężczyzny. Wyglądała na zaniepokojoną. Młodzieniec podszedł do samochodu i zastukał w okno. Panna Vera zmarszczyła brwi. Mężczyzna uśmiechnął się i gestem poprosił o opuszczenie szyby. Matka Ruth stała za jego plecami, a jej postawa wyrażała już skrajne zdenerwowanie.

— Ki diabeł? — zdziwiła się panna Vera.

— Może powinna pani otworzyć okno i przekonać się, czego on chce — zasugerował Cal.

— Wykluczone! — Kobieta obrzuciła młodzieńca gniewnym spojrzeniem. Jego twarz lśniła w porannym słońcu. Uśmiechał się do niej, sugerując gestem, by opuściła szybę. Ruth przesunęła się na tylnym siedzeniu i odkręciła swoją.

— Ruth! — wykrzyknęła panna Vera.

— W czym mogę pomóc? — spytała dziewczyna.

— Jestem Blaire — odpowiedział i podał jej przez okno rękę na przywitanie.

— Miło mi pana poznać, panie Blaire. Jestem Ruth. Ruth Thomas.

— To nieprawda! — zawyrokowała panna Vera. Nagle, z uderzającą zwinnością, odwróciła się na siedzeniu. Utkwiła w mężczyźnie nieprzyjazny wzrok. — Nie jest pan panem Blaire'em. Pan Blaire ma siwe wąsy!

— To mój ojciec, proszę pani. Przeszedł na emeryturę i przejąłem po nim sklep.

— Proszę powiedzieć ojcu, że panna Vera Ellis chce z nim rozmawiać.

— Z przyjemnością bym to zrobił, proszę pani, ale jego tu nie ma. Ojciec mieszka w Miami.

— Mary!

Matka Ruth podbiegła do buicka i wsunęła głowę przez tylne okno.

— Mary! Kiedy to się stało?

— Nie wiem. Nic o tym nie wiem.

— Nie potrzebuję żadnych ubrań — odezwała się Ruth. — Niczego nie potrzebuję. Wracajmy do domu.

— Kiedy pana ojciec przeszedł na emeryturę? — spytała matka dziewczyny. Bardzo pobladła.

— Siedem lat temu, proszę pani.

— Niemożliwe! Poinformowałby mnie o tym! — oburzyła się panna Vera.

— Nie możemy pojechać gdzieś indziej? — poprosiła Ruth. — Czy w Concord nie ma innych sklepów?

— Nie uznaję żadnych poza tym — odparła staruszka.

— Cóż, bardzo miło nam to słyszeć — odpowiedział pan Blaire. — Jestem przekonany, że będziemy mogli pani pomóc.

Panna Vera milczała.

— Ojciec nauczył mnie wszystkiego, proszę pani. Obsługuję teraz wszystkich jego klientów. Są, jak zawsze, zadowoleni!

— Proszę wystawić głowę z mojego samochodu.

— Słucham?

— Wysuń tę przeklętą głowę z mojego samochodu.

Ruth zaniosła się śmiechem. Młody człowiek wysunął głowę i sztywnym krokiem wrócił do sklepu. Mary pobiegła za nim, próbując dotknąć jego ręki, jakoś go udobruchać, lecz ją odtrącił.

— Moja panno, nie ma w tym nic zabawnego. — Panna

Vera znów się odwróciła i spojrzała wściekle na dziewczynę.

— Przepraszam.

— No, myślę!

— Pojedziemy do domu, panno Vero? — spytał Cal.

— Poczekamy na Mary! — odburknęła.

— Oczywiście. Właśnie to miałem na myśli.

— Ale nie to powiedziałeś.

— Proszę wybaczyć.

— Och, na każdym kroku idioci! — krzyknęła panna Vera.

Mary wróciła do samochodu i bez słowa usiadła obok córki. Cal ruszył, a staruszka ostrzegła ze złością:

— Ostrożnie! Ostrożnie, tylko ostrożnie.

Po drodze nikt się nie odezwał. Przed domem panna Vera odwróciła się i uśmiechnęła do Ruth, ukazując pożółkłe zęby. Znów zachichotała. Wrócił jej dobry nastrój.

— Dobrze nam się żyje, mnie i twojej matce — obwieściła. — Po tylu latach spędzonych z mężczyznami nareszcie jesteśmy same. Nie musimy się zajmować mężami ani słuchać ojców czy braci. Jesteśmy dwiema niezależnymi paniami i robimy, co nam się podoba. Czyż nie tak, Mary?

— Tak.

— Tęskniłam za twoją matką, gdy ode mnie uciekła, by poślubić twojego ojca, Ruth. Wiesz o tym?

Dziewczyna milczała. Matka spojrzała na nią nerwowo i wyszeptała:

— Na pewno wie.

— Pamiętam, jak wyszła z domu po tym, jak mi obwieściła, że się pobiorą. Odprowadzałam ją wzrokiem. Byłam w sypialni na górze. Wiesz gdzie, prawda? Pamiętasz widok z okna na podjazd? Moja mała Mary zdała mi się taka

drobna i taka dzielna. Och, Mary. Twoje wyprostowane ramiona wydawały się mówić: „Stać mnie na wszystko!" Moja kochana dziewczyna. Kochane biedactwo. Byłaś taka dzielna.

Mary zamknęła oczy. Ruth poczuła, jak ogarnia ją straszny gniew.

— Tak, Ruth, patrzyłam, jak twoja matka odchodzi, i zachciało mi się płakać. Siedziałam w sypialni, roniąc łzy. Wtedy wszedł mój brat i objął mnie ramieniem. Wiesz, jaki dobry jest mój brat Lanford. Prawda?

Ruth milczała. Tak mocno zaciskała szczęki, że nie mogła wydusić ani słowa. Przyzwoitego, rzecz jasna. Była wstanie puścić jedynie soczystą wiązankę. I pewnie dobrze by to zrobiło tej podłej suce.

— Mój wspaniały brat powiedział: „Vero, wszystko się ułoży". Wiesz, co mu odpowiedziałam? „Teraz wiem, co czuła biedna pani Lindbergh!"

Siedzieli w ciszy, która zdawała się trwać wiecznie. Pobrzmiewało w niej ostatnie zdanie staruszki. Ruth kipiała gniewem. Czy mogłaby uderzyć tę kobietę? Mogłaby wysiąść z tego gruchota i wrócić na Fort Niles?

— Ale teraz jest już przy mnie, gdzie jej miejsce — ciągnęła panna Vera. —I robimy, co nam się żywnie podoba. Żadni mężowie niczego nam nie dyktują. Nie musimy zajmować się dziećmi. Oczywiście, poza Rickym. Biedactwo. Ale Bóg jeden wie, że on wiele nie wymaga. Jesteśmy niezależne, Ruth, i dobrze nam się razem żyje. Cieszymy się naszą niezależnością. Bardzo nam się podoba.

***

Ruth spędziła z matką tydzień. Codziennie nosiła to samo ubranie i nikt już więcej tego nie komentował.

Nie było mowy o kolejnych wypadach do sklepów. Spała w ubraniu, by rano, po kąpieli, ponownie je włożyć. Nie narzekała.

Co ją to obchodziło?

Jej strategia przetrwania nakazywała: pieprzyć to!

Pieprzyć to wszystko. Robiła, o co ją poproszono. Ignorowała nawet najbardziej oburzające wykorzystywanie matki przez pannę Verę. Siedziała w Concord niczym w więzieniu. Przeczekiwała. Próbowała pozostać przy zdrowych zmysłach. Gdyby reagowała na wszystko, co ją irytowało, czułaby ciągły niesmak i gniew, przez co matka stałaby się jeszcze bardziej nerwowa, panna Vera bardziej drapieżna, a Cal Cooley bardziej triumfujący. Więc przeczekiwała. Pieprzyć to.

Codziennie przed snem całowała matkę w policzek. Panna Vera pytała wtedy nieśmiało:

— A mnie?

Ruth na sztywnych nogach przemierzała pokój, nachylała się i całowała lawendowy policzek staruszki. Robiła to dla dobra matki. Poza tym wymagało to mniej zachodu niż na przykład rzucanie popielniczką. Widziała, jaką ulgę odczuwa matka. W porządku. Jeśli to jej pomoże, to dobrze. Pieprzyć to.

— A mnie? — powtarzał co wieczór Cal.

Odburkiwała mu wtedy:

— Dobranoc, Cal. Postaraj się nas w nocy nie zamordować.

Panna Vera zaś komentowała:

— Skąd u dziecka w tym wieku takie okropne słowa?

Jasne, myślała Ruth. Jasne, wszystko mi jedno. Wiedziała, że powinna trzymać gębę na kłódkę, ale lubiła czasem dogryźć Calowi. Poczuć się przez chwilę sobą.

To było pocieszające. Zasypiała wtedy z satysfakcją, którą tuliła w myślach jak pluszowego misia. Wieczorne docinki pomagały jej się kłaść bez wałkowania wiecznie nękającego ją pytania: Dlaczego los tak zrządził, że musi żyć wśród Ellisów?

7

W każdym lęgu homara na pewno znajdą się nieregularne jaja, w niektórych przypadkach zaś formy nieprawidłowe mogą nawet wystąpić w większych ilościach.

The American Lobster: A Study of Its Habits and Development
dr Francis Hobart Herrick
1895

Pod koniec tygodnia Cal Cooley i Ruth wracali do Rockland w stanie Maine. Całą drogę padało. Dziewczyna siedziała na przednim siedzeniu buicka. Calowi usta się nie zamykały. Wyśmiewał się, że nosiła wciąż to samo ubranie, drwił z wyprawy na zakupy do Blaire'a oraz naśladował służalczy stosunek Mary do panny Very.

— Przymknij się, Cal — przyhamowała go Ruth.

— Och, panno Vero, umyć pani włosy? Och, panno Vero, mam pani wyciąć odciski? Och, panno Vero, podetrzeć pani tyłek?

— Zostaw moją matkę w spokoju — zażądała Ruth. — Robi, co musi.

— Och, panno Vero, mam się położyć na jezdni?

— Ty jesteś gorszy, Cal. Włazisz Ellisom w dupę bardziej niż ktokolwiek inny. Przymilasz się do tego starucha o każdego pensa i podlizujesz jak wariat pannie Verze.

— Nie sądzę, kochanie. Twoja matka jest ode mnie o niebo lepsza.

— Odwal się, Cal.

— Cóż za elokwencja!

— Goń się, lizusie.

Cal wybuchnął śmiechem.

— To mi się podoba! Zjedzmy coś.

Matka Ruth zapakowała im chleb, ser i czekoladki. Dziewczyna otworzyła koszyk. Ser był okrągły, w woskowej skórce. Gdy Ruth go nacięła, zaśmierdział zabójczo jak coś gnijącego na dnie szamba, a dokładniej mówiąc, jak rozkładające się wymiociny.

— Kurwa mać! — krzyknął Cal.

— O Boże! — powiedziała Ruth i wsunęła ser z powrotem do kosza, szybko zatrzaskując wiklinowe wieczko. Naciągnęła bluzkę na nos. Ani jedno, ani drugie na nic się nie zdało.

— Wywal to! — wrzasnął Cal. — Natychmiast!

Ruth otworzyła koszyk, opuściła szybę i wyrzuciła ser. Toczył się, podskakując na autostradzie za samochodem. Dziewczyna wychyliła się przez okno i wdychała świeże powietrze.

— Co to miało być? — Cal domagał się wyjaśnień. — Co to w ogóle było?

— Mama mówiła, że to owczy ser — powiedziała Ruth, doszedłszy do siebie. — Domowy. Ktoś podarował go pannie Verze na Boże Narodzenie.

— Żeby ją zamordować!

— To najwyraźniej przysmak.

— Przysmak? Tak ci powiedziała?

— Zostaw ją w spokoju.

— Chciała, żebyśmy to jedli?

— To prezent. Przecież nie wiedziała.

— Teraz wiem, skąd się wzięło powiedzonko „zabieraj te syry!"

— Cal, na miłość boską.

— Nie wiedziałem, dlaczego tak się mówi, za to teraz już wiem. Śmierdzące syry. Nigdy o tym nie pomyślałem.

— Dość tego, Cal. Wyświadcz mi przysługę i do końca jazdy w ogóle się do mnie nie odzywaj.

Po długim milczeniu Cal powiedział z namysłem:

— „Fajtać girami" też brzmi całkiem ciekawie, nie uważasz?

— Daj mi spokój, Cal. Proszę cię, na miłość boską, daj mi święty spokój.

***

Gdy dojechali do nabrzeża w Rockland, pastor Wish—nell z bratankiem już na nich czekali. Ruth dostrzegła *New Hope* na szarym, spokojnym morzu skrapianym teraz deszczem. Darowali sobie powitania.

— Cal, proszę mnie zawieźć do sklepu. Potrzebuję oliwy, warzyw i trochę materiałów biurowych — poprosił pastor.

— Oczywiście — odparł Cal. — Nie ma problemu.

— Ty zostań — polecił Wishnell Owneyowi, a Cal, naśladując jego ton, zwrócił się do Ruth:

— Zostań.

Mężczyźni odjechali, pozostawiając Ruth i Owneya w deszczu na nabrzeżu. Tak po prostu. Chłopak miał na sobie nowiutki, żółty deszczowiec, dopasowane do niego nakrycie głowy oraz żółte buty. Stał nieruchomo, patrząc

na morze, złożywszy ręce za plecami. Ruth podobała się jego potężna sylwetka. Jego ciało było zwarte i mocno trzymało się ziemi. Polubiła też jego jasne rzęsy.

— Miał pan udany tydzień? — spytała dziewczyna.

Skinął głową.

— Co pan porabiał?

Westchnął. Jego twarz wykrzywił grymas namysłu.

— Nic szczególnego — powiedział w końcu. Mówił cicho i spokojnie.

— Och — odezwała się znów Ruth — a ja pojechałam zobaczyć się z matką w Concord, w New Hampshire.

Owney skinął głową, zmarszczył brwi i wziął głęboki oddech. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz zamiast tego założył ręce za plecami i ucichł z twarzą pozbawioną wyrazu. On jest niesamowicie nieśmiały, pomyślała Ruth. Uznała to za urocze. Taki wielki, a taki nieśmiały!

— Prawdę mówiąc — zagadnęła — te odwiedziny mnie zasmucają. Nie lubię przebywać na stałym lądzie. Chcę wracać na Fort Niles. A pan? Woli pan być tam czy tutaj?

Twarz Owneya Wishnella zaróżowiła się, potem pokraśniała, znów się zaróżowiła, a w końcu odzyskała zwykły odcień. Ruth z fascynacją obserwowała ten niezwykły pokaz, po czym spytała:

— Czy ja pana krępuję?

— Nie. — Owney znów się zarumienił.

— Matka zawsze mnie naciska, bym wyjechała z Fort Niles. Właściwie to nie naciska, ale zmusiła mnie, żebym wyjechała do szkoły w Delaware, a teraz namawia do przeprowadzki do Concord. Albo do wyjazdu do college'u. Ale mnie się tam podoba. — Ruth wskazała na ocean. — Nie chcę mieszkać z Ellisami. Niech mi dadzą święty spokój. — Nie wiedziała, dlaczego tak się nad tym

rozwodzi w obecności wielkiego, nieśmiałego młodzieńca w czystym żółtym deszczowcu. Przeszło jej przez myśl, że gada jak dziecko albo jak idiotka. Gdy jednak spojrzała na Owneya, zauważyła, że jej słucha. Nie patrzył na nią jak na dziecko czy głupią. — Jest pan pewien, że mu nie przeszkadzam?

Owney zakaszlał, przysłaniając usta pięścią, i spojrzał na Ruth mrugającymi z wysiłku bladoniebieskimi oczami.

— Uhm — wykrztusił i znów zakaszlał. — Ruth.

— Słucham. — Dźwięk własnego imienia w jego ustach przyprawił ją o dreszcze. Nie wiedziała, że je zna. — Tak, Owney?

— Chciałabyś coś zobaczyć? — spytał. Wyrzucił to z siebie jak na spowiedzi. Jego słowa zabrzmiały tak natarczywie, jakby chciał jej zdradzić kryjówkę ze skradzionymi pieniędzmi.

— O, tak. Bardzo.

Wyglądał niepewnie. Był bardzo spięty.

— Pokaż mi to coś — poprosiła Ruth. — Pokaż. Pewnie. Pokaż, na co tylko masz ochotę.

— Trzeba się pośpieszyć — powiedział i ożywił się. Ruszył na koniec nabrzeża, a dziewczyna podążyła za nim. Zszedł do małej łódki, błyskawicznie ją odwiązał i skinął na Ruth, by wsiadła. Gdy do niej wskoczyła, zdawał się już wiosłować pięknymi, mocnymi pociągnięciami — szsz, szsz, szsz. Łódka mknęła przez fale.

Nie zwalniając, minął *New Hope* i inne cumujące w porcie łodzie. Kłykcie dzierżących wiosła palców zbielały mu od wysiłku, a usta zmieniły się w wąską, skupioną kreskę. Ruth trzymała się burt łódki, znów zadziwiona jego siłą. Zupełnie nie tego oczekiwała zaledwie pół minuty wcześniej, stojąc na nabrzeżu. Owney wypłynął

poza osłoniętą zatoczkę. Fale zwiększyły się i kołysały maleńką łodzią. W końcu dotarli do potężnej granitowej skały, a właściwie niewielkiej wysepki. Chłopak skierował się na jej tyły. Byli teraz zupełnie niewidoczni z brzegu. Fale uderzały o skałę.

Owney patrzył na wodę, marszczył brwi i ciężko oddychał. Odpłynął około czterdziestu stóp w głąb morza i zatrzymał się. Wstał, przez chwilę wpatrywał się w głębinę, po czym usiadł, powiosłował dziesięć stóp dalej i znów spojrzał w wodę. Ruth też się wychyliła, lecz niczego nie dostrzegła.

Owney sięgnął do łodzi po osękę, długą żerdź zakończoną hakiem. Powoli zanurzył ją w wodzie i zaczął ciągnąć. Dziewczyna ujrzała, że zaczepił hakiem boję — taką, jakich używali poławiacze homarów do oznaczania położenia więcierzy. Jednak jego boja była zupełnie biała, niepomalowana jak u innych na jaskrawy znakujący kolor. Poza tym, zamiast kołysać się na powierzchni, kryła się kilka stóp pod wodą, jakby uwiązana na zbyt krótkiej linie. Nikt nie zdołałby jej odnaleźć, nie wiedząc dokładnie, gdzie szukać.

Owney wrzucił ją do łodzi, a następnie powoli podciągał linę, na której końcu znajdował się drewniany więcierz ręcznej roboty. Chłopak wydobył go na pokład. Wprost pękał od ogromnych, kłapiących szczypcami homarów.

— Czyj to więcierz? — zaciekawiła się Ruth.

— Mój! — odpowiedział Owney.

Otworzył go i kolejno wyjmował homary, pokazując każdego dziewczynie. Potem wrzucał je z powrotem do wody.

— Hej! — krzyknęła Ruth, obejrzawszy trzeciego. — Nie wyrzucaj ich! Przecież są w porządku!

Niemniej Owney tak właśnie zrobił. Homary były

rzeczywiście wspaniałe. Ogromne. Wypełniały więcierz niczym ryby sieć głębinową. Zachowywały się jednak dziwnie. Gdy chłopak ich dotykał, nie kłapały szczypcami ani nie walczyły. Spokojnie leżały na jego dłoni. Ruth nigdy przedtem nie widziała takich posłusznych homarów. Nigdy też nie widziała tak pełnego więcierza.

— Dlaczego jest ich tak dużo? Dlaczego nie walczą? — spytała.

— Bo nie — odpowiedział Owney. Wrzucił kolejnego do wody.

— Dlaczego ich nie zatrzymujesz?

— Nie mogę! — krzyknął Owney.

— Kiedy zastawiłeś ten więcierz?

— W zeszłym tygodniu.

— Dlaczego trzymasz boję pod wodą? Przecież jej nie widać.

— Chowam ją.

— Przed kim?

— Przed wszystkimi.

— W takim razie jak ci się udało odnaleźć więcierz?

— Po prostu wiedziałem, gdzie jest — odparł. — Wiem, gdzie one są.

— One?

Wrzucił ostatniego homara do morza, a po nim więcierz, który zanurzył się z wielkim pluskiem. Wycierając ręce o nieprzemakalne spodnie, Owney powiedział z dramatycznym naciskiem:

— Wiem, gdzie są homary.

— Wiesz, gdzie są homary.

— Tak.

— Prawdziwy Wishnell z ciebie — stwierdziła Ruth. — Co?

— Tak.

— A gdzie masz inne więcierze, Owney?

— Wszędzie.

— Wszędzie? Wzdłuż całego wybrzeża Maine?

—Tak.

— Twój stryj o tym wie?

— Nie! — Spojrzał na nią ze zdumieniem i przerażeniem.

— Kto robił te więcierze?

—Ja.

— Kiedy?

— W nocy.

— Wszystko za plecami stryja, co?

— Tak.

— Pewnie by cię zabił, gdyby się dowiedział?

Owney milczał.

— Dlaczego wrzucasz homary z powrotem do wody?

Zakrył twarz rękami, a potem je opuścił. Wyglądał, jakby miał się rozpłakać. Zdołał tylko pokręcić głową.

— Och, Owney.

— Wiem.

— To szaleństwo.

— Wiem.

— Mógłbyś być bogaty! Mój Boże, gdybyś miał łódź i trochę sprzętu, mógłbyś być bogaty!

— Nie mogę.

— Bo ktoś...

— Mój stryj.

— ...się o tym dowie.

— Tak.

— Chce, żebyś został pastorem albo kimś równie żałosnym, prawda?

— Tak.

— Pieprzone marnotrawstwo, co?

— Nie chcę zostać pastorem.

— Nie dziwię ci się, Owney. Też bym nie chciała. Kto jeszcze o tym wie?

— Musimy wracać — stwierdził Owney. Złapał wiosła i obrócił łódkę. Skierował się szerokimi, prostymi plecami do brzegu. Parł przez wodę mocnymi pociągnięciami wioseł, przypominając jakąś wspaniałą maszynę.

— Kto jeszcze o tym wie, Owney?

Przestał wiosłować—i popatrzył jej w oczy.

—Ty.

Odpowiedziała mu spojrzeniem prosto w jego niebieskie, szwedzkie oczy.

— Ty — powtórzył. — Tylko ty.

8

Rosnąc, homar staje się odważniejszy i oddala się od brzegu, choć przy tym nigdy nie traci instynktu kopania ani nie pozbywa się nawyku krycia się pod kamieniami, kiedy zachodzi taka konieczność.

The American Lobster: A Study of Its Habits and Development
dr Francis Hobart Herrick
1895

Pod koniec epoki lodowcowej Georges Bank porastała gęsta pierwotna puszcza. Były tam rzeki, góry i ssaki. Później zalało je morze, tworząc najwspanialsze łowisko na ziemi. Ten proces trwał miliony lat, lecz Europejczycy nie potrzebowali zbyt wiele czasu, by odnaleźć to miejsce po przybyciu do Nowego Świata — i nieźle się tam „obłowili". Wielkie łodzie wyprawiały się na połów rozmaitych gatunków ryb i nie tylko — karmazynów, śledzi, dorszy, makreli, różnych waleni, kałamarnic, tuńczyków, mieczników czy rekinków psich, a także przegrzebków. Pod koniec XIX stulecia wybrzeże zmieniło się w wielonarodowe

pływające miasto. Niemieckie, rosyjskie, amerykańskie, kanadyjskie, francuskie i portugalskie łodzie wyciągały z tamtejszych wód tony ryb. Na pokładzie każdej z nich znajdowali się ludzie, którzy bezmyślnie zgarniali do ładowni trzepoczącą się zdobycz, jakby mieli do czynienia z węglem. Każda jednostka przebywała tam przez cały tydzień, a nawet dwa. Nocami lampy na setkach statków świeciły na wodzie jak światła niewielkiego miasta.

Statki i łodzie pozostawały na otwartym morzu, o dzień drogi od brzegu. Nic więc dziwnego, że często padały ofiarami złej pogody. Sztormy nadciągały szybko i bezlitośnie. Mogły zmieść z powierzchni wody całą flotę, rujnując społeczność, z której pochodziła. Kilka łodzi z jakiejś wsi mogło wypłynąć na Georges Bank na rutynowy połów, a po kilku dniach zaginąć, pozostawiając w osadzie same sieroty i wdowy. Gazety podawały nazwiska ofiar oraz żyjących krewnych, którzy pozostawali na ich utrzymaniu. W tym tkwiło zapewne sedno tragedii. Należało koniecznie policzyć członków rodzin, oszacować, ile osób straciło ojców, braci, mężów, synów czy wujów, którzy zapewniali im byt. Co się z nimi stanie?

46 ZGINĘŁO — głosił nagłówek. 197 KREWNYCH BEZ ŚRODKÓW DO ŻYCIA.

To rzeczywiście przygnębiająca liczba. Każdy powinien ją poznać.

Niemniej połów homarów wygląda zupełnie inaczej i nigdy nie przypominał wypraw na otwarte morze. Jest trochę niebezpieczny, lecz nie tak zabójczo jak rybołówstwo dalekomorskie. Zupełnie nie. Miasteczka poławiaczy homarów nie tracą zastępów ludzi. Ich mieszkańcy łowią pojedynczo, rzadko z dala od brzegu, zwykle wracają do domów wczesnym popołudniem na zapiekankę zapijaną

piwem i zasypiają w butach na kanapie. Nie pozostawiają po sobie tłumów wdów i sierot, a osamotnione kobiety nie zrzeszają się w związki czy inne grupy. W społecznościach poławiaczy homarów wdowy należą do rzadkości, tracą mężów w wyniku wypadków losowych, dziwacznych utonięć, mgieł czy burz, które przechodzą, nie powodując wielkich spustoszeń.

Tak też się stało w przypadku pani Pommeroy, która w 1976 roku była jedyną wdową na Fort Niles, a dokładniej mówiąc, jedyną po rybaku. Jedyną kobietą, której morze odebrało męża. Co dawał jej ten status? Prawie nic. Tragiczny wymiar wypadku umniejszał fakt, że pan Pommeroy pił i wypadł za burtę w spokojny słoneczny dzień. Z biegiem lat jej tragedia coraz bardziej szła w zapomnienie. Sama pani Pommeroy miała zresztą w sobie coś z pięknego słonecznego dnia — była taka urocza, że ludzie nie pamiętali, że powinni się nad nią litować.

Poza tym nieźle sobie radziła bez wsparcia męża. Przetrwała bez Iry Pommeroya i nie pokazywała po sobie cierpienia po jego utracie. Miała duży dom, który zbudowano i spłacono na długo przed jej przyjściem na świat, a jego konstrukcja była tak solidna, że prawie nie wymagał remontów. Nikt się nimi zresztą nie przejmował. Miała też ogród. I siostry — irytujące, ale oddane. A także Ruth Thomas zapewniającą jej towarzystwo córki oraz synów, którzy — choć byli bandą nierobów — nie lenili się bardziej niż synowie innych kobiet, a poza tym dokładali się do utrzymania matki.

Młodzi Pommeroyowie pozostający na wyspie osiągali rzecz jasna niewielkie dochody, ponieważ nadawali się tylko na sterników czyichś łodzi. Zarobki były skromne, bo łodzie, łowisko i sprzęt rybacki Pommeroyów przepa—

dły wraz ze śmiercią ich ojca. Inni wyspiarze wykupili je za nędzne grosze i nie sposób już było ich odzyskać. To właśnie, a także wrodzone lenistwo, pozbawiało chłopców Pommeroyów perspektyw na Fort Niles. Nawet po wejściu w dorosłość nie zdołali zająć się połowem na własną rękę. Dorastali z tą świadomością, nikogo więc nie zdziwiło, że kilku na dobre opuściło wyspę. Dlaczego nie? Nie mieli tu żadnych widoków na przyszłość.

Fagan, średni syn, okazał się jedynym Pommeroyem z ambicjami. Tylko on miał jakiś cel w życiu i skutecznie do niego dążył. Pracował na małej nędznej farmie ziemniaczanej w odległym, pozbawionym dostępu do morza powiecie na północy Maine. Zawsze chciał uciec od oceanu i to mu się udało. Zawsze pragnął być rolnikiem. Z dala od mew i silnego wiatru. Wysyłał matce pieniądze. Dzwonił do niej co parę tygodni, by opowiedzieć, jak zapowiadają się plony. Mówił, że któregoś dnia chciałby kierować farmą. Śmiertelnie zanudzał panią Pommeroy, lecz była dumna, że miał pracę, i szczęśliwa z powodu otrzymywanego wsparcia finansowego.

Conway, John i Chester zaciągnęli się do wojska, przy czym pierwszy z nich (wilk morski jak się patrzy — jak o sobie mawiał, zupełnie jakby był admirałem) miał jeszcze szczęście załapać się na ostatni rok wojny w Wietnamie. Był marynarzem na rzecznej łodzi patrolowej na obszarze ciężkich walk. Odbył tam dwa okresy służby. W pierwszym zdołał uniknąć obrażeń, choć słał matce ordynarne i pełne przechwałek listy, objaśniając szczegółowo, ilu kumpli dostało i jakie dokładnie błędy popełnili ci debile, że tym się właśnie skończyło. Opisywał jej też, jak wyglądały ciała jego zabitych towarzyszy. Zapewniał przy tym, że on nigdy nie dostanie, bo jest za sprytny, żeby się w takie gówno wpakować.

W 1972 roku podczas drugiego okresu służby sam nieźle oberwał. Kula utkwiła blisko kręgosłupa, lecz lekarze w szpitalu wojskowym w ciągu sześciu miesięcy postawili go na nogi. Ożenił się z wdową po jednym ze swoich kumpli idiotów — tych, którzy śmiertelnie oberwali na łodzi patrolowej — i przeniósł się do Connecticut. Chodził, podpierając się laską. Orzeczono jego niepełnosprawność. Conway miał się więc całkiem nieźle. Nie był ciężarem dla swojej owdowiałej matki.

John i Chester również wstąpili do wojska. Pierwszego z nich wysłano do Niemiec, gdzie pozostał po odbyciu służby. Ruth Thomas trudno było sobie wyobrazić, co chłopak Pommeroyów mógł ze sobą począć w europejskim kraju. Rodzina nie otrzymywała od niego żadnych wiadomości, uznała więc, że wszystko z nim w porządku. Chester natomiast odbył służbę wojskową, przeprowadził się do Kalifornii, wplątał się w narkotyki i związał z jakimiś dziwakami, którzy uważali się za wróżbiarzy. Nazwali się Cygańskie Zabijaki.

Podróżowali po kraju starym szkolnym autobusem, zarabiając na wróżeniu z ręki i stawianiu tarota, choć Ruth obiło się o uszy, że faktyczny dochód przynosił im handel marihuaną. Bardzo ją to zainteresowało. Nigdy nie próbowała trawki i była ciekawa jej działania. Kiedyś Chester przyjechał na wyspę bez cygańskich braci. Ruth spędzała tam akurat wakacje. Pommeroy próbował jej udzielać swoich osławionych porad duchowych. Był rok 1974. Chester był już nawalony.

— Jakiej potrzebujesz rady? — spytał. — Mogę ci udzielić różnych. — Wyliczył je na palcach. — Mogę ci doradzić w sprawach pracy, miłości, planów na przyszłość. Daję rady na codzienne i wyjątkowe sytuacje.

— Masz trawkę? — spytała Ruth.

— Jasne.

— Mogę spróbować? Sprzedajesz ją? Mam pieniądze. Mogłabym kupić.

— Znam jedną karcianą sztuczkę.

— Wątpię.

— Owszem, znam. — Podsunął dziewczynie pod nos talię kart i wymamrotał: — Wybierz jedną.

Nie chciała.

— Wybieraj! — wrzasnął Chester Pommeroy, cygański zabijaka.

— Niby dlaczego?

— Wybieraj tę pieprzoną kartę! Dalej! Już ją podłożyłem i wiem, że to trójka kier, więc wybierz tę pieprzoną kartę, dobra?

Nie chciała. Rzucił talią o ścianę.

— Czy teraz dasz mi spróbować trawki? — poprosiła dziewczyna.

Zmarszczył brwi i machnięciem ręki kazał jej zniknąć mu z oczu. Kopnął stół i nazwał ją głupią suką. Naprawdę zdziwaczał— stwierdziła Ruth, więc do końca tygodnia nie wchodziła mu w drogę. Wszystko to wydarzyło się, gdy dziewczyna miała szesnaście lat. Po raz ostatni widziała wtedy Chestera Pommeroya. Słyszała, że miał dużo dzieci, ale się nie ożenił. Nigdy nie poczęstował jej marihuaną.

Czterech braci Pommeroyów wyprowadziło się z wyspy, więc pozostało na niej trzech. Webster, najstarszy i najbystrzejszy, był niewyrośnięty, przygnębiony, nieśmiały i utalentowany tylko w kierunku przekopywania mułu w poszukiwaniu eksponatów do przyszłego Muzeum Historii Naturalnej Senatora Simona Addamsa. Webster nie pracował zarobkowo, lecz nie kosztował matki zbyt wiele.

Wciąż nosił ubrania z dzieciństwa i jadł jak ptaszek. Pani Pommeroy najbardziej go kochała i najbardziej się o niego martwiła. Nie przejmowała się, że nie przynosił do domu pieniędzy, dopóki nie spędzał dnia za dniem na kanapie z twarzą przykrytą poduszką, żałośnie wzdychając.

Najmłodszym synem był z kolei znany w okolicy głupek Robin. W wieku siedemnastu lat ożenił się z Opal i spłodził gigantycznego Eddiego. Pracował jako sternik na łodzi ojca Ruth. Stan Thomas nie znosił go, bo dzieciakowi przez cały dzień gęba się nie zamykała. Odkąd Robin pozbył się wady wymowy, stał się strasznym gadułą. Rozmawiał nie tylko z ojcem Ruth, jedynym poza nim człowiekiem na łodzi, lecz także sam ze sobą oraz z homarami. W czasie przerw uruchamiał radio i gawędził z innymi łodziami. Gdy widział, że w pobliżu jakaś przepływa, łapał radio i zagadywał szypra:

— Ależ pięknie wyglądacie.

Potem wyłączał mikrofon i czekał na odpowiedź, która zazwyczaj brzmiała mniej więcej:

— Wypchaj się, młody!

Zasmucony pytał wtedy ojca Ruth:

— Dlaczego nikt nam nigdy nie mówi, że miło na nas popatrzeć, kiedy się zbliżamy?

Robin zawsze wyrzucał coś przypadkowo za burtę. Osęka jakoś wymykała mu się z rąk. Biegł wtedy przez całą długość łodzi, by ją złapać — na próżno. Nie działo się tak każdego dnia, ale niemal codziennie i działało na nerwy ojcu Ruth, który zawracał, by odzyskać narzędzie. Nabrał zwyczaju zabierania zapasowego sprzętu, na wszelki wypadek. Ruth zaproponowała, żeby przywiązał do wszystkiego małe boje, by przynajmniej nic nie tonęło. Nazwała to zabezpieczeniem przed Robinem. Ojciec

dziewczyny tolerował Pommeroya, mimo że go męczył, ponieważ chłopak był tani, tani i jeszcze raz tani. Zgadzał się na znacznie mniejsze stawki niż inni sternicy. Musiał to robić, bo nikt nie chciał z nim pracować. Był durny i leniwy, lecz wystarczająco silny, więc ojciec Ruth sporo na nim oszczędzał. Tolerował tego dzieciaka ze względu na jego najniższą płacę.

Pozostał jeszcze Timothy. Zawsze najspokojniejszy, był dobrym dzieckiem i wyrósł na przyzwoitego człowieka. Nikomu nie wadził. Przypominał ojca — miał mocne kułaki, rozbudowane mięśnie, czarne włosy i oczy jak szparki. Pracował na łodzi Lena Thomasa, stryja Ruth, i nieźle się sprawował. Len był gadułą w gorącej—wodzie kąpanym, a Timothy cicho wyciągał więcierze, liczył homary, uzupełniał przynętę, a gdy łódź się przemieszczała, stał za sterem pogrążony we własnych myślach, z nieobecnym wzrokiem. Był to dla Lena dobry układ. Zazwyczaj nie mógł znaleźć sternika, który by zniósł jego legendarną wybuchowość. Kiedyś napadł na jednego z kluczem francuskim w ręku i znokautował dzieciaka na całe popołudnie. Timothy nie drażnił jednak Lena i całkiem przyzwoicie zarabiał. Oddawał wszystko matce, poza sumą, którą wydawał na whisky. Pił co wieczór w samotności, za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju.

Tak więc liczni synowie pani Pommeroy właściwie nie obciążali jej finansowo, a nawet okazali się na tyle mili, by przysyłać matce pieniądze. Ogólnie rzecz biorąc, nieźle sobie radzili, z wyjątkiem Webstera. Poza tym pani Pommeroy dorabiała sobie strzyżeniem włosów.

Nieźle jej to wychodziło. Miała do tego smykałkę. Kręciła i farbowała włosy kobietom. Zdawała się mieć naturalne wyczucie formy. Specjalizowała się jednak

w strzyżeniu mężczyzn. Przed wizytą w jej domu klienci nosili trzy fryzury — obcinane przez matkę, kogoś w wojsku, a potem przez żonę. Nie interesowała ich moda, lecz pozwalali pani Pommeroy wyczyniać ze swoimi włosami różne frywolne rzeczy. Siadali przed nią próżni, łasi na jej zainteresowanie niczym gwiazdki filmowe.

Rzeczywiście, potrafiła sprawić, że mężczyzna wyglądał wspaniale. W magiczny sposób ukrywała łysinę, zachęcała posiadaczy cofniętych podbródków do zapuszczania brody, poskramiała dzikie kędzierzawe czupryny i najbardziej niesforne kosmyki. Schlebiała i żartowała z każdym klientem, docinając mu i drażniąc się z nim podczas strzyżenia. Flirt z miejsca podnosił ich atrakcyjność, rumienił policzki i dodawał oczom blasku. Niemal ratowała ich od brzydoty. Udawało jej się też sprawić, że Senator Simon i Angus Addams wyglądali całkiem przyzwoicie. Gdy kończyła strzyc jakiegoś starego zrzędę w rodzaju Angusa, nawet jemu od tak przyjemnego towarzystwa czerwienił się kark. Gdy zaś obcinała przystojnego z natury mężczyznę, jak ojciec Ruth, stawał się on żenująco atrakcyjny niczym filmowe bożyszcze kobiet.

— Niech pan ucieka — mawiała wtedy. — Proszę stąd zmiatać, Stan. Niech pan tak paraduje po mieście, a sam pan będzie sobie winny, jeśli pana zgwałcą.

O dziwo, panie z Fort Niles nie miały nic przeciwko temu, by pani Pommeroy strzygła ich małżonków. Może z powodu imponujących efektów jej pracy. A może dlatego, że chciały pomóc wdowie, co w ten sposób łatwo było uczynić. Może kobiety czuły się winne, że one mają mężów, którzy do tej pory się nie upili i nie wypadli za burtę. A może przez lata wspólnego życia tak ich znienawidziły, że na myśl o zanurzeniu palców w brudnych włosach tych

śmierdzących, usmarowanych tłuszczem, gnuśnych rybaków robiło im *sią* niedobrze. Wolały więc pozostawić to zadanie pani Pommeroy, która po pierwsze, zdawała się je uwielbiać, a po drugie, wprawiała ich mężów w cholernie dobry nastrój — choćby tylko raz na jakiś czas.

***

Nic więc dziwnego, że gdy Ruth natychmiast po powrocie od matki zaszła do domu Pommeroyów, zastała panią Pommeroy przy strzyżeniu rodziny Russa Cobba. Siedzieli u niej wszyscy Cobbowie — pan Russ, jego żona Ivy i ich najmłodsza córka Florida, która mimo czterdziestki na karku nadal mieszkała z rodzicami.

Stanowili ponurą rodzinę. Russ Cobb dobiegał osiemdziesiątki, lecz nadal codziennie łowił. Wciąż powtarzał, że będzie to robił, dopóki może przerzucić nogę przez burtę. Poprzedniej zimy stracił prawą do wysokości kolana — amputowano mu ją z powodu cukrzycy. Mimo to nadal co dzień łowił, przerzucając przez burtę to, co mu pozostało z prawej nogi. Na twarzy jego żony Ivy nieustannie malowało się rozczarowanie. Malowała na pieniążkowcach gałązki ostrokrzewu, świece i podobizny Świętego Mikołaja, a potem próbowała je rozprowadzać wśród sąsiadów jako gwiazdkowe ozdoby. Córka Cobbów, Florida, zawsze milczała. Była niesamowicie cicha.

Gdy weszła Ruth, pani Pommeroy zdążyła już nawinąć na wałki niesforne siwe włosy Ivy Cobb i zajmowała się bokobrodami Russa.

— Ależ gęste! — komplementowała. — Ma pan takie gęste włosy, że wygląda pan jak Rock Hudson!

— Jak Cary Grant! — zagrzmiał.

— Cary Grant! — roześmiała się pani Pommeroy. — Dobrze! Wygląda pan jak Cary Grant.

Pani Cobb przewróciła oczami. Ruth przemierzyła kuchnię i pocałowała panią Pommeroy w policzek, ona zaś chwyciła dziewczynę za rękę i długo przytrzymywała.

— Witaj w domu, kochanie.

— Dziękuję. — Ruth czuła, że jest w domu.

— Dobrze się bawiłaś?

— To był najgorszy tydzień mojego życia. — Dziewczyna zamierzała to powiedzieć sarkastycznym, żartobliwym tonem, ale niechcący jej słowa zabrzmiały jak szczera prawda.

— Weź sobie zapiekankę.

— Dziękuję.

— Widziałaś się z ojcem?

— Jeszcze nie.

— Za chwilę skończę — powiedziała pani Pommeroy. — Usiądź sobie, kochanie.

Ruth usiadła więc obok milczącej Floridy Cobb, na krześle pomalowanym na ohydny jaskrawozielony kolor. Stół i narożna szafa również nim straszyły, więc kuchnia wyglądała przerażająco. Dziewczyna obserwowała, jak pani Pommeroy wyczynia swe magiczne sztuczki z włosami brzydkiego pana Cobba. Jej ręce były w nieustannym ruchu. Nawet gdy nie cięła, dotykała głowy klienta, układała palcami włosy, głaskała go i pociągała za uszy. Przycisnął głowę do jej rąk, jak kot ocierający się o nogę swojego ludzkiego wybrańca.

— Proszę spojrzeć, jak ładnie — zamruczała pani Pommeroy zachęcająco jak kochanka. — Proszę tylko spojrzeć, jak ładnie pan wygląda.

Podcięła mu baki, podgoliła włosy na karku i osuszyła skórę ręcznikiem. Przycisnęła się do jego pleców. Była dla niego tak czuła, jakby był ostatnią osobą na świecie,

której miała dotknąć, jakby jego brzydka czaszka dawała jej ostatnią szansę kontaktu z człowiekiem. Pani Cobb czekała w wałkach, złożywszy ziemiste ręce na kolanach, z oczami utkwionymi w zniszczonej twarzy męża.

— Co słychać, pani Cobb? — spytała Ruth.

— W naszym przeklętym ogrodzie rozpanoszyły się cholerne szopy — odparła kobieta, demonstrując niesamowitą sztukę mówienia bez poruszania ustami. W dzieciństwie Ruth prowokowała panią Cobb do rozmów tylko po to, by to zobaczyć. Prawdę mówiąc, gdy skończyła osiemnaście lat, właściwie nic się nie zmieniło.

— To przykre. Czy wcześniej mieli już państwo kłopoty z szopami?

— Nie, nigdy się nie pokazywały.

Ruth wpatrywała się w usta pani Cobb. Faktycznie ani drgnęły. Niewiarygodne.

— Naprawdę?

— Chciałabym któregoś ustrzelić.

— Do 1958 na wyspie wcale nie było szopów — odezwał się Russ. — Za to mieli je na Courne Haven.

— Naprawdę? I co się stało? Jak się tu dostały? — spytała Ruth, doskonale znając odpowiedź.

— Ktoś je tu przywiózł.

— Kto?

— Ci z Courne Haven. Zapakowali ciężarne samice do worka. Przypłynęli z nimi tutaj w środku nocy. Wyrzucili je na naszą plażę. Twój prastryj David Thomas widział to na własne oczy. Wracał do domu od dziewczyny. Zobaczył obcych na plaży. Jak wypuszczają coś z worka. I odpływają. Po kilku tygodniach roiło się od szopów. Na całej cholernej wyspie. Pożerały kury. Śmieci. Wszystko.

Oczywiście, według rodzinnego przekazu, który znała

Ruth, to Johnny Pommeroy zobaczył obcych na plaży, zanim wyjechał i poległ w Korei w 1954. Dziewczyna jednak przemilczała ten fakt.

— Gdy byłam dziewczynką, miałam oswojonego małego szopa — powiedziała pani Pommeroy, uśmiechając się na to wspomnienie. — Właściwie ten szop ugryzł mnie w rękę i mój ojciec go zabił. To był chyba samiec. W każdym razie zawsze uważałam, że to „on".

— Kiedy to było, pani Pommeroy? — spytała Ruth. — Ile lat temu?

Kobieta zmarszczyła brwi i zanurzyła kciuki we włosach na karku pana Cobba, który aż zamruczał z zadowolenia. Odpowiedziała niewinnie:

— Chyba na początku lat czterdziestych, Ruth. Boże, ależ jestem stara. Lata czterdzieste! Kiedy to było.

— W takim razie to nie był szop — wtrącił się pan Cobb. — To niemożliwe.

— Owszem, to był mały szop. Miał pasiasty ogon i najmilszy na świecie pyszczek. Nazywałam go Pysio!

— To nie był szop. Wykluczone. Do 1958 na wyspie nie było szopów — upierał się pan Cobb. — Ci z Courne Haven przywieźli je w 1958.

— Cóż, to był malutki szop — wyjaśniła pani Pommeroy.

— Pewnie skunks.

— Chciałabym zastrzelić szopa! — powiedziała pani Cobb z takim naciskiem, że jej usta wyjątkowo drgnęły, a jej milcząca córka aż się wystraszyła.

— Mój ojciec na pewno zastrzelił Pysia — powiedziała pani Pommeroy.

Strzepnęła panu Cobbowi obcięte włosy ręcznikiem, a potem oczyściła mu szyję maleńkim pędzelkiem do ciast.

Wklepała mu talk w miejsce pod przetartym kołnierzykiem koszuli i wtarła w jego sztywne włosy oleisty płyn, układając je w ekspresyjne loki.

— Proszę spojrzeć! — zwróciła się do klienta i podała mu stare lustro z rączką. — Wygląda pan jak gwiazda country. Co pani na to, Ivy? Przystojniak, prawda?

— Głupstwo — odparła Ivy, lecz jej mąż promieniał, a jego policzki lśniły tak jak nowa fryzura. Pani Pommeroy zdjęła z niego prześcieradło, ostrożnie je składając, by nie rozsypać włosów po całej jaskrawej kuchni. Pan Cobb wstał, nadal podziwiając swoje odbicie w starym lusterku. Obracał powoli głowę i obdarzał się uśmiechem zabójczego przystojniaka.

— Jak ci się podoba ojciec, Florido? — spytała pani Pommeroy. — Czyż nie pięknie wygląda?

Florida Cobb oblała się ciemnym rumieńcem.

— Nic nie powie — powiedział pan Cobb, nagle niezadowolony. Z brzękiem odłożył lusterko na kuchenny stół i sięgnął do kieszeni po pieniądze. —Ani słowa z siebie nie wydusi. Nie powiedziałaby gówno, nawet gdyby miała go pełną gębę.

Ruth się roześmiała i postanowiła, że jednak poczęstuje się zapiekanką.

— A teraz zdejmiemy te wałki, Ivy — powiedziała pani Pommeroy.

***

Po wyjściu Cobbów Ruth siedziała z panią Pommeroy na ganku. Stała na nim duża kanapa obita tkaniną w krwistoczerwone róże. Pachniała, jakby na nią napadało albo nawet gorzej. Ruth piła piwo, a pani Pommeroy sączyła poncz. Dziewczyna opowiedziała o wizycie u matki.

— Jak się ma Ricky? — spytała pani Pommeroy.

— Ach, nie wiem. On, wie pani... Jest taki bezwładny.

— Narodziny tego dziecka były prawdziwą tragedią. Wiesz, nigdy nie widziałam tego biedactwa.

— Wiem.

— Od tego czasu nie widziałam też twojej biednej matki — powiedziała kobieta na swój charakterystyczny sposób.

Ruth stęskniła się za akcentem pani Pommeroy.

— Wiem.

— Próbowałam do niej zadzwonić. Dzwoniłam. Powiedziałam jej, żeby wracała z dzieckiem na wyspę, ale powiedziała, że jego stan jest zbyt poważny. Zmusiłam ją, żeby mi opisała, co mu dolega, i coś ci powiem — to wcale nie brzmiało tak źle.

— Ale jest źle.

— Nie odniosłam wrażenia, że nie poradzilibyśmy sobie z tym tutaj na wyspie. Czego on potrzebuje? Niewiele. Trochę leków. Nic prostszego. Jezu, pan Cobb codziennie bierze leki na cukrzycę i nie narzeka. Czego jeszcze trzeba Ricky'emu? Kogoś, kto się nim zajmie. Przecież to można załatwić. To po prostu dziecko — znalazłybyśmy dla niego dobre miejsce. Tak właśnie jej powiedziałam. Długo płakała.

— Inni mówili, że powinno się go umieścić w odpowiednim zakładzie.

— Kto mówił? Vera Ellis. Któż by inny?

— Lekarze.

— Powinna była przywieźć dziecko tutaj, do domu. Byłoby mu tu dobrze. Wciąż może go tu sprowadzić. Zajmiemy się nim równie dobrze jak każdy inny.

— Powiedziała, że była pani jej jedyną przyjaciółką. Jedyną osobą, która była tu dla niej dobra.

— To urocze. Ale nieprawdziwe. Wszyscy byli dla niej mili.

— Poza Angusem Addamsem.

— Ależ on ją uwielbiał.

— Uwielbiał? Naprawdę?

— Lubił ją tak jak innych.

Ruth wybuchnęła śmiechem. Potem zagadnęła:

— Czy poznała pani kiedyś Owneya Wishnella?

— Kto to jest? Ktoś z Courne Haven?

— Bratanek pastora Wishnella.

— Ach tak. Ten wspaniały wielki blondyn.

— Tak.

— Wiem, który to.

Ruth milczała.

— Dlaczego pytasz? — zaciekawiła się pani Pommeroy. — Dlaczego?

— Bez powodu — odparła Ruth.

Drzwi na werandę otworzyły się, kopnięte przez żonę Robina Pommeroya, Opal. Na ręku trzymała ogromnego synka i nie mogła przekręcić gałki. Na widok pani Pommeroy dziecko podniosło szalony wrzask — jak zachwycone gorylątko.

— Jest mój mały wnuczek — oznajmiła pani Pommeroy.

— Hej, Ruth — przywitała się nieśmiało Opal.

— Cześć, Opal.

— Nie wiedziałam, że tu siedzicie.

— Hej, wielkoludzie — zwróciła się Ruth do Eddiego. Opal podeszła do niej z dzieckiem i nieco chwiejnie się nachyliła, by Ruth mogła je pocałować w olbrzymią główkę. Thomasówna posunęła się, robiąc Opal miejsce na kanapie, ta zaś uniosła bluzkę i podała małemu pierś.

Eddie rzucił się na nią i zabrał do ssania, skoncentrowany i mlaskający. Pił, jakby łapał oddech.

— To nie boli? — spytała Ruth.

— Owszem — potwierdziła Opal. Ziewnęła, nie przysłaniając ręką ust i demonstrując mnóstwo srebrnych plomb.

Wszystkie trzy kobiety wpatrywały się w dziecko mocno wczepione w piers' matki.

— Ssie jak stara pompa zęzowa — stwierdziła Ruth.

— I gryzie — dodała lakonicznie Opal.

Ruth skrzywiła się.

— Kiedy go ostatnio karmiłaś? — spytała pani Pommeroy.

— Nie wiem. Godzinę temu. Może pół.

— Powinnaś się trzymać pór karmienia, Opal.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jest ciągle głodny.

— Oczywiście, kochanie. Bo wciąż go karmisz. To pobudza apetyt. Wiesz, co mówią. Mama pozwala, dziecko rozwala.

— Tak mówią? — zdziwiła się Ruth.

— Właśnie to wymyśliłam — przyznała pani Pommeroy.

— Ładnie się rymuje — podsumowała Ruth, a pani Pommeroy uśmiechnęła się do niej i dała jej kuksańca. Ruth stęskniła się za przyjemnością docinania ludziom bez obawy, że zaraz się rozpłaczą. W odpowiedzi szturchnęła panią Pommeroy.

— Mam zasadę, że karmię go, kiedy tego chce — powiedziała Opal. — Jeśli je, to znaczy, że jest głodny. Wczoraj zjadł trzy hot dogi.

— Opal! — wykrzyknęła pani Pommeroy. — On ma dopiero dziesięć miesięcy!

— Nic na to nie poradzę.

— Nic nie poradzisz? To sam je sobie wziął? — zdziwiła się Ruth.

Pani Pommeroy i Opal zaniosły się śmiechem, a dziecko nagle z głośnym cmoknięciem oderwało się od piersi. Zatoczyło głową jak pijane i też się roześmiało.

— Powiedziałam dowcip dla dzieci! — ucieszyła się Ruth.

— Eddie cię polubił — poinformowała Opal. — Lubisz Roof? Lubisz ciocię Roof, Eddie? — Posadziła chłopczyka na kolanach Thomasówny, a on krzywo się roześmiał i ulał nieco żółtawej zupy na jej spodnie. Ruth przekazała go matce.

— Ups — mruknęła Opal. Podniosła dziecko i weszła z nim do domu, by po minucie rzucić Ruth ręcznik. — Chyba czas na drzemkę — dodała i ponownie zniknęła w domu.

Ruth starła ze spodni ciepłą, spienioną kałużę.

— Dziecięce rzygowinki — powiedziała.

— Przekarmiają to dziecko — stwierdziła pani Pommeroy.

— Powiedziałabym, że sam to reguluje.

— Kiedyś dawała mu sos karmelowy z czekoladą, Ruth. Łyżką. Prosto ze słoika. Sama widziałam!

— Ta Opal jest niezbyt mądra.

— Za to ma wielkie cycki.

— Szczęściara.

— To Eddie ma szczęście. Jak można mieć takie wielkie cyce, mając tylko siedemnaście lat? W jej wieku nie miałam nawet pojęcia, co to cycki.

— Właśnie, że nie. Jezu, pani Pommeroy, wtedy była już pani mężatką.

— Racja. Nie wiedziałam, co to cycki, kiedy miałam dwanaście lat. Zobaczyłam kiedyś siostrę i spytałam ją, co to jest. Powiedziała, że dziecięce fałdki.

— Kto, Gloria?

— Nie, Kitty.

— Powinna była powiedzieć prawdę.

— Pewnie sama jej nie znała.

— Kitty? Ona przecież od urodzenia wszystko wie.

— Wyobraź sobie, co by było, gdyby mi powiedziała prawdę. Gdyby powiedziała: to cycki, Rhondo, kiedyś faceci będą chcieli je sobie possać.

— Dorośli i młodzi. I cudzy mężowie, znając Kitty.

— Dlaczego mnie pytałaś o Owneya Wishnella, Ruth?

Ruth obrzuciła panią Pommeroy szybkim spojrzeniem, po czym przeniosła wzrok na ogród.

— Bez powodu.

Pani Pommeroy długo jej się przyglądała. Przechyliła głowę. Czekała.

— To nieprawda, że była pani jedyną osobą na tej wyspie, która była dobra dla mojej matki.

— Nie, Ruth. Przecież ci mówiłam. Wszyscy ją lubiliśmy. Była cudowna. Choć trochę nadwrażliwa i czasami nie potrafiła zrozumieć, że niektórzy ludzie są, jacy są.

— Na przykład Angus Addams.

— Och, nie tylko on. Nie potrafiła zrozumieć, że piją. Powtarzałam jej: Mary, przez całe życie dziesięć godzin dziennie marzną i mokną. To naprawdę potrafi dać w kość. Muszą pić, nie ma innego wyjścia.

— Mój ojciec nigdy tyle nie pił.

— I zbyt wiele z nią nie rozmawiał. Czuła się samotna. Nie znosiła zim.

— Myślę, że w Concord też jest samotna.

— Och, jestem o tym przekonana. Chce, żebyś się do niej przeniosła?

— Tak. Chce, żebym poszła do college'u. Mówi, że tego sobie życzą Ellisowie. I że pan Ellis, rzecz jasna, za wszystko zapłaci. Vera Ellis sądzi, że jeśli tu dłużej zostanę, zajdę w ciążę. Chce, żebym się przeprowadziła do Concord i zapisała do jakiegoś małego, renomowanego college'u, którego rektora znają Ellisowie.

— Dziewczyny faktycznie zachodzą tu w ciążę, Ruth.

— Moim zdaniem dziecko Opal wystarczy dla nas wszystkich. Poza tym w dzisiejszych czasach trzeba uprawiać seks, żeby zajść w ciążę. Tak przynajmniej mówią.

— Powinnaś pojechać do matki, jeśli tego chce. Nic cię tu nie trzyma. Tutejsi ludzie tak naprawdę nie do końca do ciebie pasują.

— Coś pani powiem. Nie zamierzam robić w życiu niczego po myśli Ellisów. Taki mam plan.

— Taki masz plan?

— Na razie.

Pani Pommeroy zdjęła buty i położyła nogi na starym drewnianym więcierzu używanym na werandzie jako stolik. Westchnęła.

— Opowiedz mi jeszcze o Owneyu Wishnellu — poprosiła.

— Cóż, poznałam go — powiedziała Ruth.

— I?

— I to niezwykły człowiek.

Pani Pommeroy znów czekała, a Ruth wpatrywała się w ogród przed domem. Mewa, która przysiadła na dziecięcej ciężarówce, odwzajemniała jej spojrzenie. Pani Pommeroy też ją obserwowała.

— Co jest? — spytała Ruth. — Na co się gapicie?

— Chyba masz coś więcej do powiedzenia — stwierdziła pani Pommeroy. — Opowiedz, Ruth.

Dziewczyna rozgadała się zatem o Owneyu Wishnellu, choć początkowo nie zamierzała nikomu o nim mówić. Opowiedziała o jego czystym rybackim ubraniu i o łatwości, z jaką kierował łodzią, o wyprawie za skałę do więcierza. Wspomniała o groźnym perorowaniu pastora Wishnella na temat zła i amoralności związanych z połowem homarów i o tym, że Owney prawie się rozpłakał, gdy pokazał jej przepełniony, bezużyteczny więcierz.

— Biedne dziecko — współczuła mu pani Pommeroy.

— Nie całkiem dziecko. Chyba jest mniej więcej w moim wieku.

— Poczciwina.

— Da pani wiarę ? Zastawił więcierze na całym wybrzeżu i wyrzuca homary do morza. Powinna pani zobaczyć, jak się z nimi obchodzi. To najdziwniejsze. Jakby wprowadzał je w trans.

— Prawdziwy Wishnell, co?

— Tak.

— Jest przystojny?

— Ma dużą głowę.

— Wszyscy Wishnellowie takie mają.

— Ale on ma wyjątkowo dużą. Wygląda jak balon meteorologiczny z uszami.

— Na pewno jest przystojny. Wszyscy Wishnellowie mają też szerokie klatki piersiowe, poza Tobym. Dużo mięśni.

— Może to dziecięce fałdki.

— Muskuły — odparła pani Pommeroy i uśmiechnęła się. — To olbrzymi Szwedzi. Poza pastorem. Ach, jakże pragnęłam wyjść za Wishnella.

— Którego?

— Obojętnie. Po prostu za Wishnella. Ruth, oni tyle zarabiają. Widziałaś ich domy. Są najładniejsze. Mają najpiękniejsze ogrody. Zawsze mają jeden mały — tylko kwiatowy... Chociaż gdy byłam młoda, chyba nigdy nie rozmawiałam z żadnym Wishnellem. Uwierzysz? Czasami widywałam ich w Rockland. Byli tacy przystojni.

— Powinna pani wyjść za Wishnella.

— Jak, Ruth? Przyznajmy: zwykłe dziewczyny nie wychodzą za Wishnellów. Poza tym rodzina by mnie zabiła, gdybym została żoną kogoś z Courne Haven. No i nigdy nie spotkałam Wishnella. Nie potrafiłabym powiedzieć, za którego chciałam wyjść.

— Mogła pani wybierać — powiedziała Ruth. — Taka seksowna babka?

— Kochałam mojego Irę — wyznała pani Pommeroy. Lecz pogłaskała Ruth po ręce w podziękowaniu za komplement.

— Pewnie, że tak, ale to przecież był pani kuzyn.

Pani Pommeroy westchnęła.

— Wiem, ale dobrze nam było ze sobą. Wiesz, zabierał mnie do morskich pieczar na Boon Rock. Ze stalaktytami, czy jak tam je zwali, co zwisają z góry. Boże, jakie to było piękne.

— Był pani kuzynem! Kuzynostwo nie powinno się pobierać! Ma pani szczęście, że dzieci nie urodziły się z płetwami grzbietowymi!

— Jesteś okropna, Ruth! Straszna! — Mimo to pani Pommeroy się śmiała.

— Nie uwierzy pani, jak ten Owney boi się pastora Wishnella.

— Nic mnie nie zdziwi, Ruth. Podoba ci się ten Owney?

— Podoba? Sama nie wiem. Nie. Pewnie. Nie wiem. Myślę, że jest... interesujący.

— Nigdy nie mówisz o chłopakach.

— Nigdy ich nie spotykam.

— Jest przystojny? — spytała znów pani Pommeroy.

— Mówiłam. Jest wielki. Ma jasne włosy.

— Czy ma bardzo niebieskie oczy?

— To zabrzmiało jak tytuł miłosnej piosenki.

— Ma czy nie? — Pani Pommeroy zdawała się nieco poirytowana.

— Tak. Są bardzo niebieskie, pani Pommeroy — odpowiedziała Ruth zmienionym tonem.

— Powiedzieć ci coś zabawnego, Ruthie? Zawsze po cichu marzyłam, że wyjdziesz za jednego z moich chłopców.

— Och, nie, pani Pommeroy.

— Wiem. Wiem.

— Ja tylko...

— Wiem, Ruth. Wystarczy na nich spojrzeć. Co za gromadka! Nie mogłabyś skończyć z żadnym z nich. Fagan jest rolnikiem. Wyobrażasz to sobie? Taka dziewczyna jak ty nie wytrzymałaby na farmie ziemniaczanej. John? Kto wie, co się z nim dzieje? Gdzie się podziewa? Nawet tego nie wiemy. W Europie? Ledwo go sobie przypominam. Upłynęło już tyle czasu, że prawie nie pamiętam jego twarzy. Czy to nie straszne słyszeć coś takiego z ust matki?

— Ja też prawie go nie pamiętam.

— Ty nie jesteś jego matką, Ruth. A Conway? Nie wiem, dlaczego jest taki brutalny. A teraz jeszcze kuleje. Nigdy nie wyszłabyś za kogoś takiego.

— Żadnych kuternogów!

— A Chester? O rany.

— Rany.

— Mys'li, że umie przepowiadać przyszłos'ć? Wałęsa się z tymi hipisami?

— Sprzedaje trawkę.

— Trawkę? — powtórzyła zdziwiona pani Pommeroy.

— Żartowałam — skłamała Ruth.

— Pewnie sprzedaje — westchnęła pani Pommeroy. — A Robin? Cóż, muszę przyznać, że nigdy nie oczekiwałam, że poślubisz Robina. Nawet gdy byliście dziećmi. Nigdy nie miałaś o nim zbyt wysokiego mniemania.

— Pewnie pani myślała, że nigdy nie będzie w stanie poprosić mnie o rękę. Że nie będzie mógł tego wymówić. Powiedziałby: czy mogę płosić o twoją łękę? Wszyscy byliby zakłopotani.

Pani Pommeroy pokręciła głową i szybko otarła oczy. Ruth to zauważyła i przestała się śmiać.

— A Webster? — spytała. — Zostaje Webster.

— Właśnie, Ruth — przyznała pani Pommeroy smutnym głosem. — Zawsze myślałam, że za niego wyjdziesz.

— Och, pani Pommeroy. — Ruth przesunęła się na kanapie i objęła przyjaciółkę ramieniem.

— Co się stało z Websterem, Ruth?

— Nie wiem.

— Był najbystrzejszy. Był moim najmądrzejszym synem.

— Wiem.

— Po śmierci ojca...

— Wiem.

— Nawet już nie urósł.

— Wiem. Wiem.

— Jest taki nieśmiały. Jak dziecko. — Pani Pommeroy wierzchem dłoni otarła łzy z policzków szybkim, płyn—

nym ruchem. — Obie — twoja mama i ja — mamy chyba synów, którzy nam nie wyrośli — dodała. — Kurczę. Ale ze mnie mazgaj. A co powiesz na to? — Wytarła nos w rękaw i uśmiechnęła się do Ruth. Przez chwilę zetknęły się czołami. Ruth objęła ręką głowę pani Pommeroy, która zamknęła oczy. Potem kobieta się odsunęła i powiedziała: — Myślę, że moim synom coś odebrano, Ruthie.

— Tak.

— Bardzo wiele. Ojca. Spadek. Łódź. Łowisko. Sprzęt rybacki.

— Wiem — przyznała Ruth i poczuła przypływ poczucia winy, które nękało ją od lat, gdy myślała o ojcu zastawiającym więcierze pana Pommeroya.

— Szkoda, że nie urodziłam dla ciebie jeszcze jednego syna.

— Co? Dla mnie?

— Żebyś za niego wyszła. Chciałabym mieć jeszcze jednego syna. Normalnego. Dobrego.

— Pani Pommeroy, proszę dać spokój. Ma pani samych dobrych synów.

— Kochana jesteś, Ruth.

— Oprócz Chestera, rzecz jasna. Z niego nic dobrego nie wyrosło.

— Wszyscy są na swój sposób wystarczająco dobrzy. Ale nie dla takiej bystrej dziewczyny jak ty. Założę się, że gdybym miała jeszcze jedną okazję, mogłabym to naprawić. — Oczy pani Pommeroy znów zaszły łzami. — I co ja mówię, kobieta z siódemką dzieci.

— Wszystko w porządku.

— Poza tym nie mogę się spodziewać, że poczekasz, aż dziecko dorośnie, prawda? Posłuchaj.

— Słucham.

— Mówię jak wariatka.

— Troszkę — przyznała Ruth.

— Chyba nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli.

— Nie zawsze. Myślę, że czasami musi się samo ułożyć.

— Pewnie tak. Nie uważasz, że powinnaś się przeprowadzić do matki, Ruth?

— Nie.

— Nic cię tu nie czeka.

— To nieprawda.

— Prawda jest taka, że bardzo bym chciała mieć cię przy sobie, ale to nie byłoby fair. Nie masz tu przyszłości. Siedzisz jak w więzieniu. We własnym małym San Quentin. Zawsze myślałam: „Ruth wyjdzie za Webstera" i „Webster odzyska kiedyś łódź ojca". Sądziłam, że wszystko mam już ustalone. Ale łodzi nie ma.

I prawie nie ma Webstera — dodała w myślach Ruth.

— Nigdy się nie zastanawiałaś nad przeprowadzką tam. — Pani Pommeroy wyciągnęła rękę i wskazała kierunek. Wyraźnie miał to być zachód — wybrzeże i kraj, który leżał w oddali, jednak strony świata zupełnie jej się pomyliły. Wskazywała na otwarte morze. Ruth zdawała sobie jednak sprawę z intencji tego gestu. Pani Pommeroy słynęła z kiepskiej orientacji w terenie.

— Nie muszę wychodzić za pani syna, by tu z panią zostać, przecież pani o tym wie — powiedziała.

— Och, Ruth.

— Chciałabym, by nie mówiła mi pani, że powinnam wyjechać. Nasłuchałam się już dosyć od mamy i Lanforda Ellisa. Pochodzę z tej wyspy jak każdy inny. Proszę zapomnieć o mojej matce.

— Och, Ruth. Nie mów tak.

— Dobrze. Nie chodzi mi o to, żeby o niej zapominać. Ale nieważne, gdzie i z kim mieszka. Dla mnie to nie ma znaczenia. Zostanę tu z panią. Pojadę tam, dokąd pani — Ruth uśmiechała się przy tym i trącała panią Pommeroy, tak jak miała to w zwyczaju ona sama. Dawała jej małe, żartobliwe kuksańce — wyraz czułości.

— Ale ja się nigdzie nie wybieram — powiedziała pani Pommeroy.

— W porządku. Ja też nie. Zatem postanowione. Nie ruszam się stąd. Tu właśnie zostanę. Żadnych więcej wypadów do Concord. Ani gadania o college'u.

— Nie można składać takich obietnic.

— Mogę robić, co zechcę. Mogę nawet złożyć poważniejsze przyrzeczenia.

— Lanford Ellis chybaby cię zabił, gdyby to usłyszał.

— Do diabła z tym. Do diabła z nimi wszystkimi. Od tej pory postępuję dokładnie odwrotnie, niż mówi Lanford Ellis. Pieprzyć Ellisów. Jeszcze się pani przekona! Cały świat się przekona! Uwaga, kochana!

— Tylko dlaczego chcesz przeżyć życie na tej zasranej wyspie? Nie jesteś tutejsza, Ruth.

— Pewnie, że jestem. Pani i ja. Jeśli pani jest, znaczy, że ja również.

— Posłuchaj lepiej, co mówisz!

— Czuję, że mam dzisiaj siłę. Mogę składać wielkie obietnice.

— No chyba!

— Pani nie sądzi, że mówię poważnie.

— Myślę, że mówisz najwspanialsze rzeczy. I że koniec końców zrobisz, co zechcesz.

Przesiedziały jeszcze na werandzie jakąś godzinę. Opal wychodziła do nich kilka razy z Eddiem na ręku, znudzona

i niepewna, co ze sobą począć. Pani Pommeroy i Ruth na zmianę brały chłopca na kolana i starały się go pobujać bez uszczerbku na własnym zdrowiu. Ostatnim razem Opal nie wróciła do domu, lecz skierowała się do portu („do sklepu w dole ulicy", jak to określiła). Sandały odbijały się jej od stóp, a duże dziecko cmokało, ciężko siedząc na jej prawym biodrze. Pani Pommeroy i Ruth patrzyły w ślad za matką z chłopczykiem.

— Jak sądzisz, Ruth, staro wyglądam?

— "Wygląda pani wspaniale. Na zawsze pozostanie pani najpiękniejszą kobietą na wyspie.

— Spójrz lepiej na to — powiedziała pani Pommeroy, unosząc podbródek. — Wszystko mi tu obwisło.

— Nieprawda.

— Owszem, Ruth — upierała się pani Pommeroy, pociągając za wiotką skórę pod brodą. — Czy to nie okropne, że to tak wisi? Wyglądam jak pelikan.

— Nie wygląda pani jak pelikan.

— Wyglądam. Mogłabym tu zmieścić całego łososia jak stary wyskubany pelikan.

— Wygląda pani na bardzo młodego pelikana.

— Och, dziękuję, Ruth. Od razu mi lepiej. — Pani Pommeroy wyciągnęła szyję i spytała: — O czym myślałaś, gdy byłaś sam na sam z Owneyem Wishnellem?

— Nie wiem.

— Pewnie, że wiesz. Powiedz.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Hmmm — mruknęła pani Pommeroy. — Ciekawe. — Przyszczypnęła skórę pod ramieniem. — Spójrz, jaka jestem sucha i obwisła. Gdybym mogła coś zmienić, spróbowałabym odzyskać dawną skórę. W twoim wieku miałam piękną skórę.

— W moim wieku każdy ma.

— Co byś zmieniła w swoim wyglądzie, gdybyś miała taką możliwość, Ruth?

Dziewczyna bez wahania odpowiedziała:

— Chciałabym być wyższa. I mieć mniejsze sutki. I umieć śpiewać.

Pani Pommeroy wybuchnęła śmiechem.

— Kto ci powiedział, że masz za duże sutki?

— Nikt. Pani Pommeroy, proszę dać mi spokój. Nikt poza mną jeszcze ich nie widział.

— A pokazałaś je Owneyowi Wishnellowi?

— Nie — odparła Ruth. — Ale mam na to ochotę.

— W takim razie powinnaś.

Ta krótka wymiana zdań nastąpiła niespodziewanie. Zszokowały się nawzajem. Jeszcze długo o tym rozmyślały. Twarz Ruth płonęła. Pani Pommeroy milczała. Zdawała się bardzo dokładnie rozważać odpowiedź Ruth.

— OK — stwierdziła w końcu. — Chyba go pragniesz.

— Sama nie wiem. Jest dziwny. Prawie się nie odzywa...

— Nie, ty go pragniesz. Właśnie jego. Znam się na tym, Ruth. Będziemy więc musiały go dla ciebie zdobyć. Coś wymyślimy.

— Nie trzeba nic wymyślać.

— Zrobimy to, Ruth. Dobrze. Cieszę się, że kogoś pragniesz. W twoim wieku to zupełnie normalne.

— Nie jestem jeszcze gotowa na takie głupoty.

— Więc lepiej się szykuj.

Ruth nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pani Pommeroy zarzuciła nogi na kanapę i położyła bose stopy na kolanach dziewczyny.

— Kładę stopy — powiedziała, a w jej głosie zabrzmiał głęboki smutek.

— Proszę bardzo — odparła Ruth i nagle bardzo wyraźnie poczuła, jak niezręczne było jej wyznanie. Gnębiło ją poczucie winy za wszystko, co powiedziała: za nieskrywany pociąg do Wishnella, za opuszczenie matki, za dziwaczną obietnicę pozostania na Fort Niles oraz za stwierdzenie, że nigdy w życiu nie wyjdzie za żadnego z synów pani Pommeroy. Boże, ale przecież to była prawda! Pani Pommeroy mogłaby rodzić co roku, ale Ruth nigdy nie poślubi jej syna. Biedna pani Pommeroy!

— Kocham panią, wie pani — wyznała Ruth. — Jest pani moją ulubienicą.

— Kładę stopy, Ruth — szepnęła zamiast odpowiedzi pani Pommeroy.

Później, tego samego popołudnia, Ruth powędrowała do domu Addamsów, by się przekonać, co zamierza Senator. Nie miała jeszcze ochoty wracać do siebie. Nie chciała rozmawiać z ojcem, gdy było jej smutno, więc pomyślała, że pogada sobie z Senatorem. Może pokaże jej stare fotografie rozbitków i jakoś ją rozweseli. Niemniej, gdy dotarła do domu Addamsów, zastała jedynie Angusa. Mocował kawałek rury i był w okropnym nastroju. Powiedział jej, że Senator znów poszedł na Plażę Pottera z tym przeklętym chuderlawym przygłupem Websterem Pommeroyem. Szukają cholernego słoniowego ciosu.

— Nie — poprawiła go Ruth. — Już go znaleźli.

— Na miłość boską, Ruthie, szukają drugiego — powiedział to takim tonem, jakby był na nią o coś wściekły.

— Jezu — obruszyła się. — Przepraszam.

Gdy dotarła do plaży, ujrzała Senatora przemierzającego kamienisty brzeg z nieszczęśliwą miną, z Cookie przy nodze.

— Nie wiem, co począć z Websterem, Ruth — wyznał. — Nie mogę go od tego odwieść.

Webster był daleko na mulistej płyciźnie. Niezręcznie się przez nią przedzierał i wyglądał na spanikowanego. Ruth mogłaby go nie rozpoznać. Przypominał brnące przez mieliznę dziecko, głupiego dzieciaka, który wpadł w tarapaty.

— Nie chce przerwać poszukiwań — oznajmił Senator. — To trwa już cały tydzień. Dwa dni temu lało jak z cebra, a on nie wychodził. Obawiam się, że może sobie zrobić krzywdę. Wczoraj podczas kopania przeciął sobie rękę cynową puszką. Nie była nawet stara. Rozpłatał sobie kciuk. Nie pozwala mi go obejrzeć.

— Co by się stało, gdyby pan odszedł?

— Nie zostawiam go tam samego, Ruth. Spędziłby tu całą noc. Mówi, że chce odnaleźć drugi cios w zamian za ten, który zabrał pan Ellis.

— W takim razie, Senatorze, proszę wrócić do Domu Ellisów i zażądać zwrotu ciosu. Proszę powiedzieć tym gnojom, że go pan potrzebuje.

— Nie mogę tego zrobić, Ruth. Może pan Ellis zatrzymał ten cios, by zastanowić się nad muzeum. Może dał go oszacować.

— Pan Ellis pewnie wcale go nie widział. Skąd pan wie, że nie wziął go Cal Cooley?

Przez chwilę patrzyli na gramolącego się w błocie Webstera.

— Może ty mogłabyś tam pójść i o niego zapytać — poprosił cicho Senator.

— Nie ma mowy — odparła Ruth. — Moja noga nigdy więcej tam nie postanie.

— Dlaczego tu dziś przyszłaś, Ruth? — spytał Senator po długim, ciężkim milczeniu. — Potrzebujesz czegoś?

— Nie, chciałam się tylko przywitać.

— Zatem witaj, Ruthie. — Nie patrzył na nią. Z wielkim przejęciem obserwował "Webstera.

— Dzień dobry — odpowiedziała dziewczyna. — Przyszłam nie w porę, prawda?

— Och, nie, wszystko w porządku. Jak tam twoja matka? Jak przebiegła podróż do Concord?

— Zdaje się, że ma się dobrze.

— Przekazałaś jej moje pozdrowienia?

— Chyba tak. Jeśli naprawdę chce jej pan zrobić przyjemność, proszę do niej napisać.

— To dobry pomysł, dobry pomysł. Czy wciąż jest taka ładna?

— Nie wiem, jaka kiedyś była, ale wygląda nieźle. Chociaż myślę, że jest tam samotna. Ellisowie ciągle jej powtarzają, że mam jechać do college'u. Zapłacą mi za to.

— Pan Ellis tak powiedział?

— Nie mnie. Ale mówiła mi o tym matka i panna Vera, a nawet Cal Cooley, więc to wkrótce nastąpi. Założę się, że niedługo pan Ellis obwieści to wszem i wobec.

— Ta propozycja brzmi całkiem atrakcyjnie.

— Byłaby wspaniała, gdyby pochodziła od kogoś innego.

— Uparciuch, co za uparciuch.

Senator przemierzał plażę, Ruth podążała za nim, a za nią Cookie. Senator był bardzo rozproszony.

— Przeszkadzam panu? — spytała dziewczyna.

— Nie — odpowiedział. — Nie, nie. Ale możesz tu postać i popatrzeć.

— Proszę się nie przejmować. Nic się przecież nie sta—

ło — powiedziała, ale nie mogła znieść widoku Webstera szamoczącego się gorączkowo w mule. Nie miała też ochoty chodzić po plaży za Senatorem, który tylko załamywał ręce. — I tak miałam pójść do domu.

Poszła zatem. Miała pustkę w głowie i nie chciała już z nikim rozmawiać. Na Fort Niles nie było nic, czym pragnęłaby się zająć. Równie dobrze może sprawdzić, czy ojciec już wrócił — postanowiła. Może też przygotować kolację.

9

Wrzucone do wody grzbietem czy głową do przodu zwierzę, jeśli nie jest wyczerpane, natychmiast zmienia pozycję i dzięki jednemu lub dwóm energicznym ruchom ogona zsuwa się ukośnie ku dnu, jakby ześlizgiwało się po pochyłej płaszczyźnie.

The American Lobster: A Study of Its Habits and Development
dr Francis Hobart Herrick
1895

Druga wojna homarowa pomiędzy Courne Haven a Fort Niles toczyła się w latach 1928—1930. Była tak żałosna, że nie warto o niej opowiadać.

Trzecia z kolei była paskudnym, krótkotrwałym, czteromiesięcznym konfliktem, który wybuchł w 1946 roku i wywarł większy wpływ na życie niektórych wyspiarzy niż zbombardowanie Pearl Harbor. Uniemożliwiła ona pracę mieszkańcom wysp w roku, w którym odnotowano największy dotychczasowy połów homarów w Maine — sześć tysięcy licencjonowanych rybaków wyłowiło bowiem rekordowe dziewiętnaście milionów funtów homarów. Ta zdobycz przeszła jednak koło nosa mężczyznom z Fort

Niles i Courne Haven, ponieważ zbyt pochłonęła ich wałka.

Czwarta wojna homarowa pomiędzy wyspami rozgorzała w połowie lat pięćdziesiątych. Jej przyczyna wciąż pozostaje niejasna. Nie było jakiejś szczególnej zmowy czy zatargu, który stałby się punktem zapalnym. Jak więc do niej doszło? Przez przepychanki. Niespieszne, zwyczajne, codzienne przepychanki.

Zgodnie z prawem Maine, każdy obywatel posiadający licencję na połów homarów może umieszczać więcierze w dowolnym miejscu na wodach stanowych. Tak stanowią przepisy. Rzeczywistość przedstawia się inaczej. Niektóre rodziny wykorzystują pewne łowiska, ponieważ robiły to od wieków, niektóre terytoria należą do pewnych wysp, ponieważ zawsze tak było, a niektóre drogi wodne są tradycyjnie kontrolowane przez pewnych ludzi. Ocean, mimo iż nie istnieją żadne ogrodzenia ani akty prawne, podlega jednak zwyczajowym rozgraniczeniom — lepiej, by nowicjusze zwrócili na nie baczną uwagę.

Te podziały — choć niewidoczne — funkcjonują, lecz są nieustannie wystawiane na próbę. W naturze ludzkiej leży chęć poszerzania własnego terytorium, a poławiacze homarów nie stanowią tu wyjątku. Rozpychają się. Wiedzą, co im ujdzie na sucho. Naruszają i taranują granice, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja, dążąc do poszerzenia swoich włości — o stopę tu, o stopę tam.

Możliwe, że pan Cobb zawsze umieszczał swoje więcierze u ujścia pewnej zatoczki. Co by się jednak stało, gdyby pewnego dnia postanowił przesunąć je o kilkadziesiąt stóp, sięgając miejsca, gdzie zawsze łowił pan Thomas? Przecież kilkadziesiąt stóp nie robi wielkiej różnicy. Może nikt tego nawet nie zauważy. Pan Thomas nie jest już tak skrupu—

latny jak niegdyś — myśli pan Cobb. Może chorował, ma za sobą ciężki rok lub stracił żonę, więc przestał być taki uważny jak przedtem. Może — przypadkiem — nie dostrzeże przesunięcia granicy łowisk.

Możliwe. Pan Thomas może się nie zorientować, co zaszło. Może mu też z rozmaitych przyczyn nie zależeć na konflikcie z panem Cobbem. Albo przeciwnie — weźmie sobie sprawę do serca. Może bardzo się rozgniewa. I da wyraz swojemu niezadowoleniu. Może gdy w następnym tygodniu pan Cobb wypłynie wyciągnąć więcierze, przekona się, że pan Thomas zawiązał półsztyki na środku każdej z lin — jako znak ostrzegawczy. Być może obaj panowie są sąsiadami, których nigdy dotąd nie dzielił żaden spór. Może ich żony są siostrami. Może sami są bliskimi przyjaciółmi. Tymi niewinnymi węzłami pan Thomas komunikuje: „Widzę, przyjacielu, co się święci, więc proszę, wycofaj się z mojego łowiska, pókim dobry".

Możliwe, że pan Cobb faktycznie go posłucha i sprawa ucichnie. Albo też nie. Któż to wie, czym może się kierować? Może pana Cobba drażni sam fakt, że pan Thomas rości sobie prawo do tak dużego kawałka oceanu, choć wcale nie jest świetnym rybakiem. Może rozgniewała go plotka, że pan Thomas zatrzymuje niedozwolone małe homary. Może syn pana Thomasa zbyt często rzucał lubieżne spojrzenia na urodziwą trzynastoletnią córkę pana Cobba. A może jego dziadek przed laty wysunął jakieś roszczenia do tej właśnie zatoczki i pan Cobb odbiera teraz to, do czego według niego rodzina jest uprawniona.

W następnym tygodniu ponownie umieszcza więc więcierze na łowisku pana Thomasa, z tym że teraz nie uznaje go już za jego własność, lecz za ocean dostępny dla wszystkich, a co za tym idzie — za własne terytorium

jako obywatela amerykańskiego. Prawdę mówiąc, jest przy tym trochę wkurzony na tego chciwego drania Thomasa, który zawiązuje człowiekowi na linach jakieś węzły, gdy ten — na miłość boską — stara się tylko zarobić na cholerne życie. Co to wszystko ma, u licha, znaczyć? Jeśli pan Thomas ma jakiś problem, dlaczego nie powie po ludzku, o co mu chodzi? W tym momencie panu Cobbowi jest już obojętne, czy pan Thomas odetnie mu więcierze. Niech sobie tnie! Do diabła z tym! Niech tylko spróbuje. Pan Cobb da wtedy draniowi popalić.

Gdy zaś pan Thomas ponownie zastaje boje sąsiada na swoim łowisku, musi podjąć decyzję. Odciąć więcierze? Pan Thomas zastanawia się, jak poważnym przeciwnikiem jest pan Cobb. Kim są jego przyjaciele i sprzymierzeńcy? Czy sam może sobie pozwolić na utratę więcierzy, jeżeli Cobb weźmie w ten sposób odwet? Czy ta część łowiska jest w ogóle tego warta? Opłaca się o nią walczyć? Czy kiedykolwiek któryś z Cobbów miał do niej prawo? Czy Cobb jest nikczemnikiem, czy tylko ignorantem?

Istnieje tyle przyczyn, dla których człowiek może rozmieścić więcierze na cudzym terytorium. Czy nie przygnał ich tam przypadkiem sztorm? Czy Cobb nie jest w gorącej wodzie kąpanym młokosem? Czy powinno się reagować na każdy afront? Czy trzeba się mieć ciągle na baczności przed własnymi sąsiadami? Z drugiej strony, na miłość boską, nie należy chyba siedzieć cicho i dać sobie w kaszę dmuchać? Czy powinno się pozwolić na utratę środków do życia? A jeśli Cobb postanowi przejąć całe łowisko? Jeśli zepchnie Thomasa na cudzy teren i wpędzi go w jeszcze większe kłopoty? Czy człowiek powinien co dzień główkować, jak ma w takiej sprawie postąpić?

W rzeczy samej.

Jako poławiacz homarów musi codziennie podejmować takie decyzje. Tak to już jest w tej robocie. Z biegiem lat wypracowuje sobie zasady postępowania oraz reputację. Jeśli zarabia połowem na życie, na utrzymanie rodziny, nie może sobie pozwolić na bierność i z czasem zyskuje sławę intruza lub odcinacza więcierzy. Trudno tego uniknąć. Musi walczyć o poszerzenie łowiska, spychając dalej czyjeś więcierze, lub bronić swego terytorium, odcinając je każdemu, kto się na nie wepchnie.

Zarówno „intruz", jak i „odcinacz" są obraźliwymi wyzwiskami. Nikt sobie nie życzy, by go tak nazywano. Niemniej prawie każdy poławiacz homarów zasługuje na jedno z tych określeń, jeśli nie na oba. Intruzi są na ogół młodzi, a odcinacze starsi. Pierwsi dysponują kilkoma więcierzami, drudzy zaś — sporą ich liczbą. Intruzi mają niewiele do stracenia, a odcinacze muszą bronić wszystkiego, co posiadają. Między obiema grupami panuje ciągłe napięcie, nawet w ramach jednej wspólnoty czy rodziny.

Na Fort Niles najsłynniejszym odcinaczem był Angus Addams. Odcinał więcierze każdemu, kto zbliżył się do jego łowiska, i się tym przechwalał. O swoich kuzynach i sąsiadach mawiał:

— Pięćdziesiąt lat robią mi koło pióra, a ja odcinam każdemu draniowi, bez wyjątku.

Angus robił to na ogół bez ostrzeżenia. Nie tracił czasu na kurtuazyjne węzły ostrzegawcze wiązane na linach rybaków, którzy przez niewiedzę lub przypadek naruszyli granice jego włości. Nie obchodziło go, kto popełnił ten błąd i czym się kierował. Addams odcinał więcierze z niezmienną wściekłością i konsekwencją, przeklinając przy tym i złorzecząc na ludzi, którzy próbowali odebrać mu to, do czego miał święte prawo. Był świetnym rybakiem.

Zdawał sobie sprawę, że wciąż obserwują go gorsi, gotowi nadgryźć jego kawałek chleba. Na miłos'ć boską, przecież im na to nie pozwoli.

Angus odciął nawet kiedyś więcierze ojca Ruth, Staną Thomasa, swojego najlepszego przyjaciela. Stan nie był włas'ciwie intruzem, lecz pewnego dnia zastawił więcierze za Jatty Rock, gdzie zawsze królowały jedynie boje Addamsa, w żółto—zielone pasy. Stan zauważył jednak, że od miesięcy się tam nie pojawiały, więc postanowił zaryzykować. Nie sądził, że Angus się zorientuje. Mylił się jednak. Angus odciął przyjacielowi wszystkie naruszające jego terytorium więcierze, co do jednego, powyciągał czerwono—niebieskie boje Thomasa, związał je kawałkiem liny i na tym zakończył dzień pracy — był tak cholernie wściekły. Popłynął szukać Staną. Zajrzał do każdej zatoczki i okrążył każdą wysepkę na kanale Worthy, aż wreszcie ujrzał *Miss Ruthie* otoczoną zwabionymi przynętą mewami. Angus przyśpieszył. Stan przerwał pracę i patrzał na zbliżającego się przyjaciela.

— Coś się stało, Angusie? — spytał.

— Jeszcze raz się do mnie wepchniesz — ostrzegł Ad— dams — to zamiast więcierzy podetnę ci cholerne gardło.

Angus zawsze się tak odgrażał. Thomas słyszał to już z dziesięć razy. Czasami groźba skierowana była wprost do złoczyńcy, a niekiedy rozbrzmiewała w trakcie triumfującej opowieści Addamsa przy kartach i piwie. Nigdy przedtem jednak Angus nie adresował jej do Staną. Mężczyźni, najlepsi przyjaciele, mierzyli się teraz wzrokiem. Stali na kołyszących się łodziach.

— Jesteś mi winny za tuzin więcierzy — odezwał się Stan. — Były całkiem nowe. Mógłbym ci kazać zrobić je samemu, ale zadowolę się twoimi starymi i zapomnimy o sprawie.

— Możesz mi naskoczyć.

— Przez całą wiosnę nic tam nie postawiłeś — powiedział Thomas.

— Myślisz, kurwa, że możesz ze mną pogrywać, bo cholernie dużo razem przeżyliśmy, co?

Kark Angusa oblał się fioletem wściekłości, lecz Stan nie okazywał gniewu.

— Gdybym miał do czynienia z kimś innym — powiedział — za taki ton od razu dałbym mu po mordzie.

— Nie potrzebuję wyjątkowego traktowania.

— Racja, ty obszedłeś się ze mną bez specjalnych ceregieli.

— Zgadza się. I to się nie zmieni, więc lepiej nie wciskaj mi w dupę swoich cholernych więcierzy.

Odpłynął, pokazując Stanowi środkowy palec. Mężczyźni nie rozmawiali ze sobą niemal osiem miesięcy. Przy czym rzecz dotyczyła bliskich przyjaciół, którzy kilka razy w tygodniu zasiadali do wspólnego obiadu, sąsiadów, mistrza i ucznia. Wydarzyło się to między ludźmi, którzy nie podejrzewali się o nieustanną chęć szkodzenia sobie nawzajem, jak myślą o sobie mieszkańcy Fort Niles i Courne Haven. I przeważnie słusznie.

Ryzykowna sprawa. Takie właśnie naruszanie granic i odcinanie więcierzy doprowadziło pod koniec lat pięćdziesiątych do czwartej wojny homarowej. Kto ją rozpoczął? Trudno powiedzieć. Już od jakiegoś czasu panowała atmosfera wrogości. Mężczyźni, którzy przyjechali z wojny w Korei, chcieli wrócić do pracy, lecz okazało się, że inni zdążyli już rozdrapać ich łowiska. Wiosną 1957 roku kilku młodych ludzi osiągnęło też pełnoletność, kupiło łodzie i próbowało odnaleźć swoje miejsce na oceanie. W poprzednim roku połowy były obfite, więc innym rybakom

starczyło też pieniędzy na zakup nowych więcierzy oraz większych łodzi z lepszymi silnikami. Wywierali więc na siebie nacisk.

Obie strony odcinały więcierze i obie naruszały granice łowisk. Obrzucano się z łodzi wyzwiskami. W ciągu następnych kilku miesięcy narastały wzajemne pretensje. Angus Addams miał już powyżej uszu odcinania więcierzy rybaków z Courne Haven, przyjął więc wobec wroga nieco bardziej pomysłową taktykę. Brał na pokład śmieci, którymi wypełniał cudze więcierze znalezione na swoim łowisku. Kiedyś zapchał jeden starą poduszką, co pozbawiło jego właściciela homarów. Innym razem poświęcił całe popołudnie na wbijanie w więcierz gwoździ, tak że wyglądał on na kolczaste narzędzie tortur. Inny pomysł Angusa polegał na wypełnieniu cudzego więcierza kamieniami i wrzuceniu go z powrotem do morza. Sztuczka ta kosztowała go wiele zachodu. Musiał załadować kamienie na pokład, przewożąc je w workach taczką, co pochłaniało sporo czasu. Angus uważał jednak, że dobrze go wykorzystał. Lubił wyobrażać sobie drania z Courne Haven, jak się napina, usiłując wyciągnąć więcierz, by w końcu odkryć w nim stos kamieni.

Takie zabawy sprawiały Angusowi wielką frajdę do momentu, gdy wyciągając własny więcierz, ujrzał w nim lalkę z piersią przebitą zardzewiałymi nożycami. Był to brutalny znak ostrzegawczy. Na ten widok sternik Addamsa zadrżał jak osika. Lalka przestraszyła nawet samego Angusa. Jej mokre blond włosy oblepiły spękaną porcelanową twarz. Sztywne wargi układały się w przerażone „O". Z sukienki zwisał krab, który przypadkiem znalazł się w więcierzu.

— Co to ma, kurwa, znaczyć?! — wrzasnął Angus. Wydobył zadźganą lalkę z więcierza i wyszarpnął z niej nożyce. — Co to ma, kurwa, być? Jakaś pieprzona groźba?

Przywiózł lalkę na Fort Niles i machał nią ludziom przed oczami, strasznie ich niepokojąc. Mieszkańcy wyspy zazwyczaj z lekceważeniem odnosili się do napadów wściekłości Angusa, tym razem jednak uważnie go słuchali. Okrucieństwo, z jakim posłużono się przebitą nożycami lalką, wszystkich rozgniewało. Lalka? Co to miało, u licha, znaczyć? Śmieci i gwoździe to jedno, ale zamordowana lalka? Jeśli ktoś z Courne Haven żywił do Angusa urazę, dlaczego mu o tym wprost nie powiedział? I czyja to lalka? Pewnie nieszczęsnej córki jakiegoś rybaka. Co za człowiek dźga lalkę córeczki tylko po to, żeby coś dosadnie zakomunikować? O co mu w ogóle chodzi?

Ci z Courne Haven to nie ludzie, to zwierzęta.

Rankiem wielu poławiaczy homarów z Fort Niles zebrało się na nabrzeżu znacznie wcześniej niż zazwyczaj. Do wschodu słońca pozostała przeszło godzina. Było jeszcze ciemno. Na niebie wciąż jaśniały gwiazdy, a przyćmiony księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Niewielką flotyllą mężczyźni wyruszyli w kierunku Courne Haven. Za łodziami unosiły się śmierdzące kłęby spalin. Nie mieli sprecyzowanych zamiarów, lecz z determinacją parli w kierunku wrogiej wyspy i zatrzymali się tuż przy wyjściu z portu. Było ich dwunastu, więc łodzie stworzyły niewielką blokadę. Milczeli. Kilku zapaliło papierosy.

Po upływie mniej więcej półgodziny dostrzegli ruch na nabrzeżu. Nadchodzili rybacy z Courne Haven, by rozpocząć kolejny dzień pracy. Szybko zauważyli rząd łodzi z Fort Niles. Zbili się w gromadkę i czekali, co nastąpi. Niektórzy popijali przy tym kawę z termosów, z których wydobywały się smużki pary. W miarę pojawiania się kolejnych rybaków grupka się powiększała i zaczęła się naradzać.

Niektórzy wskazywali palcami. Inni palili. Po pięt—

nastu minutach stało się jasne, że nie mają pojęcia, co począć z nieoczekiwaną blokadą. Nikt nie skierował się ku łodzi. Kręcili się tylko po nabrzeżu i wciąż dyskutowali. Do rybaków z Fort Niles docierały jedynie urywki tych rozmów, które niosły się nad wodą. Niekiedy wyraźnie słyszeli kaszel czy s'miech. Te wybuchy wesołości dobijały Angusa Addamsa.

— Pieprzone cykory — wyzywał, lecz tylko nieliczni towarzysze rozumieli jego mamrotanie.

— O co chodzi? — spytał go kuzyn Barney z sąsiedniej łodzi.

— Co w tym takiego śmiesznego? — dziwił się Angus. — Ja im pokażę chichoty.

— Chyba nie z nas się śmieją — uspokoił go Barney. — Tylko tak po prostu.

— Ja im pokażę.

Angus stanął u steru i włączył silnik, wprowadzając łódź do samego portu na Courne Haven. Przemknął pośród łodzi, pozostawiając na wodzie wyraźny ślad, po czym zwolnił u nabrzeża. Akurat był odpływ, więc jego łódź stała znacznie niżej niż gromadka rybaków z Courne Haven. Miejscowi podeszli na skraj nabrzeża, by przyjrzeć się samotnemu Angusowi. Do Addamsa nie przyłączył się żaden z jego towarzyszy z Fort Niles. Wszyscy pozostawali u wejścia do portu. Nikt nie wiedział, co robić.

— LUBICIE ZABAWIAĆ SIĘ LALKAMI, CO?! — wrzasnął Angus. Przyjaciele słyszeli go wyraźnie mimo dzielącej ich odległości. Addams uniósł i potrząsnął zadźganą lalką. Ktoś z Courne Haven powiedział coś, co rozbawiło pozostałych.

— CHODŹ NO TU DO MNIE! — krzyczał Angus. — CHODŹ NO TYLKO! MNIE TO POWIEDZ!

— Co on powiedział? — spytał Barney Addams Dona Pommeroya. — Słyszałeś, co ten koleś powiedział?

Don wzruszył tylko ramionami.

Wtedy na nabrzeże zszedł potężny człowiek, przed którym rozstąpili się inni rybacy. Był wysoki, miał szerokie barki, a jego jaśniejącej blond czupryny nie przykrywała czapka. Na ramieniu niósł starannie zwinięte liny, a w ręce trzymał cynowy pojemnik z kanapkami. Śmiech na nabrzeżu urwał się jak nożem uciął. Angus Addams milczał, a przynajmniej jego przyjaciele nie zdołali go usłyszeć.

Nie patrząc na Angusa, blondyn zszedł z pojemnikiem pod pachą do wiosłowej łódki. Odwiązał ją i popłynął. Przepięknie poruszał wiosłami — po długim pociągnięciu następowało szybkie, mocne zanurzenie. W mgnieniu oka dotarł do swojej łodzi i wspiął się na pokład. Mężczyźni u wyjścia z portu zdążyli się już zorientować, że mają do czynienia z Nedem Wishnellem, naprawdę doskonałym rybakiem i obecnym patriarchą rodu. Z zazdrością spoglądali na jego kuter. Miał dwadzieścia pięć stóp długości, był nieskazitelnie czysty, pomalowany na biało, z niebieskim pasem wokół. Ned uruchomił go i skierował się do wyjścia z portu.

— Dokąd on się, do diabła, wybiera? — spytał Barney Addams.

Don Pommeroy znów wzruszył ramionami.

Wishnell zmierzał prosto na nich, na blokadę, zupełnie jakby jej tam nie było. Rybacy z Fort Niles spojrzeli po sobie z wahaniem, zastanawiając się, czy powinni go zatrzymać. Chyba nie należało go przepuszczać, lecz zabrakło wśród nich Angusa, który mógłby o tym zadecydować. Zamarli, patrząc, jak Ned przepływa pomiędzy Donem Pommeroyem a Dukiem Cobbem i nawet się nie rozglą—

da. Łodzie z Fort Niles zakołysały się tylko na falującej wodzie. Don musiał się złapać relingu, bo wypadłby za burtę. Mężczyźni obserwowali, jak Ned Wishnell odpływa, a sylwetka jego kutra znika na horyzoncie.

— Dokąd on, u licha, popłynął? — Barney najwyraźniej wciąż oczekiwał odpowiedzi.

— Chyba na połów — odparł Don.

— Ales' ty bystry — skonstatował Barney. Zmrużył oczy i popatrzył na ocean. — Czy on nas nie widział?

— Pewnie, że widział.

— To dlaczego nic nie powiedział?

— A co miał, do cholery, powiedzieć?

— Nie wiem. Może coś w rodzaju: „Hej, chłopaki. Co jest grane?"

— Przymknij się, Barney.

— Niby dlaczego? — spytał jeszcze Addams, ale zamilkł.

Zuchwałość Neda Wishnella całkiem rozwiała poczucie zagrożenia, jakie mogli wywoływać rybacy z Fort Niles, więc pozostali poławiacze z Courne Haven zaczęli kolejno schodzić do łódek, docierać do swoich kutrów i zaczynać dzień pracy. Podobnie jak ich sąsiad Ned, nie rozglądając się, mijali blokadę. Angus Addams trochę na nich pokrzyczał, lecz wywołało to tylko zażenowanie przybyszy z Fort Niles, którzy kolejno zawracali i kierowali się w stronę domu. Angus odpłynął jako ostatni. Jak opowiadał później Barney: „Wygrażał i klął na czym świat stoi". Był oburzony, że zawiedli go przyjaciele, i wściekły, że na oko całkiem porządna blokada zmieniła się w śmieszne, bezużyteczne głupstwo.

Czwarta wojna homarowa między Fort Niles a Courne Haven mogła się na tym zakończyć. Gdyby wydarzenia

tamtego ranka zażegnały kłótnię, faktycznie nie wspominano by o niej nawet jako o wojnie. Pozostałaby w pamięci wyspiarzy jako jeden z licznych sporów czy starć. Przez całe lato zdarzało się jeszcze sporadyczne naruszanie granic i odcinanie więcierzy. Odcinał głównie Angus Addams, do czego rybacy z obu wysp zdążyli już przywyknąć. Angus nie odpuszczał niczym bulterier. Wszyscy inni zaakceptowali nowe granice. Niektóre łowiska zostały przesunięte, a niektóre przejęli nowi poławiacze, część starszych rybaków postanowiła się nieco odciążyć, a ci, którzy powrócili z wojny, znów podjęli pracę. Jak dawniej zapanował pełen napięcia pokój.

Na kilka tygodni.

Pod koniec kwietnia Angus Addams wybrał się jednocześnie z Donem Pommeroyem sprzedać homary w Rockland. Don był kawalerem, znanym na wyspie głupkiem i mniej bystrym bratem Iry Pommeroya, chmurnego męża Rhondy, ojca Webstera, Conwaya, Johna, Fagana itd. Angus nie miał zbyt wysokiego mniemania o żadnym z Pommeroyów, a mimo to pił z Donem całą noc w hotelu Wayside, ponieważ pogoda się popsuła i zrobiło się zbyt ciemno, by wracać do domu. Poza tym nudziło mu się. Może wolałby upić się samotnie w swoim pokoju, jednak sprawy potoczyły się inaczej. Mężczyźni spotkali się u hurtownika i Don zaproponował:

— Chodźmy się trochę orzeźwić.

Angus na to przystał.

W tym samym czasie w hotelu nocowało też kilku rybaków z Courne Haven. Znalazł się tam Fred Burden, skrzypek, w towarzystwie szwagra, Carla Cobba. Ponieważ na zewnątrz zacinał lodowaty deszcz, a poławiacze z obu wysp stanowili jedynych klientów baru, wdali się ze sobą

w rozmowę. Zaczęła się całkiem przyjaźnie, gdy Fred Burden zamówił drinka dla Angusa Addamsa.

— Żeby się pan wzmocnił — zawołał — po całym dniu odcinania naszych więcierzy.

Zabrzmiało to wrogo, więc Angus odkrzyknął:

— Lepiej od razu zamówić całą butelkę. Zasłużyłem dziś na więcej niż jednego drinka.

To również nie było zbyt przyjazne, lecz nie doprowadziło do kłótni. Wywołało powszechny śmiech. Mężczyźni wypili wystarczająco dużo, by wprawić się w dobry nastrój, jednak nie tyle, by rwać się do bójki. Fred Burden i Carl Cobb przysunęli się do siedzących przy drugim końcu baru sąsiadów z Fort Niles. Oczywiście wszyscy się znali. Poklepali się po plecach, zamówili jeszcze piwa i whisky, pogadali o nowych łodziach i nowym hurtowniku, a także o najświeższym modelu więcierza. Dyskutowali o narzuconych właśnie przez państwo ograniczeniach połowów i o tych nowych idiotach ze straży. Właściwie wszystko ich łączyło, więc tematów do rozmowy nie brakowało.

Podczas wojny w Korei Carl Cobb stacjonował w Niemczech, wyciągnął więc portfel i pokazał kompanom tamtejszą walutę. Wszyscy wpatrywali się też w kikut Angusa Addamsa pozostały po wypadku z wyciągarką. Zmusili go, by znów opowiedział, jak kopnął palec za burtę i przyżegł ranę cygarem. Fred Burden zdradził z kolei, że letnicy na Courne Haven stwierdzili, że na wyspie jest za dużo chuliganów, i złożyli się na wynajęcie policjanta w lipcu i sierpniu. Zatrudnili nastoletniego rudzielca z Bangor, który tylko w ciągu pierwszego tygodnia służby trzy razy oberwał. Letnicy dali nawet dzieciakowi wóz policyjny, a on przekoziołkował w nim, gnając przez wyspę z dużą prędkością za facetem bez tablic rejestracyjnych.

— Pościg! — prychnął Fred Burden. — Na wyspie długiej na cztery mile! Na miłość boską, jak daleko facet mógł uciec? Cholerny dzieciak jeszcze by kogoś zabił. Po tym zajściu — kontynuował Fred — oszołomiony młody policjant został wyciągnięty z wraku i znów solidnie pobity, tym razem przez wściekłego właściciela ogrodu zniszczonego przez samochód. Po trzech tygodniach chłopak wrócił do Bangor. Samochód pozostał na Courne Haven. Kupił go któryś z Wishnellów i zreperował dla swojego dzieciaka. Letnicy kipieli z wściekłości, lecz Henry Burden i pozostali wyjaśnili im, że jeśli im się nie podoba na wyspie — droga wolna. Niech jadą z powrotem do Bostonu, gdzie policjantów jest do wyboru, do koloru.

Don Pommeroy wyznał, że na Fort Niles szczęśliwie nie ma latem turystów. Elłisowie jako właściciele niemal całej wyspy chcą ją mieć wyłącznie dla siebie.

— A na Courne Haven na szczęście nie ma żadnych Ellisów — odgryzł się Fred Burden.

Wszyscy się roześmiali. Co racja, to racja.

Angus Addams opowiedział o dawnych czasach na Fort Niles, gdy kwitło jeszcze wydobycie granitu. Na wyspie był wtedy policjant i świetnie się sprawdzał. Po pierwsze, należał do rodziny Addamsów, więc wszystkich znał i orientował się, co i jak funkcjonuje. Dawał wyspiarzom święty spokój i przeważnie pilnował tylko, by Włosi za bardzo nie rozrabiali. Nazywał się Roy Addams. Elłisowie zatrudnili go, by strzegł porządku na wyspie. Nie obchodziło ich, czym zajmuje się staruszek Roy, pod warunkiem że nikogo nie mordowano czy rabowano. Addams miał duży samochód — sedana packarda z drewnianymi panelami — lecz nigdy nim nie jeździł. Stworzył własną teorię uprawiania policyjnego fachu. Siedział w domu przy radiu, a gdy na

wyspie coś się działo, wiadomo było, gdzie go szukać. Gdy słyszał o popełnieniu przestępstwa, szedł porozmawiać ze sprawcą. Dobry był z niego policjant — mówił Angus. Fred i jego szwagier przyznali mu rację.

— Nie było nawet więzienia — ciągnął Addams. — Jeśli w coś się wpakowałeś, musiałeś chwilę odsiedzieć w salonie Roya.

— Brzmi całkiem do rzeczy — powiedział z aprobatą Fred. — Tak powinna wyglądać policja na wyspie.

— Jeżeli ma w ogóle być — dodał Angus.

— Racja. Jeżeli w ogóle.

Potem Angus opowiedział dowcip o niedźwiadku polarnym, który chciał się dowiedzieć, czy w jego żyłach płynie krew koali, a Fred Burden skojarzył go z innym — o trzech Eskimosach w piekarni. Don Pommeroy zaserwował z kolei kawał o Japończyku i górze lodowej, ale go położył i Angus musiał go opowiedzieć jeszcze raz, jak należy. Carl Cobb zauważył, że słyszał kiedyś inną wersję, i zaraz ją przedstawił. Okazała się niemal identyczna. Strata czasu. Wtedy Donowi przypomniał się dowcip o katoliczce i gadającej żabie, ale i tym razem opowiadanie nie najlepiej mu poszło.

Angus wyszedł do toalety, a gdy wrócił, Don Pommeroy i Fred Burden już się kłócili. Naprawdę się pożarli. Któryś coś powiedział. Drugi to podjął. Oczywiście niewiele było trzeba. Addams spróbował się zorientować, w czym rzecz.

— Niemożliwe — mówił Fred zaczerwieniony, z pianą na ustach —. to niemożliwe! Przecież by cię zabiła!

— A jednak — odpowiedział Don, powoli i z godnością. — Nie mówię, że to łatwe. Mówię tylko, że mógłbym to zrobić.

— O co chodzi? — spytał Carla Angus.

— Don założył się z Fredem Burdenem o sto dolców, że pokona w walce małpę wysoką na pięć stóp — poinformował Carl.

— Co?

— Zgniecie cię na miazgę! — krzyczał już Fred. — Taka małpa zetrze cię na miazgę!

— Całkiem dobrze się biję — nie zrażał się Don.

Angus przewrócił oczami i usiadł. Zrobiło mu się żal Freda Burdena, który pochodził wprawdzie z Courne Haven, lecz nie zasługiwał na tego rodzaju idiotyczne rozmowy z takim głupkiem jak Don Pommeory.

— Czy w ogóle widziałeś małpę? — drążył Fred. — Wie pan, jak jest zbudowana? Małpa wysoka na pięć stóp ma rozpiętość rąk na sześć. Wiesz, jaka jest silna? Nie pokonałbyś nawet dwustopowej. Rozwaliłaby cię!

— Ale nie wiedziałaby, jak walczyć — odparł Don. — Na tym polega moja przewaga. Ja wiem.

— Co za głupota. Zakładamy, że potrafi walczyć. .

— Nic podobnego.

— To o czym w ogóle mowa? Jak można walczyć z taką wielką małpą, jeśli ona nawet tego nie potrafi?

— Mówię tylko, że mógłbym ją pokonać, jeśliby umiała. — Don rozmawiał bardzo spokojnie. Był mistrzem logiki. — Gdyby małpa wysoka na pięć stóp potrafiła walczyć, mógłbym ją pokonać.

— A zęby? — spytał Carl Cobb z nagłym zainteresowaniem.

— Przymknij się, Carl — uciszył go szwagier.

— Dobre pytanie — przyznał Don i mądrze pokiwał głową. — Zabroniłoby się małpie używać zębów.

— Wtedy by wcale nie walczyła! — krzyknął Fred. — Przecież małpy właśnie tak walczą! Po prostu by gryzła!

— To niedozwolone — zadecydował ostatecznie Don.

— Boksowałaby, co? — Fred domagał się wyjaśnień. — Mówisz, że pokonałbyś taką małpę w pojedynku bokserskim?

— Zgadza się.

— Ale małpa nie zna się na boksie — zauważył Carl Cobb, marszcząc brwi.

Don ze spokojem i satysfakcją pokiwał głową.

— Dlatego właśnie bym wygrał.

Fred Burden nie miał wyboru — musiał przyłożyć Donowi i tak też uczynił. Angus Addams opowiadał później, że sam by to zrobił, gdyby Don powiedział jeszcze choć słowo na temat boksu z pięciostopową małpą. Niemniej Fred nie wytrzymał jako pierwszy, więc walnął Dona w ucho. Na twarzy Carla Cobba odmalowało się wielkie zdziwienie, co z kolei wkurzyło Angusa. Addams przyłożył więc Carlowi, a zaraz potem oberwał od Freda. Carl też mu oddał, ale niezbyt mocno. Don podniósł się z podłogi, zawył i zgięty wpół rzucił się do przodu, celując głową w brzuch Freda. Siła ciosu odrzuciła Burdena na barowe stołki, które zachybotały się i z hukiem poprzewracały.

Fred i Don zaczęli się kulać po podłodze. Jakimś dziwnym trafem każdy z przeciwników miał przed nosem nogi drugiego, pozycja nie była więc najdogodniejsza do walki. Przypominali ogromną, nieporadną rozgwiazdę — widać było tylko ręce i nogi. Fred znalazł się na górze, oparł się czubkiem buta o podłogę i przekręcił siebie oraz Dona, usiłując zacieśnić chwyt.

Carl i Angus przestali się bić. W końcu aż tak bardzo im nie zależało. Każdy zadał cios i to wystarczyło. Stali teraz obok siebie, plecami do baru, i obserwowali walczących przyjaciół.

— Załatw go, Fred! — zagrzewał szwagra Carl, lecz rzucił przy tym zażenowane spojrzenie na Angusa.

Ten jednak wzruszył tylko ramionami. Właściwie go nie obchodziło, czy Don Pommeroy oberwie. Zasłużył na to, przygłup. Małpa wysoka na pięć stóp. Na miłość boską.

Fred Burden wbił zęby w goleń Dona. Don zawył zgorszony.

— Żadnego gryzienia! Nie wolno gryźć! — Najwyraźniej był oburzony, bo przecież ustalił tę regułę w odniesieniu do pojedynku z małpą. Stojący przy barze Angus przez chwilę obserwował niezdarne kłębowisko na podłodze, a potem odwrócił się, by uregulować rachunek. Barman, niewysoki szczupły mężczyzna, teraz bardzo zaniepokojony, trzymał w ręku kij baseballowy, który sięgał mu niemal do pasa.

— To niepotrzebne — powiedział Angus, wskazując na niego skinieniem głowy.

Barmanowi wyraźnie ulżyło. Wsunął kij z powrotem pod kontuar.

— Mam zawołać policję?

— Nie ma co się przejmować. To głupstwo, przyjacielu. Niech się trochę wyżyją.

— O co im poszło? — zainteresował się barman.

— Ach, to starzy kumple — powiedział Angus, a barman uśmiechnął się z ulgą, jakby to wszystko wyjaśniało. Addams uregulował rachunek, minął walczących i poszedł na górę się przespać.

— Co pan robi? — krzyknął za nim z podłogi Don Pommeroy. — Dokąd pan, do diabła, idzie?

***

Angus odszedł, ponieważ sądził, że ta bójka to nic poważnego, było jednak inaczej.

Fred Burden okazał się zawziętym draniem, a upór Dona dorównywał jego głupocie, więc żaden nie chciał się poddać. Bili się jeszcze przez dobrych dziesięć minut po wyjściu Angusa. Carl Cobb opowiadał później, że Fred i Don przypominali walczące zwierzęta — gryźli, kopali, okładali się pięściami. Don próbował rozbijać na głowie Freda butelki, ten zaś brutalnie połamał Pommeroyowi palce, aż dał się słyszeć głośny trzask. Barman, człowiek niezbyt bystry, przyjął słowa Angusa za dobrą monetę i faktycznie nie przejmował się bójką.

Nie zareagował nawet wtedy, gdy Fred, siedząc na piersi Dona z rękami pełnymi wyrwanych mu włosów, tłukł jego głową o podłogę. Burden nie przestał, dopóki Pommeroy nie stracił przytomności, po czym chwiejnie usiadł obok. Barman polerował właśnie popielnicę, gdy Carl zaproponował:

— Może trzeba by kogoś zawiadomić.

Mężczyzna—wyjrzał spoza kontuaru. Zobaczył, że Don się nie rusza i ma zupełnie rozbitą twarz. Również Fred ociekał krwią, a jedna ręka zabawnie mu zwisała. Wezwał zatem policję.

Angus Addams dowiedział się o wszystkim dopiero nazajutrz, gdy obudził się na śniadanie i szykował do powrotu na Fort Niles. Powiedziano mu, że Don Pommeroy trafił do szpitala i że jego stan jest poważny. Nie odzyskał podobno przytomności. Miał jakieś „obrażenia wewnętrzne" i ponoć przebite płuco.

— Skurwysyn — mruknął Angus pod silnym wrażeniem.

Przez myśl mu nie przeszło, że ta bójka może się tak nieszczęśliwie skończyć. Policja przesłuchiwała go, ale nie zatrzymała. Nie wypuściła natomiast Freda Burdena,

który jednak tak ucierpiał, że nie usłyszał jeszcze żadnych zarzutów. Policjanci nie wiedzieli, co robić, ponieważ barman — jedyny trzeźwy, wiarygodny świadek — twierdził, że mężczyźni byli starymi przyjaciółmi i tylko się wygłupiali.

Angus dotarł na wyspę późnym popołudniem i wybrał się na poszukiwanie Iry, brata Dona, jednak Pommeroya już o wszystkim poinformowano. Zadzwonił do niego funkcjonariusz policji w Rockland i przekazał, że jego brat został pobity w barze do nieprzytomności przez rybaka z Courne Haven. Ira dostał szału. Piekli się: napinał mięśnie, wymachiwał pięściami i krzyczał. Zona Rhonda próbowała go jakoś uspokoić, lecz nie chciał jej słuchać. Zamierzał wziąć strzelbę i popłynąć na Courne Haven, żeby „narobić trochę zamieszania". Chciał „im pokazać", „dać im nauczkę". Spotkał się z kumplami i mocno ich podburzył. Nikt wprawdzie nie rwał się ze strzelbą na łódź, lecz pełen napięcia pokój między wyspami został naruszony — rozgorzała czwarta wojna homarowa.

Codzienne potyczki nie miały w sobie niczego wyjątkowego — wojna w żaden sposób nie odbiegała od normy. Było trochę bicia, odcinania więcierzy, naruszania granic łowisk, wandalizmu, kradzieży, agresji, oskarżeń, paranoi, zastraszania, przerażenia, tchórzostwa czy gróźb. Handel praktycznie ustał. Ciężko jest wyżyć z połowów, lecz sytuacja znacznie się pogarsza, gdy rybak musi poświęcać czas na obronę swojej własności lub ataki na cudzą.

Stan Thomas narobił trochę hałasu, ale bez wahania wydobył swoje więcierze z wody, jak uczynił to jego ojciec podczas pierwszej wojny homarowej między Courne Haven a Fort Niles w 1903 roku. Wyciągnął na brzeg łódź i umieścił ją na podwórku.

— Ja się w to nie mieszam — powiedział. — Nie obchodzi mnie, co kto zrobił ani komu. Wszystko przemyślał. Przeczekując wojnę, straci mniej niż sąsiedzi. Poza tym wiedział, że konflikt nie potrwa wiecznie.

Pokój nastał dopiero po siedmiu miesiącach. Stan wykorzystał ten czas na naprawę łodzi, budowę nowych więcierzy, smołowanie lin i malowanie boi. Podczas gdy sąsiedzi walczyli, wpędzając siebie i innych w biedę, on doprowadził swoje narzędzia pracy do idealnego stanu. Oczywiście pozostali przejęli jego łowisko, lecz wiedział, że wojna wkrótce ich wykończy i wtedy będzie mógł je odzyskać, a nawet powiększyć. Poniosą porażkę, a tymczasem on naprawi sprzęt, wypoleruje każdy mosiężny element i zadba o każdą beczkę. Jego świeżo poślubiona żona ogromnie mu pomogła i ślicznie pomalowała boje. Nie mieli kłopotów finansowych. Dom był dawno spłacony, a Mary cudownie oszczędna. Całe życie spędziła w pokoju o powierzchni dziesięciu stóp kwadratowych i nigdy niczego nie miała. Niczego nie oczekiwała i o nic nie prosiła. Potrafiła przyrządzić pożywną potrawkę z marchwi i kości kurczaka. Uprawiała ogród, łatała ubrania męża, cerowała mu skarpety. Przywykła do takiej pracy. W końcu różnica między cerowaniem wełnianych skarpet a dobieraniem jedwabnych pończoch nie była aż tak zasadnicza.

Mary Smith—Ellis Thomas próbowała łagodnie nakłonić Staną, by zatrudnił się w Domu Ellisów i nie wracał już do połowu homarów, lecz on nie chciał nawet o tym słyszeć.

— Lepiej trzymać się z dala od tych dupków — zapewniał ją.

— Mógłbyś pracować jako stajenny — przekonywała Mary. — Wcale byś ich nie oglądał. Jednak Stan ani myślał

przerzucać dla tych gnojów końskie łajno. Żona dała więc spokój. Marzyła w duchu, że jej mąż i Ellisowie się pokochają i że znów zamieszka z rodziną — już nie jako służąca, lecz jako jej członek. Może Vera polubiłaby Staną. Może zapraszałaby ich na uroczyste lunche. Może nalewałaby Stanowi herbatę, mówiąc:

— Jestem taka szczęśliwa, że Mary poślubiła takiego zaradnego mężczyznę.

Pewnego wieczoru, gdy leżała w łóżku w nowym domu, u boku świeżo poślubionego męża, najłagodniej jak potrafiła, spróbowała dać mu do zrozumienia, o czym marzy.

— Może moglibyśmy kiedyś odwiedzić pannę Verę... — zaczęła, lecz mąż przerwał jej stwierdzeniem, że prędzej zje własne odchody, niż się na to zdecyduje.

— Och — westchnęła tylko Mary.

I porzuciła ten temat. Wykorzystała wszystkie swoje umiejętności, by pomóc mężowi w czasie wojny homarowej, otrzymując w zamian drobne, lecz cenne dowody uznania. Stan lubił siedzieć w salonie i patrzeć, jak szyła zasłony. Dom lśnił czystością, a jej wysiłki, by go udekorować, naprawdę ujmowały męża. Postawiła na parapecie polne kwiaty. Czyściła mu narzędzia. To było najcudowniejsze.

— Chodź tu do mnie — prosił ją wieczorami, klepiąc się w kolano.

Mary zbliżała się i siadała. Rozpościerał ręce.

— Przytul się — mawiał, a ona skłaniała się ku niemu. Gdy ładnie się ubrała czy uczesała, nazywał ją Nówką, bo wyglądała świeżo i pięknie jak dopiero co wybita moneta.

— Chodź tu, Nóweczko — zachęcał.

A kiedy prasowała mu koszule, chwalił:

— Dobra robota, moja Nówko.

Spędzali razem całe dnie, ponieważ Stan nie wypływał w morze. W domu panowała atmosfera pracy na rzecz osiągnięcia wspólnego celu, zespołowej, w której nie ma miejsca na wstrętne kłótnie reszty świata. Wokół tamtych toczyła się wyniszczająca wszystkich wojna homarowa. Państwo Thomasowie, jak sądziła Mary, potrzebowali jedynie siebie nawzajem. Umacniali swój dom, gdy domostwa innych drżały w posadach.

Te siedem wojennych miesięcy stanowiło najszczęśliwszy okres w ich małżeństwie. Przyniosło Mary wiele radości oraz przekonanie, że decyzja o opuszczeniu Very Ellis i wyjściu za Staną była słuszna. Miała poczucie własnej wartości. Przywykła do pracy, ale nie na rzecz własnej przyszłości, dla własnego dobra. Miała męża, który ją kochał. Była mu niezbędna. Tak jej powiedział.

— Wspaniała z ciebie dziewczyna, Nówko.

Po siedmiu miesiącach zabiegów Stan Thomas zdołał doprowadzić swój sprzęt rybacki do wzorowego stanu. Patrząc na łódź i narzędzia, miał ochotę zacierać ręce jak milioner. Pragnął zagrzmieć śmiechem tyrana na widok wpędzających się w ruinę sąsiadów.

Walczcie, zachęcał ich w myślach. Dalejże. Bijcie się.

Im dłużej będą prowadzić tę wojnę, tym bardziej się osłabią. Woda na młyn Staną. Chciał, by konflikt się przeciągał, lecz w listopadzie 1957 roku czwarta wojna homarowa między Courne Haven a Fort Niles dobiegła końca. Tego typu spory zwykle dogasają przed zimą. Wielu rybaków przeważnie kończy pracę właśnie w listopadzie, ponieważ pogoda staje się wtedy zbyt niesprzyjająca. Im mniej wypływa w morze, tym mniejsze stają się szanse na konfrontacje. Wojna mogła się zatem skończyć z powodu

warunków pogodowych. Mogło się zdarzyć, że wyspy zapadłyby w sen zimowy, a wiosną stare spory straciłyby na aktualności. W 1957 roku stało się jednak inaczej.

8 listopada młody człowiek z Courne Haven nazwiskiem Jim Burden wybrał się, jak co dzień, na połów. Zamierzał najpierw zatankować łódź, lecz zanim dotarł do dystrybutorów paliwa, dostrzegł pomiędzy swoimi obce boje pomalowane na ohydny, jaskrawozielony kolor. Należały one do Iry Pommeroya z Fort Niles. Jim natychmiast je rozpoznał. Wiedział też, z kim ma do czynienia. Ira Pommeroy, mąż Rhondy, ojciec Webstera, Conwaya, Johna itd., był bratem Dona. Ten z kolei leżał w szpitalu w Rockland i po pobiciu przez Freda Burdena od nowa uczył się chodzić. A Fred był ojcem Jima.

Ira Pommeroy od miesięcy nękał Freda i jego syna i Jim miał już tego powyżej uszu. Zaledwie poprzedniego dnia zastawił więcierze przy północnym wybrzeżu Courne Haven. Znajdowały się tak blisko brzegu, że mógł zobaczyć boje z okna domu. Rybacy z Fort Niles nie mieli tam czego szukać. Ten chuligan musiał zastawiać swoje więcierze w środku nocy. Dlaczego człowiek może się posunąć aż tak daleko? Czy on nigdy nie sypia?

Należy tu zaznaczyć, że boje, które Ira umieścił na łowisku Jima, były jedynie atrapą. Zamiast więcierzy Pommeroy przywiązał do nich bloki cementu. Ira nie chciał pozbawiać Jima homarów. Chciał go doprowadzić do szału i osiągnął swój cel. Jim, spokojny dziewiętnastolatek, porządnie wystraszony wojną homarową, w mgnieniu oka stracił resztki potulności i pognał za Irą Pommeroyem. Wściekłość go zaślepiła. Zwykle unikał przekleństw, lecz teraz, gdy pędził przez fale, powtarzał w kółko pod nosem:

— Cholera, cholera, cholera. Niech go cholera weźmie!

Dotarł do Fort Niles i wyruszył na poszukiwanie łodzi Iry Pommeroya. Nie był pewien, czy ją rozpozna, ale cholernie twardo postanowił, że ją znajdzie. Orientował się mniej więcej na wodach wokół wyspy, jednak parę razy zahaczył o skaliste występy, które przesłaniał silnik. Nie zwracał też szczególnej uwagi na dno czy na charakterystyczne punkty orientacyjne pomocne w drodze powrotnej. W ogóle nie myślał o powrocie. Szukał łodzi rybaków z Fort Niles.

Wpatrywał się w horyzont, by dojrzeć stado mew wskazujące na obecność kutra. Potem się do niego zbliżał, zwalniał i skupiał wzrok na załodze. Nie odzywał się do rybaków ani oni do niego. Przerywali tylko pracę i patrzyli zdziwieni. „Co ten dzieciak knuje? Co jest, u diabła, z jego twarzą? Na miłość boską, zrobił się aż fioletowy".

Jim Burden milczał. Odpływał i szukał dalej. Nie wiedział dokładnie, co zrobi, gdy odnajdzie Irę Pommeroya, chodziło mu po głowie morderstwo.

Miał jednak pecha — nie wpadł na to, by szukać łodzi Iry w porcie, gdzie się spokojnie kołysała. Pommeroy zrobił sobie dzień wolny. Wykończyła go noc spędzona na zrzucaniu bloków cementu u brzegu Courne Haven i pospał sobie do ósmej. Gdy Jim uganiał się za nim po Atlantyku, Ira pracował właśnie nad poczęciem kolejnego syna.

Jim naprawdę daleko się zapuścił. Znacznie dalej niż należało, prowadząc łódź do połowu homarów. Wokół nie było już żadnych boi. Pognał w pełne morze — jak mu się zdało — za stadem mew, które zniknęło, gdy się do niego zbliżył. Rozpuściło się na niebie jak cukier w gorącej wodzie. Jim zwolnił i rozejrzał się dookoła. Dokąd trafił? W oddali migotała jasnoszara sylwetka Fort Niles. Jego gniew zmienił się we frustrację, a ona — przemija—

jąc — przerodziła się w niepokój. Pogoda się pogarszała. Morze było wzburzone. Niebo błyskawicznie zaciągnęło się szybko gęstniejącymi ciemnymi chmurami. Jim nie miał pewności, gdzie się znajduje.

— Cholera — powiedział. — Niech go cholera.

Wtedy skończyła mu się benzyna.

— Cholera — powtórzył, tym razem naprawdę przejęty.

Bez powodzenia próbował uruchomić silnik. Stał w miejscu. Jimowi nie przyszło do głowy, że może mu się to przytrafić. Nie pomyślał o kanistrze.

— O rany — jęknął dziewiętnastoletni Jim Burden.

Był teraz równie wystraszony jak zakłopotany. Ależ z niego rybak. Zapomniał o benzynie. Jak można być tak głupim? Uruchomił radio i zaapelował o ratunek.

— Pomocy — powiedział. — Skończyła mi się benzyna. — Nie miał pewności, czy istnieje bardziej stosowny sposób, żeby to wyrazić na morzu. Prawdę mówiąc, nie znał się zbyt dobrze na pływaniu. Dopiero w tym roku zaczął samodzielnie pracować. Wcześniej najmował się u ojca jako sternik, więc sądził, że ocean nie ma dla niego tajemnic. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że przedtem pływał tylko jako pasażer. Ojciec o wszystko się troszczył, a on jedynie pracował mięśniami. Przez te wszystkie lata nie robił nic poza tym, co do niego należało, a teraz tkwił samotnie na pełnym morzu.

— Pomocy! — powtórzył. Potem przypomniał sobie właściwe słowo. — Mayday! Mayday!

Pierwszy zareagował Ned Wishnell, na co młody Jim aż się skrzywił. Mówiono, że Ned był najlepszym rybakiem w Maine. Coś takiego nigdy by się nie przytrafiło ani jemu, ani żadnemu innemu Wishnellowi. Jim miał cichą nadzieję, że uda mu się uzyskać pomoc bez wiedzy Neda.

— Jimmy, to ty? — zatrzeszczał głos Wishnella.

— Tu *Mighty J* — odpowiedział Jim. Pomyślał, że podając nazwę łodzi, zabrzmi bardziej dorośle. Zaraz jednak zrobiło mu się nieswojo — *Mighty* J* — akurat!

— Czy to Jimmy? — rozległ się znów głos Neda.

— Tu Jimmy — potwierdził chłopak. — Skończyła mi się benzyna. Przykro mi.

— Gdzie jesteś, synu?

— No... uhm... nie wiem. — Jakże nie chciał się do tego przyznać. Na dodatek właśnie Nedowi Wishnellowi!

— Nie zrozumiałem, Jimmy.

— Nie wiem! — odkrzyknął chłopak. Jakie to upokarzające. — Nie wiem, gdzie jestem!

Nastąpiła chwila ciszy, a potem jakiś niezrozumiały gulgot.

— Nie zrozumiałem, Ned — powiedział Jimmy. Próbował zabrzmieć jak on, naśladując jego intonację. Usiłował zachować resztki godności.

— Widzisz jakieś punkty orientacyjne? — spytał Ned.

— Fort Niles, ze dwie mile na zachód — poinformował, jednak mówiąc to, zdał sobie sprawę, że odległa wyspa zniknęła mu z pola widzenia. Wszystko przesłaniała mgła i zrobiło się ciemno jak wieczorem, choć była dziesiąta rano. Chłopak się pogubił.

— Rzuć kotwicę i nie ruszaj się z miejsca — polecił Ned i wyłączył się.

Wishnell znalazł dzieciaka. Zajęło mu to kilka godzin, ale się udało. Zawiadomił innych rybaków i wszyscy przystąpili do poszukiwań Jimmy ego. Nawet niektórzy z Fort Niles. Pogoda była okropna. Normalnie wszyscy zawinę—

* *Mighty* — potężny, wielki (przyp. tłum.).

liby już do portu, lecz pozostali na morzu ze względu na młodego Jima. Do poszukiwań przyłączył się nawet Angus Addams. Tak należało zrobić. Dzieciak miał dopiero dziewiętnaście lat i zgubił się na wodach oceanu.

Odnalazł go jednak Ned Wishnell. Nikt nie wiedział jak. Facet był jednak Wishnellem — świetnym rybakiem, bohaterem na wodzie — więc nikogo nie zaskoczyło, że to jemu udało się odszukać we mgle niewielką łódź bez żadnych wskazówek odnośnie do jej pozycji na oceanie. Wszyscy zdążyli już przywyknąć do cudów, jakie wyczyniali na wodzie Wishnellowie.

Gdy Ned dotarł do *Mighty J,* pogoda poważnie się pogorszyła. Łódź Jima — mimo rzuconej kotwicy — przemieściła się daleko od miejsca, z którego wzywał pomoc. Zresztą nawet wtedy nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Usłyszał kuter Neda, zanim zdołał go zobaczyć. We mgle rozbrzmiewał huk silnika.

— Pomocy! — krzyknął. — Mayday!

Ned okrążył go i wyłonił się z mgły na swojej wielkiej, lśniącej czystością łodzi. Jego przystojna twarz wyrażała gniew. Milczał. Cały dzień pracy stracony. Jim Burden natychmiast to dostrzegł i żołądek podszedł mu do gardła. Ned zatrzymał kuter tuż obok *Mighty J.* Zaczęło padać. Listopad w tym roku był dość ciepły, co oznaczało paskudny ziąb i wilgoć. Wiało, więc deszcz zacinał z ukosa. Ręce Jima, mimo rękawiczek, spierzchły i poczerwieniały. Ned obywał się jednak bez rękawiczek. I bez czapki. Zauważywszy to, Jim prędko zdjął swoją i cisnął na pokład. Natychmiast pożałował tej decyzji — lodowaty deszcz zabębnił na jego głowie.

— Cześć — mruknął bez przekonania.

Ned rzucił mu linę i powiedział:

— Łap. — W jego głosie brzmiała wyraźna irytacja.

Jim przywiązał swoją łódź — niewielką i tanią — do cudeńka Wishnella. *Mighty J* kołysała się, cicha i bezużyteczna, podczas gdy kuter Neda warkotał na luzie.

— Na pewno skończyła ci się benzyna? — spytał Ned.

— Raczej tak.

— Raczej? — Ned był wyraźnie zniesmaczony.

Jim nie odpowiedział.

— A może masz jakiś problem z silnikiem?

— Nie sądzę — odparł Jim, lecz w jego głosie nie było pewności. Wiedział, że nie miał już prawa mówić, jakby się na czymś znał.

Ned zrobił ponurą minę.

— Nie wiesz, czy zabrakło ci benzyny?

— Nie... nie jestem pewny.

— Sprawdzę — postanowił Ned.

Przechylił się przez reling, by przyciągnąć *Mighty J* do swojego kutra. Posłużył się osęką, a jego ruchy zdradzały zdenerwowanie. Naprawdę się rozzłościł. Przeważnie nadzwyczaj delikatnie obchodził się z łodziami. Jim również się przechylił, by zbliżyć do siebie kutry kołyszące się mocno na wzburzonym morzu. Łodzie odskakiwały od siebie, a potem zderzały się z hukiem. Ned postawił nogę na relingu i spróbował przeskoczyć na *Mighty J*. Nie było to mądre posunięcie. Wyjątkowo głupie jak na wilka morskiego pokroju Wishnella. Mężczyzna działał jednak pod wpływem gniewu i nie zważał na ryzyko. Właśnie wtedy stało się nieszczęście. Zawiał wiatr, podniosła się fala, stopa Wishnella się osunęła i stracił równowagę. Stało się.

Ned Wishnell wpadł do wody.

Jim gapił się w dół. Jego pierwszym odruchem było niemal rozbawienie. Ned Wishnell wylądował w wodzie!

To przecież największy obciach. Jak widok nagiej zakonnicy. Nie można na to patrzeć. Ned był przemoczony, a gdy wyłonił się z wody, zrobił gwałtowny wdech. Jego usta stuliły się wtedy w małe bezradne kółko. Spojrzał na Jima Burdena z paniką w oczach, co było u Wishnella rzeczą nader niestosowną. Wyglądał na zrozpaczonego i przerażonego. Jim Burden poczuł wtedy cos' jeszcze — dumę. Ned Wishnell potrzebował jego pomocy. To ci dopiero.

Teraz było na co popatrzeć.

Reakcje Jima były chwilowe, lecz zdołały go powstrzymać od podjęcia błyskawicznej akcji ratunkowej, która mogła ocalić Nedowi życie. Gdyby złapał osękę i natychmiast wyciągnął ją ku Wishnellowi, gdyby chociaż spróbował go uchwycić w momencie spadania, wszystko mogłoby się skończyć zupełnie inaczej. Jim stał jednak nieruchomo, przez chwilę ogarnięty rozbawieniem i dumą. Tymczasem fala zetknęła łodzie ze sobą. Zderzyła je z ogromną siłą, niemal przewracając chłopaka. Ned znajdował się, rzecz jasna, pomiędzy kutrami. Gdy łodzie się rozstąpiły, Wishnell zniknął. Utonął.

Pewnie przygniotły go kutry. Miał też na sobie długie buty, które napełniły się wodą i uniemożliwiły mu pływanie. Niemniej, bez względu na przyczynę, Ned Wishnell utonął.

***

Położyło to kres czwartej wojnie homarowej pomiędzy Fort Niles a Courne Haven. Na dobre. Utrata Neda Wishnella była tragedią dla obu wysp. Reakcja ich mieszkańców przypominała oddźwięk, jaki kilka lat wcześniej wywołało w całym kraju zastrzelenie Martina Luthera Kinga. Zszokowani wyspiarze przekonali się, że rzeczy niemożliwe jednak się zdarzają — każdy czuł się odmieniony

przez tę śmierć (a może nawet nieco jej winny). Panowało powszechne poczucie, że źle się dzieje, skoro coś takiego mogło się wydarzyć, skoro konflikt pochłonął taką ofiarę jak Ned Wishnell.

Śmierć innego rybaka niekoniecznie wywołałaby taką reakcję. Ned był jednak patriarchą rodu, który zdawał się niezniszczalny. Nie brał udziału w tej wojnie homarowej. Nie wyciągnął też sprzętu na brzeg jak Stan Thomas. Pozostawał ponad takimi konfliktami, zupełnie jak Szwajcaria. Po co miałby naruszać granice czy odcinać więcierze? Wiedział przecież, gdzie są homary. Inni rybacy obserwowali go, starali się poznać jego sekrety, lecz jemu było to obojętne. Nie przeganiał ich. Niemal ich nie zauważał. Nigdy nie uzyskiwali takiego połowu jak on. Nikt nie próbował go zastraszyć. On też nikomu źle nie życzył. Mógł sobie na to pozwolić.

Fakt, że Ned Wishnell utonął, próbując ocalić chłopaka uwikłanego w wojnę homarową, wydał się wszystkim podłością. Przeraził nawet Irę, który właściwie spowodował tę tragedię. Pommeroy zaczął wtedy sporo pić, o wiele więcej niż zwykle, zmieniając się w notorycznego pijaka. Kilka tygodni po utonięciu Neda poprosił żonę Rhondę, by pomogła mu napisać list z kondolencjami do pani Wishnellowej, lecz z wdową nie można się już było skontaktować. Nie mieszkała na Courne Haven. Zniknęła.

Nie pochodziła z wyspy. Podobnie jak wszyscy Wishnellowie, Ned ożenił się z zamiejscową pięknością. Pani Wishnellowa była rudowłosą, długonogą, inteligentną dziewczyną ze znaczącej rodziny z północnego wschodu. Co roku wyjeżdżała na lato do Kennebunkport w stanie Maine. Bardzo się różniła od żon innych rybaków — to nie ulegało wątpliwości. Miała na imię Allison i poznała

Neda, gdy płynęła z rodziną wybrzeżem Maine. Zauważyła mężczyznę na kutrze, a jego powierzchowność, spokój i umiejętności tak ją ujęły, że namówiła rodziców, by zawinęli za nim do portu na Courne Haven. Podeszła do niego, okazując wielką śmiałość. Bardzo ją ekscytował, przyprawiał o dreszcze. Nie przypominał mężczyzn, których dotąd znała. Ku zdumieniu rodziny w ciągu kilku tygodni go poślubiła. Szalała za mężem, jednak po jego śmierci nic już jej na Courne Haven nie trzymało. Uznała wojnę homarową, a z nią utonięcie Neda, za rzecz żałosną i żenującą.

Piękna Allison Wishnell poznała szczegóły dotyczące śmierci męża, rozejrzała się wokół siebie i zastanowiła, co właściwie robi na tej skale pośrodku oceanu. Było to koszmarne uczucie. Jakby obudziła się po całonocnej popijawie w czyimś brudnym łóżku. Jakby znalazła się w więzieniu w jakimś obcym kraju. Jak ona tu trafiła? Spojrzała na sąsiadów i stwierdziła, że żyła wśród zwierząt. A ten dom — jej cuchnący rybą dom? I w ogóle dlaczego na tej wyspie był tylko jeden sklep, na dodatek tylko z zakurzonymi konserwami? A ta obrzydliwa pogoda? Czyja to była sprawka?

Gdy Ned utonął, pani Wishnellowa była jeszcze bardzo młoda — miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Zaraz po pogrzebie wyjechała do rodziców. Wróciła do panieńskiego nazwiska. Znów nazywała się Allison Cavanaugh. Zapisała się do Smith College, studiowała historię sztuki i nigdy nikomu nie wspomniała, że była kiedyś żoną poławiacza homarów. Zostawiła przeszłość za sobą. W tym syna. Ta decyzja nie wymagała specjalnych negocjacji ani nie sprawiła jej zbyt wiele bólu. Podobno Allison nigdy nie była szczególnie przywiązana do syna, coś ją w nim

przerażało. Wishnellowie z Courne Haven nalegali, by dziecko pozostało z rodziną, i dopięli swego. Matka oddała im chłopca.

Jego wychowaniem miał się zająć stryj, młody człowiek, który właśnie zakończył naukę w seminarium duchownym i zamierzał zostać podróżującym pastorem odwiedzającym wyspy u wybrzeża Maine. Nazywał się Toby Wishnell. Pastor Toby Wishnell. Był najmłodszym bratem Neda, równie przystojnym, choć drobniejszym, a przy tym pierwszym Wishnellem, który nie został poławiaczem homarów. Wziął malucha — synka Neda — pod swoją opiekę. Owney miał wtedy zaledwie rok.

Jeśli chłopiec tęsknił za matką po jej wyjeździe, nie pokazywał tego po sobie. Nie zdradzał też tęsknoty za zmarłym ojcem. Był dużym, jasnowłosym, spokojnym dzieckiem. Nie sprawiał kłopotów, chyba że próbowano go wyjąć z kąpieli. Wtedy krzyczał i stawiał opór — z zadziwiającą siłą. Zdawało się, że pragnął jedynie pozostawać wciąż w wodzie.

***

Kilka tygodni po pogrzebie Neda Wishnella, gdy zakończenie wojny homarowej nie ulegało już wątpliwości, Stan Thomas opuścił łódź na wodę i z dużą przewagą rozpoczął połowy. Pracował z determinacją, dzięki której wkrótce przylgnęło do niego przezwisko Chciwca Numer Dwa (naturalnego następcy Angusa Addamsa znanego od dawna jako Chciwiec Numer Jeden). Krótki okres spędzony z żoną w domowym zaciszu dobiegł końca. Mary Smith—Ellis Thomas wyraźnie przestała być jego partnerką. Zastępowali ją nastoletni chłopcy harujący dla niego jako sternicy.

Co wieczór Stan przychodził do domu późno, wy—

czerpany i pochłonięty własnymi myślami. Prowadził dziennik, w którym opisywał codzienny połów, by móc potem ocenić ilość homarów na poszczególnych obszarach oceanu. Nocami przesiadywał z kalkulatorem nad mapami i nie wtajemniczał Mary w swoje sprawy.

— Co robisz? — pytała. — Nad czym pracujesz?

— Nad połowem — odpowiadał.

Stan traktował każdą czynność z tym związaną jako łowienie, nawet jeśli wykonywana była na lądzie. Jego żona nie była rybakiem, uznał więc, że nie może mu się przydać. Nie wołał jej już, by usiadła mu na kolanach, a ona nie śmiała zrobić tego nieproszona. Był to w jej życiu smętny okres. Poznawała nieprzyjemne cechy męża. W czasie wojny homarowej, gdy wyciągnął łódź z osprzętem na brzeg, zinterpretowała jego postępowanie jako szlachetne. Sądziła, że trzyma się z dala od konfliktów, bo ma pokojowe usposobienie. Myliła się i dopiero teraz to do niej docierało. Nie wziął udziału w wojnie, by chronić swoje interesy, a po wypłynięciu łatwo i szybko się dorobić. Teraz, gdy już zarabiał, nie przestawał triumfować, ciesząc się przy tym z niepowodzeń innych.

Wieczorami przepisywał sporządzone na łodzi notatki do ksiąg pełnych długich, skomplikowanych obliczeń. Wpisy prowadzone były skrupulatnie od wielu lat. Niekiedy Stan wertował swoje księgi i dumał marzycielsko o wyjątkowo udanych połowach, które mu się kiedyś zdarzyły. Czasami nawet się do nich odzywał.

— Szkoda, że październik nie może trwać przez cały rok — mówił do kolumn cyfr.

Zdarzało się też, że pracując, zagadywał do kalkulatora.

— Słyszę, słyszę — mawiał. Albo: — Dość już tych żartów!

W grudniu Mary powiedziała mężowi, że jest w ciąży.

— Ekstra, Nówko — ucieszył się, ale nie zareagował tak entuzjastycznie, jak tego w duchu oczekiwała.

"Wysłała też w tajemnicy list do Very Ellis, donosząc jej, że spodziewa się dziecka, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Załamało ją to i długo płakała. Jedyną osobą, którą w ogóle obchodziła ciąża Mary, okazała się jej sąsiadka, Rhonda Pommeroy — jak zwykle, sama również w odmiennym stanie.

— Chyba urodzę chłopaka — wyznała podcięta Rhonda.

Jak zawsze, była już pijana. Uroczo podchmielona, jakby była młodą dziewczyną, która po raz pierwszy spróbowała alkoholu. Podgazowana, że hej.

— Chyba znów będzie chłopak, Mary, więc musisz urodzić dziewczynkę. Czułaś to, kiedy zachodziłaś w ciążę?

— Nie sądzę — odparła Mary.

— A ja zawsze czuję. To takie „pstryk!" i już wiem. Tym razem też będzie chłopiec. Nigdy się nie mylę. A ty będziesz miała dziewczynkę. Założę się! Co ty na to? Kiedy dorośnie, może wyjść za któregoś z moich synów! Wtedy byłybyśmy spokrewnione! — Rhonda dała Mary tak mocnego kuksańca, że prawie ją przewróciła.

— Już jesteśmy. Przez Lena i Kitty.

— Zobaczysz, spodoba ci się macierzyństwo — zapewniła pani Pommeroy. — To najprzyjemniejsza rzecz na świecie.

Niestety, jak się wkrótce wyjaśniło, nie dla Mary. Tkwiła na wyspie do porodu, który okazał się prawdziwym koszmarem. Stan nie mógł znieść krzyków i obecności tylu kobiet, więc wybrał się na połów i zostawił ją samą. Pod wieloma względami postąpił okrutnie. Przez cały tydzień szalał sztorm i żaden inny rybak nie odważył

się wypłynąć. Stan i jego przerażony sternik wyruszyli tego dnia w morze jako jedyni. Zdawało się, że Thomas woli zaryzykować życie, niż pomóc żonie czy choćby być świadkiem jej bólu. Spodziewał się chłopca, lecz okazał się na tyle uprzejmy, by ukryć rozczarowanie, gdy wrócił z połowu i zobaczył córeczkę. Z początku nie brał jej na ręce, bo Senator Simon wciąż okupował małą.

— Czyż to nie najukochańsze maleństwo? — powtarzał, a kobiety podśmiechiwały się z jego czułości.

— Jak jej damy na imię? — Mary spytała cicho męża. — Podoba ci się Ruth?

— Wszystko mi jedno — odpowiedział Stan. — Nazwij ją, jak chcesz, Nówko.

— Chcesz ją wziąć na ręce? — spytała Mary.

— Muszę się umyć — odparł Thomas. — Śmierdzę jak jedna wielka przynęta.

10

Cóż powiesz na wycieczkę do bajkowych sadzawek, porośniętych wodorostami skał i wysadzanych klejnotami tarasów podmorskich ogrodów?

Crab, Shrimp, and Lobster Lore
W. B. Lord
1867

Nastał lipiec. Środek lata 1976 roku. Nie był to jednak tak zachwycający miesiąc, jak mogłoby się zdawać.

Dwóchsetlecie ogłoszenia Deklaracji Niepodległości upłynęło na Fort Niles bez szczególnej fety. Ruth pomyślała, że to chyba jedyne miejsce w Stanach Zjednoczonych, które nie potrafi wziąć się w garść i zorganizować przyzwoitych obchodów takiej rocznicy. Ojciec wybrał się nawet na połów, choć w przypływie patriotyzmu dał Robinowi Pommeroyowi dzień wolny. Ruth spędziła święto w towarzystwie pani Pommeroy i jej dwóch sióstr. Rhonda chciała uszyć dla wszystkich kostiumy. Pragnęła, by przebrały się za damy z epoki kolonialnej i wzięły udział w paradzie w miasteczku. Do 4 lipca udało jej się jednak skończyć tylko kostium Ruth, a dziewczyna nie chciała się

przebierać jako jedyna. Pani Pommeroy oddała więc suknię Opal, a mały Eddie natychmiast na nią zwymiotował.

— Teraz wygląda bardziej naturalnie — skwitowała Ruth.

— Zjadł rano pudding — powiedziała Opal, wzruszając ramionami. — Zawsze od niego rzyga.

Main Street przeszła niewielka parada, której uczestnicy liczebnością przewyższali widzów. Senator Addams z pamięci wyrecytował mowę gettysburską prezydenta Lincolna, ale robił to przy każdej okazji. Robin Pommeroy zapalił tanie fajerwerki przysłane przez brata Chestera. Oparzył sobie przy tym rękę, i to tak mocno, że przez dwa tygodnie nie mógł potem pracować. Rozzłoszczony ojciec Ruth zwolnił go za to i najął innego sternika, dziesięcioletniego wnuka Duke'a Cobba, chuderlawego i słabiutkiego jak trzecioklasistka, który — jak na złość — bał się homarów. Był jednak tani.

— Mogłeś' mnie zatrudnić — powiedziała Ruth. Trochę się dąsała, ale właściwie wcale tego nie pragnęła, a ojciec dobrze o tym wiedział.

Lipiec już się kończył, gdy pewnego popołudnia pani Pommeroy odebrała wyjątkowo niezwykły telefon. Dzwoniono z Courne Haven. Na drugim końcu linii znajdował się pastor Toby Wishnell.

Chciał się dowiedzieć, czy pani Pommeroy mogłaby przyjechać na dzień lub dwa na sąsiednią wyspę. Miało się tam odbyć huczne wesele, a panna młoda zwierzyła się pastorowi, że niepokoi się o fryzurę. Courne Haven nie miało zawodowego fryzjera, panna młoda zaś nie była już pierwszej młodości i chciała się jak najlepiej zaprezentować.

— Nie jestem zawodową fryzjerką, pastorze — wyjaśniła pani Pommeroy.

On jednak zapewnił, że to nie szkodzi. Panna młoda wynajęła już dość drogiego fotografa z Rockland, by uwiecznił uroczystość, i chciała ładnie wypaść na zdjęciach. Zwróciła się do pastora o pomoc. Rzecz trochę niezwykła jak na prośbę skierowaną do osoby duchownej — przyznał szybko Wishnell — ale spotykał się już z dziwniejszymi. Ludzie oczekiwali od pastora informacji na rozmaite tematy — objaśniał pani Pommeroy — a ta pani wcale nie była wyjątkiem. Poza tym w tym przypadku panna młoda czuła się bardziej niż inni uprawniona do wyrażania tak osobliwych próśb — ciągnął — ponieważ należała do rodziny Wishnellów. Była dalszą kuzynką pastora. Nazywała się Dorothy Wishnell, a wszyscy mówili na nią zdrobniale Dotty. 30 lipca miał się odbyć jej ślub z najstarszym synem Freda Burdena, Charliem.

Pastor zresztą sam napomknął Dotty, że tuż obok, na Fort Niles, mieszka utalentowana fryzjerka. Tak przynajmniej mówiła Ruth Thomas. Dziewczyna wspomniała mu, że pani Pommeroy zupełnie nieźle czesze. Rhonda wyznała pastorowi, że nie uważa się za szczególnie uzdolnioną i nigdy się w tym kierunku nie szkoliła.

— Poradzi sobie pani. I jeszcze jedno… — dodał pastor. Dotty, usłyszawszy o jej umiejętnościach, najwyraźniej liczyła na to, że pani Pommeroy zajmie się również panem młodym. I świadkiem, jeśli to nie kłopot. A także druhną, rodzicami panny młodej, dziewczynkami, które miały sypać kwiaty, oraz paroma osobami z rodziny przyszłego męża Dotty. Jeśli to nie sprawi szczególnych trudności. Na koniec Toby Wishnell dorzucił mimochodem, że jemu również przydałoby się nieco przyciąć włosy.

— Ponieważ zamówiony fotograf słynie z wysokich stawek — tłumaczył pastor — a na weselu zgromadzą się niemal

wszyscy mieszkańcy wyspy, zależy im na jak najlepszym wyglądzie. Zawodowi fotografowie nie tak znów często tu zaglądają. Panna młoda, naturalnie, przyzwoicie panią wynagrodzi. To przecież córka Babe'a Wishnella.

— Och. — Pani Pommeroy była pod wrażeniem.

— Czy w takim razie podejmie się pani tego zadania?

— To mnóstwo pracy, pastorze.

— Przyślę po panią Owneya na *New Hope* — dodał Wishnell. — Może pani zostać na Courne Haven tak długo, jak będzie pani potrzebna. To mógłby być dobry sposób na dodatkowy zarobek.

— Chyba nigdy nie obcinałam tyłu ludzi naraz. Sama nie wiem, czy udałoby mi się to zrobić w jeden dzień.

— Może pani wziąć ze sobą pomocnicę.

— Siostrę?

— Oczywiście.

— A Ruth Thomas?

Nastąpiła chwila ciszy.

— Przypuszczam, że tak — zgodził się chłodno pastor. — Jeśli nie jest zbyt zajęta.

— Ruth? Zajęta? — Pani Pommeroy była wyraźnie rozbawiona. Roześmiała się głośno w słuchawkę.

***

Ruth znajdowała się właśnie z Senatorem Addamsem na Plaży Pottera. Przesiadywanie w tym miejscu zaczynało ją już przygnębiać, lecz przychodziła tu, bo nie wiedziała, co ze sobą począć. Spędzała więc na plaży kilka godzin dziennie, dotrzymując towarzystwa Senatorowi. Chciała też mieć na oku Webstera — ze względu na jego matkę, która wciąż się zamartwiała o najstarszego i najbardziej zdziwaczałego syna. Zjawiała się tu również dlatego, że z nikim innym na wyspie nie znajdowała wspólnego ję-

zyka. Nie mogła przecież bez przerwy wysiadywać u pani Pommeroy.

Obserwowanie Webstera przekopującego muł nie należało już jednak do przyjemności. Był to smutny, bolesny widok. Chłopak utracił dawną zręczność i wdzięk. Gramolił się niezgrabnie. Szukał drugiego ciosu, jakby nie mógł się doczekać jego odkrycia, a jednocześnie przeraźliwie się go bał. Ruth sądziła, że pewnego dnia może zniknąć w mule i już się nie wynurzyć. Zastanawiała się, czy nie ma przypadkiem takiego zamiaru. Czy nie planuje najdziwniejszego samobójstwa na świecie.

— Webster musi do czegoś w życiu dążyć — powiedział Senator.

Na samą myśl o tym chłopaku poszukującym celu swojego istnienia Ruth wpadła w jeszcze większe przygnębienie.

— Nie może pan wymyślić mu innego zajęcia?

— Jakiego, Ruth?

— Nie mógłby robić czegoś dla muzeum?

Senator westchnął.

— Mamy już wszystko, co trzeba, poza budynkiem. Bez niego nie możemy się dalej posunąć. A Webster nadaje się tylko do przekopywania błota.

— Już nie tak bardzo.

— Owszem, ma z tym teraz pewne trudności.

— A co pan zrobi, jeśli odszuka drugi cios? Utopi mu pan jeszcze jednego słonia?

— Przyjdzie czas, przyjdzie rada, Ruth.

Webster nie mógł się ostatnio pochwalić żadnymi ciekawymi znaleziskami. Wydobył z mułu tylko kupę śmieci. Znalazł wprawdzie wiosło, nie stare, lecz aluminiowe. („Cudownie!" — zachwycił się Senator, zauważywszy na

twarzy Webstera przejęcie graniczące z szaleństwem. — „Cóż za rzadkość!") Ponadto wykopał sporo pojedynczych butów i rękawiczek gubionych latami przez poławiaczy homarów. A także butelek. Znalazł ich ostatnio bardzo wiele, i to bynajmniej nie starych. W większości plastikowych, po środkach piorących. Nie udało mu się jednak odszukać niczego, co byłoby warte długich godzin spędzonych w zimnym, grząskim mule. Z każdym dniem zdawał się szczuplejszy i bardziej zaniepokojony.

— Myśli pan, że on umrze? — spytała Ruth Senatora.

— Mam nadzieję, że nie.

— Mógłby dostać szału i kogoś zabić?

— Nie sądzę — ocenił Senator.

Tego dnia, kiedy pastor Wishnell zadzwonił do pani Pommeroy, Ruth spędziła na plaży kilka godzin. Oglądała z Addamsem książkę, którą kupiła mu przed miesiącem w sklepie Armii Zbawienia w Concord. Dała mu ją zaraz po powrocie od matki, ale dotychczas nie zdążył jej przeczytać. Twierdził, że ma trudności z koncentracją, ponieważ tak bardzo martwi się o Webstera.

— Jestem pewien, że książka jest ekstra, Ruth — zapewnił. — Dziękuję, że ją tu dziś przyniosłaś.

— Nie ma sprawy — odpowiedziała. — Zauważyłam, że leży u pana na werandzie, i pomyślałam, że może będzie pan miał ochotę ją przejrzeć. No, wie pan, gdyby się pan przypadkiem nudził.

Książka nosiła tytuł *Ukryty skarb: jak i gdzie go szukać. Przewodnik poszukiwacza po zaginionych skarbach świata*. Coś takiego wywołałoby zwykle u Senatora niezmierną ekscytację.

— Na pewno się panu podoba? — spytała Ruth.

— Och, tak. To świetna książka.

— Dowiedział się pan czegoś nowego?

— Szczerze mówiąc, niewiele. Jeszcze jej nie skończyłem. Prawdę powiedziawszy, oczekiwałem, że autorka poda nieco więcej informacji. Z tytułu wynika — ciągnął Senator — że zdradzi, jak odnaleźć konkretne skarby, lecz ona niewiele o tym pisze. Na razie przeczytałem, że jeśli uda się cokolwiek znaleźć, to tylko przypadkowo. Przytacza przykłady ludzi, którym się poszczęściło i znaleźli skarby, choć wcale ich nie szukali. Nie widzę w tym żadnej logiki.

— Dokąd pan już doczytał?

— Do końca pierwszego rozdziału.

— Aha. Pomyślałam, że książka się panu spodoba ze względu na ładne kolorowe ilustracje. Mnóstwo zdjęć zaginionych skarbów. Proszę spojrzeć. Widział pan te jaja Faberge? Sądziłam, że się panu spodobają.

— Jeśli zamieszczają fotografie przedmiotów, Ruth, to chyba znaczy, że nie całkiem zaginęły, prawda?

— Rozumiem pana, Senatorze. Ale to zdjęcia zaginionych skarbów już odnalezionych przez zwyczajnych ludzi, bez niczyjej pomocy. Weźmy tego faceta, który znalazł kielich Paula Revere'a. Dotarł pan już do tego?

— Ach, jeszcze nie — przyznał Senator. Przysłonił oczy i spojrzał na przybrzeżne płycizny. — Chyba zaraz zacznie padać. Mam nadzieję, że nie, bo Webster i tak nie wyjdzie, a już się nabawił strasznego przeziębienia. Powinnaś posłuchać, jak mu rzęzi w płucach.

Ruth odebrała Senatorowi książkę.

— Widziałam tu taki fragment — gdzie to było? Piszą tam, że jakieś dziecko w Kalifornii znalazło tablicę pozostawioną przez sir Francisa Drake'a. Była z żelaza. Widniał na niej napis głoszący, że ta ziemia należy do królowej Elżbiety. Przeleżała nienaruszona ze trzysta lat.

— To ci dopiero.

Ruth poczęstowała Senatora gumą do żucia, lecz Adams nie miał na nią ochoty. Żując, dziewczyna mówiła więc dalej:

— Według autorki najbardziej obfitującym w ukryte skarby miejscem na s'wiecie jest jedna z Wysp Kokosowych.

— Tak piszą w tej twojej książce?

— To pana książka, Senatorze. Przeglądałam ją tylko w drodze powrotnej z Concord i natknęłam się na ten fragment o Wyspie Kokosowej. Autorka twierdzi, że to istny raj dla poszukiwaczy zaginionych skarbów. Ponoć kapitan James Cook zatrzymywał się tam ciągle z łupami. Sam wielki żeglarz Cook!

— Wspaniały żeglarz.

— A poza nim pirat Benito Bonito. I kapitan Richard Davis, i pirat Jean Lafitte. Sądziłam, że to pana zaciekawi...

— Ależ ciekawi, Ruth.

— Wie pan, o czym zwłaszcza pomyślałam? O Wyspie Kokosowej. Jest mniej więcej wielkości Fort Niles. I co pan powie? Czy to nie ironia losu? Czy nie tam powinien pan mieszkać? Mógłby pan szukać tych wszystkich skarbów. Razem z Websterem. Co pan na to, Senatorze?

Rozpadał się rzęsisty deszcz.

— Założę się, że na Wyspie Kokosowej przynajmniej pogoda jest lepsza — dodała i roześmiała się.

— Och, Ruth, nigdzie się stąd nie ruszymy, ani Webster, ani ja. Doskonale o tym wiesz. Nie powinnaś tak mówić, nawet żartem.

Dziewczyna poczuła się dotknięta. Gdy doszła nieco do siebie, odezwała się:

— Jestem pewna, że gdybyście tam pojechali, wrócilibyście bajecznie bogaci.

Senator nie odpowiedział.

Ruth zastanowiła się, dlaczego właściwie drąży ten temat. Jezu, jak desperacko zabrzmiał jej głos. Jak tęskniła za rozmową. To żałosne, lecz brakowało jej długich godzin, które spędzała z Senatorem na plaży, plotąc bzdury. "Wcześniej nie zdarzało się, by ją tak ignorował. Zupełnie do tego nie przywykła. Zalała ją nagła fala zazdrości o Webstera Pommeroya, który całkowicie pochłaniał uwagę Addamsa. Wtedy poczuła się beznadziejnie. Wstała, naciągnęła na głowę kaptur kurtki i spytała:

— Idzie pan?

— To zależy od Webstera, ale on chyba nie zauważył, że pada.

— Nie ma pan nic przeciwdeszczowego, prawda? Przynieść panu?

— Nie, dziękuję.

— Obaj powinniście zejść z plaży, zanim przemokniecie do nitki.

— Czasami wracamy, ale czasami Webster zostaje w wodzie i coraz bardziej przemaka. Zależy, jaki ma nastrój. Chyba zostanę, dopóki nie postanowi iść do domu. Rozwiesiłem u siebie pranie. Zdejmiesz je, zanim zmoknie?

Deszcz siekł równo i mocno.

— Chyba już nie zdążę, Senatorze.

— Pewnie masz rację. Daj sobie spokój.

***

Ruth pobiegła do pani Pommeroy. Deszcz zmienił się w ulewę. Rhonda i Kitty znajdowały się w dużej sypialni na piętrze i wyciągały z szaf ubrania. Kitty siedziała na łóżku i przyglądała się siostrze. Popijała kawę zaprawioną dżinem. Ruth dobrze o tym wiedziała, więc przewróciła oczami. Miała już trochę powyżej uszu alkoholizmu Kitty.

— Powinnam po prostu uszyć coś nowego — stwierdziła pani Pommeroy. — Ale zupełnie nie mam na to czasu! O, jest moja Ruth. Całkiem przemokłaś.

— Co robicie?

— Szukamy ładnej sukienki.

— Na jaką okazję?

— Zostałam gdzieś zaproszona.

— Dokąd? — zaciekawiła się Ruth.

Kitty wybuchnęła śmiechem, a za nią pani Pommeroy.

— Ruth — zaczęła — nie uwierzysz. Jedziemy na ślub na Courne Haven. Jutro!

— Powiedz jej, kto cię zaprosił! — krzyknęła Kitty.

— Pastor Wishnell! — wyjawiła Rhonda. — To on zadzwonił.

— Jedźcie sobie na złamanie karku.

— Ja na pewno pojadę!

—. Kitty jedzie z panią na Courne Haven?

— Pewnie. I ty też.

—Ja?

— Pastor chce, żebyś też tam była. Córka Babe'a Wish—nella wychodzi za mąż, a ja jadę ją uczesać! Biorę was do pomocy. Uruchomimy tam na chwilę salon fryzjerski z prawdziwego zdarzenia.

— Elegancja — Francja.

— Właśnie — potwierdziła pani Pommeroy.

***

Wieczorem Ruth spytała ojca, czy pozwoli jej pojechać na weselisko Wishnellów. Nie od razu odpowiedział. Coraz mniej ostatnio rozmawiali.

— Pastor Wishnell mnie zaprosił — dodała.

— Rób, co chcesz — odparł Stan Thomas. — Wszystko mi jedno, z kim spędzasz czas.

Nazajutrz, w sobotę, pastor wysłał na Fort Niles Owneya. O siódmej rano w dniu ślubu Dotty Wishnell i Charliego Burdena. Chłopak czekał na panią Pommeroy, Kitty i Ruth Thomas na końcu nabrzeża. Odwiózł siostry Pommeroy na *New Hope*. Ruth z przyjemnością go obserwowała. Po chwili po nią wrócił. Zeszła po drabince i wskoczyła do łódki. Owney płynął ze wzrokiem wbitym w dno łodzi — nie odważył się spojrzeć na dziewczynę. Ruth zaś na próżno szukała odpowiednich słów i w końcu w ogóle się nie odezwała. Samo patrzenie na niego sprawiało jej wielką radość. Podpłynął do lśniącej czystością łodzi misyjnej stryja, skąd machały do nich jak turystki na rejsie przechylone przez reling pani Pommeroy i Kitty.

— Nieźle ci idzie, chłopcze! — krzyknęła starsza z sióstr.

— Co u ciebie? — spytała Owneya Ruth.

Jej pytanie tak go przestraszyło, że aż przestał wiosłować. Zamarł.

— W porządku — odparł. Wpatrywał się w nią. Bez rumieńców i zażenowania.

— To dobrze — odpowiedziała.

Przez chwilę kołysali się na wodzie.

— U mnie też całkiem nieźle — dodała.

— OK — skwitował to Owney.

— Jeśli chcesz, możesz wiosłować dalej.

— OK — powtórzył i chwycił za wiosła.

— Jesteś krewnym panny młodej? — spytała Ruth, a Owney znów zamarł.

— To moja kuzynka — odparł. Znów kołysali się na wodzie.

— Możesz wiosłować i jednocześnie ze mną rozmawiać — powiedziała dziewczyna. Tym razem Wishnell się zaczerwienił. W milczeniu pomógł jej wysiąść.

— Milutki — szepnęła pani Pommeroy do ucha Ruth, gdy wspięła się na pokład *New Hope*.

— Kogo widzę! — wrzasnęła Kitty. Ruth odwróciła się i ujrzała Cala Cooleya. Wychodził z mostka kapitańskiego.

Wydała okrzyk przerażenia, tylko po części udawanego.

— Na miłość boską! On się wszędzie wciśnie.

Kitty zarzuciła ręce na szyję byłego kochanka, lecz Cal wyswobodził się z jej objęć.

— Przestań, wystarczy.

— Co tu, do diabła, robisz? — zdziwiła się Ruth.

— Pilnuję — odpowiedział. — Też się cieszę, że cię widzę.

— Jak się tu znalazłeś?

— Owney mnie przywiózł, jeszcze przed wami. Nie myślisz chyba, że Staruszek Cal przypłynął tu wpław.

Podróż na Courne Haven upłynęła im błyskawicznie. Gdy wysiedli, Owney zaprowadził ich do zaparkowanego na nabrzeżu cytrynowego cadillaca.

— Czyj to samochód? — zainteresowała się Ruth.

— Stryja.

Okazało się, że wóz pasował kolorem do siedziby pastora. Wishnell mieszkał niedaleko od portu, w pięknym, pomalowanym na żółto domu z lawendowymi wykończeniami. Był to trójkondygnacyjny wiktoriański budynek z wieżyczką i okrągłym gankiem, wokół którego z haków zwieszały się umieszczone w odstępach trzech stóp donice z jaskrawo kwitnącymi roślinami. Wzdłuż kamiennej ścieżki prowadzącej do wejścia posadzono lilie. Ogród za domem okazał się z kolei małym rosarium otoczonym niskim ceglanym murem. Po drodze Ruth dostrzegła na

Courne Haven kilka innych, równie pięknych domów. Nie odwiedzała tej wyspy od dzieciństwa, a wtedy była jeszcze zbyt mała, by dostrzec różnice pomiędzy nią a Fort Niles.

— Kto mieszka w tych wielkich domach? — spytała Owneya.

— Letnicy — odpowiedział zamiast niego Cal Coo—ley. — Macie szczęście, że u was ich nie ma. Pan Ellis trzyma ich z daleka. To jedna z wielu przysług, jakie wam oddaje. Letnicy to hołota.

Niemniej właśnie do nich należały żaglówki i łodzie wyścigowe pływające wokół wyspy. Po drodze na Courne Haven Ruth dostrzegła dwie takie motorówki, srebrzyste, przemykające obok z niesamowitą szybkością. Płynęły bardzo blisko siebie. Zdawało się, że jedna z nich całuje dziobem tyłek drugiej. Wyglądały jak ważki, które uganiają się za sobą tuż przed kopulacją w przesyconym solą powietrzu.

Pastor Wishnell umieścił stanowisko fryzjerskie pani Pommeroy w ogrodzie na tyłach domu, przed białym treliażem obrośniętym różowymi różami. Wyniósł tam stołek oraz niewielki stolik, gdzie mogła położyć nożyce oraz grzebienie i postawić wysoką szklankę z wodą do ich zamaczania. Kitty usiadła na niskim ceglanym murku i wypaliła kilka papierosów. Chyłkiem zagrzebała niedopałki w ziemi. Owney siedział na schodkach tylnego ganku w swoim dziwnie czystym rybackim ubraniu. Ruth dosiadła się do niego. Trzymał ręce na kolanach. Dziewczyna przypatrywała się jego palcom porośniętym wijącymi się złocistymi włoskami. Miał takie czyste dłonie. Dla Ruth był to niecodzienny widok.

— Od kiedy twój stryj tu mieszka? — spytała.

— Od zawsze.

— A wcale na to nie wygląda. Czy mieszka tu ktoś jeszcze?

—Ja.

— A poza tobą?

— Pani Post.

— Kim jest pani Post?

— Zajmuje się domem.

— Może powinniście trochę pomóc? — spytał Cal Cooley. Zaszedł ich bezgłośnie od tyłu, po czym zajął miejsce obok Ruth. Siedziała teraz pomiędzy mężczyznami.

— To chyba niepotrzebne, Cal.

— Stryj chce, żebyś znów popłynął na Fort Niles, Owney — poinformował Cooley — żeby przywieźć pana Ellisa.

— Pan Ellis przyjedzie na ten ślub? — zdziwiła się Ruth.

— Owszem.

— Przecież nigdy tu nie bywa.

— Mimo to przyjedzie. Owney, czas ruszać. Popłynę z tobą.

— Mogę się z tobą zabrać? — spytała chłopaka Ruth.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Cooley.

— Nie ciebie pytałam, Cal. Owney, mogę się z tobą zabrać?

Zbliżał się jednak pastor Wishnell. Na jego widok Owney skoczył na równe nogi i zapewnił:

— Już płynę. W tej chwili.

— Pośpiesz się — polecił pastor i wszedł na ganek. Obejrzał się przez ramię i dodał: — Ruth, pani Pommeroy zaraz będzie cię potrzebowała.

— Nie na wiele się przydam — odparła dziewczyna, ale

pastora i Owneya już nie było. Każdy oddalił się w swoją stronę.

Cal spojrzał na Ruth i z satysfakcją uniósł brew.

— Ciekawe, dlaczego cię tak ciągnie do tego chłopaka.

— Bo mnie tak cholernie nie wkurwia, Cal.

— A ja cię wkurwiam, Ruth?

— Nie, skąd. Nie ciebie miałam na myśli.

— Podobała mi się nasza mała wyprawa do Concord. Po powrocie pan Ellis zadał mi wiele pytań. Chciał wiedzieć, jak ci się układa z matką i czy czułaś się tam jak w domu. Powiedziałem mu, że macie świetny kontakt i że było ci tam prawie jak w rodzinnych pieleszach, ale jestem przekonany, że i tak zechce z tobą o tym porozmawiać. Na dobrą sprawę mogłabyś w wolnej chwili do niego napisać i podziękować za opłacenie wyjazdu. Zależy mu na dobrych relacjach, zważywszy na to, jak bliskie są Ellisom twoja matka i babka. Chciałby też, żebyś spędzała jak najwięcej czasu poza Fort Niles. Zapewniłem go, że w każdej chwili z przyjemnością zabiorę cię do Concord i że podróż wspaniale nam upłynęła. Naprawdę tak myślę, Ruth. — Wpatrywał się w nią spod ciężkich powiek. — Chociaż nie mogę się wyzbyć przeczucia, że wylądujemy kiedyś w jakimś motelu przy drodze numer 1 i oddamy się wyuzdanym igraszkom.

Ruth zaniosła się śmiechem.

— Wybij to sobie z głowy.

— Co cię tak rozbawiło?

— Staruszek Cal — odpaliła Ruth. Nie powiedziała całej prawdy. Śmiała się, ponieważ postanowiła — jak robiła to często z różnym skutkiem — że Cal Cooley się do niej nie zbliży. Nie pozwoli na to. Obojętnie, ilu podstępnych sztuczek by użył, nie da za wygraną. Na pewno nie dzisiaj.

— Wiem, że w twoim przypadku rozpustny seks jest tylko kwestią czasu, Ruth. Wszystko na to wskazuje.

— Zabawmy się teraz inaczej — zaproponowała Ruth. — Zostaw mnie chociaż na chwilę w spokoju.

— Aha, a ty trzymaj się z dala od Owneya Wishnel—la — rzucił na odchodnym Cal. Zszedł do ogrodu. — To jasne, że chcesz go omotać, ale to nie w smak nikomu.

— Nikomu? — zawołała za nim Ruth. — Naprawdę, Cal? Nikomu?

— Chodź tu, wielkoludzie! — krzyknęła na jego widok Kitty Pommeroy. Cooley odwrócił się na pięcie i sztywnym krokiem odszedł w przeciwnym kierunku. Wracał na Fort Niles po pana Ellisa.

***

Panna młoda, Dotty Wishnell, była sympatyczną blondynką po trzydziestce. Miała już kiedyś męża, który śmiertelnie zachorował na raka jądra. Ona i jej sześcioletnia córka Candy były pierwszymi klientkami pani Pommeroy. Dotty przyszła do domu pastora w płaszczu kąpielowym, z mokrymi, nieuczesanymi włosami. Ruth pomyślała, że to dość swobodne zachowanie jak na pannę młodą w dniu ślubu, i natychmiast ją polubiła. Miała ładną twarz, na której odbijało się jednak wyczerpanie. Nie nałożyła jeszcze makijażu. Żuła gumę. Jej czoło oraz okolicę ust żłobiły głębokie zmarszczki.

Córka Dotty była niezwykle spokojna. Miała zostać druhną matki, co Ruth uznała za okropnie poważną funkcję dla sześciolatki. Candy zdawała się jednak stawać na wysokości zadania. Miała nad wiek dojrzały wyraz twarzy, zupełnie niepasujący do dziecka.

— Denerwujesz się, że będziesz druhną? — spytała ją pani Pommeroy.

— Oczywiście, że nie. — Candy miała zacięte usta starzejącej się królowej Wiktorii. Robiła krytyczne miny, a buzia dodawała jej stanowczości. — Sypałam już kwiaty na ślubie panny Dorphman, chociaż nie jesteśmy nawet spokrewnione.

— Kto to jest panna Dorphman?

— Oczywiście moja nauczycielka.

— Oczywiście — powtórzyła Ruth, na co Kitty i pani Pommeroy się roześmiały. Dotty im zawtórowała.

Candy spojrzała na cztery otaczające ją kobiety, jakby się nimi rozczarowała.

— Świetnie — powiedziała, jakby nie pierwszy raz zdarzał jej się równie irytujący dzień, choć wcale nie miała na to ochoty. — Gorzej być nie może.

Dotty Wishnell poprosiła panią Pommeroy, by zajęła się najpierw Candy i sprawdziła, czy uda się zakręcić jej cienkie brązowe włosy. Chciała, by córka wyglądała „uroczo". Rhonda zapewniła, że to żadna sztuka sprawić, by tak urocze dziecko uroczo się prezentowało. Obiecała też, że uczyni wszystko, co w jej mocy, żeby wszyscy byli zadowoleni.

— Mogłabym jej zrobić śliczną grzyweczkę — zaproponowała.

— Żadnych grzywek — zaoponowała Candy. — Wykluczone.

— Nawet nie wie, co to jest — odezwała się jej matka.

— Ależ wiem, mamo — zaprotestowała Candy.

Pani Pommeroy czesała dziewczynkę, a Dotty z boku obserwowała jej pracę. Kobiety wdały się w zażyłą rozmowę, choć nigdy przedtem się ze sobą nie zetknęły.

— Na szczęście Candy nie będzie musiała zmieniać nazwiska — opowiadała Dotty. — Jej nowy tata też jest

z Burdonów. Może się pani zdziwi, ale mój pierwszy mąż i Charlie byli stryjecznymi braćmi. Charlie był drużbą na moim poprzednim ślubie, a dziś sam się ze mną żeni. Powiedziałam mu wczoraj: „Nigdy nie wiadomo, jak się życie potoczy", a on mi na to „Święta racja". Obiecał, że adoptuje Candy.

— Ja też straciłam pierwszego męża — wyznała pani Pommeroy. — Innego zresztą nie miałam. Byłam młodziutka, jak pani. To prawda: człowiek nie zna dnia ani godziny.

— Jak umarł pani mąż?

— Utonął.

— A jak się nazywał?

— Pommeroy, kochana.

— Chyba to sobie przypominam.

— To było w 1967. Ale nie trzeba dziś o tym rozmawiać. Przecież świętujemy.

— Biedactwo.

— Nie, to z pani biedactwo. Och, Dotty, proszę się o mnie nie martwić. Moje nieszczęście to już zamierzchła przeszłość. A pani mąż zmarł zaledwie rok temu, prawda? Tak mówił pastor Wishnell.

— W zeszłym roku — odpowiedziała Dotty, patrząc przed siebie. Kobiety przez chwilę milczały. — 20 marca 1975.

— Tatuś umarł — odezwała się Candy.

— Nie mówmy dziś o tym — poprosiła pani Pommeroy, kręcąc wilgotnym palcem kolejny idealny pierścionek. — Mamy dziś święto. Twoja mama wychodzi za mąż.

— Cóż, dorobię się dzisiaj kolejnego męża, to pewne — potwierdziła Dotty. — Nowego. Na tej wyspie bez męża ani rusz. A ty będziesz miała nowego tatusia, Candy. Prawda?

Dziewczynka nie zdradziła, co o tym sądzi.

— Czy Candy ma tu koleżanki? — spytała pani Pommeroy.

— Nie — zaprzeczyła Dotty. — W pobliżu mieszka kilka nastolatek, ale zabawa z Candy to dla nich żadna atrakcja. Zresztą w przyszłym roku wyjeżdżają do szkoły na kontynent. Za to w sąsiedztwie pełno małych chłopców.

— Z Ruth było zupełnie tak samo! Bawiła się tylko z moimi synami.

— To pani córka? — zaciekawiła się Dotty.

— Właściwie tak — odpowiedziała pani Pommeroy. — Wyrosła wśród samych chłopaków.

— Było ci ciężko? — spytała dziewczynę Dotty.

— Fatalnie — odparła Ruth. — Kompletnie się załamałam.

Na twarzy Dotty odmalowało się zmartwienie.

— Ona się tylko przekomarza — pośpieszyła z wyjaśnieniem pani Pommeroy. — Wszystko było w porządku. Ruth uwielbiała moich synów. Traktowała ich jak braci. Candy też sobie poradzi.

— Myślę, że Candy chciałaby czasami być bardziej dziewczęca i bawić się jak dziewczynka — wyznała Dotty. — Jestem jedyną dziewczyną, jaką ma do dyspozycji, ale się ze mną nudzi. Przez cały rok nie miała ze mnie żadnej pociechy.

— To dlatego, że umarł tata — wtrąciła się córka.

— Nie trzeba o tym dzisiaj rozmawiać, kochanie — powtórzyła pani Pommeroy. — Twoja mama wychodzi za mąż. Dziś świętujemy, maleńka.

— Szkoda, że w okolicy brakuje chłopców w moim wieku — odezwała się Kitty, jednak nikt poza Ruth zdawał się tego nie słyszeć. Dziewczyna prychnęła zniesmaczona.

— Zawsze pragnęłam mieć córeczkę — powiedziała pani

Pommeroy. — Ale urodziłam tabun chłopaków. Więc czy mi to sprawia frajdę? Czy czesanie Candy to dla mnie przyjemność? Przecież moi synowie nie pozwoliliby mi się dotknąć. A Ruth nosiła zawsze krótkie włosy, więc nie miałam pola do popisu.

— To pani mi je obcinała — zauważyła Ruth. — Chciałam mieć długie, jak pani, ale pani je zawsze skracała.

— Bo ich nie czesałaś, kochanie.

— Ja potrafię się uczesać — pochwaliła się Candy.

— Na pewno, kochana.

— Tylko bez grzywki.

— W porządku — zgodziła się pani Pommeroy. — Nie zrobimy ci grzywki, chociaż byłoby ci w niej bardzo do twarzy. — Z wielką wprawą obwiązała loki na głowie dziewczynki szeroką białą wstążką. — Uroczo? — zwróciła się do Dotty.

— Uroczo — potwierdziła kobieta. — Ślicznie. Wspaniale się pani spisała. Nigdy nie mogę jej przekonać, żeby spokojnie posiedziała, i nie mam pojęcia o układaniu włosów. To widać gołym okiem. Wystarczy tylko na mnie spojrzeć. Na więcej mnie nie stać.

— Gotowe. Dziękuję, Candy. — Pani Pommeroy schyliła się i pocałowała dziewczynkę w policzek. — Byłaś bardzo dzielna.

— Oczywiście — odparła Candy.

— Oczywiście — powtórzyła Ruth.

— Teraz pani, Dotty. Uczeszemy pannę młodą, żeby mogła iść się wystroić, a potem zajmiemy się przyjaciółmi rodziny. Później się ich zawoła. Jak mam panią uczesać?

— Nie wiem. Najważniejsze, żebym wyglądała na szczęśliwą — poleciła Dotty. — Uda się?

— Szczęśliwej panny młodej nie skryje nawet kiepska

fryzura — zapewniła pani Pommeroy. — Mogłabym zawinąć pani głowę w ręcznik, ale jeśli jest pani szczęśliwa, na ślubie i tak wyglądałaby pani pięknie.

— Tylko Bóg może zapewnić pannie młodej szczęście — zawyrokowała nagle spoważniała Kitty.

Dotty zamyśliła się nad tym i westchnęła.

— Cóż — powiedziała i wypluła gumę w wydobytą z kieszeni płaszcza kąpielowego sfatygowaną chusteczkę — niech pani zobaczy, co się da zrobić. Proszę uczynić wszystko, co w pani mocy.

***

Pani Pommeroy zabrała się do układania ślubnej fryzury Dotty Wishnell, a tymczasem Ruth poszła obejrzeć dom pastora. Nie mogła się połapać, dlaczego urządzono go tak subtelnie i kobieco. Przemierzyła długi zaokrąglony ganek z wiklinowymi meblami i poduszkami w żywych barwach. To pewnie dzieło tajemniczej pani Post. Zauważyła karmnik dla ptaków w kształcie domku, pomalowany na radosny czerwony kolor. Wiedząc, że posuwa się zbyt daleko, lecz jednocześnie wiedziona ciekawością, weszła do środka szerokimi przeszklonymi drzwiami. Znalazła się w małym saloniku. Na stoliczkach przy kanapie leżały książki w różnobarwnych okładkach. Oparcia sofy i krzeseł zdobiły ażurowe serwetki.

Następnie minęła pokój dzienny wyłożony tapetą w bladozielone lilie. Przy kominku przycupnął ceramiczny pers, a na oparciu różowej kanapy rozłożył się prawdziwy pręgowany kocur, który popatrzył na Ruth i znów beztrosko pogrążył się we śnie. Dziewczyna dotknęła rozłożonego na bujaku afgana ręcznej roboty. To tu mieszka pastor Wishnell? Tu mieszka Owney? Ruszyła dalej. Kuchnia pachniała wanilią, na blacie stało kawowe ciasto. Na tyłach

Ruth dostrzegła schody. Co jest na górze? Chyba oszalała, że tak tu myszkuje. Jeśli ktoś ją nakryje, będzie się musiała gęsto tłumaczyć z tego wtargnięcia na piętro. Nie mogła się jednak doczekać, aż odnajdzie sypialnię Owneya. Chciała się przekonać, gdzie sypia.

Wspięła się stromymi schodami na górę i zajrzała do nieskazitelnie czystej sypialni z wiszącą w oknie paprotką i kawałeczkiem lawendowego mydła w mydelniczce nad umywalką. Zauważyła oprawioną w ramkę fotografię całujących się dziewczynki i chłopca. Pod spodem widniał różowy napis NAJLEPSI PRZYJACIELE.

Następnie skierowała się do drzwi sypialni wypełnionej ułożonymi na poduszkach pluszowymi maskotkami. Kolejny pokój wyposażony był w piękne łóżko z dwoma zagłówkami i osobną łazienkę. W ostatnim stało jednoosobowe łóżko nakryte pledem w róże. Gdzie śpi Owney? Na pewno nie z misiami. I nie w eleganckim łożu. Ruth zupełnie nie mogła się zorientować. W ogóle nie czuła w tym domu jego obecności.

Kontynuowała jednak poszukiwania. Weszła na drugie piętro. Było duszne, ze spadzistym sufitem. Ujrzawszy uchylone drzwi, odruchowo je pchnęła. I natknęła się na pastora Wishnella.

— Och — wykrztusiła.

Spojrzał na nią znad deski do prasowania. Miał na sobie czarne spodnie, lecz był bez koszuli. Właśnie ją prasował. Miał długi tors, który zdawał się zupełnie pozbawiony mięśni, tłuszczu czy owłosienia. Podniósł z deski koszulę, wsunął ręce w rękawy i powoli, z dołu do góry, pozapinał guziki.

— Szukałam Owneya — wyjaśniła Ruth.

— Popłynął na Fort Niles po pana Ellisa.

— Naprawdę? Przepraszam.

— Dobrze pani o tym wie.

— Ach, racja. Tak. Wiem. Przepraszam.

— Nie jest pani u siebie, panno Thomas. Skąd pani przyszło do głowy, że wolno tu wchodzić jakby nigdy nic?

— Ma pan słuszność. Przepraszam, że panu przeszkodziłam. — Ruth wycofała się na korytarz.

— Nie, panno Thomas, proszę tu wrócić — domagał się pastor.

Ruth zatrzymała się na chwilę, a potem weszła z powrotem do pokoju. O kurwa, pomyślała tylko, po czym rozejrzała się wokoło. Tak, z pewnością znajdowała się w pokoju pastora — pierwszym pomieszczeniu w tym domu, którego urządzenie miało jakiś sens. Był pusty i surowy. Ściany i sufit pomalowano na biało, pobielono nawet pozbawioną dywanu drewnianą podłogę. W powietrzu unosił się lekki zapach pasty do butów. Wąskie, mosiężne łóżko Wishnella z jedną cienką poduszką przykrywał niebieski wełniany koc. Pod nim stała para skórzanych kapci, a obok zupełnie pusty stół. Jedyne okno nie miało firanek, przysłonięte było wyłącznie roletą. Na komodzie leżał cynowy talerzyk z kilkoma monetami. W pokoju dominowało wielkie biurko z ciemnego drewna z elektryczną maszyną do pisania, stosem papieru i pełną ołówków puszką po zupie. Obok ustawiono biblioteczkę z opasłymi tomiskami. Nad biurkiem wisiała mapa wybrzeża Maine z rozmaitymi naniesionymi ołówkiem oznaczeniami. Ruth odruchowo odszukała Fort Niles. Wyspa nie była wyróżniona. Dziewczyna zastanowiła się, co to mogło znaczyć. Nie do zbawienia? Niewdzięczna?

Pastor wyciągnął wtyczkę z kontaktu, owinął przewód wokół żelazka i postawił je na biurku.

— Ma pan ładny dom — zagadnęła Ruth. Włożyła ręce do kieszeni, starając się wyglądać swobodnie, jakby została tu zaproszona.

Wishnell złożył deskę do prasowania i umieścił ją w szafie.

— Czy nosi pani imię biblijnej Ruth? — spytał. — Proszę usiąść.

— Nie wiem, po kim zostałam tak nazwana.

— Nie zna pani Biblii?

— Niespecjalnie.

— Ruth to wspaniała starotestamentowa postać. Wzór kobiecej wierności.

— Ach tak?

— Proszę przeczytać Biblię, Ruth. To może sprawić pani przyjemność. Pełno tam wspaniałych opowieści.

Właśnie. Opowieści. Przygodowych, pomyślała dziewczyna. Była ateistką. Zdecydowała o tym rok wcześniej, gdy poznała to słowo, i wciąż nie zmieniła zdania. Nikomu o tym nie powiedziała, lecz sama świadomość podjętego postanowienia była bardzo emocjonująca.

— Dlaczego pani nie pomaga pani Pommeroy? — spytał Wishnell.

— Właśnie zamierzałam to zrobić — powiedziała Ruth, dostrzegłszy szansę ucieczki.

— Ruth — zwrócił się do niej pastor — proszę usiąść. Może pani zająć miejsce na łóżku.

Dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty siadać akurat tam, na łóżku Wishnella, jednak zrobiła, o co prosił.

— Czy nie ma pani czasami dość Fort Niles? — spytał. Czterema płynnymi ruchami wyprostowanych dłoni

włożył koszulę w spodnie. Miał wilgotne włosy. Ruth zobaczyła na nich jeszcze ślady zębów grzebienia. Jego skóra była blada jak dobry gatunkowo len. Pastor oparł się o biurko, skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na nią.

— Spędziłam tam zbyt mało czasu, żeby się zmęczyć — odpowiedziała.

— Z powodu szkoły?

— Raczej dlatego, że Lanford Ellis wciąż mnie gdzieś' wysyła. — Pomyślała, że to zabrzmiało trochę żałośnie, więc niefrasobliwie wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że to właściwie nic wielkiego.

— Uważam, że pan Ellis robi to dla pani dobra. Rozumiem, że opłacił pani szkołę i zaproponował pokrycie kosztów nauki w college'u. Dysponuje ogromnymi środkami, a pani przyszłość najwyraźniej nie jest mu obojętna. Nie ma w tym chyba niczego złego, prawda? Zasługuje pani na coś lepszego niż Fort Niles. Nie sądzi pani?

Ruth milczała.

— Wie pani, ja też nie spędzam zbyt wiele czasu na mojej wyspie. Prawie nie bywam na Courne Haven. W ciągu ubiegłych dwóch miesięcy wygłosiłem dwadzieścia jeden kazań, odwiedziłem dwadzieścia dziewięć rodzin i wziąłem udział w jedenastu spotkaniach modlitewnych. Czasami tracę rachubę ślubów, pogrzebów i chrzcin. Dla wielu parafian jestem jedynym łącznikiem z Panem, lecz wzywają mnie również, bym im doradził. Proszą mnie o przeczytanie dokumentów handlowych czy pomoc w wyborze nowego samochodu. O mnóstwo rzeczy. Zdziwiłaby się pani. Rozstrzygam spory między ludźmi, którzy w przeciwnym wypadku zaczęliby ze sobą walczyć. Jestem rozjemcą. Nie mam łatwego życia. Niekiedy chciałbym zostać w domu i po prostu się nim cieszyć.

Wskazał ręką wokół, precyzując, co ma na myśli. Jego gest był jednak oszczędny i zdawał się dotyczyć jedynie sypialni, w której — jak zauważyła Ruth — nie było raczej miejsca na rozrywkę.

— Mimo to opuszczam dom — ciągnął pastor — ponieważ, widzi pani, czekają mnie obowiązki. Odwiedziłem już w życiu wszystkie wyspy w Maine. Przyznam, że czasami zdają się wyglądać tak samo. Niemniej odnoszę wrażenie, że Fort Niles jest wśród nich najbardziej odosobniona. I z pewnością najmniej religijna.

Bo cię nie lubimy, pomyślała Ruth, lecz powiedziała:

— Doprawdy?

— Wielka szkoda, bo osamotnieni ludzie najbardziej potrzebują braterstwa czy podpory. Fort Niles to dziwne miejsce, Ruth. Jego mieszkańcy mieli w ciągu wieków niejedną okazję, by bardziej zaangażować się w wydarzenia rozgrywające się poza wyspą. Są jednak powolni i podejrzliwi. Nie wiem, czy wiek pozwala pani pamiętać dyskusje na temat budowy terminalu promowego?

— Oczywiście.

— W takim razie wie pani o tej porażce. Przez to wyspy mogą odwiedzać jedynie turyści z własnymi łodziami. A wyprawa każdego ich mieszkańca do Rockland wymaga uruchomienia kutra. Każdy gwóźdź, puszka fasolki czy sznurowadło musi przypłynąć na Fort Niles na czyimś kutrze.

— Mamy sklep.

— Och, Ruth, niech pani da spokój. Przecież on właściwie nie zasługuje na tę nazwę. A każda kobieta z wyspy, która chciałaby kupić trochę jedzenia czy pójść do lekarza, musi prosić jakiegoś rybaka o podwiezienie.

— Na Courne Haven jest tak samo — powiedziała Ruth.

Pomyślała, że poznała już poglądy pastora na ten temat i nie ma ochoty ponownie ich wysłuchiwać. Co chciał przez to osiągnąć? Najwyraźniej to kazanko sprawiało mu przyjemność. Ja to mam szczęście, pomyślała ponuro dziewczyna.

— Cóż, losy Courne Haven i Fort Niles się splatają. A Fort Niles wszystko spowalnia. Pani wyspa jako ostatnia wprowadza jakiekolwiek zmiany. Mężczyźni w większości nadal samodzielnie wykonują więcierze, ponieważ podchodzą do drucianych z zupełnie nieuzasadnioną nieufnością.

— Nie wszyscy.

— Wie pani, Ruth, na całym wybrzeżu Maine poławiacze homarów zaczynają rozważać zakup łodzi z włókna szklanego. To tylko przykład. A ile czasu upłynie, zanim włókno szklane trafi na Fort Niles? Wie pani równie dobrze jak ja. Nietrudno sobie wyobrazić reakcję Angusa Addamsa. Fort Niles zawsze się sprzeciwia. Bardziej niż inne wyspy w stanie Maine opierała się ograniczeniu rozmiaru wyławianych homarów. Teraz z kolei wszędzie mówi się o dobrowolnej redukcji dozwolonej liczby zastawianych więcierzy.

— Nigdy nie wprowadzimy takich ograniczeń — zaoponowała Ruth.

— Decyzja może zapaść odgórnie, młoda damo. Jeśli rybacy z pani wyspy nie zrobią tego z własnej woli, trzeba będzie wprowadzić w życie odpowiednie przepisy, a wtedy wokół waszych łodzi zaroi się od strażników, jak po ograniczeniu rozmiaru poławianych homarów. Oto, w jaki sposób na Fort Niles wprowadza się innowacje. Trzeba je wam wciskać do gardła, aż zaczniecie się dławić.

Czy on naprawdę to powiedział? — zdumiała się w myśli

ślach Ruth. Wpatrywała się w pastora. Leciutko się uśmiechał i mówił spokojnym, łagodnym tonem. Dziewczynę przeraziła jego złośliwa mówka wygłaszana z taką łatwością. Rzecz jasna, wszystko, o czym mówił, odpowiadało prawdzie, ale skąd ta wyniosłość?! Sama swego czasu nie przebierała w słowach, krytykując Fort Niles, ale miała do tego prawo, bo stamtąd pochodzi. Jednak wysłuchiwanie tych protekcjonalnych impertynencji od kogoś tak zadowolonego z siebie i nieatrakcyjnego przekraczało granice jej wytrzymałości. Nagle poczuła, że oburzona staje w obronie swojej wyspy. Jak on śmie!

— Świat się zmienia, Ruth — ciągnął Wishnell. — Kiedyś wielu rybaków z Fort Niles zajmowało się połowem morszczuka, a teraz nie starczyłoby go w Atlantyku, by nakarmić kociaka. Powoli zanika też karmazyn, a wkrótce jedyną przynętą na homary będą śledzie. A niektórych śledzi używanych dziś przez rybaków nie ruszyłyby nawet mewy. Kiedyś kwitło wydobycie granitu, na którym wielu się wzbogaciło, ale i to zamarło. Z czego zamierzają żyć rybacy z pani wyspy za dziesięć czy dwadzieścia lat? Czy liczą na to, że każdy dzień będzie zawsze podobny do następnego? Że połowy homarów będą wiecznie tak obfite? Będą łowić, aż zostanie tylko jeden homar, a potem na śmierć się o niego pobiją. Przecież pani o tym wie, Ruth. Zna pani tych ludzi. Nigdy nie zgodzą się na to, co służy ich własnemu dobru. Sądzi pani, że ci idioci pójdą po rozum do głowy i utworzą spółdzielnię rybacką?

— To wykluczone — odparła Ruth. Idioci?

— Tak twierdzi pani ojciec?

— Wszyscy tak mówią.

— Cóż, może mają rację. Musieli pokonać wiele trudności. Kiedyś pani przyjaciel Angus Addams przyszedł na

zebranie spółdzielni na Courne Haven, jeszcze w okresie, gdy nasz Danny Burden niemal zrujnował własną rodzinę i sam przypłacił życiem próbę stworzenia organizacji obejmującej obie wyspy. Byłem tam wtedy. Widziałem, jak zachowuje się Angus Addams. Zjawił się z torbą popcornu. Usiadł w pierwszym rzędzie, a tymczasem bardziej postępowi ludzie omawiali sposoby współpracy wysp na rzecz obopólnej korzyści. Addams siedział z uśmiechem, opychając się popcornem. Gdy go spytałem, co właściwie robi, odpowiedział: „Oglądam przedstawienie. Większa frajda niż kino". Tacy jak on uważają, że najlepiej pracować tylko dla siebie. Mam rację? Czy tak sądzą wszyscy na pani wyspie?

— Nie znam zdania każdego z osobna — odparła Ruth.

— Jest pani inteligentną młodą kobietą. Jestem pewien, że świetnie pani wie, co myślą.

Ruth zagryzła wargę.

— Chyba powinnam pomóc pani Pommeroy — powiedziała.

— Dlaczego traci pani czas na takich ludzi? — spytał pastor.

— Pani Pommeroy jest moją przyjaciółką.

— Nie mówię o pani Pommeroy. Mówię o rybakach z Fort Niles. O Angusie Addamsie, Simonie Adamsie...

— Senator Simon nie zajmuje się połowem homarów. Nigdy nawet nie wsiadł do łodzi.

— Mam na myśli takich ludzi, jak Len Thomas, Don Pommeroy, Stan Thomas...

— Stan Thomas jest moim ojcem, proszę pana.

— Doskonale o tym wiem.

Ruth wstała.

— Proszę usiąść — polecił pastor Wishnell.

Usiadła. Twarz jej płonęła. Natychmiast pożałowała, że go posłuchała. Powinna była wyjść.

— Fort Niles to nie miejsce dla pani, Ruth. Rozpytywałem trochę o panią i przekonałem się, że ma pani inne możliwości. Powinna pani z nich skorzystać. Nie każdy ma tyle szczęścia. Na przykład Owney nie dostał takiej szansy. Wiem, że mój bratanek panią zainteresował.

Ruth jeszcze bardziej spąsowiała.

— Weźmy w takim razie Owneya. Co go czeka? To moje zmartwienie, nie pani, ale pomyślmy o tym razem. Pani sytuacja jest znacznie lepsza niż jego. Faktycznie nie ma pani przyszłości na swojej wyspie. Każdy twardogłowy głupek z Fort Niles jest na to żywym dowodem. Nad tą wyspą ciąży jakieś fatum. Nie ma nikogo, kto by nią pokierował. Za to jest kompletna nędza moralna. Mój Boże, wystarczy spojrzeć na ten zrujnowany, podupadły kościół! Jak można było do tego dopuścić?

Bo cię, kurwa, nie cierpimy, pomyślała Ruth.

— Za dwadzieścia lat wyspa kompletnie się wyludni. Proszę się temu nie dziwić, Ruth. To wysoce prawdopodobne. Co roku przemierzam całe wybrzeże i widzę, jak różne społeczności walczą o przetrwanie. A czy na Fort Niles ktoś w ogóle kiwnie palcem? Macie jakiś samorząd, wybieracie jakiegoś urzędnika? Kto jest waszym przywódcą? Angus Addams? Ta żmija? A kto się wybije w następnym pokoleniu? Len Thomas? Pani ojciec? Czy on kiedykolwiek przejawił zainteresowanie czyimiś sprawami?

Ruth wpadała w pułapkę.

— Nie zna pan mojego ojca — powiedziała, siląc się na równie wyważony ton, lecz mimo to jej głos zabrzmiał nieco piskliwie.

Pastor Wishnell uśmiechnął się.

— Ruth — rzekł — niech pani zapamięta moje słowa. Bardzo wiele wiem o pani ojcu. Podtrzymuję swoją prognozę. Za dwadzieścia lat pani wyspa będzie świeciła pustkami. Te twardogłowe odludki będą same sobie winne. Czy dwadzieścia lat to dużo? Nic podobnego.

Obrzucił Ruth chłodnym spojrzeniem. Spróbowała je odwzajemnić.

— Fakt, że Fort Niles zawsze była zamieszkana, nie oznacza jeszcze, że to się nie zmieni. Proszę się nie łudzić. Życie na tych wyspach to krucha rzecz, Ruth. Słyszała pani kiedyś o "Wyspach Shoal z początku XIX wieku? Liczba ich ludności się zmniejszyła, mieszkańcy nadmiernie się ze sobą spokrewnili i społeczeństwo uległo rozpadowi. Wyspiarze.spalili budynek zgromadzeń, zaczęli kopulo— wać z rodzeństwem, powiesili jedynego pastora i zajęli się uprawianiem czarów. Gdy w 1820 roku wyspy odwiedził wielebny Jedidiah Morse, zastał tam zaledwie garstkę ludzi. Natychmiast udzielił wszystkim ślubów, żeby przynajmniej grzech przestał się panoszyć. To najlepsze, co mógł uczynić. W następnym pokoleniu wyspy opustoszały. Fort Niles może spotkać podobny los. Nie uważa pani?

Ruth powstrzymała się od komentarza.

— Zwróciłem też uwagę na jeszcze jedną historię — dodał Wlshnell. — Opowiedział mi ją poławiacz homarów z Wyspy Frenchmana tuż po wprowadzeniu przepisów regulujących rozmiary odławianych homarów. Otóż pewien rybak imieniem Jim zatrzymywał zbyt krótkie homary i sprzedawał je letnikom ze swojej wyspy. Jego lewy inte— resik nieźle się rozwijał, ale ludzie — jak zwykle — zaczęli gadać i ktoś powiadomił strażnika. Ten zaczął śledzić starego Jima w nadziei, że złapie go na gorącym uczynku. Kilka razy przeszukał nawet jego kuter. Jim trzymał jed—

nak krótkie homary w obciążonym kamieniami worku, który wywieszał za burtę przy rufie, więc nigdy nie został przyłapany.

Wreszcie pewnego dnia strażnik obserwował Jima przez lornetkę i zauważył, jak rybak napełnia worek, a potem wyrzuca go za burtę. Popłynął więc za nim swoją policyjną łodzią. Jim zorientował się, co się święci, dodał gazu i czym prędzej pomknął do domu. Dopłynął do plaży, złapał worek i zaczął z nim uciekać. Strażnik popędził za nim, więc Jim pozbył się ciężaru i wdrapał na drzewo. Niech pani zgadnie, co było w worku?

— Skunks.

— Skunks. Zgadza się. Rozumiem, że już pani o tym słyszała.

— To historia o Angusie Addamsie.

— Nic podobnego. Ani o nim, ani o nikim innym. To opowieść apokryficzna.

Ruth i pastor mierzyli się wzrokiem.

— Wie pani, co to znaczy, Ruth?

— Wiem — odburknęła dziewczyna, zastanawiając się właśnie nad sensem tego słowa.

— Ludzie przekazują sobie tę historię na wszystkich wyspach Maine. Robią to, ponieważ świadomość, że stary poławiacz homarów mógł tak sprytnie obejść przepisy, poprawia im nastrój. Ale nie dlatego to pani opowiedziałem. Wykorzystałem tę historyjkę, żeby pani pokazać, jakie są skutki nadmiernego wścibstwa. Nasza rozmowa nie sprawiła pani przyjemności, prawda?

Ruth nie zamierzała odpowiadać.

— Mogła jej sobie pani oszczędzić, trzymając się z daleka od mojego domu. Sama to pani na siebie ściągnęła, wciskając nos, gdzie nie trzeba. A jeśli czuje się pani jak

opryskana przez skunksa, to wie pani teraz, kogo za to winić. Zgadza się, Ruth?

— Pójdę już pomóc pani Pommeroy — powiedziała Ruth i znów się podniosła.

— Myślę, że to doskonały pomysł. Dobrej zabawy na weselu, Ruth.

Dziewczyna miała ochotę wybiec z pokoju pastora, jednak nie chciała po sobie pokazać, jak ją wzburzyła jego „opowiastka". Wyszła więc, zachowując godność. Niemniej gdy tylko znalazła się za drzwiami, przemknęła przez korytarz, zbiegła schodami na parter i błyskawicznie przemierzywszy kuchnię, pokój dzienny oraz salonik, wyskoczyła na zewnątrz. Opadła na jedno z wiklinowych krzeseł na ganku. Pieprzony dupek, pomyślała. Nie do wiary.

Powinna była uciec z tego pokoju, gdy tylko zaczął tę swoją mówkę. O co mu w ogóle chodziło? Przecież nawet jej nie zna. „Rozpytywałem trochę o panią, Ruth". Nie miał prawa jej mówić, z kim powinna się zadawać, a z kim nie, ani przekonywać, że powinna się trzymać z dala od ojca. Siedziała na werandzie przejęta i rozzłoszczona. Perory tego klechy były nader żenujące. Poza tym czuła się nieswojo, patrząc, jak wkłada koszulę, i siedząc na jego łóżku. Cudaczna była ta jego mnisia cela, a deska do prasowania żałosna. Dziwadło. Powinna była mu powiedzieć, że jest ateistką.

W ogrodzie pani Pommeroy i Kitty wciąż czesały kobiety. Dotty Wishnelł i Candy już sobie poszły — pewnie szykowały się do uroczystości. W kolejce nadal czekała garstka pań. Wszystkie miały wilgotne włosy. Pani Pommeroy poleciła im umyć w domach głowy. Dzięki temu mogła poświęcić znacznie więcej czasu na strzyżenie

i czesanie. W różanym ogrodzie znajdowało się także kilku mężczyzn, którzy czekali na żony albo na swoją kolej.

Kitty rozczesywała długie jasne włosy urodziwej dziewczyny, która wyglądała na jakieś trzynas'cie lat. Ileż na tej wyspie było blondynek! To przez tych Szwedów z kamieniołomów. Pastor Wishnell wspomniał o wydobyciu granitu, jakby kogokolwiek jeszcze to obchodziło. Co z tego, że ten przemysł upadł? Jakie to ma teraz znaczenie? Na Fort Niles nikt przez to nie głodował. Cała ta czarna rozpacz to nic innego jak wymysł tego faceta. Pieprzony dupek. Biedny Owney. Ruth spróbowała sobie wyobrazić dzieciństwo u boku takiego stryja. Ponure, surowe, trudne.

— Gdzie się podziewałaś? — zawołała do niej pani Pommeroy.

— Poszłam do łazienki.

— Wszystko w porządku?

— Tak — odpowiedziała Ruth.

— To przyjdź do nas.

Dziewczyna podeszła i usiadła na niskim ceglanym murku. Czuła się jak zbity pies i pewnie nie lepiej wyglądała. Nikt jednak — nawet pani Pommeroy — nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Kobiety były zbyt zajęte poga— duszkami. Ruth zorientowała się, że trafiła na kompletnie bezsensowną rozmowę.

— To obrzydliwe — powiedziała nastolatka, którą czesała Kitty. — On rozdeptuje wszystkie jeżowce, aż na łodzi roi się od, no, od flaków.

— Nie trzeba tak robić — wtrąciła się pani Pommeroy. — Mój mąż zawsze wrzucał je z powrotem do wody. Jeżowce są nieszkodliwe.

— Zjadają przynętę! — zauważył któryś z mężczyzn. — Włażą na worki z przynętą i wszystko zżerają.

— A mi te cholery pokłuły palce i mam blizny na całe życie — odezwał się inny.

— Ale dlaczego Tuck musi je rozdeptywać? — spytała śliczna nastolatka. — Obrzydlistwo. Przecież marnuje czas. Strasznie go to wciąga. On się w ogóle szybko wścieka. Mówi na nie kurewski pomiot — zachichotała.

— Wszyscy tak mówią — powiedział pokłuty rybak.

— Racja — przyznała pani Pommeroy. — Porywczość odciąga od pracy. Trzeba nad sobą panować.

— Nie cierpię tych przydennych stworów, które czasem wyławiacie. Tak szybko je wyciągacie, że są całe wzdęte — narzekała dziewczynka. — A te ryby? Z wyłupiastymi oczami. Kiedy wypływam z bratem, mnóstwo ich wyciągamy.

— Od lat nie wchodziłam do łodzi — wyznała pani Pommeroy.

— Wyglądają jak ropuchy. Tuck też je rozdeptuje.

— Takie okrucieństwo wobec zwierząt jest zupełnie niepotrzebne — stwierdziła pani Pommeroy. — Nie ma powodu do takiego zachowania.

— Kiedyś Tuck złapał rekina. Zatłukł go.

— Kto to właściwie jest? — zainteresowała się Rhonda.

— Mój brat — odparła nastolatka. Spojrzała na Ruth. — A ty kim jesteś?

— Jestem Ruth Thomas. A ty?

— MandyAddams.

— Czy Simon i Angus Adamsowie, ci bracia, to twoi krewni?

— Pewnie tak. Nie wiem. Mieszkają na Fort Niles?

— Tak.

— Są przystojni?

Kitty tak się roześmiała, że padła na kolana.

— Taa — odpowiedziała Ruth. — Uroczy.

— Obaj przekroczyli już siedemdziesiątkę, kochanie — wyjaśniła Rhonda Pommeroy. — I rzeczywiście są uroczy.

— Co się z nią dzieje? — spytała Mandy, patrząc na Kitty, która ocierała łzy i wstawała, wspierając się na siostrze.

— Jest pijana — zdradziła Ruth. — Ciągle się przewraca.

— Jestem pijana! — krzyknęła Kitty. — Faktycznie jestem pijana, Ruth! Ale nie musisz tego wszystkim rozpowiadać. — Opanowała się i wróciła do układania fryzury nastolatki.

— Jezu, chyba już wystarczy — zauważyła Mandy, lecz Kitty zawzięcie czesała.

— Chryste, Ruth — powiedziała. — Ale z ciebie papla. I wcale się tak często nie przewracam.

— Ile masz lat? — spytała Mandy. Utkwiła oczy w Ruth, ale głowa jej uciekała, odciągana przez grzebień Kitty.

— Osiemnaście.

— Jesteś z Fort Niles?

— Tak.

— Nigdy wcześniej cię nie widziałam.

Ruth westchnęła. Nie miała ochoty tłumaczyć się z własnego życia przed taką idiotką.

— Wiem. Wyjeżdżałam do szkoły.

— W przyszłym roku ja też pojadę. Gdzie się uczyłaś? W Rockland?

— W Delaware.

— To w Rockland?

— Niezupełnie — powiedziała, a widząc, że Kitty zaczyna się trząść ze śmiechu, dodała: — Spokojnie, Kitty. Przed nami cały dzień. Jeszcze nie czas co dwie minuty się przewracać.

— To w Rockland? — zawyła Kitty i otarła łzy. Zgromadzeni w ogrodzie Wishnellów rybacy z Courne Haven oraz ich żony też się roześmiali. Cóż, dobrze, pomyślała Ruth. Przynajmniej mają świadomość, że ta mała blondynka to idiotka. A może rozbawiła ich Kitty Pommeroy.

Ruth przypomniała sobie, co powiedział pastor o wyludnieniu Fort Niles w ciągu najbliższych dwudziestu lat. Miał nie po kolei w głowie. Homarów nigdy nie zabraknie. To prehistoryczne stworzenia, one przetrwają. Reszta oceanu może ulec zagładzie, ale one wcale się tym nie przejmą. Potrafią miesiącami przebywać zakopane w mule. Mogą jeść kamienie. Gówno je to obchodzi, pomyślała z podziwem Ruth. Homary dadzą sobie radę, nawet jeśli w oceanie nie zostanie nic do jedzenia poza nimi samymi. Ostatni, który ostałby się na świecie, pewnie zjadłby sam siebie, jeżeli nie miałby innego wyboru. Nie było potrzeby robić takiej hecy wokół tych stworów.

Pastor Wishnell postradał zmysły.

— Twój brat naprawdę zatłukł rekina? — spytała Mandy pani Pommeroy.

— Pewnie. Jezu, chyba jeszcze nikt nigdy mnie tak nie wyczesał!

— Każdemu się kiedyś zdarza złapać rekina — odezwał się jeden z rybaków. — I bywa, że człowiek go zatłucze.

— Po prostu je zabijacie? — drążyła pani Pommeroy.

— Jasne.

— Przecież to nie jest konieczne.

— Nie ma powodu zabijać rekina? — Rybak wydawał się rozbawiony.

Pani Pommeroy była kobietą i nie pochodziła z tej wyspy (była atrakcyjną nieznajomą), co wprowadzało wszystkich zebranych w ogrodzie mężczyzn w dobry nastrój.

— Okrucieństwo wobec zwierząt jest nieuzasadnione — powtórzyła swoje zdanie Rhonda z kilkoma wsuwkami w ustach. Czesała włas'nie siwowłosą staruszkę, która zdawała się zupełnie nie zważać na to, o czym mowa. Ruth domyślała się, że jest matką panny młodej lub pana młodego.

— Racja — potwierdziła Kitty. — Ojciec nas tego nauczył. Nie był okrutnikiem. Nigdy nas nawet nie tknął. Często się na nas wkurzał, ale nigdy na żadną nie podniósł ręki.

— Znęcanie się nad zwierzętami to czyste okrucieństwo — powiedziała pani Pommeroy. — Przecież to stworzenia boskie, tak samo jak my. Myślę, że chęć wyżywania się na zwierzętach źle świadczy o człowieku.

— Ja tam nie wiem — odparł rybak. — Jedno jest pewne — lubię je jeść.

— Spożywanie zwierząt to nie to samo, co znęcanie się nad nimi. Okrucieństwo wobec nich jest po prostu niewybaczalne.

— Zgadza się — przytaknęła Kitty. — Uważam, że to obrzydliwe.

Ruth nie mogła uwierzyć, że ta rozmowa naprawdę się toczy. Na Fort Niles nasłuchała się mnóstwa podobnych — głupich, w kółko o tym samym, niekompetentnych. Najwyraźniej na Courne Haven ludzie też się w nich lubowali.

Pani Pommeroy wyjęła z ust wsuwkę i przymocowała nią niewielki siwy loczek na głowie starszej kobiety.

— Muszę jednak przyznać — dodała — że w dzieciństwie sama wkładałam żabom petardy do pyszczków, żeby wybuchały.

— Ja też — wyznała Kitty.

— Ale nie wiedziałam, jakie będą skutki.

— Jasne — powiedział jeden z rozbawionych rybaków z Courne Haven. — Skąd pani miała wiedzieć?

— A ja czasami rzucam węże przed kosiarkę i na nie najeżdżam — zdradziła śliczna nastolatka.

— To do cna okrutne — oceniła pani Pommeroy. — Zupełnie niepotrzebne. Węże tępią szkodniki.

— Och, też tak robiłam — wtrąciła się Kitty. — Do licha, Rhondo, obie siekałyśmy je na kawałki.

— Ale byłyśmy wtedy tylko dziećmi, Kitty. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, jak źle postępujemy.

— Tak — potwierdziła Kitty. — Byłyśmy dziećmi.

— Nie wiedziałyśmy, co jest właściwe.

— Racja — przytaknęła jej siostra. — Pamiętasz, jak kiedyś znalazłaś pod zlewem mysie gniazdo i utopiłaś wszystkie małe?

— Dzieci nie mają pojęcia, jak należy traktować zwierzęta, Kitty.

— Utopiłaś każde w osobnej filiżance, nazwałaś to mysią herbatką. W kółko powtarzałaś: „Och! Jakie one śliczne! Jakie śliczne!"

— Ja się tam nie przejmuję myszami — powiedział któryś z rybaków. — Ale powiem pani, czego nie znoszę — szczurów.

— Kto następny? — spytała promiennie pani Pommeroy. — Kto jeszcze chce dziś ślicznie wyglądać?

***

Ruth Thomas upiła się na weselu.

Kitty jej w tym pomogła. Zaprzyjaźniła się z barmanem, pięćdziesięciolatkiem z Courne Haven nazwiskiem Chucky Strachan. Rybaka spotkał zaszczyt obsługiwania baru głównie dlatego, że sam nie wylewał za kołnierz.

Chucky i Kitty natychmiast się odnaleźli. Trafił swój na swego. Zaczęli się naprawdę nieźle bawić. Kitty ogłosiła się asystentką Chucky'ego i piła równo z jego klientami. Poprosiła go, by zmieszał coś fajnego dla Ruth Thomas, żeby maleństwo trochę się rozluźniło.

— Daj jej coś owocowego — poleciła. — Coś równie słodkiego jak ona sama.

Chucky postawił więc przed dziewczyną wysoką szklankę whisky z odrobinką lodu.

— To napój godny prawdziwej damy — powiedział.

— Chodziło mi o koktajl! — krzyknęła Kitty. — To jej się wyda obrzydliwe! Nie jest przyzwyczajona! Skończyła prywatną szkołę!

— Zaraz zobaczymy — powiedziała Ruth i wypiła całą whisky, wprawdzie nie jednym haustem, ale bardzo szybko.

— Bardzo owocowe — skwitowała. — Bardzo słodkie.

Uczuła, jak po jej ciele rozlewa się przyjemne ciepło, a usta jakby nabrzmiały. Wypiła kolejnego drinka i stała się niesamowicie wylewna. Mocno uściskała Kitty Pommeroy i wyznała jej:

— Jest pani moją ulubioną siostrą Pommeroy. — Nic dalszego od prawdy, ale zabrzmiało całkiem przyjemnie.

— Mam nadzieję, że wszystko ci się uda, Ruthie — wymamrotała Kitty.

— Och, Kitty, ależ pani kochana. Zawsze była pani dla mnie taka dobra.

— Wszyscy chcemy, żeby ci się w życiu ułożyło, kochanie. Wstrzymujemy za ciebie kciuki.

— Wstrzymujecie kciuki? — Ruth zmarszczyła brwi.

— To znaczy, wstrzymujemy oddech, żeby ci się powiodło — wyjaśniła Kitty i obie prawie upadły ze śmiechu.

Chucky Strachan nalał Ruth kolejnego drinka.

— Ekstra ze mnie barman, co?

— Wie pan, jak zmieszać whisky z lodem — przyznała Ruth. — To pewne.

— W końcu to ślub kuzynów — powiedział. — Trzeba to uczcić. Dotty Wishnell to moja kuzynka! Hej! A Charlie Burden to kuzyn!

Chucky Strachan wyskoczył zza baru i objął Kitty Pommeroy. Wtulił twarz w jej szyję. Potem obcałował twarz, a właściwie jej niepokrytą bliznami połowę. Chuck był chudzieicem, więc spodnie coraz bardziej mu się zsuwały z kościstego tyłka. Za każdym razem, gdy się pochylał, wszem i wobec pokazywał rowek. Ruth starała się odwracać wzrok. Jakaś matrona w kwiecistej spódnicy czekała, aż ktoś ją obsłuży, lecz Chuck nawet jej nie zauważył. Popatrzyła na niego z nadzieją, lecz on klepnął Kitty po tyłku i otworzył sobie piwo.

— Ma pan żonę? — spytała go Ruth, gdy lizał szyję Kitty.

Oderwał się od siostry Pommeroy, machnął pięścią i ogłosił:

— Nazywam się Clarence Henry Strachan i jestem żonaty!

— Czy można prosić o drinka? — spytała uprzejmie matrona.

— Niech pani pogada z barmanem! — odkrzyknął Chucky i pociągnął Kitty na umieszczony na środku namiotu parkiet taneczny ze sklejki.

Sama uroczystość zaślubin nie wywarła na Ruth wielkiego wrażenia. Specjalnie się jej nie przyglądała, nie zwróciła na nią szczególnej uwagi. Zdumiał ją raczej wielki i piękny ogród ojca Dotty. Tym Wishnellom faktycznie

świetnie się powodziło. Ruth przywykła do ślubów na Fort Niles, na które goście przynosili potrawki, fasolę czy ciasta. Po weselu zawsze sortowano naczynia. „Czyja to taca? Czyj ekspres do kawy?"

Ślub Dotty Wishnell i Charliego Burdena zorganizowany został natomiast przez specjalistę z kontynentu. Wynajęto też, zgodnie ze słowami pastora, zawodowego fotografa. Panna młoda wystąpiła w bieli, a niektórzy goście, obecni też na jej pierwszym ślubie, twierdzili, że teraz ma ładniejszą sukienkę. Charlie, przysadzisty mężczyzna z nosem alkoholika i podejrzliwym spojrzeniem, nie najszczęśliwiej wypadał w swej roli. Zdawało się, że eksponowana pozycja i wypowiadane przez niego uroczyste słowa wprawiają go w przygnębienie. Candy, córeczka Dotty, a jednocześnie jej druhna, rozpłakała się, ale gdy matka spróbowała ją utulić, powiedziała niegrzecznie: „Wcale nie płaczę!" Pastor Wishnell z kolei bez końca rozwodził się nad Obowiązkami i Nagrodami za ich przykładne wypełnianie.

A po ceremonii Ruth się upiła. Potem wesolutka ruszyła w tany. Zatańczyła z Kitty, panią Pommeroy i z panem młodym. Z barmanem Chuckiem Strachanem i dwoma młodymi przystojniakami w jasnobrązowych spodniach, którzy okazali się letnikami. Letnicy na wyspiarskim weselu! Coś podobnego! Zatańczyła z nimi kilka razy i wydało jej się, że sobie z nich żartuje, choć później nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie mówiła. Rzucała mnóstwo sarkastycznych uwag, których chyba nie rozumieli. Nie odmówiła nawet, gdy Cal Cooley poprosił ją do tańca. Zespół grał country.

— Czy to miejscowa grupa? — zaciekawiła się, a Cal poinformował ją, że muzycy przypłynęli łodzią Babe'a Wishnella.

— Są całkiem nieźli — przyznała. Nie wiadomo dlaczego wcale się nie sprzeciwiała, choć Cooley mocno ją do siebie przyciskał. — Chciałabym umieć na czymś grać. Na skrzypcach. Nie potrafię nawet śpiewać. Nie umiem grać. Jak zepsute radio. Coś cię bawi, Cal?

— Bardziej bym się ubawił, jakbyś trochę ze mną po—baraszkowała.

Ruth wybuchnęła śmiechem.

— Nieźle wyglądasz — komplementował ją Cal. — Dobrze ci w tym różu.

— Różu? Przecież jestem ubrana na żółto.

— Właściwie chciałem powiedzieć, że powinnaś częściej pić. Podoba mi się, jak to na ciebie działa. Ładnie się rumienisz. Jesteś taka łagodna i uległa.

— Poległa? — Ruth jedynie udała, że nie zrozumiała.

Powąchał jej włosy. Pozwoliła mu na to. Wiedziała, że to robi, bo czuła jego oddech na skórze głowy. Przycisnął się do jej nogi, więc zauważyła jego erekcję. Również na to mu pozwoliła. A niech tam! — stwierdziła. Ocierał się o nią, powoli się kołysząc. Trzymał dłonie nisko na jej plecach i mocno przyciskał ją do siebie. Nie oponowała. Niech tam! — myślała. Było całkiem przyjemnie, chociaż to tylko Staruszek Cal. Pocałował ją w czubek głowy i wtedy nagle się ocknęła.

To przecież Cal Cooley!

— O Boże, muszę siusiu — powiedziała i oderwała się od niego. Nie było to wcale łatwe, bo próbował ją zatrzymać. Co ona wyrabia: tańczy z Calem Cooleyem? Jezu Chryste. Wydostała się z namiotu, a potem z ogrodu i poszła ulicą aż do skraju lasu. Kucnęła pod drzewem, uniosła sukienkę, wysiusiała się na płaski kamień i wstała zadowolona, że udało jej się nie opryskać nóg. Nie mo—

gła uwierzyć, że wyczuła penisa Cala, nawet jeśli tylko niewyraźnie. Obrzydlistwo. Obiecała sobie solennie, że uczyni wszystko, co w jej mocy, żeby o tym zapomnieć. Gdy wyszła z lasu, skręciła w złą stronę i znalazła się na ulicy oznaczonej tabliczką FURNACE STREET. Mają tu oznakowanie ulic? — zastanowiła się. Jak wszystkie ulice na Courne Haven, Furnace Street nie była wybrukowana. Zmierzchało. Ruth minęła niewielki biały domek z werandą. Siedziała na niej staruszka we flanelowej koszuli. Trzymała żółtego puszystego ptaszka. Ruth przyjrzała się jej z daleka. Chwiała się na nogach.

— Szukam domu Babe'a Wishnella — odezwała się. — Czy może mi pani wskazać drogę? Chyba się zgubiłam.

— Od lat opiekuję się chorym mężem — odpowiedziała kobieta — i pamięć już mnie zawodzi.

— A jak się miewa pani mąż?

— Niewiele mu pozostało.

— Jest tak poważnie chory?

— Śmiertelnie.

— Ach tak. — Ruth podrapała się po kostce, gdzie ukąsił ją komar. —Wie pani, gdzie mieszka Babe Wishnell? Mam tam być na weselu.

— Chyba na końcu sąsiedniej ulicy. Za tym zielonym domem. Niech pani skręci w lewo — poinstruowała kobieta. — Już dawno tam nie byłam.

— Za zielonym?

— Chyba tak. Ale pamięć już mi trochę szwankuje.

— Myślę, że wszystko z nią w porządku.

— Ależ pani kochana. Kto wychodzi za mąż?

— Córka Babe'a Wishnella.

— Ta mała?

— Chyba tak. Przepraszam, czy to kaczątko?

— Kurczątko, kochana. Strasznie mięciutkie. — Kobieta obdarzyła Ruth uśmiechem, a dziewczyna go odwzajemniła.

— Cóż, dziękuję za pomoc — powiedziała Ruth. Poszła ulicą aż do zielonego domu i szybko trafiła z powrotem na wesele.

Gdy weszła do namiotu, chwyciła ją czyjaś gorąca i wilgotna ręka.

— Hejże! — krzyknęła. Okazało się, że to Cal Cooley.

— Pan Ellis chce się z tobą zobaczyć — poinformował i zanim zdążyła odmówić, zaprowadził ją do swojego pracodawcy. Ruth zapomniała, że miał przyjechać na wesele, ale oto siedział przed nią na swoim wózku inwalidzkim. Uśmiechnął się do niej, a Ruth — która ostatnio chyba nic innego nie robiła — do niego. Wielki Boże, ależ był wątły. Ważył nie więcej niż sto dziesięć funtów, choć kiedyś był przecież wysokim i silnym mężczyzną. Jego łysa głowa przypominała żółtą kulę wypolerowaną jak gałka wysłużonej laski. Zupełnie nie miał brwi. Ubrany był w staroświecki czarny garnitur ze srebrnymi guzikami. Ruth zdumiała się, jak zawsze, że w porównaniu z siostrą Vera tak kiepsko się zestarzał. Panna Vera lubiła podkreślać swoją słabowitość, lecz wciąż była w świetnej formie. Mimo skromnego wzrostu sił jej nie brakowało. Za to jej brat był prawdziwym chuchrem. Gdy Ruth zobaczyła go wiosną, z trudem uwierzyła, że zdołał w tym roku przetrzymać podróż z Concord do Fort Niles. Teraz z kolei dziwiła się, że udało mu się przyjechać na ślub na Courne Haven. Miał w końcu dziewięćdziesiąt cztery lata.

— Miło pana widzieć, panie Ellis — zagadnęła.

— Ruth Thomas — odpowiedział — ładnie wyglądasz.

Pięknie odsłoniłaś twarz. — Zerknął na nią kaprawymi niebieskimi oczami. Ujął ją za rękę. — Usiądziesz, prawda?

Ruth wzięła głęboki oddech i usiadła obok staruszka na drewnianym składanym krześle. Puścił jej dłoń. Zastanawiała się, czy czuć od niej whisky. Trzeba było siedzieć bardzo blisko, by pan Ellis słyszał, co się do niego mówi, i by sam mógł być zrozumiany, a Ruth nie chciała, żeby oddech ją zdradził.

— Moja wnuczka! — zawołał, a uśmiech, którym ją obdarzył, zdawał się rozcinać mu twarz.

— Panie Ellis.

— Nie słyszę cię, moja panno.

— Powiedziałam dzień dobry, panie Ellis. Dzień dobry, panie Ellis.

— Dawno mnie nie odwiedzałaś.

— Od czasu, kiedy przyszłam do pana z Senatorem Simonem i Websterem Pommeroyem. — Wymówienie słów Senator i Simon sprawiło jej pewną trudność, której pan Ellis zdawał się nie zauważać. — Ale myślałam o tym. Byłam zajęta. Wkrótce znów przyjdę do pana z wizytą.

— Zjemy coś razem.

— Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony.

— Tak. Przyjdź w czwartek. W przyszły czwartek.

— Dziękuję. Będę z niecierpliwością na to czekała. — Czwartek!

— Nie mówiłaś mi, jak się udały odwiedziny w Concord.

— Było bardzo przyjemnie, dziękuję. Dziękuję, że mnie pan do nich zachęcił.

— Cudownie. Siostra napisała mi mniej więcej to samo. Należałoby jej podziękować za gościnność.

— Na pewno to zrobię — obiecała Ruth, nie zastanawia—

jąc się nawet, skąd wiedział, że dotąd do niej nie napisała. Pan Ellis zawsze wiedział takie rzeczy. Oczywiście po tej sugestii Ruth wyśle list. A gdyby już to zrobiła, niewątpliwie dowiedziałby się o tym, zanim korespondencja dotarłaby do jego siostry. Taki już był — wszechwiedzący. Pan Ellis poszperał w kieszeniach garnituru i wydobył chusteczkę. Rozwinął ją i drżącą ręką wytarł nos.

— Jak myślisz, co się stanie z twoją matką, gdy umrze moja siostra? — spytał. — Pytam dlatego, że pan Cooley poruszył kiedyś ten temat.

Ruth poczuła ucisk w żołądku. Co to miało, u diabła, znaczyć? Zastanowiła się przez chwilę i powiedziała coś, na co nigdy nie odważyłaby się na trzeźwo.

— Mam nadzieję, że będzie miała zapewnioną opiekę.

— Słucham?

Ruth nie odpowiedziała. Była niemal pewna, że pan Ellis jednak ją usłyszał. Rzeczywiście, nie myliła się, ponieważ w końcu się odezwał:

— Opieka nad ludźmi to bardzo kosztowna rzecz.

Ruth jak zwykle czuła się przy nim niezręcznie. Spotykając się z nim, nigdy nie wiedziała, czego się spodziewać: co jej każe zrobić, co przed nią zatai, co jej da. Nic się nie zmieniło, odkąd pan Ellis po raz pierwszy wezwał ją do gabinetu jako ośmioletnią dziewczynkę, wręczył jej stos książek i powiedział:

— Przeczytaj je w takiej kolejności, w jakiej są ułożone, od góry do dołu. I nie kąp się w kamieniołomach z Pommeroyami bez odpowiedniego stroju. — W tych poleceniach nie było cienia groźby. Pan Ellis po prostu je wydawał.

Ruth posłusznie je spełniała, ponieważ wiedziała, jaki wpływ ma ten człowiek na losy jej matki. Jego oddzia—

ływanie było większe niż panny Very, ponieważ to on sprawował kontrolę nad rodzinnym majątkiem. Zależność Mary od panny Very ograniczała się do codziennego zaspokajania jej małostkowych okrutnych zachcianek. Pan Ellis natomiast nigdy nie zachował się wobec matki Ruth niewłaściwie. Dziewczyna zdawała sobie z tego sprawę. Nie wiedzieć dlaczego, ta świadomość, zamiast uspokajać, wywoływała u niej panikę. W wieku ośmiu lat Ruth przeczytała zatem książki od pana Ellisa. Zrobiła, co jej kazano. Nie pytał jej potem o ich treść ani nie żądał ich zwrotu. Nie zaopatrzyła się jednak w strój kąpielowy. Po prostu przestała pływać z Pommeroyami. Takie rozwiązanie musiało być zadowalające, ponieważ nie usłyszała już na ten temat ani słowa.

Spotkania z panem Ellisem miały istotne znaczenie również z powodu ich rzadkości. Starzec wzywał Ruth przed swoje oblicze nie częściej niż dwa razy w roku i każdą rozmowę rozpoczynał czułymi słowami. Lekko ją ganił za to, że nie odwiedza go z własnej woli. Nazywał ją wnuczką, kochaniem, skarbem. Już od wczesnego dzieciństwa miała świadomość, że ludzie uważają ją za jego ulubienicę, a w związku z tym za szczęściarę. Inni mieszkańcy Fort Niles — w tym nawet dorośli mężczyźni — marzyli o choćby jednej wizycie u pana Ellisa, lecz nigdy się jej nie doczekali. Senator Simon Addams, przykładowo, od lat usiłował się z nim spotkać. Wielu mieszkańców wyspy sądziło, że Ruth ma na staruszka jakiś szczególny wpływ, choć prawie się z nim nie widywała. O jego prośbach, żądaniach, niezadowoleniu czy radości dowiadywała się przeważnie od Cala Cooleya. Gdy spotykała się z panem Ellisem, jego polecenia okazywały się z reguły proste i bezpośrednie.

Kiedy Ruth miała trzynaście lat, wezwał ją, by jej

oznajmić, że będzie uczęszczała do prywatnej szkoły w Delaware. Nie powiedział jej, dlaczego ani jak to miało wyglądać. Nie zdradził też, kto podjął tę decyzję i, rzecz jasna, nie spytał jej o zdanie. Oświadczył, że nauka sporo kosztuje, lecz Ellisowie się o to zatroszczą. Poinformował, że na początku września Cal Cooley będzie ją odwoził do szkoły oraz że ferie bożonarodzeniowe będzie spędzać z matką w Concord. Na Fort Niles miała wracać dopiero w czerwcu. Przedstawiał jej fakty dokonane, nie kwestie do dyskusji.

Gdy dziewczyna skończyła szesnaście lat, przywołał ją w mniej ważkiej sprawie. Miała odtąd nosić włosy zaczesane do tyłu, odsłaniając twarz. Było to jedyne polecenie, jakie otrzymała od niego w ciągu tamtego roku. Podporządkowała mu się i od tamtej pory czesała włosy w koński ogon. Zdaje się, że to pochwalał.

Pan Ellis jako jeden z nielicznych dorosłych nigdy nie nazwał Ruth upartą— pewnie dlatego, że w jego obecności taka nie była.

Zastanawiała się, czy powie jej tego wieczoru, by przestała już pić. O co właściwie chodziło? Zabroni jej tańczyć jak ladacznica? A może kroiło się coś poważniejszego, zapowiedź, że pora się zapisać do college'u? Albo zamieszkać z matką w Concord? Ruth nie chciała niczego takiego usłyszeć.

Na ogół uparcie unikała pana Ellisa, ponieważ bała się jego poleceń i swojego posłuszeństwa. Starzec nie obwieścił jej jeszcze bezpośrednio, co powinna robić jesienią, lecz miała silne przeczucie, że każe jej opuścić Fort Niles. Cal Cooley sugerował, że pan Ellis życzy sobie, by rozpoczęła naukę w college'u, a Vera Ellis wspomniała o uczelni dla kobiet, której dziekan był jej znajomym. Ruth miała pew—

ność, że ten temat wkrótce wypłynie. Przecież nawet pastor Wishnell doradzał jej wyjazd. Wszystko wskazywało na to, że wkrótce pozna decyzję samego pana Ellisa. Ruth najbardziej nie znosiła u siebie ślepego posłuszeństwa wobec tego starca. Postanowiła wprawdzie, że od teraz przestanie zważać na jego życzenia, nie czuła się jednak na siłach, by zamanifestować swoją niezależność.

— Co ostatnio porabiasz, Ruth? — spytał pan Ellis.

Nie chcąc wysłuchiwać tego wieczoru poleceń staruszka, dziewczyna postanowiła odwrócić jego uwagę. Obrała nową, nader s'miałą taktykę. Alkohol dodał jej animuszu.

— Panie Ellis, czy pamięta pan cios słonia, który panu przynieśliśmy?

Skinął potakująco głową.

— Miał pan okazję go obejrzeć?

Znów skinął głową.

— Zatem — zaczął — jak słyszę, spędzasz ostatnio wiele czasu z panią Pommeroy i jej siostrami.

— Panie Ellis — nie dawała się zbić z tropu Ruth — zastanawiam się, czy moglibyśmy porozmawiać o tym ciosie. Tylko przez chwilę.

Tak trzymać. To ona będzie prowadzić tę rozmowę. Czy to takie trudne? Przecież z innymi zawsze jej się to udawało. Pan Ellis uniósł brew, a właściwie skórę w miejscu, gdzie powinna się ona znajdować.

— Mój przyjaciel poszukiwał go od kilku lat, panie Ellis. To młody Webster Pommeroy, właśnie on go odnalazł. Bardzo się nad tym napracował. A mój drugi przyjaciel, Senator Simon? — Tym razem Ruth bez zająknięcia wymówiła jego imię. Czuła się zupełnie trzeźwa. — Senator Simon Addams? Zna go pan?

Pan Ellis nie odpowiedział. Ponownie wyłowił chusteczkę i wytarł nos.

Ruth kontynuowała wątek:

— Zebrał bardzo wiele ciekawych obiektów, panie Ellis. Od lat kolekcjonuje niezwykłe przedmioty. Chciałby otworzyć na Fort Niles muzeum. Żeby je zaprezentować. Zamierza je nazwać Muzeum Historii Naturalnej i uważa, że dawny budynek sklepu firmowego Ellisów świetnie by się nadawał na jego siedzibę. Stoi przecież opustoszały. Być może słyszał pan o tym zamyśle. Chyba od lat prosi pana o pozwolenie na wykorzystanie tego budynku... Chyba... Projekt może się panu wydać nieciekawy, ale on tym żyje, a to dobry człowiek. Chciałby też odzyskać ten cios. Dla muzeum. Rzecz jasna, jeśli zaaprobuje pan ten pomysł.

Pan Ellis siedział na wózku z rękami na udach — niewiele szerszych niż jego nadgarstki. Pod marynarką miał gruby czarny sweter. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wydobył niewielki mosiężny klucz, który przytrzymał między kciukiem i palcem wskazującym — drżał w jego dłoni jak różdżka. Pan Ellis wręczył go Ruth ze słowami:

— Oto klucz do sklepu firmowego.

Dziewczyna ostrożnie go odebrała. Był chłodny i miał ostre krawędzie. Starzec nie mógł jej bardziej zaskoczyć.

— Och! — wykrzyknęła zdumiona.

— W przyszłym tygodniu pan Cooley przyniesie ci cios do domu.

— Dziękuję, panie Ellis. Jestem panu bardzo wdzięczna. Nie musi pan...

— Zjesz ze mną w czwartek obiad.

— Dobrze. Tak. Wspaniale. Czy mam powiedzieć Simonowi Addamsowi... Uhm, co mam powiedzieć Simonowi Addamsowi?

Pan Ellis zakończył już jednak rozmowę z Ruth Thomas. Zamknął oczy i już na nią nie zważał, więc odeszła.

***

Dziewczyna przeszła na drugą stronę namiotu, jak najdalej od staruszka. Czuła się trzeźwa i nieco ją mdliło, więc przystanęła na chwilę przy stoliku do kart, który pełnił funkcję baru, i poprosiła Chucky'ego Strachana o kolejną whisky z lodem. Miała za sobą kilka dziwnych rozmów, począwszy od nieprzyjemnej z pastorem Wishnellem, a skończywszy na zadziwiającej z panem Ellisem. Żałowała teraz, że nie została w domu z Senatorem Simonem i Websterem Pommeroyem. Usiadła w kącie, za zespołem muzycznym. Oparła łokcie na kolanach i ujęła twarz w dłonie. Czuła, jak krew pulsuje jej w głowie. Uniosła wzrok, słysząc brawa. Na środku namiotu stał siwiejący, krótko ostrzyżony blondyn po sześćdziesiątce z twarzą starego wiarusa. Był to Babe Wishnell. Wznosił toast kieliszkiem szampana.

— Moja córka! — zawołał. — To wesele mojej córki i chciałbym z tej okazji powiedzieć kilka słów!

Rozległy się jeszcze większe brawa. Ktoś krzyknął:

— Wal, Babe! — I wszyscy się roześmiali.

— Moja córka nie wychodzi wprawdzie za największego przystojniaka na Courne Haven, ale w końcu prawo zabrania poślubić własnego ojca! Charlie Burden? Gdzie Charlie Burden?

Pan młody podniósł się z cierpiętniczą miną.

— Wziąłeś sobie dziś za żonę porządną Wishnellównę, Charlie! — zagrzmiał Babe i zaraz nagrodzono go brawami. Ktoś krzyknął:

— Weź ją, Charlie! — A Wishnell podążył wzrokiem za głosem. Śmiech ucichł.

Babe wzruszył tylko ramionami i wyznał:

— Moja córka to skromna dziewczyna. Jako nastolatka była tak wstydliwa, że nie chciała nawet wchodzić na grządkę z ziemniakami. Wiecie dlaczego? Bo ziemniaki mają oczka! Mogły jej zajrzeć pod spódniczkę!

Udał dziewczynę wdzięcznie unoszącą spódnicę. Machnął kobieco ręką. Tłum gości zaniósł się śmiechem. Za to panna młoda trzymająca córkę na kolanach oblała się rumieńcem.

— Mój nowy zięć przywodzi mi na myśl Cape Cod. Właściwie nie on sam, tylko jego nos. Wiecie dlaczego? Bo tak wydatnie odstaje — ryknął śmiechem z własnego dowcipu. — Charlie, ja się tylko przekomarzam. Możesz już usiąść. Brawo dla Charliego. Cholernie dobrze zna się na żartach. Tych dwoje jedzie teraz w podróż poślubną. Na tydzień do Bostonu. Mam nadzieję, że będą się nieźle bawić.

Rozległy się kolejne brawa i znów ten sam głos:

— Weź ją, Charlie! — Tym razem Babe go zignorował.

— Mam nadzieję, że ubawią się za wszystkie czasy. Zasługują na to. Zwłaszcza Dotty, bo po stracie męża przeżyła ciężki rok. Mam więc nadzieję, Charlie i Dotty, że dobrze się zabawicie! — Uniósł kieliszek. Goście zamruczeli i powtórzyli jego gest. — Dobrze, że chociaż na chwilę się wyrwą — ciągnął. — Zostawią u nas dzieciaka, ale co tam. Przecież ją lubimy. Siemasz, mała!

Pomachał do dziewczynki. Siedząca na kolanach matki Candy miała wyniosły i nieprzenikniony wyraz twarzy niczym lwica.

— Przypomina mi się własny miesiąc miodowy. — Ktoś w tłumie zakaszlał i wszyscy się roześmiali. Babe Wishnell pogroził im palcem i kontynuował: — Pojechaliśmy z matką Dotty zobaczyć wodospad Niagara. To było jeszcze

w czasach wojny o niepodległość! Nie, nie, w 1945. Właśnie wróciłem z wojny. Z drugiej światowej, rzecz jasna. Porządnie mi się oberwało w katastrofie na południowym Pacyfiku. Na Nowej Gwinei było naprawdę gorąco, ale to nic w porównaniu z naszym miesiącem miodowym! Żebyście wiedzieli! Byłem zawsze gotów do akcji!

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Gladys Wishnell, która tylko kręciła głową.

— Pojechaliśmy więc zobaczyć wodospad Niagara. Musieliśmy płynąć statkiem, *The Maid of the Mist*. Nie wiedziałem, czy Gladys dopadnie choroba morska. Pomyślałem, że może ją zemdlić pod tym wodospadem, bo wiecie, tam się płynie prosto pod tę cholerę. Skoczyłem więc do apteki po butelkę tego, no, jak to się nazywa? Drambuie? Co się bierze na chorobę morską?

— Dramaminę! — krzyknęła Ruth Thomas.

W ciemniejącym namiocie Babe odszukał wzrokiem Ruth. Przyjrzał jej się poważnie i wnikliwie. Nie wiedział, kim była, ale uznał jej odpowiedź.

— Dramaminę. Właśnie. Kupiłem w aptece butelkę dramaminy. A przy okazji paczkę gumek.

W namiocie rozległy się radosne okrzyki i oklaski. Wszyscy patrzyli na Dotty Wishnell i jej matkę, Gladys, na których twarzach malowało się niedowierzanie i przerażenie.

— Taa, więc kupiłem dramaminę i paczkę gumek. Aptekarz daje mi butelkę, a potem gumki i mówi: „Po co pan z nią to robi, jeśli potem rzyga?"

Goście zaryczeli. Klaskali i gwizdali. Dotty Wishnell i jej matka aż zgięły się wpół ze śmiechu. Ruth poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Uniosła wzrok. Obok niej stała pani Pommeroy.

— Hej — powiedziała dziewczyna.

— Mogę się przysiąść?

— Pewnie, pewnie. — Ruth poklepała sąsiednie krzesło, a pani Pommeroy je zajęła.

— Chowasz się? — spytała.

— Tak. Zmęczona?

— Bardzo.

— Wiem, że Charlie Burden myśli, że się wzbogaci na ożenku z Wishnellówną — podjął Babe, a śmiech ucichł. — Wiem, że myśli sobie, że wygrał dziś na loterii. Pewnie ma już na oku którąś z moich łodzi i sprzęt. Cóż, może je dostanie. Może kiedyś przejmie wszystkie moje łodzie. Dlaczego nie? Nie chciałbym im zostawić tylko jednego. Wiecie czego? Biedy.

Tłum jęknął. Gladys otarła oczy.

— Mój nowy zięć nie jest największym bystrzakiem na wyspie. Słyszałem, że przez jakiś czas chcieli, żeby nadzorował latarnię na Crypt Rock. Cóż, nie udało się. O dziewiątej Charlie wyłączył światło. Spytali go dlaczego, a on na to: „O tej godzinie wszyscy porządni ludzie powinni być dawno w łóżku". Racja! Gaś światło, Charlie!

Goście szczerze się roześmiali. Charlie Burden wyglądał, jakby miał zwymiotować.

— Brawa dla Charliego i Dotty. Mam nadzieję, że będą się dobrze bawić. I że na zawsze pozostaną na Courne Haven. Może im się spodoba w Bostonie, ale ja nie przepadam za miastami. Nie znoszę ich. Zawsze tak było. W Bostonie forsa tonie, w Chicago dopada lumbago. Wiecie, co dla mnie się liczy? Dobro rodziny i szczodrość.

Tłum znów pojęczał i powzdychał.

— Ale kawalarz — stwierdziła Ruth.

— Lubi rymowanki — dodała pani Pommeroy.

Trzymała dziewczynę za rękę, gdy Babe kończył swój toast, okraszony kolejnymi dowcipami i przytykami do zięcia.

— Tak mu się powodzi, że mógłby kupić nas wszystkich, jak stoimy — zauważyła tęsknie Rhonda.

Po toas'cie pito za zdrowie Babe'a Wishnella, który ukłonił się teatralnie, a potem ogłosił:

— To dla mnie prawdziwy zaszczyt gościć pana Lanforda Ellisa. Chciałby powiedzieć nam kilka słów i myślę, że wszyscy chętnie go wysłuchamy. Tak jest. Pan Ellis nieczęsto u nas bywa. To dla mnie wielkie wyróżnienie, że przybył na ślub mojej córki. Oto i on. Proszę teraz o ciszę. Pan Lanford Ellis. Bardzo wpływowy człowiek. Zaraz nam coś powie.

Cal Cooley przywiózł pana Ellisa na środek namiotu. Nastała cisza. Cal poprawił starcowi pled.

— Jestem szczęściarzem — zaczął pan Ellis — że mam tylu sąsiadów. — Powoli rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Zapłakało jakieś niemowlę i rozległ się szelest. Matka wynosiła je z namiotu. — Na tej wyspie, tak jak na Fort Niles, ludzie tradycyjnie ciężko pracują. Pamiętam, jak Szwedzi wytwarzali tu dla naszej firmy kocie łby. Trzystu dobrych robotników potrafiło wykonać po dwieście dziennie, każdy o wartości pięciu centów. Moja rodzina zawsze ceniła ciężką pracę.

— Ciekawy toast weselny — szepnęła Ruth do pani Pommeroy.

— Teraz wszyscy łowicie homary — ciągnął pan Ellis. — To też przyzwoite zajęcie. Niektórzy z was są Szwedami, potomkami wikingów. A oni nazywali ocean Drogą Homara. Jestem już stary. Co się stanie z Fort Niles i Courne Haven, kiedy mnie zabraknie? Jestem już stary. Kocham te wyspy.

Pan Ellis przerwał. Wpatrzył się w ziemię. Jego twarz straciła wyraz. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, że zapomniał o swojej przemowie. Cisza się przeciągała. Goście spoglądali po sobie. Wzruszali ramionami i patrzyli na Cala Cooleya, który stał kilka stóp za wózkiem pana Ellisa. On jednak zdawał się niczym nie przejmować. Na jego twarzy, jak zwykle, malowały się tylko niesmak i znudzenie. Ktoś zakaszlał. Było tak cicho, że Ruth słyszała szum kołysanych wiatrem drzew. Po kilku minutach wstał Babe Wishnell.

— Chcielibyśmy podziękować panu Ellisowi, że przybył do nas na Courne Haven — zaczął. — Co wy na to? To dla nas wiele znaczy. Co powiecie na wielkie brawa dla pana Lanforda Ellisa? Dziękujemy, Lanfordzie.

Tłum z ulgą zaklaskał. Cal odwiózł szefa na bok. Wzrok pana Ellisa był wciąż utkwiony w ziemi. Zespół podjął grę, a jakaś kobieta zbyt głośno się roześmiała.

— Taak, kolejny niezwykły toast — zauważyła Ruth.

— Wiesz, kto siedzi sam jak palec na schodach ganku na tyłach domu pastora? — spytała ją pani Pommeroy.

— Kto?

— Owney Wishnell. — Kobieta podała dziewczynie latarkę. — Może pójdziesz go poszukać? Nie śpiesz się z powrotem.

11

> Od głodu do kanibalizmu droga niedaleka, a choć potomstwo homara ma nader ograniczone możliwości gromadzenia się, istnieje prawdopodobieństwo, że pojedyncze osobniki natkną się na siebie i — jeśli nie znalazły dotąd pożywienia — wykorzystają zaistniałą okazję.
>
> *A Method of Lobster Culture*
> dr A. D. Mead
> 1908

Ze szklanką whisky w jednej i latarką w drugiej ręce Ruth odnalazła drogę do domu pastora Wishnella. W środku było ciemno. Obeszła budynek dookoła i, zgodnie z informacją pani Pommeroy, na tylnym ganku znalazła Owneya. Siedział na schodkach. Rzucał ogromny cień. Przemieszczając snop światła, Ruth dostrzegła, że miał na sobie szarą, zapinaną na zamek bluzę z kapturem. Zbliżyła się, usiadła obok niego i wyłączyła latarkę. Przez chwilę milczeli w ciemności.

— Napijesz się? — spytała Ruth. Podała Owneyowi whisky. Odebrał ją i powoli pociągnął solidnego łyka. Zawartość szklanki zdawała się go nie dziwić. Jakby się spodziewał, że Ruth Thomas przyniesie mu właśnie whi—

sky—jakby na to czekał. Oddał jej drinka, ona upiła nieco i znów mu go przekazała. Wkrótce opróżnili szklankę. Owney zachowywał się tak bezgłośnie, że Ruth ledwo słyszała jego oddech. Postawiła szklankę na schodach, obok latarki.

— Masz ochotę na spacer? — spytała.

— Tak — odpowiedział i natychmiast się podniósł.

Podał jej rękę, a ona ją ujęła. Mocno. Poprowadził ją przez ogród, niski ceglany murek i krzaki róż. Zostawiła latarkę na ganku, więc szli bardzo ostrożnie. Niebo było bezchmurne, więc mimo ciemności widzieli, dokąd zmierzają. Przeszli ogrodem sąsiadów do lasu.

Owney zaprowadził Ruth do ścieżki. Zrobiło się naprawdę ciemno — drogę ocieniały świerki. Przejście okazało się wąskie, więc musieli iść gęsiego. Dziewczyna bała się, że upadnie, więc położyła chłopakowi dłoń na ramieniu, by utrzymać równowagę. Gdy tylko czuła się pewniej, cofała rękę, lecz zdarzało się, że wyciągała ją ponownie.

Szli w milczeniu. Ruth usłyszała pohukiwanie sowy.

— Nie bój się — uspokoił ją Owney. — Na tej wyspie wciąż coś hałasuje.

Znała te odgłosy. Las był dla niej jednocześnie znajomy i dezorientujący. Wszystko pachniało, wyglądało i brzmiało jak na Fort Niles, z tym że znajdowała się gdzieś indziej. Powietrze miało wprawdzie upojny zapach, ale nie było jej powietrzem. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, dokąd zawędrowali, dopóki nie wyczuła po prawej stronie ogromnej otwartej przestrzeni. Uświadomiła sobie, że stoją wysoko, na krawędzi kamieniołomu. Była to blizna pozostawiona na wyspie przez firmę Ellisa, podobna do wielkich dołów na Fort Niles. Poruszali się teraz bardzo ostrożnie, bo ścieżkę, którą wybrał Owney, dzieliła od

skraju przepaści odległość zaledwie czterech stóp. Ruth wiedziała, że niektóre kamieniołomy miały kilkaset stóp głębokości. Szła malutkimi kroczkami, ponieważ włożyła na ślub sandały o śliskich podeszwach, a powierzchnia pod jej stopami była wyjątkowo gładka.

Przesuwali się wzdłuż krawędzi kamieniołomu, by po chwili znów znaleźć się w lesie. Zaniepokojona sąsiedztwem przepaści Ruth z ulgą schroniła się w otoczeniu drzew, w zamkniętej przestrzeni i nieprzeniknionej ciemności. W pewnym momencie przeszli przez stare tory kolejowe. Zagłębiając się w las, coraz mniej widzieli. Po półgodzinnym milczącym spacerze znaleźli się nagle w absolutnych ciemnościach. Ruth zorientowała się dlaczego. Po jej lewej stronie piętrzyła się czarna ściana granitu, wysoka na jakieś sto stóp. To ona pochłaniała światło. Dziewczyna wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią po jej powierzchni. Kamień był zimny, wilgotny i omszały.

— Dokąd idziemy? — spytała. Prawie nie widziała Owneya.

— Na spacer.

Roześmiała się cicho i przyjemnie.

— A wiemy dokąd?

— Nie — odparł i ku jej ogromnej radości też się roześmiał. Zawtórowała mu. Podobało jej się brzmienie ich śmiechu pośród drzew.

Zatrzymali się. Ruth oparła się o granitową ścianę. Jej powierzchnia była nieco pochyła, więc dziewczyna, przylgnąwszy do niej, odchyliła się nieco do tyłu. Niewyraźnie dostrzegała przed sobą sylwetkę Owneya. Sięgnęła ku jego ramieniu i przesunęła po nim dłoń. Ujęła go za rękę. Dużą i ciepłą.

— Chodź tu, Owney — powiedziała i znów się roze—

śmiała. — Chodź tu do mnie. — Przyciągnęła go do siebie, a on ją przytulił. Stali tak nieporuszeni. Ruth czuła za plecami zimny ciemny granit, a przed sobą duże ciepłe ciało Owneya Wishnella. Jeszcze mocniej się w nie wtuliła i przycisnęła policzek do jego piersi. Sprawiło jej to ogromną przyjemność. Miał szerokie plecy. Było jej wszystko jedno, czy posuną się dalej. Mogli pozostać w tym uścisku przez długie godziny i to by wystarczyło.

Chociaż właściwie nie.

Wiedziała, że wszystko się zaraz zmieni. Uniosła twarz i sięgnęła ustami jego ust. Ich pocałunek nie był wcale lekki i powierzchowny, lecz głęboki, długi i wilgotny. A— co za niespodzianka! —jaki ten Owney miał wspaniały język! Boże, co za cudowny język. Niespieszny i słonawy. Po prostu fantastyczny.

Ruth oczywiście całowała się wcześniej z chłopakami. Wprawdzie z nielicznymi, bo nie miała zbyt wielu okazji. A nie zamierzała się całować z Pommeroyami. Rzeczywiście, spotkała w życiu niewielu nadających się do tego chłopaków, ale parę razy skorzystała, gdy los dawał jej szansę. Kiedyś, tuż przed Bożym Narodzeniem, całowała się z jakimś chłopcem w autobusie do Concord, a potem z synem kuzyna Duke'a Cobba, który przyjechał na tydzień z New Jersey. Wszystko to wydawało jej się jednak bez znaczenia w porównaniu z dotykiem dużych, miękkich ust Owneya Wishnella.

Może dlatego tak wolno mówi, pomyślała Ruth. Ma zbyt duży i miękki język, by robić to szybko. Zresztą, cóż z tego. Ujęła jego twarz w dłonie, a on powtórzył jej gest. Całowali się jak szaleni. Mocno przytrzymywali się za głowy — zdecydowanym chwytem matki, która chce patrzeć niegrzecznemu dziecku prosto w oczy, mówiąc: „Posłuchaj

no!" Nie mogli się od siebie oderwać. Było cudownie. Udo Owneya między nogami Ruth tak mocno napierało, że dziewczyna niemal odrywała się od ziemi. Miał twarde, muskularne udo. Świetnie, pomyślała. Fajne udo. Było jej wszystko jedno, czy na tym poprzestaną.

Chociaż właściwie nie. Wcale nie.

Zdjęła jego ręce ze swojej twarzy, chwyciła go za wielkie nadgarstki, przesunęła w dół po swoim ciele i zatrzymała na biodrach. Napierał na nią jeszcze silniej — z tym cudownym, słodkim językiem głęboko w jej ustach — i powoli przesuwał dłonie w górę, aż nakrył nimi jej piersi. Ruth uświadomiła sobie nagle, że chyba umrze, jeśli Owney natychmiast nie zacznie całować jej sutków. Tak jest, pomyślała. Umrę. Porozpinała więc z przodu sukienkę, rozchyliła materiał i przesunęła głowę chłopaka w dół. A wtedy — on był naprawdę wspaniały! — Owney jęknął, bardzo cicho i wzruszająco. Ruth zdawało się, że cała jej pierś mieści się w jego ustach. Poczuła głęboką rozkosz. Aż miała ochotę zamruczeć. Chciała się wygiąć do tyłu, lecz skała za jej plecami na to nie pozwalała.

— Możemy pójść gdzieś indziej?

— Gdzie?

— Gdzieś, gdzie jest trochę bardziej miękko.

— OK — zgodził się, lecz bardzo długo nie mogli się od siebie oderwać. Próbowali kilka razy, bo Ruth wciąż przyciągała Owneya, a on, coraz bardziej podniecony, nie przestawał się o nią ocierać. Trwało to całą wieczność. A kiedy w końcu udało im się od siebie oddzielić, podążyli, a właściwie pobiegli ścieżką. Jakby płynęli pod wodą, wstrzymując oddech i pragnąc jak najszybciej się wynurzyć. Co tam korzenie, kamienie i śliskie sandałki Ruth. Nie potrzebowała jego pomocy, podtrzymywania

za łokieć. Po co te ceregiele — po co tracić czas? Nie miała pojęcia, dokąd zmierzają, wiedziała tylko, że będą tam mogli powrócić do tego, co przerwali. Na tę myśl oboje przyspieszali kroku. Przecież mieli jeszcze tyle do zrobienia. Faktycznie biegli. W milczeniu, nie tracąc czasu na rozmowy.

W końcu wypadli z lasu na niewielką plażę. Ruth dostrzegła s'wiatła w oddali. Przed nimi widniała Fort Niles. Oznaczało to, że odeszli bardzo daleko — weselny dom Wishnellów znajdował się po drugiej stronie Courne Haven. To dobrze. Im dalej, tym lepiej. Nieco powyżej plaży stała pozbawiona drzwi szopa, więc zaraz się w niej schronili. W kącie piętrzyły się stare więcierze. Na podłodze leżało wiosło. Obok niego stało szkolne dziecięce biurko połączone z krzesełkiem. Okno przesłaniał wełniany koc, który Owney zerwał bez chwili wahania. Strzepnął z niego kurz i rozłożył na s'rodku podłogi, usunąwszy kopnięciem szklaną boję. Przez odkryte okno wpadło światło księżyca.

Zaczęli się rozbierać, jakby już dawno to zaplanowali. Ruth była szybsza, ponieważ miała na sobie jedynie sukienkę na ramiączkach, zresztą już niemal zupełnie rozpiętą. Błyskawicznie ją zrzuciła, a po niej niebieskie bawełniane majtki i sandały — gotowe! Za to Owney guzdrał się całą wieczność. Musiał zdjąć bluzę, flanelową koszulę (z guzikami na mankietach) i podkoszulek, a potem jeszcze pasek, wysokie robocze buty (które trzeba było najpierw rozwiązać), skarpetki, dżinsy i wreszcie — wszystko to trwało wieki — białe slipy.

Wprawdzie nie rzucili się na siebie, lecz bardzo szybko się do siebie zbliżyli. Zdali sobie sprawę, że w pozycji leżącej będzie im o całe niebo łatwiej, więc natychmiast

osunęli się na podłogę. Ruth leżała na plecach, a Owney klęczał. Podciągnął jej nogi, a potem je rozsunął. Wtedy przypomnieli jej się wszyscy, którzy by się na ten widok oburzyli — ojciec, matka, Angus Addams (gdyby tylko wiedział — naga Ruth z Wishnellem!), pastor (aż strach pomyśleć, jak by zareagował), Vera Ellis, Lanford Ellis (chybaby ją zabił! Kazałby zabić ich oboje!). Uśmiechnęła się tylko, wyciągnęła rękę i pomogła Owneyowi zagłębić się w sobie. Tak po prostu.

Zadziwiające, co ludzie potrafią, nawet jeśli nigdy przedtem tego nie robili.

Od kilku lat Ruth zastanawiała się, jak to będzie, kiedy zacznie się z kimś kochać. Nigdy by jednak nie pomyślała, że uprawianie seksu może się okazać takie łatwe i od samego początku takie podniecające. Sądziła, że zanim wszystko pójdzie jak należy, trzeba się sporo natrudzić i nagadać. Właściwie nigdy sobie tego nie wyobrażała, bo nie widziała dla siebie partnera. Planowała, że musiałby to być ktoś dużo starszy, kto znałby się na rzeczy, wykazałby się cierpliwością i wiele ją nauczył. „Zrób to tak; nie, nie tak; spróbuj jeszcze raz". Myślała, że początkowo seks będzie skomplikowany jak prowadzenie samochodu, że przyjemność przyjdzie powoli, po tygodniach niezmordowanych ćwiczeń, i że pierwsze kontakty będą bardzo bolesne.

To rzeczywiście zdumiewające, do czego zdolni są ludzie, nawet jeśli nigdy przedtem się tym nie zajmowali.

Ruth i Owney od samego początku zabrali się do rzeczy jak profesjonaliści. Tu, w tej budzie, na brudnym wełnianym kocu, zadowalali się nawzajem, wyczyniając różne sprośności. Natychmiast osiągnęli etap, do którego inni dochodziliby pewnie miesiącami. To ona była na górze, to znów on. Zdawało się, że nie ma takiej części

ciała partnera, której nie wzięliby w usta. Twarz Owneya zagłębiła się między jej nogi. Potem Ruth ssała go, opierając się na dziecięcym biurku, a on zanurzył dłonie w jej włosach i mocno je chwycił. Innym razem dziewczyna leżała na boku z nogami ułożonymi jak do biegu, a on doprowadzał ją palcami do rozkoszy. Przesuwał je po jej wilgotnej, wąskiej szczelince, a później oblizywał. Wsuwał je z powrotem, po czym wkładał jej do ust, by mogła spróbować, jak smakuje.

Niewiarygodne, ale nie przestawała powtarzać:

— O tak, pieprz mnie, no, dalej, pieprz mnie.

A on odwracał ją akurat na brzuch, unosił jej biodra i tak, tak, pieprzył ją, pieprzył ją bez końca.

***

W końcu Ruth i Owney zasnęli, a gdy się zbudzili, było wietrznie i zimno. Szybko się ubrali i pokonali trudną drogę powrotną — przez las i kamieniołom — do miasteczka. Przejaśniało się, więc Ruth zdołała dokładniej obejrzeć wykop. Dziura była ogromna, większa niż którakolwiek na Fort Niles. Co oni z tego budowali? Chyba katedry.

Wyłonili się z lasu przy ogrodzie sąsiadów Owneya. Przekroczyli niski ceglany murek i znaleźli się w rosarium pastora. Na ganku czekał na nich sam Wishnell. W jednej ręce trzymał pustą szklankę po whisky, a w drugiej latarkę pani Pommeroy. Gdy dostrzegł, że Ruth i Owney nadchodzą, rzucił na nich snop światła, choć nie było to wcale konieczne. Niebo rozjaśniło się już na tyle, że mógł z łatwością rozpoznać, z kim ma do czynienia. Nie gasił jednak latarki.

Owney puścił rękę Ruth, a ona natychmiast wsunęła ją do kieszeni sukienki i zacisnęła na kluczu — kluczu do sklepu firmowego pana Ellisa, który dostała kilka godzin

wcześniej. Od wyprawy do lasu nawet o nim nie pomyślała, lecz jego odnalezienie — świadomość, że nie zginął — stało się dla niej teraz niezmiernie ważne. Trzymała go tak mocno, że wpił jej się w dłoń. Tymczasem pastor zszedł z ganku i skierował się w ich stronę. Ruth kurczowo ściskała klucz. Sama nie wiedziała dlaczego.

12

Ostre zimy zmuszają homary do cofnięcia się na głębsze wody lub, jeśli żyją w zatokach, do poszukiwania schronienia w mule, pod warunkiem że mają go do dyspozycji.

The American Lobster: A Study of Its Habits and Development
dr Francis Hobart Herrick
1895

Ruth starała się ukrywać przez większość lata i jesieni 1976 roku. Ojciec nie wyrzucił jej wprawdzie z domu, lecz po zaistniałym incydencie nie sprawiał wrażenia, że jest w nim mile widziana. Incydent ten nie miał nic wspólnego z faktem, że pastor Wishnell przyłapał jego córkę i Owneya na szwendaniu się po lesie niemal do białego rana. Owszem, to było niefortunne, ale prawdziwa bomba wybuchła cztery dni później, przy kolacji, gdy dziewczyna spytała:

— Nie chcesz nawet wiedzieć, co robiłam w lesie z Owneyem Wishnellem?

Od kilku dni ojciec i córka omijali się, nie rozmawiali ze sobą, udawało im się jakoś' unikać wspólnych posiłków.

Tego wieczoru Ruth upiekła kurczaka i podała go akurat w momencie, gdy Stan wrócił z połowu.

— Mną się nie przejmuj — powiedział Thomas, zobaczywszy, że dziewczyna kładzie dwa nakrycia. — Zjem u Angusa.

— Nie, tato — zatrzymała go Ruth. — Zjedzmy dziś razem, tylko ty i ja.

Podczas kolacji zamienili zaledwie parę słów.

— Udał mi się ten kurczak, prawda? — spytała dziewczyna. Ojciec odpowiedział, że owszem, jest naprawdę smaczny. Ruth zagadnęła go o współpracę z Robinem Pommeroyem, którego ostatnio znów zatrudnił. Stan odparł, że dzieciak jest głupi, więc nic się nie zmieniło. Czegóż zresztą można się było spodziewać? Prowadzili powierzchowną rozmowę. Spokojnie dokończyli jedzenie.

Gdy ojciec wziął talerz i skierował się z nim ku zlewowi, Ruth spytała:

— Tato, nie chcesz nawet wiedzieć, co robiłam w lesie z Owneyem Wishnellem?

— Nie.

— Nie?

— Ile razy mam ci powtarzać? Wszystko mi jedno, z kim spędzasz czas i co wtedy robisz.

Stan opłukał swój talerz, wrócił do stołu i zabrał talerz Ruth, nie pytając, czy już skończyła posiłek — w ogóle na nią nie patrząc. Opłukał go, nalał sobie szklankę mleka i odkroił kawałek jagodowego ciasta pani Pommeroy, które stało na blacie przykryte spotniałą folią. Zjadł go z ręki, pochylony nad zlewem. Potem wytarł okruszki w dżinsy i zabezpieczył ciasto przed wyschnięciem.

— Idę do Angusa — oznajmił.

— Wiesz, tato — zaczepiła go Ruth — coś ci powiem. —

Nie wstawała z krzesła. — Chyba jednak powinieneś mieć na ten temat swoje zdanie.

— Cóż — odparł — nie mam.

— Jednak powinieneś. Wiesz dlaczego? Bo się kochaliśmy.

Stan zdjął kurtkę z oparcia krzesła, włożył ją i ruszył w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz?

— Mówiłem już. Do Angusa.

— Tylko tyle masz do powiedzenia? Takie jest twoje zdanie?

— Nie mam zdania.

— W takim razie powiem ci coś jeszcze. Jest mnóstwo rzeczy, na których temat powinieneś mieć wyrobione zdanie.

— Ale nie mam.

— Kłamca — rzuciła Ruth.

Stan utkwił w niej wzrok.

— Nie tak rozmawia się z ojcem.

— Dlaczego? Przecież jesteś kłamcą.

— Z nikim się tak nie rozmawia.

— Po prostu mam już powyżej uszu twojego „wszystko mi jedno". Myślę, że to dowód cholernej słabości.

— Gdyby mi zależało, miałbym tylko problemy.

— Obojętne ci, czy pojadę do Concord i czy tam zostanę — gorączkowała się Ruth. — Wszystko ci jedno, czy pan Ellis daje mi pieniądze, czy będę pracowała na łodzi albo czy zapiszę się do college'u. Nie obchodzi cię, że przez całą noc kocham się z Wishnellem. Rzeczywiście, tato? To dla ciebie naprawdę bez różnicy?

— Zgadza się.

— Och, daj spokój. Ależ z ciebie kłamca.

— Nie mów tak więcej.

— Będę mówiła, na co mam ochotę.

— Nie ma znaczenia, na czym mi zależy, Ruth. To, co się dzieje z tobą albo z twoją matką, nie ma ze mną nic wspólnego. Uwierz mi. Po prostu nie ma ze mną związku. Już dawno to zrozumiałem.

— Ze mną albo z matką?

— Właśnie. Nie mam nic do powiedzenia w sprawach, które was obu dotyczą. A niech tam.

— Mojej matki? Chyba żartujesz? Gdybyś tylko zechciał, mógłbyś ją całkiem zdominować. Przecież ona nigdy w życiu nie podjęła sama żadnej decyzji.

— Moje słowo się dla niej nie liczy.

— A czyje się liczy?

— Wiesz czyje.

Ruth i Stan długo mierzyli się wzrokiem.

— Tato, przecież mógłbyś stawić czoło Ellisom, gdybyś tylko chciał.

— Nie, Ruth. Ty zresztą też nie.

— Kłamca.

— Mówiłem ci już, żebyś przestała się tak do mnie odzywać.

— Cykor — wyrzuciła z siebie Ruth ku własnemu zdumieniu.

— Trzymaj tę cholerną gębę na kłódkę, bo... — zagroził Stan i wyszedł z domu.

Tak właśnie wyglądał ten incydent.

Ruth dokończyła sprzątanie kuchni i pobiegła do pani Pommeroy. Przepłakała na jej łóżku niemal godzinę. Rhonda głaskała ją w tym czasie po włosach, a w końcu poprosiła:

— Może mi opowiesz, co się stało?

— Straszny z niego cykor.

— Skąd takie słowa, kochanie?

— Pieprzony tchórz. To żenada. Dlaczego nie jest choć trochę podobny do Angusa Addamsa? Dlaczego nie może choć raz postawić na swoim?

— Przecież nie chciałabyś' mieć takiego ojca jak Angus, prawda?

Na te słowa Ruth wybuchnęła jeszcze większym płaczem, a pani Pommeroy spróbowała ją uspokoić:

— Och, kochanie. Miałaś naprawdę ciężki rok.

Wtedy do sypialni zajrzał Robin.

— O co ten hałas? Kto beczy?

— Weźcie go stąd! — wrzasnęła Ruth.

— Nie jesteś u siebie, suko.

— Dogryzacie sobie zupełnie jak rodzeństwo — stwierdziła pani Pommeroy.

Dziewczyna przestała płakać i powiedziała:

— Cholera, nie mogę w to uwierzyć.

— W co? — dopytywała się pani Pommeroy. — W co, kochanie?

***

Ruth została u Pommeroyów przez cały lipiec i sierpień, aż do początku września. Czasami zaglądała do swojego domu — domu ojca — gdy miała pewność, że go tam nie zastanie, i zabierała czystą bluzkę czy jakąś książkę albo zastanawiała się, co ojciec ostatnio jadł. Nie miała nic do roboty. Nie znalazła pracy. Przestała już nawet udawać, że chce się u kogoś zatrudnić jako sternik, i nikt już nie pytał, co planuje. Stało się jasne, że nikt nie zaproponuje jej pracy na łodzi, a w 1976 roku Fort Niles nie miała poza tym zbyt wiele do zaoferowania.

Ruth nie znajdowała dla siebie zajęcia. Pani Pom—

meroy potrafiła przynajmniej haftować, a Kitty miała za towarzysza swój alkoholizm. Webster przeszukiwał płycizny, a Senator żył marzeniem o Muzeum Historii Naturalnej. Ruth pozostała z niczym. Czasami myślała, że najbardziej przypomina najstarszych mieszkańców wyspy — drobniutkie staruszki, które siadały przy oknie, odsłaniały firanki i obserwowały ulicę, czekając na rzadkich przechodniów.

Mieszkała u pani Pommeroy z Websterem, Robinem, Timothym, żoną Robina Opal oraz ich olbrzymim dzieckiem, Eddiem, a także z Kitty, wyrzuconą z domu przez stryja Lena. Spośród zdesperowanych kobiet z Fort Niles Thomas wybrał sobie na jej miejsce Floridę Cobb. Wprowadziła się więc do niego małomówna córka Russa i Ivy Cobbów, przybierająca tylko na wadze i malująca obrazki na pieniążkowcach. Kitty mocno to przeżywała. Zagroziła Lenowi strzelbą, ale on odebrał jej broń, a zaraz potem spalił.

— Cholera, uważałam Floridę Cobb za przyjaciółkę — żaliła się Kitty Ruth, choć Florida Cobb nigdy się z nikim nie przyjaźniła.

Kitty opowiedziała siostrze smutną historię ostatniego dnia swojego pobytu w domu Lena. Ruth słyszała, jak rozmawiały za zamkniętymi drzwiami sypialni pani Pommeroy. Kitty nie przestawała płakać. Kiedy Rhonda wyszła w końcu z pokoju, dziewczyna spytała:

— Co mówiła Kitty? Co się stało?

— Nie chcę drugi raz tego słyszeć, Ruth — odpowiedziała pani Pommeroy.

— Drugi?

— Raz od Kitty, a drugi z własnych ust. Nie myśl już o tym. Od tej pory Kitty zamieszka z nami.

Ruth zaczynała sobie zdawać sprawę, że starsza siostra Pommeroy budziła się co rano bardziej pijana, niż niektórym się w życiu zdarzało. Przepłakiwała całe wieczory, a Ruth i Rhonda kładły ją spać. Dostawało im się, gdy wprowadzały ją siłą po schodach na górę. Działo się tak niemal codziennie. Kiedyś Kitty rozbiła nawet dziewczynie nos. Opal nie nadawała się do pomocy — bała się, że oberwie. Siadała więc w kącie i płakała, a pani Pommeroy i Ruth musiały sobie radzić same.

— Nie chcę, żeby moje dziecko dorastało w takim wrzasku — powiedziała Opal.

— Więc się wyprowadź do własnego domu — odparowała Ruth.

— To ty się wyprowadź! — krzyknął na nią Robin.

— Jesteście zupełnie jak rodzeństwo — stwierdziła jak zwykle pani Pommeroy. — Wciąż sobie dogryzacie.

Ruth nie spotykała się z Owneyem. Nie widziała go od wesela. Pastor Wishnell się o to zatroszczył. Postanowił opłynąć jesienią wyspy Maine z Owneyem jako kapitanem *New Hope*. Podczas tej wielkiej wyprawy odwiedzili niemal każde nabrzeże na Atlantyku, od Portsmouth po Nową Szkocję. Pastor wygłaszał kazanie za kazaniem.

Owney nie zadzwonił do Ruth, ale jak miał to zrobić? Nie znał jej numeru telefonu i nie wiedział, że mieszka u pani Pommeroy. Zresztą ona nie miała mu tego specjalnie za złe. Pewnie i tak nie byłoby zbyt wiele do powiedzenia. Owney nie należał do rozmownych, a ona nie potrafiła sobie wyobrazić, że godzinami flirtuje z nim przez telefon. Rozmowa nigdy im się aż tak nie kleiła. Zresztą Ruth tak czy inaczej nie miała ochoty z nim gadać. Nie chciała się z nim dzielić najświeższymi ploteczkami, ale nie oznaczało to wcale, że za nim nie tęskni albo raczej — że go nie pra—

gnie. Chciała z nim być. Pragnęła znaleźć się z nim sam na sam w pokoju, odczuć przyjemność obecności jego ciała i komfort jego milczenia. Chciała znów się z nim kochać, na wszelkie, najsprośniejsze sposoby. Marzyła, by być z nim nago, i wypełniało jej to całkiem sporo czasu. Myślała o tym w wannie podczas kąpieli oraz w łóżku. Nie przestawała rozmawiać z panią Pommeroy o tej jedynej spędzonej z nim nocy. Rhonda chętnie jej słuchała, dowiadywała się o szczegóły i zdawała się wszystko aprobować.

Ruth spała na górze, w sypialni, którą pani Pommeroy zaproponowała jej początkowo, gdy miała dziewięć lat — z wyblakłymi rdzawymi plamami krwi na ścianie. To tutaj dawno temu wuj Pommeroy odebrał sobie życie strzałem w usta.

— Jeśli ci to nie przeszkadza — zastrzegła Rhonda.

— Ani trochę — odparła Ruth.

W podłodze pokoju umieszczono otwór grzewczy. Leżąc z przybliżoną do niego głową, dziewczyna słyszała rozmowy prowadzone w całym domu. Podsłuchiwanie przynosiło jej ulgę. Wiedziała o wszystkim, a jednocześnie pozostawała w ukryciu, co przez większość jesieni stanowiło zresztą jej główne zajęcie. Chowała się przed ojcem, ale to akurat nie nastręczało szczególnych trudności, bo wcale jej nie szukał. Kryła się przed Angusem, a to nie było już takie łatwe, bo na jej widok Addams natychmiast przechodził przez ulicę, by jej wygarnąć, jaka z niej kurewka, co pieprzy się z Wishnellem, szkaluje ojca i przekrada się chyłkiem przez miasto.

— Owszem — mówił — już o tym, kurwa, słyszałem. Nie myśl sobie, że nie wiem.

— Niech mnie pan zostawi w spokoju — odpowiadała Ruth. — To nie pana sprawa.

— Ty nędzna zdziro.

— On się tylko z tobą drażni — tłumaczyła go pani Pommeroy, jeśli przypadkiem przy tym była, na co oboje — i Angus, i Ruth — reagowali oburzeniem.

— Tak to się teraz nazywa? — denerwowała się Ruth.

— Z nikim się, cholera, nie drażnię — krzyczał urażony Addams, a pani Pommeroy, która nie zamierzała się tym przejmować, zaprzeczała:

— Oczywiście, że tak, Angusie. Wszyscy wiedzą, jaki z pana kawalarz. — Nieustannie powtarzała też Ruth: — Wiesz, co musimy teraz zrobić? Poczekać, aż ten hałas ucichnie. Wszyscy cię tu kochają, tylko są trochę poirytowani.

Najwięcej wysiłków kosztowało Ruth ukrywanie się przed panem Ellisem, a raczej przed Calem Cooleyem. Najbardziej na świecie pragnęła teraz uniknąć spotkania ze starcem, wiedziała jednak, że jego wierny sługa któregoś dnia ją do niego zaciągnie. Zdawała sobie sprawę, że Lanford Ellis przedstawi jej gotowy plan działania, którego wcale nie zamierzała realizować. Pani Pommeroy i Senator Simon pomagali jej unikać Cala. Gdy zachodził do Pommeroyów, by o nią spytać, Rhonda odsyłała go do Addamsa, a gdy szukał jej u Senatora, ten kierował go do pani Pommeroy. Wyspa miała jednak zaledwie cztery mile długości, więc jak długo można to było ciągnąć? Ruth doskonale wiedziała, że jeśli Cal naprawdę zechce ją dopaść, na pewno dopnie swego. Rzeczywiście, któregoś ranka pod koniec sierpnia złapał ją w końcu w dawnym sklepie firmowym Ellisów, gdy pomagała Senatorowi przy budowie muzealnych gablot.

Wnętrze budynku było ciemne i nieprzyjemne. Przed pięćdziesięciu laty, po zamknięciu sklepu, ogołocono go ze wszystkiego, więc stał teraz wypatroszony, z oknami zabitymi deskami. Senator Simon nie posiadał się jednak z rados'ci, gdy Ruth po weselu Wishnellów wręczyła mu dziwaczny prezent w postaci klucza do kłódki, która tak długo pozbawiała go wstępu do tego miejsca. Nie wierzył swojemu szczes'ciu. Tworzenie muzeum tak go ekscytowało, że na pewien czas porzucił nawet Webstera Pomme—roya. Zdecydował się pozostawić go na Plaży Pottera, by samotnie poszukiwał ostatniego ciosu. Nie starczało mu sił na zamartwianie się o Webstera. Całą energię włożył w remont dawnego sklepu.

— To będzie wspaniałe muzeum, Ruth.

— Jestem o tym przekonana.

— Pan Ellis na pewno się na to zgodził?

— Zbytnio się nad tym nie rozwodził, ale kiedy mu powiedziałam, jak pan to widzi, dał mi ten klucz.

— W takim razie musi się zgadzać.

— Zobaczymy.

— Będzie zachwycony, gdy zobaczy muzeum — zapewnił Senator. — Poczuje się jak mecenas.

Ruth zaczynała powoli rozumieć, że zasadniczą częścią muzeum będzie biblioteka mieszcząca obszerne zbiory Senatora, na które w domu nie starczało mu już miejsca. Addams miał więcej książek niż eksponatów. Musiał więc zbudować regały. Już wszystko zaplanował. Zamierzał zorganizować działy z książkami o budownictwie okrętowym, piractwie i odkryciach. Cały parter budynku poświęcał na muzeum. Okna wystawowe miały natomiast posłużyć jako swego rodzaju galeria obiektów wystawianych czasowo. Dawne biura i magazyny przeznaczał na książki i stałe eks—

pozycje, piwnicę zaś na tak zwane „Archiwa". Nie wiedział jeszcze, co znajdzie się na górze, w opuszczonym trzypokojowym mieszkaniu dawnego kierownika sklepu i jego rodziny. Dół był już jednak zagospodarowany. Senator planował poświęcić jedno z pomieszczeń na „wystawę map i dyskusje na ich temat". Ruth szybko się zorientowała, że o ile ekspozycja pozostawała kwestią czasu, o tyle dyskusja była już mocno zaawansowana.

— Oddałbym wszystko — zarzekał się tego sierpniowego wieczoru Senator — żeby zobaczyć oryginał mapy z atlasu Merkatora wydanego przez Hondiusa. — Pokazał dziewczynie reprodukcję w książce sprowadzonej przed laty z antykwariatu w Seattle. Jego uporczywa chęć omawiania z Ruth każdej ciekawej książki czy ilustracji znacznie spowalniała prace w muzeum. — 1663. Widać, że Wyspy Owcze są tu dobrze oznaczone, i Grenlandia. Ale co to takiego? Ojej. Co to może być? Wiesz, Ruth?

— Islandia?

— Nie, skąd. Tu jest Islandia. Na właściwym miejscu. To mityczna wyspa zwana Frislandia. Widnieje na wielu starych mapach. W ogóle nie istnieje. Dziwne, prawda? Naniesiono ją tak wyraźnie, jakby nie było najmniejszych wątpliwości, że się tu znajduje. Pewnie jakiś żeglarz pomylił się w swojej relacji z podróży. W taki sposób kartografowie zdobywali wtedy informacje, Ruth. Wcale nie ruszali się z domu. Zupełnie jak ja. I właśnie to jest niesamowite, Ruth. — Senator potarł nos. — Ale czasem się mylili. Jak widzisz, Gerhard Merkator jest wciąż przekonany, że można dopłynąć do Orientu od północnego wschodu. Najwyraźniej nie miał pojęcia o polarnych zlodowaceniach! Nie sądzisz, że kartografowie byli bohaterami? Ja tak.

— Pewnie, Senatorze.

— Ja tak uważam. Spójrz, jak kształtowali kontynent — od brzegów ku środkowi. Szesnastowieczne mapy Afryki Północnej mają na przykład poprawnie wytyczone wybrzeża. Ci Portugalczycy znali się na swoim rzemiośle. Nie wiedzieli jednak, co dzieje się wewnątrz kontynentu ani jakie były jego faktyczne rozmiary. Nie, nie, z pewnością nie mieli o tym pojęcia, Ruth.

— Na pewno. Myśli pan, że moglibyśmy usunąć z okien trochę desek?

— Nie chcę, żeby ktokolwiek widział, czym się tu zajmujemy. Chciałbym, żeby efekt był dla wszystkich zaskoczeniem.

— A czym my się właściwie zajmujemy, Senatorze?

— Tworzymy ekspozycję. — Senator kartkował kolejny tom z mapami, a gdy się odezwał, jego twarz przybrała łagodny i czuły wyraz — A niech mnie, tak łatwo było o pomyłkę. Zatoka Meksykańska jest przecież taka wielka.

Ruth spojrzała przez jego ramię na reprodukcję niezgrabnej starej mapy, ale nie mogła przeczytać żadnego podpisu.

— Chyba przydałoby się nam lepsze oświetlenie. Nie uważa pan, że powinniśmy tu trochę posprzątać?

— Uwielbiam opowieści o pomyłkach żeglarzy. Na przykład Cabrala. Pedra Cabrala. W 1520 roku popłynął na zachód w poszukiwaniu Indii i natknął się na Brazylię! A John Cabot chciał odnaleźć Japonię, a trafił do Nowej Fundlandii. Verrazano szukał zachodniej drogi do Wysp Korzennych, a wylądował w zatoce New York Harbor. Myślał, że to jakiś przesmyk. Ależ oni ryzykowali! A jak im zależało!

Senator zaczynał wpadać w lekką ekstazę. Ruth natomiast zabrała się do rozpakowywania pudła z napisem

KATASTROFY MORSKIE: FOTOGRAFIE/BROSZURY III. Był to jeden z wielu kartonów zawierających eksponaty do wystawy, którą Senator zamierzał nazwać „Żniwo Neptuna" albo „Surowa kara", poświęconej wyłącznie wypadkom na morzu. Dziewczyna wyjęła najpierw teczkę opatrzoną wykaligrafowanym niezwykłym, staroświeckim pismem Addamsa nagłówkiem „Medyczne". Doskonale wiedziała, z czym ma do czynienia. Pamiętała, że przeglądała ją jako dziewczynka. Zerkała na potworne zdjęcia rozbitków, a Senator opowiadał jej historię każdego człowieka i wraku.

— Coś takiego mogłoby spotkać i ciebie — mawiał. — Każdego, kto wypływa w morze.

Ruth otworzyła teraz teczkę i obejrzała stare, znajome koszmary: zainfekowane ugryzienie tasergala, wrzód na nodze wielkości talerza obiadowego, mężczyzna z przegniłym tyłkiem po trzech tygodniach siedzenia na mokrym zwoju liny, czyraki od słonej wody, czerniejące poparzenia słoneczne, rozpuchłe w wodzie nogi, amputacje, zmumifikowane ciało w szalupie.

— Zobacz, jaka piękna rycina! — zawołał Senator. Przeglądał inne pudło oznaczone jako KATASTROFY MORSKIE: FOTOGRAFIE/BROSZURY VI. Z teczki o nazwie „Bohaterowie" wyciągnął sztych przedstawiający kobietę na plaży. Miała upięte w luźny kok włosy i przewieszoną przez ramię długą linę. — Pani White — powiedział z zachwytem Addams. — Dzień dobry, pani White. To Szkotka. Kiedy na skałach w pobliżu jej domu rozbił się statek, kazała marynarzom rzucać do siebie linę i wyciągała ich kolejno na brzeg. Krzepka kobieta, prawda?

Ruth zgodziła się, że pani White rzeczywiście wygląda na silną, i ponownie zagłębiła się w swoją teczkę. Odnala—

zła w niej fiszki z pobieżnymi notatkami sporządzonymi przez Senatora.

Na jednej napisał tylko: „Symptomy: dreszcze, bóle głowy, nieruchawość, senność, niemrawość, s'mierc".

Na innej z kolei: „Pragnienie: picie moczu, krwi, cieczy z pęcherzy, spirytusu z kompasu magnetycznego".

Na jeszcze innej zaś: „Grudzień 1710, *Nottingham* rozbił się u wybrzeży wyspy Boon. 26 dni. Załoga zjadła cieślę okrętowego".

Na kolejnej natomiast: „Pani Rogers, stewardesa na *Stelli*. Pomagała paniom schodzić do szalup, oddała własną kamizelkę ratunkową. UMIERA! TONIE WRAZ ZE STATKIEM!"

Ruth podała ostatnią fiszkę Senatorowi Simonowi, mówiąc:

— To chyba powinno być w teczce „Bohaterowie".

Addams zerknął z ukosa na kartkę i potwierdził:

— Masz absolutną rację, Ruth. Jakim cudem pani Rogers trafiła do teczki „Medyczne"? Spójrz tylko, co przed chwilą znalazłem w „Bohaterach". Też wcale tu nie pasuje.

Wręczył Ruth fiszkę z napisem: *„Augusta M. Gott,* wywrócona, Golfsztrom, 1968. Erasmus Cousins (z BROOKS—VILLE W STANIE MAINE!) wyłoniony w losowaniu do zjedzenia. Ocalony dzięki pojawieniu się statku ratowniczego. E. Cousins przez resztę życia mocno się jąkał; E. Cousins NIGDY WIĘCEJ NIE WYPŁYNĄŁ W MORZE!"

— Ma pan teczkę o kanibalizmie? — spytała Ruth.

— Większy w tym bałagan, niż sądziłem — wyznał żałośnie Senator Simon.

W tym momencie w drzwiach ukazał się Cal Cooley. Wszedł do dawnego sklepu Ellisów, nie pukając.

— O, jest moja Ruth! — zawołał.

— Cholera — powiedziała tylko przerażona dziewczyna.

Tego popołudnia Cal nieco się u nich zasiedział. Grzebał w rzeczach Senatora, bezładnie je podnosił i nie odkładał niczego na swoje miejsce. Doprowadzał Addamsa do skraju wytrzymałości, topornie obchodząc się z eksponatami. Ruth starała się nie odzywać. Czuła ucisk w żołądku. Usiłowała milczeć i schodzić Calowi z drogi, żeby tylko jej nie zagadnął. Cooleyowi powierzono jednak pewną misję i nic nie mogło go powstrzymać od jej wykonania. Po godzinie uprzykrzania im życia Cal powiedział wreszcie:

— Nie przyszłaś w lipcu do pana Ellisa, a przecież cię zapraszał.

— Przykro mi.

— Wątpię.

— Zapomniałam. Przekaż mu, że mi przykro.

— Sama mu to powiedz. Chce się z tobą zobaczyć.

Twarz Senatora aż pojaśniała.

— Ruth, może spytasz pana Ellisa o piwnicę?! — zawołał.

Addams odkrył tam ostatnio mnóstwo zamkniętych szaf na dokumenty. Był przekonany, że wypełniają je po brzegi fascynujące materiały pozostałe po firmie Ellisów. Pragnął więc uzyskać zgodę na ich przejrzenie, a może nawet na wyeksponowanie niektórych w muzeum. Pytał już listownie o pozwolenie, lecz dotąd nie otrzymał od pana Ellisa odpowiedzi.

— Dziś nie mogę, Cal — wykręciła się Ruth.

— W takim razie jutro.

— Jutro też nie.

— On chce z tobą pogadać, Ruth. Ma ci coś do powiedzenia.

— Wcale nie jestem ciekawa co.

— Myślę, że jednak warto, żebyś wpadła. Możesz na tym skorzystać. Podwiozę cię, jeśli to ułatwi sprawę.

— Nie pojadę, Cal — zdecydowała Ruth.

— A co powiesz na niedzielę rano? Albo na następną niedzielę?

Ruth zastanowiła się przez chwilę.

— W następną niedzielę pana Ellisa już tu nie będzie.

— Skąd ten pomysł?

— Przecież zawsze wyjeżdża z Fort Niles w drugą sobotę września. W kolejną niedzielę będzie już w Concord.

— Nic podobnego. Wyraźnie mi zapowiedział, że nie ruszy się z wyspy, zanim się z tobą nie zobaczy.

Ruth aż zatkało.

— O mój Boże! — wykrzyknął zdumiony Senator. — Chyba pan Ellis nie zamierza spędzić tu zimy?

— Zdaje się, że to zależy od Ruth — odparł Cal Cooley.

— Ależ to byłoby zdumiewające — dziwił się Senator. — Po prostu niesłychane! Przecież nigdy tu nie zostawał. — Obrzucił dziewczynę spanikowanym spojrzeniem. — Co by to oznaczało? Mój Boże, Ruth. Co zamierzasz teraz zrobić?

Ruth nie znalazła odpowiedzi. Wybawił ją z kłopotu Webster Pommeroy, który przerwał im rozmowę swoim wtargnięciem do budynku z jakimś szkaradzieństwem w rękach. Błoto oblepiało go niemal po pachy, a twarz wykrzywiał taki grymas, że dziewczyna natychmiast się zorientowała, że chyba udało mu się odnaleźć drugi cios. Lecz Webster nie przyniósł wcale ciosu, tylko okrągły, brudny przedmiot, który niezwłocznie wepchnął Senatorowi do rąk. Chwilę trwało, zanim Ruth mu się przyjrzała,

a gdy to zrobiła, aż ją zmroziło. Nawet Cal Cooley pobladł, gdy się połapał, że Webster przyniósł im ludzką czaszkę.

Senator obracał ją bez końca w wielkich miękkich dłoniach. Była nienaruszona. W szczęce wciąż tkwiły zęby, a ze zwiędłej, gumowatej skóry zwisały włosy. Koszmar. Webster trząsł się straszliwie.

— Co to ma być? — spytał Cal, a w jego głosie po raz pierwszy zabrakło sarkazmu. — Co to jest, do jasnej cholery?

— Pojęcia nie mam — przyznał Senator.

Okazało się jednak, że miał. Kilka dni później, gdy na łodzi Morskiej Straży Granicznej przybyła na Fort Niles policja z Rockland, by zbadać znalezisko Webstera i zabrać je do ekspertyzy do zakładu medycyny sądowej, zrozpaczony Senator Simon podzielił się z przerażoną Ruth swoimi przypuszczeniami.

— Ruthie — zaczął — założę się, o co chcesz, że to czaszka twojej babki, Jane Smith—Ellis. Tego się właśnie dowiedzą, jeśli w ogóle coś ustalą. Reszta ciała pewnie wciąż gnije na płyciznach, odkąd w 1927 Jane zmyła ta wielka fala. — Niezwykle gwałtownie złapał Ruth za ramiona. — Nigdy nie powtarzaj tego matce. To by ją załamało.

— A dlaczego mi pan to mówi? — zażądała wyjaśnień Ruth. Była oburzona.

— Bo silna z ciebie dziewczyna — odparł Senator. — Ty uniesiesz ciężar prawdy. A przecież zawsze chciałaś wiedzieć co i jak.

Ruth rozpłakała się, nagle i gwałtownie.

— Dlaczego nie dacie mi wszyscy świętego spokoju?! — wykrzyknęła.

Senator wyglądał na zdruzgotanego. Nie zamierzał jej zdenerwować. I co miała na myśli, mówiąc „wszyscy"?

Próbował ją pocieszyć, ale mu się to nie udało. Ostatnio dziewczyna napawała go smutkiem i wprawiała w zakłopotanie. Wszystko ją irytowało. Zupełnie nie potrafił wyczuć, o co jej chodzi. Nie wiedział, czego właściwie chce, ale sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

***

To była ciężka jesień. Ochłodzenie nastąpiło zbyt szybko i wszystkich zaskoczyło. Prędzej niż zwykle dni stały się krótsze, co wpędziło całą wyspę w irytację i przygnębienie.

Zgodnie z przewidywaniami Cala Cooleya pan Ellis nie ruszał się z Fort Niles, choć nastał już drugi weekend września. *Stonecutter* wciąż kołysał się w porcie, co błyskawicznie zrodziło plotkę, że starzec nie opuści wyspy z powodu, który ma jakiś związek z Ruth Thomas. Pod koniec miesiąca obecność *Stonecutter* stała się już niepokojąca. Tak późną jesienią łódź Ellisów stanowiła w porcie dziwaczny widok. Przypominała jakiś wybryk natury — całkowite zaćmienie, czerwony przypływ czy albinotycznego homara. Ludzie chcieli poznać przyczynę tej sytuacji. Jak długo pan Ellis zamierza jeszcze zostać? O co mu chodzi? Dlaczego Ruth nie chce załatwić tej sprawy? I co z tego wynika?

Pod koniec października Cal Cooley wynajął kilku miejscowych rybaków, by wyciągnęli łódź Ellisów na brzeg, oczyścili ją i przechowali na lądzie. Lanford Ellis najwyraźniej donikąd się nie wybierał. Cal nie szukał już więcej Ruth Thomas. Znała reguły gry. Została wezwana i wiedziała, że pan Ellis na nią czeka. Zresztą cała wyspa zdawała sobie z tego sprawę. Łódź stała na lądzie na drewnianej kołysce, widoczna dla każdego, kto schodził na nabrzeże. Mężczyźni nie zatrzymywali się, by na nią

popatrzeć, ale mieli świadomość jej obecności. Wyczuwali jej ogromną, kosztowną dziwaczność. Płoszyli się jak konie, które napotykają na rutynowej trasie coś całkiem nowego.

W połowie października zaczął padać śnieg. Zapowiadała się wczesna zima. Poławiacze homarów powyciągali z wody więcierze znacznie wcześniej, niżby sobie tego życzyli, ale wyprawy w morze stawały się coraz trudniejsze, sprzęt zamarzał na kość, drętwiały ręce. Z drzew opadły liście i położony na wzgórzu dom Ellisów był teraz widoczny jak na dłoni. Wieczorami w pokojach na piętrze paliły się światła.

W połowie listopada ojciec Ruth zajrzał do pani Pommeroy. Była czwarta po południu, na dworze panowały już ciemności. Kitty upiła się niemal do nieprzytomności. Siedziała w kuchni i wpatrywała się w usypane na stole w stosik elementy układanki. Synek Robina i Opal, mały Eddie, ostatnio nauczył się chodzić i stał teraz na środku pomieszczenia w przemoczonej pieluszce. Trzymał otwarty słoik masła orzechowego i dużą drewnianą łyżkę, którą co chwilę w nim zanurzał, a potem ssał. Miał całą twarz upaćkaną i zaślinioną. Ubrany był w należącą do Ruth bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami i napisem REPREZENTACJA UCZELNI, w której wyglądał jak w sukience. Ruth i Pani Pommeroy zajmowały się z kolei wypiekiem bułek. Rażąco zielona kuchnia emanowała ciepłem, pachniała chlebem, piwem i mokrymi pieluchami.

— Coś wam powiem — rozprawiała Kitty. — Tyle lat byłam żoną tego faceta, ale ani razu mu nie odmówiłam. I tego właśnie nie rozumiem, Rhonda. Dlaczego mnie zostawił? Czego nie potrafiłam mu dać?

— Wiem, Kitty — uspokajała pani Pommeroy. — Wiem, kochanie.

Eddie zanurzył łyżkę w słoiku, po czym z piskiem rzucił ją na podłogę. Wpadła pod stół.

— Jezu, Eddie — jęknęła Kitty. Uniosła obrus w poszukiwaniu łyżki.

— Podniosę ją — zaproponowała Ruth, uklękła i zanurkowała pod stół. Obrus opadł za nią jak kurtyna. Znalazła łyżkę, oblepioną masłem i kocią sierścią. Dostrzegła też nieotwartą paczkę papierosów — zapewne własność Kitty.

— Hej, Kit... — zaczęła, lecz przerwała, usłyszawszy głos ojca witającego się z panią Pommeroy. To naprawdę on! Nie zachodził tu od miesięcy. Ruth usiadła pod stołem cichutko jak myszka i oparła się o drewnianą nogę.

— Stan — powiedziała pani Pommeroy — jak miło cię znów zobaczyć.

— Czas, kurwa, najwyższy odwiedzić cholerną córeczkę — wtrąciła się Kitty.

— Hej, Kitty — przywitał się z nią Stan. — Zastałem Ruth?

— Gdzieś tu się kręci — poinformowała go pani Pommeroy. — Zawsze jest gdzieś w pobliżu. Cieszę się, że cię widzę, Stan. Dawno do nas nie zaglądałeś. Chcesz gorącą bułeczkę?

— Pewnie. Chętnie spróbuję.

— Wypływałeś dziś rano?

— Tak, żeby się rozejrzeć.

— Wyciągnąłeś coś?

— Kilka zatrzymałem. Inni chyba już nie wypływają. Ale ja raczej nie przestanę. Zobaczę, co się uda złapać. Co tam u was?

Zapadła pełna napięcia cisza. Kitty zakaszlała, przysła—

niając usta zwiniętą dłonią. Pod wielkim dębowym stołem Ruth skurczyła się, jak tylko mogła.

— Stęskniliśmy się za twoim towarzystwem przy obiedzie — powiedziała pani Pommeroy. — Jadasz teraz z Angusem?

— Albo sam.

— U nas nigdy nie brakuje jedzenia, Stan. Przychodź, kiedy tylko będziesz miał ochotę.

— Dzięki, Rhondo. To miło z twojej strony. Brakuje mi twojego gotowania — odpowiedział. — Nie wiesz przypadkiem, co zamierza Ruthie?

„Ruthie". Dźwięk tego słowa chwycił dziewczynę za serce.

— Chyba powinieneś sam z nią o tym porozmawiać.

— Coś ci mówiła? O college'u?

— Lepiej sam z nią pogadaj, Stan.

— Niektórych to ciekawi — wyjaśnił. — Dostałem list od jej matki.

Ruth była zdziwiona. Nawet pod wrażeniem.

— Naprawdę? List? Chyba już dawno do ciebie nie pisała?

— Zgadza się. Pisze, że nie ma od Ruth żadnych wiadomości. Są z panną Vera rozczarowane, że nie podjęła decyzji w sprawie college'u. A podjęła?

— Trudno powiedzieć, Stan.

— W tym roku jest już oczywiście za późno, ale matka mówi, że mogłaby zacząć po Bożym Narodzeniu. Albo jesienią. Ja tam nie wiem, to od niej zależy. A może ma inne plany?

— Mam wyjść? — spytała Kitty. — Powiesz mu?

— O co chodzi?

Ruth zemdliło pod stołem.

— Kitty — uspokajała pani Pommeroy. — Przestań.

— Ale przecież on o niczym nie wie, mam rację? Chcesz mu to powiedzieć w cztery oczy? Kto ma mu o tym powiedzieć? Ona?

— Już dobrze, Kitty.

— Co powiedzieć? — dopytywał się Stan. — Co powiedzieć w cztery oczy?

— Stan — zaczęła pani Pommeroy. — Ruth ma ci coś do powiedzenia. Coś, co ci się nie spodoba. Musisz z nią szybko porozmawiać.

Eddie chwiejnie zbliżył się do stołu, uniósł róg obrusa i rzucił okiem na dziewczynę, która siedziała z podciągniętymi pod brodę nogami. Przykucnął w ogromnej pielusze i zaczął się wpatrywać w Ruth. Odwzajemniła jego spojrzenie. Jego dziecinna twarz wyrażała zdziwienie.

— Co mi się nie spodoba? — drążył Stan.

— Naprawdę Ruth sama powinna o tym z tobą pogadać. Kitty ma za długi język.

— Ale o czym?

— Zgadnij, Stan. A niech tam. Wydaje nam się, że Ruth spodziewa się dziecka.

— Kitty! — krzyknęła pani Pommeroy.

— Co? Nie wrzeszcz na mnie. Na miłość boską, Rhonda, Ruth nie odważy się mu powiedzieć. Miejmy to już za sobą. Spójrz na tego biedaka. Zastanawia się, co jest, u licha, grane.

Stan Thomas milczał. Ruth nasłuchiwała. Nie odezwał się.

— Nikomu poza nami o tym nie mówiła — dodała pani Pommeroy. — Nikt jeszcze nie wie.

— Wkrótce się połapią — wtrąciła się znów Kitty. — Robi się cholernie gruba.

— Dlaczego? — spytał osłupiały Stan. — Dlaczego myślicie, że moja córka oczekuje dziecka?

Eddie poraczkował pod stół. Ruth podała mu brudną, umazaną masłem orzechowym łyżkę, a on uśmiechnął się do niej szeroko.

— Bo od czterech miesięcy nie ma okresu i robi się coraz grubsza! — wyłożyła dobitnie Kitty.

— Wiem, że to dla ciebie wstrząs — uspokajała pani Pommeroy. — Rozumiem, przez co przechodzisz.

Kitty prychnęła zniesmaczona.

— O Ruth się nie martw! — oświadczyła głośno i zdecydowanie. — Da sobie radę!

Zapadła cisza.

— Dajcie spokój! — ciągnęła. — Nie ma to jak urodzić dzieciaka! Powiedz mu, Rhonda! Ty miałaś ich ze dwadzieścia! Łatwizna! Bułka z masłem! Stać na to każdego, kto ma czyste ręce i odrobinę zdrowego rozsądku!

Eddie wpakował sobie łyżkę do ust, wyjął ją i zawył z radości. Kitty uniosła obrus i zajrzała pod stół. Roześmiała się.

— Nie wiedziałam, że tam siedzisz, Ruth! — krzyknęła. — Zupełnie o tobie zapomniałam!

Epilog

Olbrzymy spotykane są we wszystkich wyżej zorganizowanych grupach zwierząt. Interesują nas nie tylko ze względu na swój ogromny rozmiar, lecz także dlatego, że udowadniają, do jakiego stopnia jednostka może wybić się ponad przeciętność swojej rasy. Można się zastanawiać, czy homary ważące 20—25 funtów należy formalnie uznać za olbrzymy czy jedynie za zdrowe i silne osobniki, którym w życiu zawsze sprzyja szczęście. Skłaniam się raczej ku temu drugiemu i zaliczam takiego mamuciego homara do wybrańców natury, który jest większy niż reszta, ponieważ ma lepszą pozycję w grupie. Fortuna zawsze się do niego uśmiechała.

The American Lobster: A Study of Its Habits and Development
dr Francis Hobart Herrick
1895

W iecie 1982 roku Spółdzielnia Rybacka Powiatu Skillet już całkiem nieźle prosperowała, przynosząc zyski ponad trzydziestu poławiaczom homarów z Fort Niles i Courne Haven, którzy do niej przystąpili. Jej biuro znajdowało się w słonecznym pomieszczeniu w dawnym

sklepie firmowym Ellisów przekształconym w Wewnątrz—wyspowe Muzeum Historii Naturalnej. Założycielką i kierowniczką spółdzielni była kompetentna młoda kobieta nazwiskiem Ruth Thomas—Wishnell, która w ciągu minionych pięciu lat groźbą bądź prośbą nakłoniła swoich krewnych oraz większość sąsiadów, by stali się częścią tej delikatnej struktury zbudowanej na zaufaniu, co zaowocowało sukcesem.

Najprościej mówiąc, nie było to wcale łatwe.

Pomysł utworzenia spółdzielni przyszedł Ruth do głowy, gdy po raz pierwszy ujrzała stojących obok siebie ojca i stryja Owneya — Babe'a Wishnella. Zdarzyło się to podczas chrzcin syna Ruth i Owneya, Davida, na początku czerwca 1977 roku. Uroczystość odbyła się w salonie w domu pani Pommeroy, a prowadził ją w obecności garstki posępnych mieszkańców Fort Niles i Courne Haven ponury pastor Toby Wishnell. Tuż przed rozpoczęciem chrztu dziecko zwymiotowało na pożyczoną elegancką wyprawkę, więc Ruth zabrała je na górę i przebrała w coś mniej szykownego, za to czystszego. Podczas zmiany ubranek mały się rozpłakał, więc dziewczyna posiedziała z nim chwilę w sypialni pani Pommeroy i nakarmiła piersią.

Gdy po kwadransie wróciła do salonu, dostrzegła, że ojciec i Babe Wishnell — którzy przez cały ranek unikali swojego wzroku i niby przypadkiem usiedli po przeciwnych stronach pokoju — wyjęli skądś niewielkie notesy i pisali w nich zawzięcie ogryzkami ołówków, w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami, zatopieni we własnych myślach.

Ruth doskonale wiedziała, co tak absorbuje jej ojca, bo mnóstwo razy go obserwowała. Bez kłopotu odgadła więc, czym zajmuje się Babe. Obaj kalkulowali. Pochłaniały ich

interesy. Przestawiali liczby, porównywali ceny, planowali, gdzie zastawić więcierze, sumowali koszty, zarabiali pieniądze. Podczas krótkiej, skromnej uroczystości miała ich wciąż na oku — żaden ani na moment nie oderwał się od swoich obliczeń.

Ruth zaczęła się zastanawiać.

Kilka miesięcy później jeszcze bardziej pobudziła ją do myślenia niezapowiedziana wizyta Cala Cooleya w Muzeum Historii Naturalnej, gdzie mieszkała z Owneyem i małym Davidem. Cal wspiął się po stromych schodach na górę, minąwszy piętrzące się w nieładzie stosy eksponatów Senatora Simona, i zapukał do drzwi. Wyglądał żałośnie. Oznajmił Ruth, że przychodzi z misją zleconą mu przez pana Ellisa. Starzec miał dla niej pewną propozycję. Otóż zamierzał podarować dziewczynie lśniącą soczewkę Fresnela z latarni na Goat's Rock. Przekazując dar, Cal ledwo powstrzymywał się od płaczu, co sprawiło Ruth ogromną satysfakcję. Cooley miesiącami czyścił i polerował każdy cal mosiądzu i szkła tej drogocennej soczewki, jednak pan Ellis twardo obstawał przy swojej decyzji. Chciał, żeby dostała ją Ruth. Cal na próżno zachodził w głowę dlaczego. Pan Ellis wyraźnie polecił mu przekazać Ruth, że może zrobić z prezentem, co jej się żywnie podoba. Chociaż Cal podejrzewał, że starzec życzyłby sobie, by soczewka Fresnela znalazła się na eksponowanym miejscu w nowym muzeum.

— Przyjmę ją — postanowiła Ruth i natychmiast poprosiła Cooleya, by sobie poszedł.

— Nawiasem mówiąc — dodał jeszcze — pan Ellis wciąż czeka na twoje odwiedziny.

— Dobrze — odparła Ruth. — Dziękuję, Cal. Idź już.

Gdy poszedł, dziewczyna zastanowiła się nad otrzy-

manym podarkiem. Głowiła się, o co w tym wszystkim chodzi. Nie, wciąż nie była w stanie zobaczyć się z panem Ellisem, który spędził na Fort Niles całą ubiegłą zimę. Jeśli chciał ją w ten sposób zwabić do siebie, to nic z tego — nie zamierzała do niego pójść. Choć jednocześnie nie czuła się całkiem swobodnie ze świadomością, że starzec pozostaje tam w oczekiwaniu na jej odwiedziny. Zdawała sobie sprawę, że jego stała obecność na Fort Niles zakłóca równowagę życia na wyspie, a także z tego, że sąsiedzi wiedzą o jej związku z tą sytuacją. Niemniej nie wybierała się do pana Ellisa. Nie miała mu nic do powiedzenia i nie interesowało jej, czego od niej chce. Mimo wszystko jednak przyjmie soczewkę Fresnela. I zrobi z nią, na co jej przyjdzie ochota.

Tego wieczoru przeprowadziła długą rozmowę z ojcem, Senatorem Simonem i Angusem Addamsem. Opowiedziała im o prezencie, a oni próbowali ustalić jego wartość. Do niczego jednak nie doszli. Następnego dnia Ruth obdzwoniła domy aukcyjne w Nowym Jorku, co wymagało nieco główkowania i poszukiwań. Trzy miesiące później, po skomplikowanych negocjacjach, sprzedała soczewkę pewnemu zamożnemu człowiekowi z Karoliny Północnej, dzięki czemu wkrótce dysponowała czekiem opiewającym na dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

Potem odbyła kolejną długą rozmowę.

Tym razem z ojcem, Senatorem Simonem, Angusem Addamsem i Babeem Wishnellem. Stryja Owneya ściągnęła z Courne Haven obietnicą wystawnego niedzielnego obiadu ugotowanego w końcu przez panią Pommeroy. Babe Wishnell nie przepadał za wizytami na Fort Niles, ale trudno mu było odmówić młodej kobiecie, która weszła przecież niedawno do jego rodziny.

— Tak wspaniale się bawiłam na ślubie Dotty, że czuję się zobowiązana za to podziękować. Zapraszam więc na pyszny obiad — powiedziała mu Ruth, a on nie mógł odrzucić jej propozycji.

Atmosfera podczas posiłku nie należała do najprzyjemniejszych, lecz gdyby nie obecność pani Pommeroy, która wciąż tylko wszystkich chwaliła i im dogadzała, byłaby znacznie bardziej napięta. Po obiedzie Rhonda podała gorące napoje z rumem. Ruth siedziała przy stole z synkiem na kolanach i wykładała gościom swój pomysł. Oznajmiła im, że chce się zająć handlem przynętą. Zamierzała przeznaczyć otrzymane za soczewkę pieniądze na wzniesienie budynku na nabrzeżu Fort Niles, a także na zakup wagi, chłodni oraz odpowiedniej łodzi do przewożenia towaru co kilka tygodni z Rockland na wyspę. Pokazała im obliczenia, które od dawna przygotowywała. Miała wszystko zaplanowane. Jedyną rzeczą, o jaką prosiła ojca, Angusa Addamsa i Babe'a Wishnelła, było zobowiązanie się do kupowania u niej przynęty po korzystnej, niskiej cenie. Od samego początku zaoszczędziliby dziesięć centów na buszlu. Pozbyliby się też kłopotu związanego z cotygodniowym dowozem przynęty z Rockland.

— Jesteście najbardziej cenionymi poławiaczami homarów na Fort Niles i Courne Haven — powiedziała, wodząc palcem po dziąsłach synka w poszukiwaniu nowego zęba. —Jeśli inni zobaczą, że się zdecydowaliście, pomyślą, że to dobry interes.

— Chyba ci odbiło — rzucił Angus.

— Lepiej weź pieniądze i jedź do Nebraski — zaproponował Senator Simon.

— Wchodzę w to — zgodził się bez chwili wahania Babe Wishnell.

— Ja też — przyłączył się ojciec Ruth i obaj rybacy spojrzeli po sobie z uznaniem. W lot się w tym połapali. Natychmiast się zorientowali, na czym polega jej pomysł. Obliczenia wyglądały zachęcająco. Nie byli przecież idiotami.

Po pół roku, gdy stało się jasne, że handel przynętą przynosi spore zyski, Ruth założyła spółdzielnię. Prezesurę powierzyła Babe'owi Wishnellowi, lecz biuro pozostawiła na Fort Niles. Nikt zresztą nie miał nic przeciwko temu. Utworzyła radę dyrektorów, w której skład weszli najbardziej trzeźwo myślący rybacy z obu wysp. Każdy, kto zdecydował się wstąpić do Spółdzielni Rybackiej Powiatu Skillet, mógł liczyć na korzystniejszą ofertę zakupu przynęty, a także zbywać połów Ruth Thomas, praktycznie nie ruszając się z miejsca. Dziewczyna zatrudniła Webstera do obsługi wagi. Pommeroy był tak poczciwy, że nikomu nie przychodziło do głowy podejrzewać go o oszustwo. Poprosiła ojca, by codziennie ustalał cenę na homary. Wyznaczał ją po długich telefonicznych targach z dealerami na odległym Manhattanie. Ruth najęła też zupełnie neutralną osobę — rozsądnego chłopaka z Freepoint — do nadzorowania magazynu, który zbudowała do przechowywania homarów przed transportem do Rockland.

Członkostwo w spółdzielni wszystkim się opłacało i oszczędzało mnóstwo czasu, który dawniej pochłaniało odwożenie połowu na kontynent. Początkowo, rzecz jasna, nowa inicjatywa spotkała się z pewną rezerwą. Stanowi wybijano okna kamieniami, a Ruth obrzucano na ulicy chłodnym spojrzeniem. Ktoś zagroził nawet kiedyś, że spali Muzeum Historii Naturalnej. Angus Addams nie odzywał się do Thomasów przez ponad dwa lata, ale w końcu nawet on wstąpił do spółdzielni. Wyspiarze kierowali się przecież

swoistym instynktem stadnym, więc kiedy przywódca znalazł się na pokładzie, nietrudno było zebrać załogę. Obmyślony przez Ruth system działał. Faktycznie świetnie się sprawdzał. Pani Pommeroy wykonywała prace biurowe. Nieźle sobie radziła dzięki wrodzonej cierpliwości i zorganizowaniu. Była mistrzynią w uspokajaniu poławiaczy homarów, gdy wpadali w zbyt wielki gniew, paranoję albo zaczynali ze sobą brutalnie rywalizować. Kiedy któryś wpadał do biura z krzykiem, że Ruth go okrada lub że ktoś uszkodził jego więcierze, wychodził z niego spokojny i zadowolony, a na dodatek z ładną nową fryzurą.

Mąż i ojciec dziewczyny zarabiali fortunę na wspólnych połowach. Przez dwa lata Owney pracował u Staną jako sternik. Potem kupił własną łódź (z włókna szklanego — pierwszą na obu wyspach; Ruth go do tego skłoniła), lecz nadal dzielili z Thomasem zyski. Stworzyli własną korporację. Byli wspaniałymi partnerami. Po prostu czarodziejami. Wyciągali z oceanu mnóstwo homarów. Owney był urodzonym poławiaczem z wielkim talentem i wyczuciem. Wracał co wieczór do domu, emanując blaskiem satysfakcji i powodzenia. Przychodził zadowolony, dumny i spragniony najbardziej wyuzdanego seksu, a Ruth się to podobało. Nawet bardzo.

Ona też cieszyła się z osiągniętego sukcesu. Była uradowana i niesamowicie z siebie dumna. Naprawdę jej się udało, pokazała wszystkim, na co ją stać. Kochała męża i synka, ale uwielbiała też prowadzić interesy. Uwielbiała swój magazyn homarów, handel przynętą i aż jaśniała z zadowolenia, że udało jej się zorganizować spółdzielnię oraz przekonać tych wielkich silnych rybaków, by do niej przystąpili. Przecież do niedawna nie potrafili powiedzieć o nikim dobrego słowa! Zaproponowała im zbyt mądre

i korzystne rozwiązanie, tak że nawet oni musieli to docenić. Interesy szły wspaniale. Ruth myślała teraz nad rozmieszczeniem na nabrzeżach obu wysp pomp paliwowych. Inwestycja wymagałaby z jej strony sporego wkładu, ale bardzo szybko by się zwróciła. Mogła sobie na to pozwolić. Osiągała spore dochody. Zresztą to też napawało ją dumą. Zastanawiała się, z niemałą satysfakcją, co się teraz dzieje z wielbicielkami koni z jej klasy w tej idiotycznej szkole w Delaware. Pewnie właśnie pokończyły college i zaręczały się z jakimiś rozpieszczonymi głupkami. Kto wie? I kogo to obchodzi?

Największą dumę odczuwała jednak na myśl o matce i Ellisach, którzy tak usilnie się starali, by wyjechała. Stali na stanowisku, że Ruth nie ma na Fort Niles żadnych perspektyw, a okazało się, że to właśnie ona zapewniła wyspie przyszłość. Owszem, dziewczyna nie posiadała się z zadowolenia.

Wczesną zimą 1982 roku znów zaszła w ciążę. Miała wtedy dwadzieścia cztery lata, a David był spokojnym pięciolatkiem, który przez większość czasu starał się unikać ciosów olbrzymiego syna Opal i Robina Pommeroyów, Eddiego.

— Będziemy się musieli wyprowadzić z tego mieszkania — powiedziała do męża Ruth, gdy upewniła się, że rzeczywiście spodziewa się dziecka. — A ja nie chcę się przenosić do żadnej z tych ruder w porcie. Mam już dość zimna. Zbudujmy porządny duży dom.

Dokładnie wiedziała, gdzie pragnie go postawić. Chciała zamieszkać na Wzgórzu Ellisa, na szczycie wyspy, ponad kamieniołomami, skąd rozciągał się widok na kanał Worthy i Courne Haven. Marzyła o okazałym domu i nie wstydziła się do tego przyznać. O tym widoku z okien

i o prestiżu, który oznaczało jego posiadanie. Oczywiście ziemia należała do pana Ellisa. Starzec był właścicielem niemal wszystkich wartościowych terenów na Fort Niles, więc jeśli Ruth rzeczywiście zamierzała zbudować dom w upragnionym miejscu, musiała z nim o tym porozmawiać. Dojrzewała do tego, w miarę jak ciąża stawała się coraz bardziej zaawansowana, a dotychczasowe mieszkanie zdawało się coraz ciaśniejsze.

Dlatego też, będąc już w siódmym miesiącu, zabrała synka i pewnego czerwcowego popołudnia 1982 roku pojechała pikapem ojca Drogą Ellisów, by wreszcie zobaczyć się z panem Lanfordem.

***

Lanford Ellis skończył w tym roku sto lat. Zdrowie przestawało mu już dopisywać. Mieszkał samotnie w Domu Ellisów, masywnej budowli z czarnego granitu nadającej się raczej na mauzoleum. Od sześciu lat nie opuszczał Fort Niles. Nieustannie przesiadywał przed kominkiem w swojej sypialni, z nogami opatulonymi pledem, w fotelu należącym niegdyś do jego ojca, doktora Julesa Ellisa.

Co rano Cal Cooley stawiał przy nim karciany stolik, na którym kładł klasery, lampę z silną żarówką i szkło powiększające. Niektóre albumy ze znaczkami były stare i cenne. Kompletował je jeszcze doktor Jules. Każdego ranka Cal palił w kominku — bez względu na porę roku, bo pan Ellis wciąż marzł. Tam też — przy palenisku — zastała starca Ruth, gdy Cal wprowadził ją do pokoju.

— Dzień dobry, panie Ellis — przywitała się. — Miło mi pana zobaczyć.

Cooley wskazał jej obity pluszem fotel, podsycił ogień i wyszedł. Ruth posadziła synka na kolanach, co nie było

łatwe, bo pokaźny brzuch nie pozostawiał już na nich zbyt wiele miejsca. Spojrzała na starca. Trudno uwierzyć, że jeszcze żył. Wyglądał na martwego. Miał zamknięte oczy. I sine ręce.

— Wnuczko! — ucieszył się pan Ellis. Otworzył nagle oczy, powiększone groteskowo — jak u owada — przez grube okulary.

David, który nie był wcale strachliwym dzieckiem, aż się wzdrygnął. Ruth wyciągnęła z torebki lizaka i włożyła go synowi w usta. Podziałał jak słodki smoczek. Zastanowiła się przez chwilę, po co w ogóle przywiozła Davida, żeby oglądał tę zjawę. Może popełniła błąd, ale przyzwyczaiła się wszędzie zabierać synka ze sobą. Był takim kochanym dzieckiem, wcale nie marudził. Należało wcześniej o tym pomyśleć. Teraz było już za późno.

— Miałaś przyjść w czwartek na obiad, Ruth — powiedział starzec.

— W czwartek?

— W czwartek w lipcu 1976. — Uśmiechnął się chytrze.

— Byłam zajęta. — Uśmiechnęła się ujmująco dziewczyna, a przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało.

— Obcięłaś włosy, Ruth.

— Tak.

— I przytyłaś. — Głowa starca nie przestawała się lekko kiwać.

— Cóż, nie bez powodu. Spodziewam się drugiego dziecka.

— Nie pokazałaś mi nawet pierwszego.

— Oto David, panie Ellis. David Thomas—Wishnell.

— Miło mi cię poznać, młodzieńcze. — Starzec wyciągnął drżącą rękę w kierunku chłopca. Przerażony David

przylgnął do matki. Ze strachu wypus'cił z ust lizaka. Ruth podniosła go i wsunęła synowi z powrotem do buzi. Pan Ellis cofnął rękę.

— Chciałabym z panem porozmawiać o kupnie kawałka ziemi — przeszła do rzeczy Ruth. Tak naprawdę jednak pragnęła tylko, by to spotkanie jak najszybciej się skończyło. — Myślałam z mężem o budowie domu tu, na wzgórzu, tuż obok pańskiego. Mogę zaproponować rozsądną sumę...

Przerwała, bo coś ją zaniepokoiło. Pan Ellis nagle zaniósł się duszącym kaszlem. Jego twarz stała się fioletowa. Ruth nie wiedziała, co począć. Zawołać Cala Cooleya? Błyskawicznie skalkulowała w myślach: nie chciała, by Lanford Ellis zmarł przed zawarciem transakcji.

— Panie Ellis? — zagadnęła i zaczęła wstawać z fotela.

Drżąca ręka wyciągnęła się znów w jej stronę, nakazując dziewczynie, by zajęła swoje miejsce.

— Siadaj — wykrztusił starzec. Wziął głęboki oddech i znów się rozkaszlał. Nie — dotarło do Ruth — to nie był kaszel. On się śmiał. Coś potwornego.

Wreszcie się uspokoił i otarł oczy. Potrząsnął starczą głową przypominającą łeb żółwia.

— Z całą pewnością już się mnie nie boisz, Ruth — powiedział.

— Nigdy się nie bałam.

— Bzdura. Niemiałaś ze strachu. — Maleńka biała kropelka śliny wytrysnęła z jego ust prosto na jeden z klase— rów. — Ale już przestałaś. I dobrze. Muszę przyznać, Ruth, że jestem z ciebie zadowolony. Twoje osiągnięcia na Fort Niles napawają mnie dumą. Z wielkim zainteresowaniem obserwowałem, jak do wszystkiego dochodzisz.

— Hm, dziękuję — odparła Ruth. Sprawy przybrały

nieoczekiwany obrót. — Wiem, że nigdy pan sobie nie życzył, bym została na wyspie...

— Och, wprost przeciwnie.

Ruth wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Zawsze żywiłem nadzieję, że tu zostaniesz i zrobisz na wyspach porządek. Sensownie nimi pokierujesz. I tak zrobiłaś. Jesteś' zdziwiona?

Rzeczywiście, była. Choć, po zastanowieniu, wcale nie.

Cofnęła się myślami w przeszłość w poszukiwaniu wyjaśnień, szczegółowo analizowała wydarzenia swojego życia. Przypomniała sobie dawne rozmowy i spotkania z panem Ellisem. Czego właściwie od niej oczekiwał? Jakie miał wobec niej plany, gdy skończyła szkołę? Nigdy się z tym nie zdradził.

— Zawsze sądziłam, że pan chce, bym stąd wyjechała i studiowała w college'u. —Jej głos brzmiał spokojnie i donośnie w dużym pomieszczeniu. Rzeczywiście, Ruth była opanowana, ale jednocześnie żywo zainteresowana rozmową.

— Nic takiego nie mówiłem. Czy kiedykolwiek poruszyłem z tobą temat college'u? Czy kiedykolwiek powiedziałem, że życzę sobie, byś mieszkała gdzieś indziej?

Faktycznie nie — uświadomiła sobie Ruth. Mówiła o tym Vera i matka, i Cal Cooley, a nawet pastor Wishnell, ale nie pan Ellis. Bardzo ciekawe.

— Chciałabym o coś zapytać — zaczęła Ruth — skoro już tak szczerze rozmawiamy. Dlaczego mnie pan zmusił, żebym chodziła do tej szkoły w Delaware?

— To była doskonała szkoła i spodziewałem się, że ją znienawidzisz.

Ruth czekała na dalsze wyjas'nienia, które jednak nie nastąpiły.

— Cóż — odezwała się w końcu. — To wszystko tłumaczy. Dziękuję.

Pan Ellis westchnął z dziwnym rzężeniem.

— Biorąc pod uwagę zarówno twoją inteligencję, jak i upór, oczekiwałem, że szkoła posłuży dwóm celom. Wykształci cię i przyciągnie z powrotem na Fort Niles. Nie muszę chyba wyrażać się dobitniej.

Ruth skinęła głową. Wszystko było jasne jak słońce.

— Gniewasz się? — spytał.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Dziwne, ale nie czuła złości. Wielkie mi co, pomyślała. Więc przez całe życie nią manipulował. Ale przecież nie tylko nią. To w istocie żadna niespodzianka. Tak naprawdę to nawet pouczające. W końcu — co z tego? Ruth doszła do tego wniosku szybko i bez zbędnych ceregieli. Cieszyła się, że wreszcie się dowiedziała, co się faktycznie działo przez te wszystkie lata. Są w życiu człowieka chwile nagłego olśnienia. Teraz doznała go Ruth Thomas—Wishnell.

— Nieonogłaś wyjść lepiej za mąż, Ruth — podjął rozmowę pan Ellis.

— Ojej — odpowiedziała tylko dziewczyna. Niespodziankom nie było końca. — I co pan o tym sądzi?

— Wishnell i Thomasówna? Och, jestem wprost zachwycony. Założyłaś dynastię, młoda damo.

— Naprawdę?

— Owszem. Mój ojciec nie posiadałby się z zadowolenia, gdyby zobaczył, co osiągnęłaś przez tych kilka lat, założywszy swoją spółdzielnię. Nikogo innego nie byłoby na to stać.

— Nikt inny nie dysponował dotąd wystarczającym kapitałem, panie Ellis.

— Cóż, ty okazałaś się na tyle mądra, by go zdobyć. I rozsądnie go zainwestowałaś. Mój ojciec pękałby z dumy i zachwytu nad sukcesem twojego przedsiębiorstwa. Przyszłość tych wysp nigdy nie była mu obojętna. Kochał je. Podobnie jak ja. I wszyscy Ellisowie. W końcu moja rodzina sporo w nie włożyła. Nie chciałbym patrzeć, jak Fort Niles i Courne Haven podupadają z braku rozumnego przywódcy.

— Coś panu powiem, panie Ellis — zaczęła Ruth, z niewiadomej przyczyny nie mogąc powstrzymać uśmiechu. — Nigdy nie zamierzałam stać się dla pana rodziny powodem do dumy. Proszę mi wierzyć. Nigdy nie interesowało mnie służenie Ellisom.

— To bez znaczenia.

— Chyba tak. — Ruth czuła się dziwnie i lekko: rozumiała wszystko do głębi. — Bez znaczenia.

— Ale przyjechałaś porozmawiać o interesach.

— Zgadza się.

— Masz jakieś pieniądze.

— Tak.

— I chcesz, bym sprzedał ci ziemię.

Ruth się zawahała.

— Nnnie — powiedziała, przeciągając słowo. — Nie całkiem. Nie chcę, by mi ją pan sprzedał. Chciałabym ją od pana dostać.

Teraz pan Ellis otworzył szeroko oczy. Ruth przechyliła głowę i odpowiedziała mu spojrzeniem.

— Rozumie pan?

Nie odpowiedział. Dała mu czas do namysłu, a potem cierpliwie wyjaśniła, o co jej chodzi.

— Pana rodzina ma wobec mojej ogromny dług. To ważne i właściwe, by jakoś go zrekompensowała. Moja babka i matka poświęciły wam całe życie. A i moje toczyło się zgodnie z waszym życzeniem. Na pewno mnie pan rozumie.

Ruth była zadowolona, że użyła słowa „zrekompensować". Idealnie się nadawało.

Pan Ellis przez chwilę się namyślał, po czym się upewnił:

— Nie grozisz mi chyba procesem, moja panno?

— Pani. Pani Thomas—Wishnell — poprawiła go Ruth. — I proszę nie mówić takich głupstw. Nikomu nie grożę.

— Mam taką nadzieję.

— Tłumaczę tylko, że ma pan okazję dać mojej rodzinie zadośćuczynienie za krzywdy wyrządzone jej przez te lata przez pańską.

Pan Ellis milczał.

— Jeśli kiedykolwiek miał pan ochotę nieco oczyścić swoje sumienie, teraz nadarza się świetna okazja.

Pan Ellis wciąż nie odpowiadał.

— Nie muszę chyba wyrażać się dobitniej, panie Ellis.

— Nie — odparł wreszcie. Znów westchnął, po czym zdjął i złożył okulary. — Nie musisz.

— Więc pan rozumie?

Skinął głową i odwrócił się, by rzucić okiem na ogień.

— To dobrze — skonstatowała Ruth.

Siedzieli w milczeniu. David zdążył zasnąć, a jego ciało ciążyło na kolanach Ruth i grzało ją jak piecyk. Mimo to nie było jej niewygodnie. Pomyślała, że ta krótka i bezpośrednia rozmowa z panem Ellisem była równie istotna jak słuszna. I szczera. Oceniała jej przebieg jako udany. Rekompensata. Tak. Najwyższy czas. Czuła się całkiem swobodnie.

Obserwowała wpatrzonego w płomienie pana Ellisa. Nie czuła złości ani smutku. On chyba też nie. Nie miała do niego żalu. Jak pięknie płonie ogień, pomyślała. To niezwykłe — lecz nie nieprzyjemne — siedzieć w środku czerwca przy tak dużym ogniu przypominającym bożonarodzeniowy. Zaciągnięte zasłony i zapach spalonego drewna zupełnie nie wskazywały na to, że trwa biały dzień. Kunsztowny kominek stanowił ozdobę pokoju. Wykonano go z ciężkiego ciemnego drewna — zapewne mahoniu — i ozdobiono wyobrażeniami nimf, winogron i delfinów. Wieńczył go gzyms z zielonkawego marmuru. Przez jakiś czas Ruth podziwiała maestrię jego wykonania.

— Przyjmę też dom — odezwała się wreszcie.

— Oczywiście — odparł pan Ellis. Jego ręce ściskały stojący przed nim karciany stolik. Pokryły się już starczymi plamami, a ich skóra przypominała pergamin, lecz przestały teraz drżeć.

— Dobrze.

— Świetnie.

— Rozumie pan, co zaszło?

— Tak.

— I pojmuje pan, co to oznacza, panie Ellis? To znaczy, że będzie pan musiał opuścić Fort Niles. — Ruth nie powiedziała tego arogancko. Po prostu precyzowała sytuację. — Powinien pan wrócić z Calem do Concord. Nie sądzi pan?

Starzec skinął głową. Wciąż patrzył na ogień.

— Gdy pogoda na tyle się poprawi, żeby *Stonecutter* mogła wypłynąć...

— Och, nie ma pośpiechu. Nie musi pan wyjeżdżać już dzisiaj, ale nie chcę, żeby pan tu umarł, rozumie pan? Nie chcę, żeby pan zmarł na tej wyspie. To byłoby niewłaściwe

i wprowadziłoby zbyt wiele zamieszania. Nie chcę, żeby to na mnie spadło. Więc naprawdę musi pan wyjechać. Ale nie natychmiast. W ciągu kilku tygodni. Spakujemy pana i wyprowadzimy. To nie powinno sprawić zbyt wielkich trudności.

— Pan Cooley może się tym zająć.

— Oczywiście — powiedziała Ruth. Uśmiechnęła się. — To dla niego idealne zadanie.

Znów długo milczeli. Ogień trzaskał i migotał. Pan Ellis włożył okulary na nos. Skierował wzrok na Ruth.

— Małemu chce się spać — zauważył.

— Właściwie to już śpi. Powinniśmy wracać do domu. Lubi spędzać wieczory z ojcem. Czeka na jego powrót.

— Ładny z niego chłopczyk.

— Też tak sądzimy. Kochamy go.

— Naturalnie. To wasz syn.

Ruth wyprostowała się w fotelu.

— Powinnam już wracać do portu, panie Ellis — powiedziała.

— Nie napijesz się jeszcze herbaty?

— Nie. Ale zawarliśmy umowę, prawda?

— Jestem z ciebie niezmiernie dumny, Ruth.

— Cóż — odpowiedziała i ironicznie zakręciła lewą ręką w powietrzu — do usług, panie Ellis.

Z pewnym wysiłkiem podniosła się z głębokiego fotela, cały czas trzymając Davida. Synek nieznacznie zaprotestował, a ona przemieściła go, by przyjąć wygodniejszą dla obojga pozycję. W tak zaawansowanej ciąży nie powinna go już nosić, ale bardzo to lubiła. Uwielbiała go przytulać, a wiedziała, że za kilka lat stanie się zbyt niezależny, by jej na to pozwolić. Odgarnęła jego jasne włosy i podniosła swoją płócienną torbę pełną przekąsek dla dziecka

i dokumentów spółdzielni. Ruszyła ku drzwiom, lecz po chwili się rozmyśliła.

Odwróciła się, by potwierdzić swoje przypuszczenie. Spojrzała na pana Ellisa — tak jak podejrzewała, jego twarz rozjaśniał uśmiech. Nawet nie próbował go przed nią ukryć. Przeciwnie — uśmiechał się coraz szerzej. Na ten widok Ruth poczuła przedziwną i niewytłumaczalną sympatię do tego człowieka. Nie wyszła więc. Nie w tym momencie. Podeszła natomiast do fotela pana Ellisa i pochyliwszy się niezgrabnie ze względu na ciężar syna i ciążę, pocałowała starego potwora w czoło.

RS